

Marcin Wolski

Trzecia najśmieszniejsza

Kabaretu Nadredaktora część II

Bilans otwarcia

Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek powrócę do radia. Ten etap życia uznawałem za definitywnie zamknięty. Znałem zresztą stare chińskie powiedzenie: „Nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki...” (Chyba, że akurat powstał lodowy zator). Mój radiowy strumyk został ścięty 13 grudnia 1981 roku, a odtajał dopiero osiem lat później...

Nie uprzedzajmy jednak wypadków! Zresztą, mówiąc precyzyjnie wspomniany potok wcale nie zamarzł, tylko postawiono mu tamę i zakręcono mikrofon. Mój nieżyjący już, niestety, pierwszy kierownik Redakcji Audycji Rozrywkowych Programu III, Jacek Janczarski często mawiał, że nie wierzy w życie pozaradiowe. Ja musiałem uwierzyć. Na osiem długich lat. Udało mi się jakoś zapewnić sobie egzystencję i nadal uprawiać zawód, miejscem azylu stała się estrada, przytuliły mnie przyzwoitsze gazety, sporej satysfakcji dostarczało pisanie książek. Kiedy jednak jadąc maluchem Trasą Łazienkowska (dzięki namowom mego impresaria, Jacka Jankowskiego, w połowie lat osiemdziesiątych zrobiłem wreszcie prawo jazdy), mijałem w dole szary gmach radia na Myśliwieckiej, ponoć budowany dawno temu z przeznaczeniem na końską ujeżdżalnię, nie potrafiłem pozbyć się bolesnego skurczu serca. Na szczęście z upływem lat były to drgnienie wciąż słabsze i rzadsze. Radio powracało jedynie w snach — długich, odcinkowych. Znow byłam przywoływany do porządku przez zwierzchników, wycinany przez cenzurę, znow poganiałem kolegów, spóźniających się ze swoimi wstawkami i zamykałem w „kanciapie pracy twórczej” Krzysia Jaroszyńskiego, który wpadł tylko, żeby powiedzieć, że nic nie napisał i... budziłem się. Poza snem i radiem.

Co pewien czas, w chwilach krótkotrwałych odwilży Trójka przypominała o mnie słuchaczom, puszczać w „Powtórce z rozrywki” (podówczas ostatnim skansenie satyn’ zastępczej) nagrania archiwalne rodem z „60 minut na godzinę” — opowiadanie, seriale słuchowiskowe... I tylko niezależnie od koniunktury, pięć dni w tygodniu emitowano, oczywiście anonimowo, moją piosenkę, hymn audycji, śpiewany przez Mariana Kociniaka:

Powtórka z rozrywki

Gdy wszystko wciąż płynie i mija pomału,

gdy w krąg rosną ludzie i brody kawałów,

przychodzi nostalgia i łapie w sieć nas —

wspominać, wspominać choć raz!

Choć kawał odgrzany podobno nie w cenie

lecz silny jest bezwład i przyzwyczajenie

Choć dowcip ulata, jak łezka od rzęs,

to dowcip po latach ma sens.

Więc śmiejmy serdecznie się

bez uśmiechu źle.

Niech bawi nas to co jest,

skąd brać dziś nowy tekst?

Powtórka z rozrywki, powtórka z rozrywki.

Skoroszyt przypomnień, przeszłości wyrywki.

Tu żart odkurzony, tam dowcip sprzed lat

Powtórka z rozrywki?

A jak!

Powtórka z rozrywki, z rozrywki powtórka

śluchają jej biura, śluchają podwórka.

A czas sobie płynie banalnym tik — tak...

rozrywka z powtórki?

O tak!

(Teraz, w roku 2002 biura i podwórka już nie śluchają, bo emisje z trzynastej przenieśli na dwudziestą trzecią!)

Żeby było jasne, mimo paru tysięcy emisji nie otrzymałem za ten utwór ani grosza, co stanowi swoisty rekord. Ale sam sobie byłem winien. Piosenkę do programu pod tym samym tytułem, który powołałem jeszcze jako kierownik Redakcji Audycji Rozrywkowych w roku 1974 (miał iść tylko przez wakacje, ale jak każda prowizorka utrzymał się długo), dałem do skomponowania naszemu wypróbowanemu „oprawcy muzycznemu” Jurkowi Kordowiczowi. Ten, zamiast komponować, z prawdziwą wirtuozerią montażową, skompilował muzykę z utworów jakiegoś bliżej mi nie znanego muzyka z NRD, o czym obaj, tzn. Jurek i ja, zapomnieliśmy, bagatela, poinformować kompozytora. Kto zresztą w tamtych latach przejmował się prawem autorskim? Efekt — nieznanym nam „Ossi” ma

pewnie domek z ogródkiem, na fundamencie z „Powtórki”, ja straciłem tantiemy, a Kordowicz włosy.

Przeglądając pierwszy tom „Kabaretu Nadredaktora” dochodzę do wniosku, że chyba zbyt pobieżnie potraktowałem owe lata składające się na mój „wiek męski, wiek klęski”. Skoncentrowałem się na estradzie, kolejnych premierach kabaretu „Sześćdziesiątka” ledwie napomykając o książkach i pierwszym kontakcie z pismem „Fantastyka” (warto w tym miejscu wspomnieć o krótkiej niestety przyjaźni z ciężko już wówczas chorym Januszem Zajdlem). Prawie zupełnie pomiąłem prasę i moje pierwsze kroki felietonisty. Tymczasem wkrótce po ostatecznym wywaleniu mnie z Radia (nie wpuszczano mnie od 13 grudnia, ale formalne wypowiedzenie nosiło datę „prima aprilisa”) namówiony przez kolegę ze studiów Jarosława Sobiepanka, zacząłem publikować w paxowskiej „Zorzy”, gdzie uzyskałem pełną autonomię, a dodatkowo asekurowałem się nadtytułem „Chcąc nie chcąc”, dobrze określającym mój ówczesny stan psychiczny. Dokładnie zdefiniowałem go w jednym z pierwszych felietonów, zatytułowanym

Światelko w kanale

Mój optymizm jest bardzo ostrożny. Malutki. Ale kto potrafi z całą precyzją odróżnić ostrożny optymizm od umiarkowanego pesymizmu? Jestem optymistą nie dlatego, żebym miał ku temu jakieś szczególne powody, lub dowody. Jestem, ponieważ nie można inaczej. Pesymizm to brak nadziei, paraliż, apatia, pogodzenie się z kamykiem w bucie, obroźą na szyi i chuliganem jako sublokator. Dziejami ludzkości rządziły zawsze dwa odwrotnie proporcjonalne uczucia:

Strach i nadzieja. Żadnemu nigdy nie udało się zwyciężyć bezapelacyjnie. Stąd też historia jawi się jako stałe falowanie emocjonalnej sinusoidy. I to stanowi drugi powód optymizmu — po dołku nieuchronnie musi przyjść górka. Oczywiście może przyjść prędzej, może później. Pesymizm zakłada przyzwyczajenie, ba, sympatyzowanie z dołkiem, podparte założeniem, że następny dołek może być tylko głębszy. Optymizm to stałe wypatrywanie pierwszych zapowiedzi wznoszenia (...) Przy okazji można powtarzać sobie starą fraszkę Leca „nawet najdłuższa żmija, przemija”. A przede wszystkim optymizm nie zezwala na bezproduktywne załamywanie rąk, że po co, na co, nic nie ma sensu, a wzywianie do pozytywizmu to kolejny kanał (...) Chociaż nawet kanał, jak nazwa wskazuje może służyć za środek komunikacji. Zbudowany dom pozostaje zbudowanym domem, uszyty but uszytym butem, a napisany wiersz, napisanym wierszem nawet jeśli opublikują go w nieciekawym kontekście.

O Andrzejku Sowie, redaktorowi „Zarzewia”, który pozwolił mi zaistnieć na lamach swego piśmka, jako autorowi kryminałków pisanych pod pseudonimem Mart Willer wspominałem w poprzednim tomie „Kabaretu Nadredaktora”. Opuściłem za to fakt, że jesienią roku 1982 rozpocząłem z poręki Stefana Bratkowskiego paroletnią współpracę z „Radarem”. Żywiłem płonną, jak się okazało nadzieję, że szukająca choćby cienia wiarygodności władza, powinna tolerować przynajmniej jedno pismo przyzwoite, taki rezerwat miękkiej opozycji.

Nieprzypadkowo za nadtytuł felietonów przyjąłem „**WIELKIE SŁOWA**” co wytłumaczyłem w tekście inauguracyjnym —

W epoce, w której wypada pewne wyrazy wymawiać półgłosem, odzywa się we mnie diabeł przekory, skłaniając do rozmowy na temat wielkich słów. Słów tak dużych, że niekiedy sens ich się zaciera, zwłaszcza gdy człowiek stojąc zbyt blisko dostrzega tylko jedną, może dwie litery a musi domyślać się całości.

Dalej dokonywałem porównania swego aktualnego położenia z sytuacją ułomnego nietoperza, gacka wielkoucha, teoretycznie posiadacza biologicznego radaru, wiszącego jednak głowa w dół na belce, biegnącej skądś dokądś — nieświadomego do końca, czy to jedynie poprzeczka szlabanu czy fragment jakiejś zmyślniejszej konstrukcji? Wspomóc jego funkcje odbiorczo — nadawczą miał właśnie tygodnik „Radar”, a że nie spełnił?... Może nie mógł. W kilkudziesięciu felietonach przedstawiłem galerię słów większych, mniejszych a także zapomnianych. Pisałem o WYOBRAŹNI i tragedii związanej z jej brakiem. Przy okazji zaproponowałem jej mierniki — jednostką podstawową miała być jedna pytia odpowiadająca 100 wernyhorom. Inteligentny, a więc świadomy konsekwencji swych działań szympanś winien mieć około 0,3 wernyhory, maksymalny wieszcz — 2,5 pytii. Inna sprawa, pisałem, że wyobraźnię współczesnych polityków winno się mierzyć w miliurbanach.

Inny felieton poświęciłem CNOCIE — pojęciu ginącemu i zasługującemu w związku z tym na gatunkową ochronę. Następnie wziąłem na warsztat POKORE, dawno zniszczoną przez wszechogarniającą AROGANCJĘ. Potem przypomniałem wymarłe termin o nazwie HONOR.

Wraz z zamianą kultury śródziemnomorskiej na — powiedzmy eufemistycznie — „bałtycką”, honor stał się czymś zdecydowanie niemodnym. (...) Ba, nie wiem nawet czy młodsze pokolenie potrafiłoby znaleźć różnicę między „honorem” a „horrorem”. Gdybyśmy mieli dziś popełniać samobójstwo za każdym razem, kiedy przyłapią nas na kłamstwie, albo żądać satysfakcji za każda zniewagę... populacja zmalałaby u nas szybciej niż w Kampuczy. (...) W tej sytuacji apelowanie o reanimację przeżytków minionej moralności byłoby oczywiście wołaniem na pustyni i puszcy. Czy mógłby egzystować u nas honorowy spiker telewizyjny, kiedy rzadko który ojciec odważyłby się dać swemu dziecku na imię Honoriusz?

Co najwyżej, wzorem „dnia bez błędów”, albo bez papierosa czy dni bez mięsa, można by ogłosić raz w roku Dzień Honoru. — Wszyscy przez jedną dobę mówią prawdę, szanują innych, dotrzymują zobowiązań. I proponowałbym ustalić to święto na 30 lutego.

Rozmiary książki nie pozwalają na przytoczenie zbyt wielu fragmentów ówczesnych rozważań. Odnotujmy więc, iż pisałem o CZASIE i PAMIĘCI, TOLERANCJI i PIENIĄDZU. Przewrotnie

wywodziłem szlachetny termin ZAANGAŻOWANIE od przyziemnego słowa „gaża” oraz dowodziłem, że DYSKUSJA to nie szereg mijających się monologów. Poświęciłem felieton ODWADZE — zastanawiając się, czy naprawdę „lepiej jest być żywym tchórzem niż martwym bohaterem”? Przy okazji zauważyłem, że medale za odwagę najczęściej dostają strażacy i żołnierze na przepustce, ratujący topielców, a najrzadziej myśliciele. Niestety — konkludowałem — odwaga, podobnie jak prawda często musi być naga, podczas gdy tchórze przeważnie paradują w futrach.

Udało mi się też zdemaskować słówko REFORMA, przypominając że pochodzi od wyrazu reformatio, którego podstawowym znaczeniem jest „przywrócenie stanu poprzedniego”. Zdjęto mi natomiast w całości tekst poświęcony BANICJI — szczególnie kłujący w oczy w czasach, gdy najwartościowszym z Polaków proponowano paszporty i bilety w jedną stronę.

Obrywałem też od nadgorliwców. Po jednym ze szczególnie zjadliwych ataków w czarno czy raczej czerwonosecinnej „Rzeczywistości” odciąłem się pisząc iż „skopanie przez «Rzeczywistość» nobilituje bardziej niż pochwała w «Tygodniku Powszechnym»„. Za puszczenie tego kawałka Jerzy Klechta — naczelny „Radaru” musiał ponoć tłumaczyć się w KC. Nie chodziło oczywiście o przyganę „Rzeczywistości”, ale o pochwałę krakowskiego „Tygodnika”.

Innym razem poświęciłem chwilę uwagi ŚCIANIE, definiując powszechną u nas taktykę działania od ściany do ściany i przywołując sytuację „Dziada na audiencji u Obrazu”, jako przykład niemożności porozumienia władzy ze społeczeństwem. Zastanawiałem się też czy może istnieć ZAUFANIE jednokierunkowe? Na przykład w układzie złodziej — ksiądz, obywatel — instytucja, uwodziciel — dziewczyna? Sądzę — pisałem — że jest to możliwość wyłącznie teoretyczna. Przeważnie bowiem osoba niegodna zaufania nie ufa innym. Przypisuje swoje zamiary partnerom, szukając własnych defektów vis-a-vis.

Tym większych szans upatrywałem w mozolnym poszerzaniu obszarów SZCZEROŚCI (Słowo „jawność” nie zostało jeszcze wtedy wypromowane) i wykpiwałem tak lansowany przez telewizję SPOKÓJ, ponoć stan najbardziej upragniony przez szarych obywateli. Ba, nawet przez nich kanonizowany w zbitce „święty spokój”. Dla mnie spokój najczęściej kojarzył się z marazmem, cmentarzem (spokój wieczny), przejściowym okresem chwiejnej równowagi, wreszcie ciszą przed burzą...

Znane jest powiedzonko, tak spokojnie, że aż strach. I faktycznie takiego spokoju ja się boję. Jeden z mych znajomych, kiedy spokój trwa zbyt długo, staje się coraz bardziej niespokojny, nie sypia i czeka na jakiś kataklizm, bo wie, że jeśli jest za dobrze, to może być tylko gorzej. Osobiście wolę lekkie falowanie, twórczy dreszcz, kontrolowany ferment, dużo bardziej od usypiające narkozy samozadowolenia. Przecież wprowadzić spokój we wszechświecie to znaczy wstrzymać gwiazdy i planety... A nasz mały mikrokosmos podlega podobnym prawom.

A co z tak wielkim słowem jak **NADZIEJA**?

W obecnych, aż za bardzo ciekawych czasach nikt jakoś nie daje córkom na imię Nadzieja. (...) W ogóle oryginalność w imionnictwie podupada, w użyciu jest podstawowy kanon zasilany imionami spikerek i gwiazd filmowych. Nikt natomiast nie nazwie dziecka Polsilver, Szampona czy Amortyzator. (...) Czemu więc nie Nadzieja? Skoro sam dźwięk słowa wywołuje u wielu skurcz serca. (...) Była przecież najpotężniejszym motorem działalności ludzkiej. Pobudzała do wynalazków, odkrywania nowych lądów i nowych galaktyk, prowadziła lud na barykady, a przywódców na stanowiska? (...) Nikt nie chce mieć głupich wnuczków, bo nadzieja jest ponoć matką głupców...?

A dalej przypominałem:

Wielkie zmiany zdarzały się nie wtedy, kiedy było najciężej, wprost nie do wytrzymania. Ale wówczas, gdy w nieskruszalnym na pozór murze pojawiała się szczelina, ujawniała jakaś furka, pierwszy schodek, szansa zmiany (...) Idee łatwo porównywać z kobietami. Podobnie jak dziewczyna nadzieja potrafi być zmienna i zwodnicza, pojawia się i znika. Jednak nigdy nie daje o sobie zapomnieć. A więc czekajmy i szukajmy. A kto wie któregoś dnia odezwie się pukanie do naszych drzwi. Może zresztą już za nimi stoi. Panna Nadzieja.

Tu przytoczę piosenkę z lat 70., przeoczoną w pierwszym tomie. Nawet teraz nie mogę nigdzie znaleźć jej tekstu, przytaczam więc go z pamięci. Należała wśród moich produkcji do utworów szczególnie tępionych — nie wiem, dlaczego. Niezglobione bywały motywy kontroli.

Chociaż raz pamiętam, kiedy zmęczony walką z cenzurą napisałem wiersz liryczny i zaniósłem mając nadzieję, że tym razem przejdzie, załatwiono mnie krótkim sformułowaniem: „Za szczerę”! Chyba sobie wiadomym sposobem cenzurowano mi duszę. Tytuł piosenki wziąłem bowiem z wyjątkowo podłego artykułu relacjonującego proces, bodajże „taterników” —

Milcz albo kłam

(muz. Jerzy Andrzej Marek)

Co przyniesie nam zakręt ulicy,

czym powita nas brama i próg,

czyje ręce w swe dłonie pochwycisz,

czyje usta przytulisz do ust?

W jakim oknie pojawi się Julia,

które niebo ci wpadnie do rąk,

co jak bajka rozprysnie się złudna,

jaki patyk rozwinie się w pęk?

Powiedz, powiedz, niech rzeczy się dzieją

Nadziejo, o Nadziejo!

Powiedz, wyznaj, co zdarzy się nam —

Jeśli dobre.

Gdy złe — milcz albo kłam!

Tu dotkliwa luka w pamięci, udaje mi się przypomnieć dopiero końcówkę:

W którym miejscu gwałtownie staniemy,

Zaplątani wśród czynów i słów

Zawsze trochę zanadto zdziwieni,

Zawsze trochę liczący na cud? ...

W początkach 1983 roku mówienie o nadziei zakrawało na wariactwo. Zawieszony stan wojenny ciągle wisiał nad głowa jak miecz Damoklesa. Jednak wierny swemu charakterowi trwałem w optymizm i napisałem tekst pod nie wiele mówiącym tytułem:

Natura

Jedno z najpiękniejszych sformułowań usłyszałem ostatnio w skądinąd rozrywkowym filmie

— „Komandosi z Nawarony”. Czwórka komandosów zajmuje się wysadzeniem górskiej zapory wodnej, co przyczynić się ma do uratowania jugosłowiańskiej partyzantki. Tama zostaje podminowana i dochodzi, do akustycznie rzecz biorąc, niewielkiej detonacji. Niektórzy z uczestników akcji popadają w zwątpienie — „Tama stoi jak stała”. Aliści angielski dżentelmen-wysadzacz spokojnie twierdzi, że zaporą już właściwie nie istnieje. Chociaż sama o tym nie wie, jej los został przesądzony. „Pozwólmy działać siłom natury” — pada znamienna sentencja. I rzeczywiście nie upływa wiele czasu, a pojawiają się pierwsze rysy, kropelki wody, aż wreszcie cała potężna konstrukcja z betonu wali się jak domek z kart. (...) Pozwólmy działać... — Pokażcie mi takich silnych, którzy wygrali z siłami natury, z rytmem biologicznym, z tektoniką, z pogodą czy z równie nieubłaganymi procesami społecznymi. Natura się nie śpieszy, z cierpliwością z jaką rosną stalaktyty i stalagmity, drąży nowe łożyska, wypracowuje przyszłe rozwiązania, pomnaża ilość, aby w odpowiednim momencie spuścić z łańcucha nową jakość. Biedne zapory, które nie wiedzą, że ich już nie ma...

Było to proroctwo, czy tylko pobożne życzenie? Myślałem wówczas tylko o Polsce i skutkach detonacji wywołanej erupcją „Solidarności”, czy o całym bloku? Tego niestety już nie pamiętam.

*

Czy powinienem uznać owe lata za kompletnie zmarnowane? W dużym stopniu tak. Przy czym bilans prywatny i tak wydaje się o wiele korzystniejszy od bilansu ogólnonarodowego. Nasz „generał Zomoza” nie okazał się Pinochetem, od generała Franco też różnił się jak frank od rubla. Pod osłoną tanków nie przeprowadzono żadnych reform, nie zaproponowano żadnej rozsądnej wizji, poza obroną stanu posiadania. Zresztą blask opozycji też wkrótce przygasł. Po krótkotrwałym emocjonalnym zrywem, który wyzwoliło zamordowanie księdza Jerzego Popiełuszki (do końca życia zapamiętam owo morze zniczów wokół żoliborskiego kościoła, nocie oczekiwania i wreszcie straszną chwilę, gdy dotarła wiadomość o odnalezieniu ciała kapłana...) społeczeństwo popadło w stan apatii, „otorbiło się w prywatności”. Nasza wspaniała publiczność z czasów „polskiego karnawału” gdzieś znikła i zamiast uduchowionych twarzy widzów (te spotykało się już prawie wyłącznie podczas występów dla Polonii) widywaliśmy przeważnie, gęby frekwencji. Uczciwie mówiąc, również my sami, mimo wewnętrznych zahamowań zaczęliśmy dostosowywać się do poziomu odbiorcy. Zamiast ambitnych, rozdrapujących blizny programów „izby nie zarosły błoną podłości”, coraz częściej wyruszaliśmy w wielotygodniowe chałturnicze trasy, na których kabaret „Sześćdziesiątka”, miał stanowić humorystyczny dodatek do gwiazd piosenki, zapowiadanych przez telewizyjnych spikerów (szczęściem tych „niemundurowych”). Taka trasa, której parasolem bywa tzw. „glejt”, np. szkolenie przeciwpożarowe, czy kurs BHP, a sale wypełnia przypadkowa, spędzona „frekwencja”, nawet, jeśli ekipa złożona jest z subtelnych twórców, znakomitych wokalistek i początkujących autorytetów moralnych, funkcjonuje w rytmie trójfazowym — koncerty, balanga, kac, koncerty, balanga, kac... I tak, aż do pełnego zużycia materiału.

Krajowa orgia

*Dymek „wiarusów” pod sufitem
butelek kręgli rząd się toczy,
dwie „mazowszanki” nie dopite,
za oknem czarny plakat nocy.*

*Na ustach spierzchłych przekleństw lista
i jeszcze pięć gronowych win,
pijany w dym recepcjonista
i widma dwóch „uczennic” z nim.*

*Krajowa orgia, hotel „Raj”.
za oknem wnet się zbudzi kraj,
zagrzebią w betach się dziweczki,
delegacyjne wstaną teczki
i będzie dalej tak jak jest.*

Stać nas na gest!

*Lecz wszystko jakieś karłowate,
jak sztandar, który został ścierą,
inżynier raczej nie bohater,
magister również żaden Neron.*

*Panienki także bezklasowe,
lecz będą cudne, po półlitrze.*

Sukienki ściąga się przez głowę...

Rozlane piwo? To się wytrze!

Krajowa orgia, potem sen,

vis a vis gmachu WRN

Niżej kiosk „Ruchu” obok Pewex,

Rozbrzmiewa echo sprośnych śpiewek

Za mostkiem jakiś tępy ból,

Boisz się mała, no to siul...!

Siermiężna orgia... Według potrzeb

u progu wielkich zmian... na gorsze.

Wzlotów nie wyżej niż na stół.

Proza i poza, pół na pół.

Jednak nawet z dna emocjonalnego dołka można było zauważyć, że idzie nowe. Od połowy lat osiemdziesiątych wiew gorbaczowowskiej pierestrojki dawał się odczuć nawet w prowincjonalnych hotelach, gdzie coraz częściej spotykało się wycieczki z Kraju Rad, a ich uczestnicy, długie lata przyuczani do chodzenia wyłącznie w parach, z wolna odzyskiwali mowę i indywidualność.

Takie konfrontacje bywały zresztą niezwykle zabawne. Przypominam sobie rozmowę z grupą Rosjanek, w którymś z katowickich hoteli (za oknem brudne, zadymione miasto). „Podoba się wam w Polsce?” „Da”. „A co się podoba?” — Odpowiadały po chwili namysłu — „Że tak tu u was czysto.”

Dochodziło do wymiany opinii bardziej szczegółowych. Kiedyś, przez całą noc dyskutowałam z jakimś Wielkorusem na temat państwa dobrobytu. W końcu gotów był mi przyznać rację, że na Zachodzie zdarzają się ludzie zamożni, ale, twierdził — kosztem milionów nędzarzy. Rozmowanie opierało się na prostej kalkulacji, jeśli ktoś coś zyskuje, ktoś musi coś stracić.

Zresztą nasza własna wiedza ekonomiczna była ubożuchna a pomysł, że może kiedyś nastać w Polsce kapitalizm, uważaliśmy za koncept przekraczający ramy science fiction. Owszem może będą dozwolone jakieś elementy gospodarki mieszanej, ale prywatne huty, banki... To, że nawet koleje mogą być prywatne, dowiedziałem się (wstyd) w 1985 roku, podczas pierwszej wizyty u mojej siostry Sylwii, w Szwajcarii.

Przełomową w moim myśleniu o przyszłości okazała się wizyta, którą latem 1984 roku wspólnie z Andrzejem Zaorskim i Andrzejem Fedorowiczem złożyliśmy w pewnym bloku na Gdańskim osiedlu Zaspą. Wprowadzającym był Mietek Cholewa (autor piosenki „Janek Wiśniewski padł”), a

gospodarzem Lech Wałęsa, aktualnie — wedle definicji rzecznika rządu — „prywatny obywatel”. Ze spotkania zapamiętałem najlepiej długi wywód Wałęsy na temat wyższości gospodarki rynkowej nad socjalistyczną i jego głęboką wiarę, że wkrótce dojdzie u nas do normalności. Odebrałem te słowa z niemałym zaskoczeniem, dotąd uważałem Lecha w kwestiach ekonomicznych za populistę, a tu nagle taka dawka liberalizmu... Nie wstydzę się przyznać, że ze spotkania wyszliśmy zgoła innymi ludźmi, bardziej optymistycznymi, odważniejszymi. Śmiać się nam chciało, gdy zaraz na ulicy zwinięto nas do „nyski” i spisano dokumenty.

Jednorazowa dawka charyzmy nie wystarczyłaby rzecz jasna na długo, na szczęście również dla naszego kabaretu poczęły uchylać się szlabany graniczne.

W 1985 roku, dzięki emigracyjnej „Solidarności” dwukrotnie zaproszono nas do Szwecji. Przy okazji doszło do zabawnej wpadki konsulatu, który usiłował „podwiązać się” pod naszą trasę i wysłał na powitanie jakiegoś funkcjonariusza. Ten zamierzał powitać kwiatami Ewę Wiśniewską, ale słabo zorientowany, wręczył naręcze goździków wychodzącej z promu szykowej, szczecińskiej prostytutce. Ta oczywiście bukiet przyjęła i już nie chciała go oddać.

Cała ekspedycja szwedzka przebiegała w dość pionierskich warunkach, koczowaliśmy po ludziach; pamiętam nocleg u jakiegoś polskiego szewca w Malmoe, który udostępnił nam wielkie łoże małżeńskie — zmieścił się prawie cały zespół. Spałem pomiędzy Jurkiem Woyem, a kierownikiem Jankowskim, mając pod pachą Opanię, a Fedorowicza w nogach. Tylko Kryszak wołał dywanik obok łóżka...

W 1987 roku Wiesław Kańczuła z Hamburga zorganizował „Sześćdziesiątce” ogromną trasę przez cały RFN. Potem był Wiedeń, Berlin Zachodni, wreszcie z początkiem 1988 wspaniała trasa kanadyjska, w której towarzyszyła nam Kryisia Sienkiewicz. Szlak prowadził od Montrealu (gdzie doświadczyliśmy klimatycznego szoku, widząc i czując jak w ciągu paru godzin z plus 15 stopni może zrobić się minus 25), po zielony, pełen kwitnących kwiatów Vancouver... Po drodze było Toronto (najwyższa wieża telewizyjna plus wycieczka nad Niagarę) zaśnieżona Ottawa, małe polonijne skupisko w Thunder Bay nad brzegiem Jeziora Górnego, zwiedziliśmy tam skansen, faktorię Kampanii Zatoki Hudsona i wioskę indiańską, oraz Calgary, oczekujące na zaczynającą się za parę dni zimową olimpiadę. Chyba wszystkie wrażenia przebiły jednak odwiedziny w hipermarkecie — West Edmonton Mall, kolosie pod szkłem, z stylowymi uliczkami, sztucznym jeziorem i wewnętrznym lunaparkiem. Chodziliśmy z rozdziawionymi gębami niczym jakiś Ostrogot po Forum Romanum, czy inny barbarzyńca w ogrodzie, absolutnie przekonani, że niczego podobnego w bieżącym tysiącleciu w Polsce się nie doczekamy...

Podczas każdej z wymienionych tras spotykaliśmy młodą emigrację, naszą niedawną solidarnościową publiczność, żywiołowo reagującą na występach, a po spektaklach porywająca nas do restauracji, do domów, na wycieczki. W kontaktach z przybyszami zza żelaznej kurtyny młodzi emigranci najczęściej nadrabiali minami, demonstrując postawy ludzi sukcesu: „Powiodło się nam. Jest o key!”. Dopiero po którejsz butelce pękały pozy, opadały maski, samozadowolenie ustępowało miejsca nostalgii, wspomnieniom, opowieściom o nieistniejących już miejscach i dawno zapomnianych ludziach. I lały się łzy czyste, rześiste... Z tego ducha zrodził się wiersz, który na paru następnych wyjazdach mówiła Ewa Wiśniewska:

List matki

Dawno nie piszesz, więc pewnie dobrze...

Czy dotarł mój poprzedni list?

U nas normalnie, w radio „Kołobrzeg”,

a w telewizji nowy quiz.

Znałeś Biernacką, wczoraj zmarła,

podobno lekko, bo przez sen.

A pan Szymański, już nie ma fiata,

nie ma niczego, powiesił się.

Synku, pamiętasz te cztery lipy?

Wszystkie wycięli — stanie blok.

„Bar pod Gołąbkim” dechą zabity,

lecz w pawilonie zwykły tłok.

Ojciec w szpitalu, bardzo się zmienił,

prawie nie mówi, strasznie schudł.

Ciągle pasjanse stawia na ziemi,

bo sąsiad z sali zajął stół.

Tam w Kalifornii pewnie masz słońce,

palmy, banany — widziałam film.

U nas wyrwali znowu drzwi w sionce,

lecz będzie kilka prywatnych firm.

Rentę podnieśli, nawet mi starcza,

*tylko czasami, tak pusto mi,
Reksio już stary, prawie nie warczy,
a Basia rzadko napisze list...
Synku kochany, najdroższy Bolku,
wiem nie masz czasu, bo pracy huk...
Czy dzieci jeszcze mówią po polsku,
a może kiedyś przyjadą tu?
Napisz choć kartkę, jak tę z Miami
ależ to inny, wspaniały świat.
Niedługo minie, synku kochany,
od twej podróży osiem lat.
Kończę, w pokoju bardzo się ściemnia,
i w długopisie wkład kończy się.
Trzymaj się zdrowo, niczym się nie martw.
Twa matka Polka.
Przez małe p.*

(Dziś, gdy mój syn od sześciu lat przebywa w Stanach, mamy na bieżąco kontakt telefoniczny, mailowy, wygląda to zupełnie inaczej, chociaż...)

Nasze występy zagraniczne nie polegały wyłącznie na dosmucaniu. Konstruując program starałem się wywazać proporcje między jego ludycznością a refleksją. Przed kolejnym wyjazdem za Wielką Wodę napisałem żartobliwy tekst:

Kto odkrył Amerykę?

Wersja po późniejszych poprawkach i modyfikacjach, m.in. po „aferze rozporkowej” Clintona).

Pomówimy sobie dziś o okryciach... odkryciach. A czego? Ameryki! Jak każdy jeden z drugim słyszał, nie ten Amerykę odkrył co ja nazwał. Tylko nikt nie wie, kto to był. A ja wiem, Nowy Świat, a także Krakowskie Przedmieście odkrył słynny uczony Alieksandr Mierkułowicz Ryków w skrócie AMieRykw. Był to niepiśmienny chłop spod Tuły, stąd druga nazwa Wieczny Tułacz. I miało to miejsce pięćset lat przed naszą erą, czyli przed Rewelacją Październikową. Niestety wskutek imperialistycznych knowań odkrycie Amierykowa poszło w zapomnienie, sam Amierykw też o nim zapomniał. W skład ekspedycji wchodził też cały szereg naukowców z innych krajów, przeważnie słusznych, a także zaprzyjaźnionych, jak Polski, Mongolii, Czechosłowacji a zwłaszcza NRD.

Dowodów na prawdziwość tej tezy dostarcza nazewnictwo — Kuba od Kubania, Jamajka od Majki, żony Amierykowa, Trynidad gdzie złapał trynia, czy Golf–sztorm od wełnianego golfa co mu sztorm przez łeb zerwał.

Znalazłszy się już na kontynencie odkrywca co rusz popadał w emocjonalnie różne stany. A było ich około pięćdziesięciu. Pewnego dnia wysadził na brzeg wszystkich Żydów z załogi. I tak powstał stan Pej–sylvania. No to grupa aryjczyków, pod wodzą malarza Goyi osiadła w innej strefie, po amerykańsku zonie i tak powstał stan Ari–zona. Z kolej okolice ujścia Mississipi upamiętnia grzeszna miłość majtka Jana z cyrulikiem Luisem. — „Od rana Luis–Jana!” Przy okazji z Matką Rzek łączy się zabawna anegdotka. Otóż pewnego dnia chłopiec okrętowy począł się dopytywać o toaletę. „Mi się chce pipi” powtarzał. Ale dzięki złej dykcji i wybitym przednim zębom wychodziło MISI–SIPI. Na to majtkowie odpowiadali żeby się nie krępował i tak jak oni „My siury!”.

Innego dnia odkrywców okropnie suszyło pragnienie. Tubyłcy jednak musieli źle zrozumieć ich błagania i dali im wody. Tu kronikarz zanotował słynną odpowiedź Amierykowa — „Ne wada, Nevada!” ... Na to jeden Mongoł nauczył ich rzucania lassem — nauka sprowadzała się do prostej formuły „Arkan zaś, Arkan zaś”. Jeszcze wiele wieków później badacze zastanawiali się, skąd Indianie wzięli obyczaj malowania się na czerwono. Jeden nawet będąc wśród Siksów... Siuksów, posunął się do uwagi: „Wyście chyba zwariowali, macie kota?!” — „Da kota!” — odpowiedzieli w znanym narzeczu Indianie.

Posuwając się po terytoriach dzisiejszej Kanady, Amierykw wszedł w kontakt z piękną indiańską squaw. Na pytania, co mógł z nią zrobić? Nasuwa się odpowiedź „On tarł ją.”

Inny wynalazku dokonał cieśla nazwiskiem Lewiński. Była to miłość francuska z niedźwiedziem. Grizzly! Ale bardzo lekko. Podobno bestia tak zasmakowała w tym procederze, że kiedy cieśla uciekał od niej wpław przez cieśninę Berlinga wołała za nim — „A laska, a laska!”

Z kronikarskiego obowiązku wymieńmy jeszcze — Yumę, gdzie powstał pierwszy łagier dla Jumorystów, Kalafonię, gdzie usmarował się cały kwartet skrzypcowy, przygrywający

wyprawie i port Boston. Bo stąd do domu najbliżej.

Najlepszym jednak dowodem, że pierwsi byli tam Słowianie jest fakt, że stolica USA została nazwana na część warszawskiego ronda Waszyngtona. Zaś sam Amerykanin po wyprawie, jako że put' była dalio-kaja zmienił nazwisko na Putin. I potem już w jego rodzinie pojawiał się co raz Putin... Good bye, towarzysze.

Tekst początkowo napisany dla Andrzeja Fedorowicza, wszedł na stałe do repertuaru Mariana Opani. Musiałem jedynie zmienić nazwisko bohatera. Początkowo odkrywca „innej ziemi” nazywał się Inno-ziemcow. Ale dzisiejszy widz nie słyszał nawet o kroplach Inoziemcowa. I ta kropla przelała kielich domagając się zmiany.

Zagraniczne wyjazdy te z kabaretem i te prywatne, (od połowy lat osiem dziesiątych prawie co roku wyjeżdżaliśmy z żoną, później również z Mateuszem na coraz dalsze wycieczki, obowiązkowo odwiedzając moją siostrę Sylwię Zytyńską w Szwajcarii), poszerzały moją praktyczną wiedzę o świecie. Dostarczały też realiów do moich powieści. Równocześnie pozwalały mi odrywać się od jałowej egzystencji kabaretowego gadacza. Niestety po każdym powrocie schyłkowy PRL wydawał się brudniejszy, paskudniejszy, bardziej zapyziały... W chacie należącej do pani Margarety, ówczesnej teściowej Sylwii pod Sionem w kantonie Wallis pisałem znaczną część powieści „Bogowie jak ludzie”. Inne ówczesne podróże stanowiły asumpt dla powstania „Piątego odcienia zieleni” czy „Powrotu do Antybaśni”. Było to o tyle istotne, iż poczynając od wspomnianego już „Agenta Dołu” moje powieści przestały być adaptacjami radiowych słuchowisk, lecz prozą pisaną z myślą o druku.

Z biegiem czasu nauczyłem się pracować w hotelach. Stukając przedpołudniami na maszynie miałem nadzieję, że ratuję, chociaż część coraz szybciej umykającego czasu przez roztrwonieniem. I tylko lustro przypominało mi, o galopadzie miesięcy i lat. A propos lustra — w trakcie trwających fluktuacji coraz bardziej rozchałturzonej „Sześćdziesiątki” napisałem dla Joachima Lamzy, a może Marka Siudyma, albo Witka Dębickiego, następujący monolog:

Mordrała

Pewnego dnia, piłem właśnie płyn po goleniu, kiedy coś mnie podkusiło i popatrzyłem w lustro. Dawniej patrzyłem na nie w ramach porannej toalety, ale ostatnio toaleta się zapchała, a ramy ukradli, wie nie przesadzam z tym oglądaniem. Teraz jednak spojrzełem i odbiło mi. Ale co? Coś zupełnie do mnie nie podobnego. Mordo — powiedziałem do odbicia — „Mojaś ty czy nie moja”? A morda — „Sama pana chciałam o to zapytać”...

Zacząłem się zastanawiać. Właściwie zawsze byłem mimikry. Odziedziczyłem to po babci, która tak świetnie kamuflowała się w lesie, że nawet starzy partyzanci nie potrafili odróżnić jej

od ziemianki. Przez to, co rusz wpadali. Inna sprawa, że po wojnie babcię jako ziemiankę rozparcelowali i oddali małorolnym.

Tymczasem umiejętność kamuflażu przerzuciła się na dziadka, który został stroicielem. Min. Potrafił robić takie miny, że aż krzywe lustra pękały, ale kiedy pokazał naszym sąsiadom język, w odpowiedzi usłyszał, że „min niet”, szczeka mu opadła, razem ze sztucznymi zębami, które skonfiskowano na skarb państwa. Taki był mój rodowód — matka pozostała nieznana, ojciec zaś po spełnieniu internacjonalistycznego obowiązku wrócił do swoich. W domu dziecka, imienia Laurentego Berii, kiedy przydzielano urzędowe nazwiska, wychowawca skubiąc sobie wąsy, a mnie uszy zaproponował — „Ty Leon nazywać się będziesz Kamei”. I tak już zostało — Kamei Leon. Bardzo często zorientowałem się, że barwienie się jest moją drugą naturą — bez trudu zieleniałem się na Święto Ludowe, czerwieniłem Pierwszego Maja i pokrywałem powłoką czekoladową 22 lipca. Potrafiłem też zdobić się paskami — podczas służby w marynarce wszerek, a w więziennictwie wzdłuż. Nie dość na tym. Już jako dziecko zorientowałem się, że nie wolno mi chodzić do ZOO, bo stając przed klatkami mimowolnie upodabiałem się a to do małpy, a to do papugi, a przed wybiegiem słoni koleżanki łąpały mnie na trąbę. Później, wraz z pojawieniem się telewizji, bez trudu zmieniałem się w żywe kopie idoli szklanego ekranu. Ileż to razy straszylem mieszkańców naszego bloku twarzą kapitana Klossa, spikerki Loski, czy czterech pancernych i psa. Gdzieś z początkiem lat siedemdziesiątych puścił mi się górnośląski język i przyrosły złociste okularki. Z czasem jednak, miałem dość tych gier — język się wysiepał, a okularki zmatowiały. Macie pojęcie, ile mogłem załatwić dysponując takimi twarzami? Gorzej, że Edek nie był już aktualny kwartał, a nie chciał zleźć mi z twarzy nawet przy pomocy pumeksu. Po 13 grudnia musiałem zejść do podziemia — sumiasty wąs bez przerwy mi odrastał, a Matka Boska przyrosła do serca i święciła nawet przez potrójną warstwę odzieży ochronnej. Ale teraz? Co porobiło mi się teraz? — Co to za ryj? — zastanawiałem się przypominając sobie znajomych artystów i rzeczników. Daremnie. Niewolnica Isaura? Rak z ciernistym krzewem? Nie! Może Redaktor Tumanowicz? Za inteligentny. Może Gargamel? — Zbyt zielony.

Potem spróbowałem przeglądać się w paru lustrach równocześnie. Raz nawet zdarzyło się, że wyglądałem jak japońska fotografia, patrząc od lewa — Miodowicz od prawej Wałęsa. I naraz przyszła mi myśl. A może to ja? Ja sam, osobiście, w całej okazałości? Korzystając ze swobody ujawniłem prawdziwą twarz. Tylko, do cholery, po 40 latach kamuflażu ja sam już nie wiem, jak ta moja twarz miałaby wyglądać.

Pozostaje świecenie mordą i udawanie, że jest to światełko w tunelu.

Dla jakiejś innej przelotnej gwiazdki, która w tym czasie błysnęła na firmamencie naszego kabareczku popełniłem piosenkę dość znamienna dla facetów koło czterdziestki (z muzyką Władysława Igora Kowalskiego)

Kiedy wy wreszcie dorośnięcie

*Marzenia, chłopców to ostoja,
Matecznik pragnień, czarny rynek...
Tam „Veto” format ma „Playboya”
Pełnego seksu i blondynek.
Marzenia chłopców o potędze,
Wspaniałych autach, dobrych wódkach,
Gdzie drań ponosi zawsze klęskę,
A miłość mocna jest i krótka.
Kiedy wreszcie dorośniecie,
Aby rozróżniać maj czy grudzień,
Kiedy wy wreszcie wyrośniecie,
Z tych trampek, dżinsów, szortów, złudzeń?
Kiedy wy wreszcie zobaczycie,
W świetle realiów i ustaleń,
Że nie jest poematem życie,
Lecz książką życzeń i zażaleń?
Istnieję tylko ja, ta chwila,
Co was zabawia, świat umila.
Daje zapomnieć jak po secie...
Łapcie mnie łapcie, nie złapiecie!
W snach waszych śpiewa Marylin Monroe,
Lub aerobik ćwiczy Fonda,
Ucieka drań z rozbitą mordą*

Od twego ciosu — prawie Bonda.

Na jawie ciszej, szarzej, gorzej,

Codzienny kac, biurowa marność,

A z wielkich cnót została może

Odwieczna męska solidarność.

Kiedy wy wreszcie dorośnięcie

Tak, by się zgadzał słuszny schemat,

Kiedy wy wreszcie spasujecie,

Przyznając, że atutów nie ma?

Kiedy się wreszcie pogodzicie

Z tekstem „panowie, żadnych złudzeń”?

Kiedy wy wreszcie dołączycie...?

Nigdy?... — Iza to ja was lubię.

Ciągle istnieje ja — nadzieja,

Choć może nawet to już nie ja,

Lecz sen, co wciąż się śni na nowo

Chłopakom z oszronioną głową...

*

Ani się obejrzałem, jak minęło osiem lat pozaradiowej tułaczki. Nagle moje dzieci osobliwie wyrosły, Mateusz coraz lepiej grał na skrzypcach, Julia, co do dnia rówieśnica naszego kabaretu, stawiała pierwsze kroki w „Radiowych Nutkach”, zespole prowadzonym przez Krysię Kwiatkowską. Zakończyliśmy (właściwie to Jola zakończyła) podstawową fazę budowy domu. Późniejsze przeróbki — oranżeria, fronton z wieżyczkami, obowiązkowo konsultowane z architektem — Andrzejem Pawlikiem, miały zostać dokonane w zupełnie innej rzeczywistości. Również finansowej.

Uwieńczeniem tego etapu były wielkie przenosiny mojej całkiem okazałej biblioteki ze starego do nowego domu. Pamiętam wiosenne dni 1986, a może 1987 roku i owo mrówcze dreptanie między przyszłością a przeszłością. Dzięki Bogu przesunąłem się zaledwie o 20 metrów. Jak dotąd było to największe przesunięcie w moim życiu. W przenosinach i katalogizacji zbiorów dzielnie pomagała mi nastoletnia wychowanka moich „starych”, wypatrzona przez mego ojczyma Stanisława Żytyńskiego, w Kamionce Małej, gdzie, jak głosi rodzinna saga, idąc za gęsiami czytała książki i recytowała własne wiersze. Po śmierci Staszka Dorotka zapewniała towarzystwo mojej mamie, a przy okazji mogła uczęszczać do szkoły w Aninie. Dużo później pomagałem jej przygotowywać się do egzaminu na Studia Dziennikarskie. Dziwnie toczy się życie, dziś gęsiareczka–poetka Dorota Zelek–Gawryluk jest gwiazdą Polsatu, egzaminującą luminarzy w „Politycznym grafitti”... Na progu wolności odeszło kilku ludzi, którzy w moim życiu odegrali ważną rolę — Staszek, towarzyszący mi od trzynastego roku życia, (kiedy poprosił mnie o rękę mojej mamy) poprawiający moje wierszowane pierwocyny i namiętnie recytujący poezję. To on umożliwił mi pierwsze literackie kontakty, na co dzień był doskonałym partnerem w namiętnych sporach. Pamiętam we wczesnych latach sześćdziesiątych zadał mi pytanie, które brzmi mi w uszach do dziś: „Kto jest najwybitniejszym polskim poetą, prozaikiem, filozofem?”. Przekonany o swej erudycji odpowiedział błyskawicznie: „Poeta to, rzecz jasna, Broniewski, prozaik — Iwaszkiewicz, a filozof — Tadeusz Kotarbiński.” „To jest odpowiedź na czwórkę — odparł Staszek — ja bym odpowiedział inaczej, choć być może te nazwiska nic ci nie powiedzą: poeta — Czesław Miłosz, prozaik — Witold Gombrowicz, a filozof... jest taki biskup w Krakowie, poznaliśmy się kiedyś w teatrze studenckim — nazywa się Karol Wojtyła”.

Staszek od przed wojny był człowiekiem lewicy — „Bratniak”, ZNMS, walki przeciwko gettu ławkowemu, znajomość z Cyrankiewiczem, po wojnie przez krótki czas służył jako politruk, podpadałby pewnie pod kategorie „utrwalaczy władzy ludowej”. Jednak bardzo szybko (po małżeństwie z eks–żoną emigracyjnego ministra) trafił na bocznym tor, przez Teatr Polskim, ZAIKS, do Archiwum Dokumentacji Mechanicznej. Od czasu związku z moją mamą najchętniej zajmował się ogrodem i gospodarstwem kupionym w Beskidzie Sądeckim.

Przytaczam te fakty głównie, aby móc opowiedzieć scenę, która mną wstrząsnęła do głębi. W połowie lat osiemdziesiątych przyjechała do nas z RFN–u przyszywana ciocia. Przy obiedzie zaczęła z niezwykłą pewnością siebie perorować na temat polskich spraw; przyganiać konspiracji, chwalić Jaruzela i krytykować nasze zaściankowe podejście do świata. I Staszek nie wytrzymał. Zaczął krzyczeć. W niezwykłym ni to monologu, ni spowiedzi powszechniej dokonał przeglądu całego swego życia, przyznał do pomyłki, jaką było opowiedzenie się za komuną, do głupoty wyrażającej się w próbach usprawiedliwiania jej kłamstw i zbrodni prawidłowościami dziejowymi. — „Solidarność” — wołał — otworzyła mi oczy. Była czymś najwspanialszym co przydarzyło się naszemu narodowi. Dzięki niej zrozumiałem jak błądziłem, jak sam się oszukiwałem. To czemu służyłem nie było nic warte... I rozplakał się.

Rok później umarł. Nie wierzył w Boga, ale modląc się za jego duszę myślę, że jeśli wyznanie win i żal doskonały jest warunkiem zbawienia, on ten warunek spełnił..

Na samym progu wolności odeszli również: Tadzio Włodarski („Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy”), niezapomniany narrator moich trójkowych słuchowisk. I Jacek Zwoźniak, autor pięknych piosenek

emitowanych w „60 minutach na godzinę” — „Córka poety”, „Szoruj babciu do kolejki”, „Ragatzza da prowincja” czy hitu z „Zakazanych piosenek” w hali Olivii — „Najpiękniejsza w klasie robotniczej jest Solidarność”, gdzie zwyciężył z Kaczmarem. Zginął w swoim maluchu wracając z koncertów. Parę dni wcześniej widzieliśmy się we Wrocławiu, gdzie od lat bywał wesołym kompanem, podczas moich występów na Dolnym Śląsku. Tym razem był dziwnie wyciszony, nie chciał wypić przywiezionego przeze mnie wina, mówiliśmy o jakiś nietypowo poważnych sprawach i o szansach „naszych” w wyborach czerwcowych. Na jego pogrzeb wybrałem się wprost z amfiteatru w trakcie festiwalu opolskiego. Nieprzypadkowy termin dla rozstania z poetą gitary?...

W trakcie stanu wojenno-powojennego pożegnałem też dwóch wybitnych kolegów z „Ilustrowanego Tygodnika Rozrywkowego” — Jonasza Koftę i Adama Kreczmara. Porównując obu przedwcześnie zmarłych artystów — dochodzę do wniosku, że istnieje jakaś niesprawiedliwość przy przechodzeniu do mitologii. Dwadzieścia lat po swej śmierci Jonasz jest żywą legendą, a Adam postacią prawie zapomnianą. A przecież talenty mieli porównywalne, obaj doskonali poeci, utalentowani plastycy, autorzy pięknych przebojów, z tym że Adam po pierwszych opolskich sukcesach („Jak cię miły zatrzymać”, „Daj mi to miejsce na dłoni”), zmagający się z wieloletnią chorobą, która w końcu go zabiła, szybko poniechał produkowania szlagierów. Jednak jako prozaik, autor radiowych wodewili, dramaturg (pamiętam doskonale premierę „Hyde Parku” w Ateneum, z młodym Sewerynem, Kociniakami — Janem i Marianem...) wygrywał z Koftą o pierś (którejsz z licznych wielbicielk!). Aliści Jonasz w odróżnieniu od Adama pracował nad swoją legendą, lubił jako poetycki guru perorować wśród młodych, zabiegał o image artysty — cygana, f la Hłasko czy Stachura. Pamiętam jak kiedyś w „Spatifie” (tym samym Klubie Aktora, w którym wiele lat później śmiertelnie zadławi się płatem szynki) radził mi, abym posmakował rynsztoka, bo tylko ze studni mogę ujrzeć gwiazdy, a dopiero zezwierzęcając się, przynajmniej na chwilę, docenić w pełni potęgę człowieczeństwa. A może ANANKE, bogini losu, ma przewrotne poczucie humoru i lubi zaskakiwać pointami? Adam umierał od zawsze, Jonasz zdawał się człowiekiem, który nie umrze nigdy. Nawet budząca groźbę choroba musiała skapitulować przed jego żywotnością. Dlaczego więc nie ma go między nami? Podpadł bogini?

Koledze

*Czarnych mew wciąż więcej w naszych snach,
rajskie ptaki odleciały do Itaki,
świat się kurczy, spłaszcza niebo wznosi piach
w chudym lasku polskich brzózek byle jakich...
Wciąż nas mniej w klepsydrze pokolenia
przeptywamy poprzez palce, poprzez słowa,*

*znowu więcej w naszym życiu pogodzenia,
i znów więcej w naszych strofach rozczarowań.
Szybkie pieśni bez refrenów odśpiewali
i rozlali kryształ wierszy w brudne szkło,
przyjechali, przebywali, odjechali,
nawet echo nie pamięta, o co szło?
I do boju nie zagrały wielkie surmy,
choć czasami zabłysnęła jakaś iskra,
rzuciliśmy coś na szaniec, coś do urny —
Mecz z epoką rozegrany na pół gwizdka.
Zła pogoda dla Rimbauda po czterdziestce,
anioł stróż też trafił w passę złą...
Pozostały nieskończone, białe wiersze
i nadziei zapalonej święty lont.
Tak Jonaszu, w Akademii nie będziemy,
może lepiej, wawrzyn cięży niestychanie
Niech ci zawsze lekki będzie cień bohemy,
śmierć przeminie, a poezja pozostanie.*

Rok 1989

Zabawne, ale nadzieja pojawiła się w momencie, kiedy zdawało się nie ma żadnej nadziei. W roku 1988 stan społecznych nastrojów można by porównać do sparciałej piłki, z której zeszło całe powietrze. Chmurne niebo PRL-owskiej codzienności wyglądało zasnute na zawsze, nadzieje, jakie rozbudził Gorbaczow zdawały się nie robić żadnego wrażenia na generał — prominentach i ich rzeczniku. Trwał permanentny kryzys wszystkiego, kartki spowszedniały i wielu pogodziło się z myślą, że jest to pomysł ekonomiczny, mający obowiązywać po wsze czasy. Owszem, fala wiosennych strajków spowodowała, że coś zatliło się w naszych sercach jednak zaraz zgasło, przygaszone nie tyle propagandowa ulewą, co jakimś lepkiem smogiem niemocy. Nic dziwnego, że kto mógł uciekał w prywatność, albo jeszcze dalej. Sierpień tego roku spędzałem w Hiszpanii. Na wycieczce autokarowej. Za dnia zwiedzając kościoły i alkazary, nocami zaś śpiąc w namiocie, lub dosłownie pod gołym niebem — (wszystkie noce na południe od Toledo) i wraz z kierowcą słuchając radia, które jakimś cudem łąpało nie tylko BBC po polsku, ale również Program I. Byliśmy zresztą jedynymi uczestnikami wycieczki, których obchodziły doniesienia z kraju, o kolejnej fali strajkowej. Nie obiecywałem sobie po niej wiele, póki nie usłyszałem o możliwym spotkaniu Kiszczaka z Wałęsa. Pamiętam jak dziś, noc była widna, w dole skrzyło się morze, w oddali czerniała skała Gibraltaru... I poczułem dojmujący dreszcz, jak owego październikowego wieczora, gdy biały dym wznosił się nad Placem Świętego Piotra. Jak w sierpniu 1980, kiedy stanęła stocznia... „Lody ruszyły, panowie przysięgli” — powiedziałaby nieśmiertelny Ostap Bender z powieści Ufa i Piętrowa.

A potem nadeszła ta dziwna jesień, dreptana walczykiem — dwa kroczki w przód, kroczek w tył. Konstrukcja Okrągłego Stołu i jego chwilowy demontaż, znokautowany Miodowicz w telewizyjny starciu z Wałęsa, przepychania w gremiach partyjnych... Gazety coraz szybciej pozbywały się poluzowanych knebli — w tym czasie podjąłem współpracę z „Ładem”, gdzie znalazłem wspólny język z naczelnym Januszem Skawrą i jego zastępcą Maciejem Łętowskim. Moje tamtejsze okienko nosiło tytuł „Wkład w Ład”, natomiast na łamach „Tygodnika Demokratycznego” wstawiłem mój własny „**Okrągły stolek.**”

We wprowadzającym tekście „COME BACK” pisałem:

Nadchodzi czas wykwintnych, kolistych mebli. Pewne pani zamówiła sobie nawet owalne łóżko, aby to, co robiła od czasu do czasu, uprawiać na okrągło. Za to w duchu porozumienia. Prasuje się nawet odnośny obrus z zastrzeżeniem, że „Nie będzie to postaw sukna” W zaistniałej sytuacji i ja rozejrzałem się z okrągłym stołkiem, na którym, nie odrywając siedzenie, można grać równocześnie na paru instrumentach, zachowywać wielostronność spojrzenia, ustawiać się zbieżnie z kierunkiem do wiatru, lub kręcić zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Historii...

W następnych tygodniach usiłowałem układać na nim pasjans polski.

(...) Przyglądam się kartom. Pocziwa stara talia. Tak zgrana, że wałka od króla nie odróżnisz, a figura określająca się mianem as ledwie dycha. A przecież nawet zeszmaczone blotki, uważają, że po kolejnym przetasowaniu, będą jak nowe. Talii wymienić nie wolno, a użycie nowej? — Wiadomo, ryzyko. Jak zaczną się ślizgać na stołku mogą powypadać z gry. Chyba żeby większość zostawić a wymienić jedynie te najbardziej zeszlajane. Jedno na pewno nie ulega wątpliwości — nie wolno ruszyć tego, który ten pasjans wyklada. Chyba że się sam wyłoży.

Swój stan tamtej jesieni nazywałem „optypesymizmem”. Wiedziałem, że idzie nowe. Ale czy wyobrażałem sobie, co naprawdę przyniesie? Może pozwolą na wznowienie „Solidarności”, (oczywiście w ograniczonym zakresie, pod kontrolą, z zapisaną w statucie przewodnią rolą PZPR). A może z czasem uda się zapewnić Polsce status Finlandii, z elementami gospodarki rynkowej? Pamiętam wspólne spacerunki ze Stefanem Bratkowskim i jego rozważania z gatunku, jak mi się wówczas wydawało science fiction — Czy komuniści, w zamian za zagwarantowanie nomenklaturze niezagrożonej pozycji ekonomicznej zgodzą się podzielić władzę? Albo spotkanie z Adamem Michnikiem, bezpośrednio po powołaniu Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Adam rzucił mi się na szyję i poinformował o najważniejszym, jego zdaniem wydarzeniu dnia — Wypił brudzia z księdzem Orszulikiem (ówczesnym rzecznikiem Episkopatu)! Nie pomyślałem wówczas, dokąd go to kolekcjonowanie bruderszaftów zaprowadzi.

Wpatrując się w unoszący nad Ojczyzną wielki stół, czekamy, zastanawiając się, kto okaże się szybszy — biesiadnicy, czy odziedziczony po poprzednich drwałach kornik, który na przekór oczekiwaniom drąży drewno pod politurą...

Fantazja podsuwała różne wersje przyszłości — również zgryźliwą.

W sklepach dla piśmiennych będzie wreszcie papier toaletowy. Wyłącznie.

Za następne 10 lat doczekamy się kolejnego ćwierć Metra. Grupa egzorcystów weźmie się za ducha złocistego wieżowca na placu Dzierżyńskiego. Każdy będzie miał paszport, ale ambasadory zamkną dla nas swoje oddziały wizowe. Po wywabieniu ostatnich białych plam zainteresowanie historią spadnie do zera. Orzeł dostanie koronę i dwa berła. Na dziewiątym etapie reformy pod społeczną konsultację podda się projekt ponownej nacjonalizacji przemysłu i handlu. Zapanuje bez reszty obca waluta, a złotówka stanie się poszukiwanym numizmatem. W wyborach do samorządu lokalnego nie weźmie udziału 99% obywateli...

Czytając to po latach na przemian ogarnia mnie śmiech, trwoga i jakaś nostalgia, że zaprzepaściłem karierę, nie chcąc kandydować na p.o. proroka. Aliści zestawiając w noworocznym numerze „Tygodnika” wróżby na następny rok, 1989, zachowywałem daleko posuniętą ostrożność. Bo jak wróżyć z fusów, gdy nie wiadomo nawet, o ile zdrożeje kawa? — Prognozowałem, że czeka nas mnóstwo zaskoczeń, sporo strachu i duża zmiana. I że wkraczając w następny 1990 rok będziemy bogatsi. W doświadczenia. Śmieiej pofantazjowałem sobie pisząc krótką „Antybaśń” dla „Ładu”.

Za pięć dwunasta

Kiedy wiadomości o wzięciu Bastylia i dalszych pożałowania godnych incydentach, ukoronowanych (cóż za niewłaściwe słowo!) dekapitację Ludwika XVI, dotarły przez dziurę czasową do trapezoidalnego królestwa Amirandy dwór Remigiusza IV grzał się właśnie w ostatnich promieniach zachodzącego feudalizmu. Sam Remi, Regent formatu, powiedzmy — najwyżej A4, nie był idiotą. Miał opinię władcy średnio przyzwoitego, umiarkowanie autokratycznego, o pewnej szczypcie chłopskiego rozumu, którą zawdzięczał arkadyjskim igraszkom swej nieboszczki matki z pewnym nieznanym grenadierem. Z tego prawdopodobnie powodu, mimo że Amiranda leżała w innym wymiarze, rządziła się zgoła odmiennymi prawami i chronologicznie znajdowała się ponad pół wieku w tyle za naszym światem — jej władca nie zadowolili się formułą „Po nas choćby potop”, lecz postanowił uprzędzić nieuchronny bieg zdarzeń.

Po pierwsze nakazał rozebrać Więzienie Stanu w Czarnej Twierdzy, przenosząc jego pensjonariuszy w nieznane miejscu, tak żeby nie było czego zdobywać, a tym bardziej burzyć. Dalej nakazał zabudować place tak, aby w całym Regentsburgu nie było miejsca, na którym mogłoby się nielegalnie zgromadzić ponad tysiąc obywateli równocześnie. Później rozesłał umyślnych, aby wśród prowincjonalnych niewyżytych adwokatów, lekarzy z żurnalistycznym pazurem, czy ambitnych oficerów artylerii wyszukali potencjalnych przywódców na miarę Robespiera, Marata czy Bonapartego, po czym zatrudnił ich w agendach rządowych z pensjami skłaniającymi do konformizmu. Wydał też edykt przeciw zbytkowi — sam zaczął jadać z drewnianej misy (przynajmniej wtedy go odwiedzali dziennikarze) ograniczył sprzedaż alkoholu i powołał kilka opozycyjnych periodyków, których redaktorów sam sownie opłacał wierząc w ich wdzięczność, takt i autocenzurę. A potem zwołał na naradę kilku naukowców i praktyków życia ekonomicznego i zadał im fundamentalne pytanie — Czy jest możliwe bezkonfliktowe przejście od feudalizmu do kapitalizmu — bez nerwów, stresów a nade wszystko rewolucji?

— Praktyka powiada, że nie — stwierdził satrapa Nordlandii i uderzył się energicznie po krótkim mieczyku dyndającym u boku.

— Ale praktyka tego nie wyklucza — skontrował profesor Inwigilacji z Akademii Pretoriańskiej.

— Obawiam się, że nieuniknione byłyby zmiany personalne — zauważył Naczelnny Herold odpowiadający za propagandę.

— No i niektóre symbole wypadałoby zmienić, naszemu herbowemu centaurowi ująć koła zębate i otaczające go snopy zboża, a dać koronę — uzupełnił rektor Akademii Sztuk Pięknych.

— Gdyby zawczasu przygotować ekipę — fantazjował profesor Inwigilacji — wybrać trochę młodszych synów książęcych i wybijających się przedstawicieli Stanu Trzeciego, troszkę ich porepresjonować celem wyrobienia popularności a następnie umożliwić im zamach stanu, do którego Wasza Wysokość by się przyłączył...

— Wolnego! — zaproponował Nordlanczyk — Po pierwsze czy moglibyśmy być pewni lojalności nowej ekipy wobec nas i naszych interesów, a po drugie...

— Samo po pierwsze wystarcza, aby odrzucić pomysł — zgodził się Remigiusz.

Teraz o głos poprosił Herold:

— Jak wiecie mam wykształcenie ekonomiczne... — zaczął, ale huczny śmiech mu przerwał, bo wszyscy przypomnieli sobie jak ostatnio Herold nie mógł sobie przypomnieć, co dostał w prezencie od Rady Stanu na 45 urodziny — doktorat czy habilitację? — ... mam wykształcenie ekonomiczne — ciągnął niezrażony — gdyż jako dziecię pracowałem roznosząc gazety, a później parłem się handlem obwoźnym i przysięgam, nigdy nie dokładałem do interesu... O co więc nam chodzi? O rozwój. Aliści ja, który sam wyprodukowałem w ciągu ostatniej dekady parę milionów słów twierdzą: najważniejsza jest ekonomia. I nie jest to jak niektórzy z czcigodnych mogą sądzić żoną ekonoma. Czegóż bowiem chce Stan Trzeci — władzy. A co ma? — pieniądze w pończochach i liczebną przewagę. Natomiast stara elita — nie dysponuje ani jednym ani drugim.

— Jaka więc rada? — spytał Regent.

— Prosta, zamiast walczyć ze stanem Trzecim, zostańmy nim. Wyobraźcie sobie panowie. Każdy feudal czy dostojnik dworski bierze do spółki jednego kapitalistę. Nie jest to przyjemne, ale konieczne. Dzięki temu będziemy mieli kontrolowaną ewolucję, zamiast niekontrolowanej rewolucji. Szlachta się skapitalizuje, kapitaliści wyszlachetniają. Dziś my mamy przywileje, oni pieniądze. Nasze wspólne dzieci będą miały jedno i drugie. A przecież, w końcu, o to chodzi.

— A monarchia? — zapytał nieśmiało Remigiusz IV.

— Będzie kwitła w najlepsze, przecież każdy burżuja to snob. A cóż może być bardziej snobistycznego niż dwór. Monarchia zostanie otoczona taką czcią, o jakiej nie mogła marzyć... Jest tylko jeden problem... Czas. Trzeba doprowadzić do przełomu szybko, wręcz natychmiast, zanim będzie za późno. Póki śpi lud i nie wie o naszej słabości...

Wszyscy zgodzili się z projektem Herolda — powołano wyspecjalizowaną komisję Tajnej Rady, celem zaopiniowania, następnie projekt miał trafić do Senatu, po dwóch latach ponownie

do Tajnej Rady, później wypowiedziałyby się na jego temat Rady Miejskie i Akademie. Wreszcie poprawiony dokument powinien dotrzeć do kancelarii regenckiej i znając tamtejsze obyczaje, z pewnością wróci do Senatu.

— Panowie, zamykam obrady z przeświadczeniem, że zainaugurowaliśmy epokowe dzieło — powiedział w podsumowaniu Remigiusz — Rozsądnie acz nie pochopnie.

Rozległy się oklaski i tylko nie wiedzieć czemu profesor Inwigilacji wpatrywał się uporczywie w tarczę olbrzymiego zegara. Była za pięć dwunasta.

*

Ciekawe, ale dość często brakuje dokumentacji dla chwil przełomowych.

Zwłaszcza tych pozytywnych. Klęski mają bibliografie bogatszą. Dość dawno zauważyłem w moich prywatnych zapiskach, że nader chętnie rozwodzę się na temat niepowodzeń, straconych złudzeń, nieszczęść i kataklizmów. Chwil radosnych nie komentuję prawie nigdy, czasem utrwala je jakiś wykrzyknik w kalendarzu, słówko „Świetnie!” czy entuzjastyczny tytuł felietonu — „Stoły ruszyły!”. Zapewne w oczach potomnych, jeśli dorwą się do mych notatek powstanie dzięki nim obraz ponuraka, zgryźliwca, któremu nigdy nic się nie udało. A to przecież nieprawda. Zwłaszcza owej, fantastycznej wiosny czułem się naprawdę świetnie, jak nigdy w życiu i miałem powody do entuzjazmu. Dlaczego jednak przeglądając gruby skoroszyt z tekstami nie natrafiam na precyzyjny zapis nastrojów, nie znajduje ani jednego wiersza, będącego odzwierciedleniem chwili? Zaś felietony w przeważającej mierze zdają mi się doraźne i pisane na kolanie.

Powodów jest zapewne kilka — w chwilach historycznych przyspieszeń nikt nie ma głowy do pisania, chłonie się zdarzenia, uczestniczy w nich, kibicuje. W swym domowym archiwum przechowuje kilka tomów pamiętników mojego stryja — Stacha Wolskiego, jednego z twórców harcerstwa w Łodzi, POW-iaka, wreszcie żołnierza, poległego, jak opowiadał mój ojciec, 3 stycznia 1920 roku na wschód od Dźwińska, w walce o oswobodzenie Litwy, Łotwy i Estonii. Padł prowadząc kompanie piechoty na stanowiska sowieckich karabinów maszynowych. Wspomniane pamiętniki wręcz drobiazgowo, prowadzone z dnia na dzień, drobnym kaligraficznym pismem, mają, niestety jedną dużą lukę. Urywają się pod koniec października 1918 roku i zostają wznowione dopiero pod koniec stycznia roku następnego. Nie ma więc zapisu pierwszych dni wolności, rozbrajania Niemców, formowania się polskiej państwowości. Przypadek? Raczej reguła.

Jeśli idzie o źródła do roku 1989 jestem w nieco szczęśliwszej sytuacji. Co tydzień pisałem dwa felietony, tworzyłem nowe teksty na estradę, (stare z dnia na dzień traciły aktualność), ale czy łąpałem w nich właściwą perspektywę, czy udawało mi się powiedzieć coś oryginalnego? Pochylałem się nad rozterkami prominentów, zmuszonych do dialogu z opozycją i przejmowałem samopoczuciem propagandzistów sprzed lat nie dopuszczających wówczas myśli, że sytuacja może się odwrócić. (Chyba przesadziłem z ich zdolnością do samorefleksji). Rozważałem, czy telewizja

Urbana spróbuje zanudzić nas pluralizmem? Ubolewałem nad nieśmiałością zadań strony solidarnościowej. I nad podejrzliwym stosunkiem społeczeństwa wobec rysujących się przemian na miarę, nie wahałem się użyć tego słowa Sejmu Czteroletniego. Zachowanie rodaków przypominało nieco postępowanie żony rybaka, która na wiadomość o złowieniu przez męża cudodajnej złotej rybki, wzdycha: „Znowu ryba, nie mógłbyś raz złowić coś z mięsa?!”. Ale gdy Urban ironizował: „Czy można sobie wyobrazić telewizję, albo co gorsza „Trybunę Ludu”, w której trzy strony redagowałyby partia, trzy kościół a trzy opozycja?”, opowiadałem — Można, byłaby to wówczas naprawdę trybuna ludu.

Zakończenie obrad Okrągłego Stołu skomentowałem felietonem „FINIS CORONAT OPUS” (wkrótce, po wyborze Jaruzela na prezydenta miałem ochotę zmienić tytuł na „Finis coronat łobuz”). Pisałem w nim:

Skończyły się stoły, zaczęły schody? Pozostaje pytanie, co zrobić z meblem?

Urządzić Muzeum Dialogu Społecznego? Innymi eksponatami mógłby być w nim wielki długopis Wałęsy, chrupiące bułeczki ministra Krasieńskiego, lub standardowa zomowska tarcza ozdobiona przez Pomarańczową Alternatywę? A może wypożyczyć stół innym krajom, wypatrującym dialogu? Albo podzielić na 49 kawałków i wysłać jako relikwie do wojewódzkich urzędów spraw wewnętrznych. (...) Idą ciekawe czasy, era szalonej konkurencji, codziennych egzaminów. Słaby okres dla świętych krów i pospolitej nierogacizny. Wszyscy jutro, pojutrze lub za dwa miesiące będziemy musieli zrobić użytek z ołówka. Stół się bowiem skończył, ale dla jego uczestników czekają ławy i fotele. Jeśli się uda.

Wiersze i piosenki popelniam w tym okresie dużo rzadziej. A jeśli już, to zdecydowanie nie śmieszne.

Nasz skład chemiczny

Laboratoria naszych dni,

Wiecznie otwarte i na chodzie,

A w każdym doświadczeniu tkwi,

Wielka nadzieja na odpowiedź:

Z czego się jeszcze składamy,

*Oprócz tlenu, wodoru i węgla,
Z wielkich marzeń spełnianych czasami
I podłości, tak małych jak pędrak?
Co, prócz siarki, sodu i wapnia,
Trzyma nas, między rankiem a zmierzchem?
Parę kłamstw, bardziej pięknych niż prawda.
I miłości z widokiem na szczęście?
Patrzymy w oczu mikroskopy,
w cyklicznych seriach spotkań, rozstań,
W każdym z nas jakoś brak ochoty,
By poznać siebie, aż do końca.
Z czego się jeszcze składamy,
Oprócz chloru, azotu, żelaza?
Z pewnej liczby drobnych wygranych
I porażek ciężkich jak bazalt.
Co nas niesie, co nami kieruje,
Prócz atomów kolekcji dziwacznej?
Prócz nadziei o które wciąż trudniej
I cynizmu... Z cynizmem żyć łatwiej.
Z czego się jeszcze składamy?
Oprócz zysków, układów i dojść,
Prócz gazety, ankiety i danych
z komputera, gdzie wsypał nas ktoś.
Czy nam związek pisany, czy rozpad,*

kwas wieszczysty, zasady, czy woda?

My cząsteczki maleńkie jak rozpacz

W instytucie prof. dr Pana Boga.

Do kolekcji wygrzebuję tekścik napisany w tamtych dniach do spółki z Kryszakiem. Już od pewnego czasu Jerzy próbował sił jako autor. Zaczęło się od przypadkowej improwizacji, wychodząc do monologu pod tytułem „Nieśmiały”, w zastępstwie Opani, potknął się, ale nie stracił rezonu, mówiąc „Kurde, ale bym się wywalił”. Sala ryknęła śmiechem. Taki był początek postaci „Jurusia Sympatyka” i jego sąsiada Zdziśka, funkcjonujących do dziś.

Czego się trzymać

(fragmenty)

Kurde, ale bym się wywalił. A wszystko przez to, że teraz nie wiadomo, czego się trzymać. Kiedyś to się trzymało nogawek. Starszego brata. Dobry to był brat, Józef, wąsaty... Kochał dzieci. Szczególnie sierotki. Może dlatego, że za ich rodzicami nie przepadał. Później przez całe lat trzymałem się słusznej linii, a jak się jej puszczałem, to dostawałem tą linią po łapach. A dziś? Zawodzi wąż, wzrok, a nawet uszy... A wiadomo — dopóty rzecznik leje wodę, póki mu się ucho nie urwie. Nawet wytresowane w młodości odruchy psa Pawłowa mi się pomieszały. Dawniej wszystko opierało się na dzwoneczku. Jeden dzwoneczek — ślinimy się, dwa dzwoneczki — popieramy, trzy — głosujemy. Ale teraz profesora Pawłowa pożarły własne psy, a ślinić się i tak nie ma do czego. Jak to się mówi: Wilczek (minister) szczeka, a karawan idzie dalej.

Dawniej wszystko miało swoje miejsce — np. Michnik w więzieniu, a redaktor Tumanowicz w telewizji. A teraz Michnik w telewizji, a Tumanowicz ... też w telewizji. Gdzie konsekwencja? Albo kogoś w telewizji jest za dużo albo w więzieniu za mało. Czego się tu trzymać? Skoro nawet w partii wolno wierzyć. W Boga. Bo w co innego już się nie da. W telewizji ma nawet być transmitowana msza. W miejsce koncertu życzeń. Już to wiedzę. Mikulski z Loską występują z homilią. Ona do niego „baranku Boży”, a on z Moskwy przez satelitę „Boże cara charani”...

Czego się trzymać? Kiedy na bankiecie w Pałacu Namiestnikowskim elity od ekstremy nie odróżnisz, bo z wyjątkiem dwóch w koloratkach, cała reszta po cywilnemu. Z jednej strony nonsensus, z drugiej bezsensus, ale razem consensus.

I jak ma być dobrze? Chyba we śnie. Ostatnio przyśnił mi się Władysław Gomułka, z kiełbasą

po 26 złotych w zębach i powiedział mi: „Synu trzymaj się”. Niestety nie powiedział, czego. Więc na wszelki wypadek będę się trzymał koryta. Wisły. Wołając — cudu, cudu!

Jednak jako źródło nastrojów i odczuć najbardziej niezawodna okazuje się własna pamięć. W jej zasobach przychodzi mi najłatwiej odnaleźć obraz owej szalonej wiosny, przypominającej klimatem lata 1980–81. Wiosny nadziei, pomieszanej z obawami, że wszystko to gra pozorów, że „czerwoni znów nas wykolegują” i za jakiś czas wszystko wróci w stare koleiny. Rozmowy i spory, zachłystywanie się wolnym słowem, a czasem i obrazem. Czy da się zapomnieć Adasia Michnika, w studio reżimowej telewizora, z teczką, na której czerwieniał wielki napis solidarycą... Do dziś zachowałem pierwsze, kolekcjonowane pieczołowicie, numery „Gazety Wyborczej”. Dyskusje na szklanym ekranie nagrywałem na video. A praca nad radiowymi audycjami wyborczymi oznaczała powrót do „archipelagu ludzi odzyskanych” (po ośmiu latach). Znajome, nieco postarzałe twarze. Niezmienione głosy: Janina Jankowska, Szczęsna Milli, Marek Owsiniński, Jurek Farner. Dostarczałem tam monolożków pisanych dla Kryszaka. („Mówi Juruś, słuchajcie Jurusia”) Zabawne, że naszą radiową centralą w tamtych dniach stał się ośrodek dla Niewidomych na Konwiktorskiej. Być może grupom pracujących nad programami dla telewizji udostępniono Instytut Głuchoniemych?...

Ale nie przeceniajmy potęgi agitacji. Jak kąśliwie zauważył któryś z naszych ówczesnych przeciwników: *W tamtym czasie, z plejadą twarzy, nazwisk i autorytetów, artystów i sportowemu wygrzebanych przez PZPR wygrałaby nawet krowa, byle ze znaczkiem „Solidarności”*.

A sam dzień 4 czerwca? Trochę wietrzny, ale dość rzeński i odświętny, jedni ludzie spłoszeni, inni po raz pierwszy wyzbyci pokory. I głos zagubionej staruszki zza kotary — *Niech mi pan pomoże, pokaże gdzie są „nasi”!* Szkolna miłość siedząca za stołem w komisji, jako mąż zaufania i noc spędzona przy Wolnej Europie, podającej jeszcze przed północą pierwsze wyniki z obwodów wyborczych za granicą... (Urban przegrał nawet w Moskwie!) Wreszcie poniedziałkowy ranek, bieg pustymi ulicami pod punkty wyborcze, gdzie wywieszano wyniki. Niedowierzanie, obawy, co powiedzą na to Ruscy, a NRD–usy, a „Geniusz Karpat”? I złowieszczy cień chińskiej alternatywy z placu Niebiańskiego Spokoju.

Na monitorze pamięci przesuwa się kolorowe pasmo dni wypełnionych krzątaniną w odradzających się związkach twórczych. Odnowianie zawodowych kontaktów, reaktywacja SDP, tworzenie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wybory w ZAKR–ze... Mnóstwo czasu zużytego na słuchanie, śledzenie, analizowanie. Inauguracyjne posiedzenie parlamentu, wybór Jaruzela na prezydenta przyjęty ze zrozumieniem konieczności, podszytej wstydem, potem desygnowanie Kiszczaka na premiera... Czyżby oznaczało to początek końca karnawału?... Lecz znowu szczęśliwy sierpień!

Nagle odwrócenie sojuszy i prawdziwie rewolucyjny zwrot pod hasłem „Wasz prezydent nasz premier” obserwowałem ze Szwajcarii. Nawet tamtejsze stacje przerwały program pokazując na żywo Wałęsę pomiędzy przysadzystym Malinowskim z PSL–u i głupawo uśmiechającym się szefem SD (Jak się on nazywał, Jóźwiak? I co się z nim stało?) Ekspozycja premiera Mazowieckiego dopadła mnie na granicy, już w drodze powrotnej. Słuchając radiowej transmisji, zamarłem, jak wielu rodaków, gdy pan Tadeusz zasłabł. Pamiętam, zjechałem do jakiegoś małego miasteczka na ziemi

lubuskiej i nie ruszyłem dalej, póki referat nie został wznowiony. Ciekawe co by było, gdyby nie został? Zawróciłbym, poprosić o azyl w NRD?... Chyba wówczas, po powstaniu pierwszego półwolnego rządu odważyłem się pomyśleć, że może tym razem, w kraju gdzie z zasady nic się nie udaje, coś się nareszcie definitywnie zmienia.

W pierwszym powakacyjnym felietonie użyłem określenia „LATO LUDÓW”. Nie wiedziałem, że pani historia szykuje nam jeszcze bardziej interesującą Jesień. Pytałem w nim:

Czy jest możliwe, że XXI wiek Europa powita jako całość, która charakteryzować się będzie, nie tylko podniesionymi szlabanami na granicach, ale również wyrównanym poziomem życia. Czy też będziemy nadal kontynentem, w którym godzinna stawka za pracę w jednym miejscu, równa się miesięcznym poborom w innym? (...) Do niedawna twierdzono, że rozwój świata może się toczyć tylko w jednym słusznym kierunku. „Przejście od kapitalizmu do socjalizmu to jak zrobienie jajecznicy z jajka — mówiono — ale niepodobieństwem jest próba uczynienia z jajecznicy na powrót jajka”. Ano zobaczymy (...) W każdym razie zrobiono już pierwszy krok. Zmieniono kucharzy.

Ale jednocześnie na usta cisnęło się inne pytanie:

Po co jedliśmy tę żabę?

*Kiepsko działało się w domowej gastronomii,
Znikły combry, steki, raki, sznyce, zrazy,
Nad półmiskiem sierziliśmy półprzytomni,
A na ścianie widniał napis „Dzisiaj płazy”
Ów do WC się wymykał, po kryjomu,
Najpierw wujek, potem szwagier, wreszcie ciocia,
Wtem czerwone coś zajrzało do salonu.
Dzieci w krzyk! Lecz był to tylko stary bocian.
Rak przez chwile delectował się obiadem,*

Potem usiadł na fotelu vis-a-vis
I zapytał „Po co jedliście tę żabę?”
Ja rozumiem, stara dieta, ale wy?
Po co jedliście tę żabę,
Przez czterdzieści lat z okładem —
Młodzi, starzy, chudzi, grubi, mali, duzi —
Skoro pewnik był wam znany,
Że Polacy, nie bociany,
Ani nawet, izwienicie, nie Francuzi...?
Po tych słowach siedzieliśmy zamyśleni,
Było głupio, choć podobno familijnie.
Bo faktycznie — kto wymyślił takie „menu”,
Co wiadomo, że w tym kraju się nie przyjmie?
Wnet zaczęły się wymówki i przykrości,
Zięć posiłek zwrócił zwinnie w róg tapczanu,
Ciocia rzekła — „Ten jadłospis był dla gości...”
Wuj ją poparł — „Polska żaba — racją stanu!”
Ktoś rzekł „Postęp!” inny „Jak to z żabą ładnie.”
Stryj — „Realia! A w dodatku — kazał cięć.
A poza tym, jeśli już siedzimy w bagnie
Co innego, co lepszego można zreć?!”
Po co jedliśmy tę żabę?
Czas powołać jakąś radę,
W składzie dziadek, wnuczek, żona, mąż i teść...

A mnie krążą myśli głupie,

Po co żaba nam w chałupie,

Skoro teraz już możemy przestać jeść.

Gdzieś rok później muzykę do „Żaby” napisał Andrzej Janeczko z „Trzeciego Oddechu Kaczuchy” i razem z Mają Piwońską, nagrał ją dla mnie inaugurując cykl wierszo–piosenek o zwierzątkach, dla którego z czasem znalazłem nadtytuł „Swojskie Zoo”...

Z tekstów kabaretowych pochodzących z tamtych czasów przytoczę jedną z wersji monologu będącego parodią rewii mody.

Pod młotek

Szanowni państwo, w myśl hasła — Na co nie będzie stać cię jutro kup dziś — proponujemy wielką wyprzedaż resztek. Dziś pod młotek (i sierpek) idzie kolekcja pod tytułem „Łachy na Łachy” projektowana do niedawna przez zakład „Morda polska” na licencji wiadomej. Ale do rzeczy! Kolekcja nasza ze względów oszczędnościowych znajduje się już na jednej jedynej modelce, warstwami, według zagranicznej zasady, baba w babie, baba w babie, a w samym środku maleńki krasnoludek — czekista. (*Przewidziałem Putina?!!!*) Prezentacje zaczynamy od wierzchu, w myśl hasła — nie szmata zdobi człowieka. Oto połatana pałatka, która ma już blisko 50 lat jak obszył, drutem kolczastym. Pałatka ta przysłała do nas spoza gór i rzek i już dawno powinna tam wrócić, ale ostatnio przefarbowała się i najchętniej śpiewa o sobie w Kołobrzegu — „My pierwsza brygada”. Na głowie czapka uszatka, tak zwana „kibitka” od razu z zapasowymi uszami na wypadek odmrożenia. Tej warstwy pozbywamy się bez żalu i trafiamy na wdzianko dwuczęściowe pod tytułem — „kombinacja klasyczna”, wzmocnione apreturą i nomenklaturą. Charakteryzuje się ono wysoką ceną i niską jakością. Oficjalna nazwa „garnitur dwurządowy”, przenicowany na prawą stronę. Z poprzedniego pozostała nam tylko szeroka kłapa na całej długości. Góra — dama pikowana czyli popularna fufajka, produkowana przez spółkę z o.o. o nazwie POLCIEĆ (to móc), wykonana z waty szklanej, azbestu i pustaków. Dołem spódnica typu donica, ani lana, ani wełna. Z przodu przejściowe trudności, po bokach zaszyte restrykcje, z tyłu braterskie wsparcie. Komplet uzupełnia automatyczna łapka wysuwająca się po kredyt... Całość ściągnięta pasem o nieskończonej liczbie dziurek kiedyś zapinanym na sojusz robotniczo chłopski dziś na „ratuj się kto może”. Głębiej koszulka o nazwie „wódz mongolski w restauracji”. Nie znacie państwo tej kreacji? Po prostu „Bar-Chan”. Koszulka używana niezmiennie od blisko pół wieku, prana jedynie sporadycznie, mniej więcej co dwanaście lat, że wspomnę 56, 68, 70, 81... Prana naturalnie na gorąco, z udziałem wypróbowanego środka piorącego czyli z Omo. Kolej na reformy... No, na reformy, to mieliśmy parę razy kolej. Nawet pociąg. Przyjaźni. Niestety jedne reformy się nam zbiegły, za granicę

(kolan). Z drugich została jedynie guma w rękę, a z trzecich to co widać: Z przodu rozpór duży, z tyłu słabe widoki na przyszłość. Na zakończenie pozostał do wyprzedaży kostium dwuczęściowy, ze względów moralnych przyspawany na stałe do modelu, wykonany z materializmu dialektycznego, bez owijania w bawełnę, okuty w powiciu, podobno nie do zdarcia, chyba że wraz z całym modelem. Życząc tego państwu zapraszamy serdecznie do omijania naszych placówek. Naturalnie sklepowych. Co do resztek, które nie znajdą nabywców wypchnie się je do Albanii, gdzie z powodu braku prądu wszystko kupują w ciemno.

A my, cóż, chociaż wiemy kto nas tak ubrał, rozebrać musimy się sami.

Wyszperałem jeszcze jeden, chyba nigdzie nie opublikowany tekst z tamtych miesięcy. Na długo przed słynnym memoriałem Michnika — Cimoszewicza przeczuwałem, że w części elit krążą marzenia, o wypracowaniu jakiejś jednej poczciwej, kompromisowej i poprawnej politycznie wersji dziejów:

Chodźmy na kompromis

Właściwie macie racje, lecz myśmy także mieli,

Fakt, Bierut był lajdakiem, a Ruskie Lwów nam wzięli.

Nie kłamał rząd w Londynie, Rydz Śmigły nie był szmatą,

A groby pod Katyniem, to jednak nie Gestapo.

Więc chodźmy na kompromis

I wspólnie w górę serca!

Przeprosi się skrzywdzony,

I uczci się Andersa,

Przypomną w telewizji

Dyskretny czar sanacji —

„Myśmy się myliliśmy”

wy macie sporo racji!

Lecz w imię pluralizmu, co słuszny i miłutki,

Troszeczkę socjalizmu, zostawcie, dla ozdóbki...

Temidy śliska szalka, nie można uogólniać,

Wszak nasza z wami walka, to w końcu walka WSPÓLNA.

A w Panteonie naszym, w witrynach, tam gdzie Papież,

Niech stanie Mikołajczyk! (Lecz z Wasilewską w klapie).

Kochajmy demokrację, Serdecznie wszystkim radzę.

Wy mieć będziecie rację, a my, prawdziwą władzę!

W jednym z felietonów, napisanych tamtego lata przypomniałem anegdotę związaną z Jackiem Fedorowiczem. W pierwszym roku istnienia „Sześćdziesięciu minut” jeździliśmy nad jeziorko w Błotach, ja pływałem, a Jacek katował się w lesie — trenował podciąganie na gałęzi, podnosił ciężarki, ćwiczył pompki. Kiedy pytałem, go po co to robi? — Odpowiadał. „Ja ich muszę przeżyć! Ja muszę doczekać wolności...” No i chyba doczekaliśmy, drogi Jacku.

*

U podstaw mej „radiowej recydywy” leżał list, jaki nowy prezes Radiokomiteu, Andrzej Drawicz rozesłał jesienią do naszego „ziomkostwa wypędzonych”. Wkrótce zostałem zaproszony na osobistą rozmowę i po ośmiu latach przerwy przekroczyłem progi wieżowca im. Macieja Szczepańskiego na Woronicza. Do nowego prezesa odczuwałem sporą rezerwę. Do dziś nie wiem czy był, jak chcą gorliwi lustratorzy — agentem, czy tylko silnie lewicowym rusofilem? Jeszcze w czasach STS-u, w którym nie wiadomo jaką rolę właściwie pełnił — ani specjalnie satyryk, ani aktor — należał do postaci wywołujących we mnie nieokreślony niepokój. Może to była tylko nieuzasadniona nieufność do łysych? Jednak owej szalonej jesieni udzielałem mu, jak całemu rządowi Mazowieckiemu (z wyjątkiem kilku komunistycznych cerberów) nieograniczonego poparcia. Spodziewałem się, że w tak zabagnionej i skompromitowanej firmie jak Radiokomitek postawi na jedyne sensowne rozwiązanie — opcję zerową! Idąc za przykładem swych poprzedników ze stanu wojennego zwolni wszystkich, a potem poprzyjmuje niektórych. Niestety szybko okazało się, że takie rozwiązanie kłóci się zarówno z filozofia „grubej kreski”, jak i osobistymi wizjami Drawicza. Zmiany, owszem następowały, zniechęcony „Dziennik” przekształcił się w „Wiadomości”, objął je Jacek Snopkiewicz, pojawiło się trochę nowych twarzy, ukryto bardziej skompromitowane. Ale szansa na pozbycie się większości zawalidrogów, układowców, czy pospolitych koniunkturalnych tchórzy została bezpowrotnie

zmarnowana. Pewne szansę miał może jeszcze Marian Terlecki (ale jego zgubił pech i „jeden kieliszek za daleko”). Toteż nie pozostało nic innego jak żyć w dyskomforcie, potykając się ludzi, których wolałbym nie spotykać jak osławiony redaktor Małczyński, czy „nasza osobista cenzorka z Trójki”, czas jakiś pracująca jeszcze w ponurym gmachu Radia na Malczewskiego. Nadłożyłem sporo kilometrów korytarzy, żeby jej przypadkiem nie spotkać. Poza tym, obserwowałem to na radiowym poletku dość szybko wielu z „naszych” okazało się ludźmi niezaradnymi, niesumiennymi, a często nieprzydatnymi, zaś stare wygi, zawsze czujne, przygotowane, błyskawicznie dostosowały się do nowego kursu, dowodząc, iż są niezastąpieni.

Na spotkaniu z Drawiczem mogłem wybrać sobie dowolne stanowisko pracy. Odmówiłem pójścia do Telewizyjnej Rozrywki, wiedząc że nie jest to miejsce, gdzie można popracować spokojnie i długo. Odrzuciłem też propozycje powrotu do „Trójki” i ewentualnego wznowienia „60 minut na godzinę”. Rzecz była niewykonalna, choćby z powodu niemożności namówienia na takie przedsięwzięcie Jacka Fedorowicza. Nie chciałem też ryzykować starcia z legendą. Z góry przegranego. Nawet lepsza „Sześćdziesiątka” byłaby w odczuciu słuchaczy gorsza od dawnej. A Trójka? Po czystkach roku 1982, zniszczona desantem „młodzieży stanu wojennego” (inna sprawa, że i tam pojawiły się ciekawe osobowości, choćby Monika Olejnik), to już nie był mój program, którego obraz przechowywałem w najcieplejszym miejscu mojego serca. Nadto możliwość zmiany pasma mej aktywności potraktowałem jak wyzwanie. Wierząc naiwnie w zachowanie starej publiczności, marzyłem o zdobyciu nowej, o docieraniu do Polonii w całej Europie... Nie brałem pod uwagę, że wkrótce runie maszt w Gąbinie. Zresztą nie przypuszczałem, że wracam na długo. Ciągnęło mnie do poważniejszej literatury. Nie chciałem już uprawiać rozrywki, a tym bardziej doraźnej satyry. W paśmie nocnym zacząłem nadawać krótkie, najwyżej dwudziestominutowe słuchowiska z pogranicza horroru i fantastyki (nazwałem je „Baśniami dla Bezsennych”) i zamierzałem poprzestać na tym pograniczu. Dość nadredaktorowania i poprawiania cudzych tekstów! Miałem 42 lata i szczerą wolę dbania wyłącznie o własne interesy. Nie udało się. Namówiono mnie na magazyn rozrywkowy raz w miesiącu (premiera odbyła się w listopadzie 1989 roku). Jednak nie minął grudzień, a po likwidacji „Programu z dywanikiem” i starczym uwiadzie „Podwieczorku przy mikrofonie” (od dłuższego czasu leciały tam tylko powtórki), ZSYP wypełnił całe pasmo rozrywkowe Jedyńki i po krótkim meandrowaniu między sobotą a niedzielą, zaległ na stałe przed hejnałem, w niedzielne przedpołudnie, godzinę po transmisji mszy.

Powrót

Nie żałuję chwil roztrwonionych

co są dzisiaj za ledwie pyłem.

Ja, w powiciu skowany, skundlony,

osiemnaście miesięcy żyłem!

*Mimo pustych haków w masarni,
mimo kartek na egzystencje,
miałem piękny sen — solidarny.*

Miałem szczęście.

*Więc za każdy przeżyty dzień,
i za wolność, nasz antybiotyk,
za wzniesione serce, nie pięść
za historii niezwykle dotyk,
za tą chwilę ulotną jak puch,
gdy się czułem częścią narodu,
chcę dziękować, choć brak mi słów
mojej Polsce i memu Bogu!*

*I choć przyszło lat osiem w kałuży
pływać, między apatią a grą,
gdy na zmianę przejaśnia się, chmurzy,
pamiętałem że ONI są!*

*Więc gdy dziś znów czas Solidarności
swoją tęczę rozpina nad nami
my jak kłocza skoszonych roślin —
odrastamy!*

Owo reanimowane dziecko nazwałam ZSYP-em — co można było rozszyfrować, jako „Zjednoczenie Satyryków Y Polytykierów”. Bardziej ekstremalni koledzy solidarnościowcy uważali, że tytuł kojarzy się z nadal egzystującą organizacją studencką ZSP, nam jednak to nie przeszkadzało. W końcu miała to być inicjatywa tymczasowa. Tymczasowa — w roku 2002 strzeliło 13 lat tej prowizorki 650 odcinków, czyli, jeśli dobrze policzyć, prawie dwie „Sześćdziesiątki”. Z domowego archiwum udało mi się wygrzebać ówczesne inauguracyjne wystąpienie Nadredaktora:

A więc wracamy. Na inne miejsce, w zmienionym składzie. O osiem lat starsi, bogatsi o wiele doświadczeń i biedniejsi o wiele więcej. Wracamy do gry. Może nie od rzeczy będzie przypomnieć dotychczasowa licytację: Najpierw nieprzerwanie wy — czerwień, my — pas, od czasu do czasu ostrzegawczo — dzwonek. W roku 1980 nasza kontra, w 1981 wasza rekontra. Od roku 1982 rozgrywka, w roku 1988 nieudany impas. Z początkiem 89 nerwowe szukanie przejścia na stolik, w czerwcu jedna wpadka, w sierpniu druga wpadka, no i po partii... Nasza dewiza brzmi — „Śmiejmy się, kto wie ile będzie to kosztować za dwa tygodnie”. Przed firmą nie czekało nas ogłoszenie: „Powracającemu stanowisko odstąpię” ale i tak mogliśmy wybrać sobie fotel, apartament, lub departament. Wybraliśmy ZSYP. Jest on albowiem najprostszą, jeżeli nie jedyną otwartą formą komunikacji międzyludzkiej. To szansa dla surowców wtórnych i ludzi z odzysku. Nie zamierzamy polować na czarownice (póki czas ochronny!)

Nie będziemy mścić się ani rozliczać (wystarczy, że zostawimy legitymacje w szatni) mając nadzieję, że i bez legitymacji strażnik nas wpuści. Wszystkim zaś proponujemy nowy kredyt MM (Mazowieckie Miłosierdzie)...

I tak rozpoczęła się całkiem nowa codzienność.

Kiedy...

*Kiedy będziemy już normalni,
jak na Zachodzie, tak jak tamci,
w domach kultury lub w kawiarni
zbierać się będą kombatanci.
Dawny dysydent z eks-zomowcem,
ten co uciekał, z tym co łapał,
będą roztrząsać długo wnockę,
młodości swej „szalone lata”
— Pamiętasz, tutaj barykada...
ty rzucasz gazy, ja kamienie*

— *Tam prowokator!*

— *Znamy dziada*

lecz bardzo sprawdził się w terenie.

— *Wiesz, tę gazetkę miałem w bucie*

gdyś mi z kumplami robił kipisz.

— *A ta zadyma w Nowej Hucie,*

dobrze mieliśmy tam wyniki.

— *Drukarnia była...*

— *U Nowaka,*

wiem, przymykałem na nią oczy...

— *A mnie raz tajniak się rozplakał,*

gdy go zgubiłem późno w nocy...

Pogwarzę, potem się rozstanę,

drepcząc w humorach znakomitych

Ten do Schroniska Weteranów,

Ów do Hospicjum Świętej Zyty,

A wnuki śledząc to z oddali,

w osiedlu Całkiem Czyste Bródno

klną, że się kiedyś dogadali

dziadygi,

i dziś jest tak nudno...

Niestety nudno nie jest, życie znowu przerosło kabaret. Nie trzeba było długo czekać, by zobaczyć Labudę w najlepszej komitywie z Kwaśniewskim, czy Michnika bankietującego z Urbanem. Ale wówczas byliśmy niepoprawnymi optymistami, wierzącymi w nie tylko lepsze ale w ucziwsze jutro. Wyobrażenia na temat nadciągającej przyszłości dość dobrze nieźle tekst, wykonywany w ZSYP-ie

Wspomnienia z przyszłości

Było prześliczne popołudnie 15 sierpnia 2020 roku. Postanowiliśmy wyprowadzić na spacer dziadka Marcina, któremu ostatnio wszystko zaczynało się pieprzyć. Nawet podczas sumy potrafił powiedzieć: „Spowiadam się Komitetowi Centralnemu” lub rzucić na tacę weksel i wybrać sobie resztę. Szybką koleją hydrauliczną, tzw. Litrem, przejechaliśmy ze stacji Gocławek pod Zamek Ujazdowski, skąd ruchome chodniki zawiozły nas na wielkie bulwary. Woda w Wiśle była czysta jak kryształ. Można było taplać się do woli z oswojonymi morświnami, w każdym ze stu czterdziestu kąpielisk, od dzielnicy Góra Kalwaria po Modlin City. Rzeką ciągnęły regaty o puchar rektorów AWF-u i Akademii Teologicznej, tych największych warszawskich uczelni. Szmer wiosła mieszał się ze śpiewem piaskarzy: Kałmuków, Samojedów i Czeremisów, których sąsiedzi przysyłali nam w zamian za Żywność, Technologie i Odsetki. Jak ktoś miał ochotę, mógł szukać szczęścia na Saskiej Kępie, dzielnicy kasyn, szkół artystycznych i burdeli. My wybraliśmy ogród Tivoli na cyplu Czerniakowskim, z najwyższą na świecie Krzywą Wieżą Telewizyjną. Można z niej było obserwować zarówno wczesnoprzemysłowy skansen, pod nazwą Huta Warszawa, Łuk Tryumfalny im. Okrągłego Stołu w miejscu elektrowni na Siekierkach, jak i wieżowce City, z dwustupiętrowym Agora Bank, firmy Michnik, Wajda i Synowie. Kto miał dobry wzrok, mógł wypatrzeć wśród tych kolosów niepozorny Pałac Kultury i Nauki zamieniony na synagogę.

Tymczasem zagrały bębny orkiestry rządowej i triangle opozycji. To mostem im. Nieznanego Generała wykonanym z dymnego szkła na rocznicę stanu wojennego, ruszyła parada odzianych w pomarańczowe mundury przodowników policji państwowej. Za nimi sunęły lekkie, bojowe poduszki, opanowane przez dzieci ze wszystkich możliwych sodalicii, korporacji, a nawet Czerwonego Harcerstwa. (...) Kupiliśmy sobie duże lody po piętnaście groszy, a dziadkowi Marcinowi „Pornos Postępowy i Wychowawczy” — wydawany przez nieprawie potomstwo Jerzego Urbana, jako dodatek do „Tryzety”, dziennika, który powstał w 1991 roku z połączenia „Gazety Wyborczej” z „Trybuną Ludu”. Ale już strzeliły fajerwerki i poszóstnym zaprzęgiem pojawił się w odkrytym powozie sam nasz Miłościwy i Konstytucyjny Monarcha: Lech II, honorowy przewodniczący Europy Zjednoczonej... Z Azją. Towarzyszyli mu ambasadorowie największych mocarstw, jak Brazylia, Wielki Meksyk, Indie, Federacja Mongolsko-Syberyjska i Cesarstwo Izraelsko-Arabskie ze stolicą w Nowym Jorku. Wiwatom nie było końca. Zwłaszcza że zmotoryzowani gońcy, obstawa króla, gdzieś setka, identyczni jak krople rosy — bo wyhodowani metodą klonowania z braci Kaczyńskich — rzucali w tłum kartki kredytowe in blanco.

Musieliśmy już wracać, bo nazajutrz miała być klasówka z Wychowania Kapitalistycznego w Rodzinie, a i z litewskiego mógł być sprawdzian...

Na ile się pomyliłem, ile przewidziałem? Tylko jedna rzecz wydawałaby się wówczas nierealnym snem. Możliwość, że Lechem II — będzie Leszek Miller!

*

Reżyserem ZSYP-u został przedstawiciel młodszego pokolenia radiowców Jan Warenycia.. nie zapomniałem jednak o reżyserze „60 minut” Andrzeju Pruskim i zaoferowałem mu pracę nad „Baśniami dla bezsennych”. Po paru latach role się odwróciły — Warenycia reżyserował Baśnie, a Pruski wrócił do magazynu i pozostał w nim, aż do swej przedwczesnej śmierci w 1994 roku, dokładnie w rocznicę Powstania Warszawskiego, którego był uczestnikiem. Cały czas niezmiennym elementem stabilizującym była realizatorka Ewa Szelkowska.

Trzon nowopowstałego magazynu stanowili ludzie z mego kabaretu — Kryszak i Zaorski, do współpracy zaprosiłem wybitnych kolegów „po piórze i estradzie” Krzysztofów: Daukszewicza i Jaślara. Tylko ten drugi utrzymał się dłużej, zanim pochłonęła go reżyseria telewizyjna i programy dla pani Terentiew. Już w drugiej, grudniowej audycji pojawiła się „Młoda Lekarka” Ewa Szumańska, z wiecznym pacjentem Janem Kaczmarkiem, który, jak za dawnych lat, znów zaczął nadsyłać z Wrocławia swoje felietony i piosenki. Wrócili, na krótko, przedstawiciele starej gwardii Sześćdziesiątki — Tadeusz Ross (później wybrał wariant „Zulu-Gula”) i Krzysio Jaroszyński — dziś ojciec „Graczyków” i innych Polsatowskich seriali. Radio, biedniejsze i znacznie mniej słuchane niż dawniej nie stanowiło szczególnie atrakcyjnej oferty dla rzutkich artystów, o szerokich możliwościach. Trzeba było rozejrzeć się za młodszymi współpracownikami.

W trakcie działalności społecznej w ZAKR-ze, gdzie doszedłem nawet do funkcji prezesa Oddziału Warszawskiego, zawarłem znajomość z młodszymi autorami — Markiem Majewskim i Markiem Ławrynowiczem. Obaj nie należeli do osesków, stan wojenny jednak opóźnił debiuty i spowolnił artystyczne kariery twórców przyzwoitych. Obaj, Majewski w piosence, a Ławrynowicz w krótkich żartobliwych formach, rokowali nadzieje na trwalszą współpracę. Podobnie jak, debiutujący w jednym z pierwszych ZSYP-ów Wiesiek Tupaczewski, wkrótce współzałożyciel kabaretu OTTO. Niewiele zresztą brakowało, aby Ławrynowicz znalazł się wcześniej w mojej „stajni”. Poznałem go w roku 1973, na tych samych eliminacjach w „Stodole”, na których objawił się Krzysztof Jaroszyński, tyle, że zaraz potem Marek zawieruszył się na długie lata, parając się poezją, eksperymentowaniem artystycznym i cukiernictwem. Zabawne, na przełomie lat 89/90 wiązałem z nim nadzieje nie na gruncie ZSYP-u, tylko przy tworzeniu satyrycznej kolumny dla „Tygodnika Solidarność”, gdzie Piotr Wierzbicki zarekomendował mnie nowemu naczelnemu Jarosławowi Kaczyńskiemu. Skończyło się jednak po pierwszym odcinku. Natomiast już wkrótce okazało się, że Marek, ze swym spolegliwym charakterem i niewątpliwymi talentami organizacyjnymi jest idealnym kandydatem na „podredaktora” — moją prawą rękę, dzięki której audycja bez większych przeszkód może egzystować do dziś.

Można powiedzieć że nie wiedząc o tym byliśmy na siebie skazani od dawna. Ojciec Marka,

nauczyciel rosyjskiego w anińskim liceum pozostał w mej pamięci jako jedna z barwniejszych postaci tamtej szkoły. Nazywał mnie „Swawolski” albo „Wolczyszka” ubolewając, że nie nauczyłem się porządnie przynajmniej rosyjskiego alfabetu.

— Ależ panie profesorze — odpowiadałem — jak można traktować poważnie alfabet, w którym W jest zaraz po B.

Nasz wypracowany wówczas *modus vivendi* sprowadzał się do tego, że on porzucił nadzieję nauczenia mnie języka Gogola, w zamian ja, na podstawie *filologicznych pierwodów* dokonywałem literackich przekładów rosyjskiej poezji, co wystarczało na solidną trójkę...

Wróćmy jednak do pamiętnej Jesieni Ludów 89, której burzliwe zdarzenia odnotowywaliśmy w ZSYP-owym tygielku. Historyczne przyśpieszenie streszczało się w popularnym powiedzonku — „Polska potrzebowało 10 lat, Węgry 10 miesięcy, NRD dziesięciu dni, Czechosłowacja 10 godzin...” (A w Rumunii zdecydowały minuty).

Rok ludów!

Od Berlina do Sofii, od Warszawy do Pragi

kres powszechnej atrofii, pompy hasel i blagi.

Rozsypały się mity, kapitalizm u wrót,

do przemiału Klasycy, kapitału chce lud!

Z Bukaresztu, Tallina, z puszczy, z Karpat, z Syberii,

wieją wnuki Stalina i sieroty po Berii.

Nagle pamięć ożywa, białych palm, czarnych dziur,

a nadzieja przerywa, własny strach, obcy mur...

To nie wiosna, nie lato, nie jesień —

to Rok Ludów rozkruszył nasz blok

pora zrywu i wzniosłych uniesień,

światła, które silniejsze niż mrok...

Lecz niesieni na fali przez tłumy

zamyślamy się dzisiaj głęboko:

skończył się żart historii — komunizm

i zaczęły się schody... Lecz dokąd?

Ano właśnie, dokąd? W następnych latach optymizm wietrzył szybciej niż kamfora. Złośliwi mówili że wybraliśmy się na wędrówkę od komunizmu do komunizmu, po drodze mieliśmy karnawał a później znacznie dłuższy post?

Co przewidywałem wówczas? Powoli mijały obawy przed jakobinizacją nastrojów i wizją krwawych rozliczeń która początkowo skłaniała mnie do popierania „Linii Kuronia”. Po wydarzeniach w Rumunii nie ulegało wątpliwości, że rodzi się nowy układ w świecie i trzeba przyspieszyć zmiany, aby nie zmarnować koniunktury. Czułem, że musimy szybko rozliczyć się z przeszłością, bo jak pisałem w jednym z felietonów z cyklu „Okrągły Stołek” w „Tygodniku Demokratycznym” — Mamy niewiele czasu dla otwartego nazwania spraw po imieniu i powiedzenia tym którzy winni zniknąć: „Odejdźcie”. Inaczej, jeśli wszystko przyklepiemy, damy sobie buzi, widma przeszłości będą wracać i zatruwać dusze. Otwarte stwierdzenie: Był pan kameleonem w 81, świnią w 82, baranem do 88, papugą w 89. ale zachował pan trochę zawodowych umiejętności, które będzie można spożytkować, oczyściłoby atmosferę...

Naiwność? Za parę tygodni miała rozwiązać się PZPR. Z Gdańska rugowany z bieżącej polityki Wałęsa apelował do Mazowieckiego — o przyspieszenie, nadzwyczajne uprawnienia dla rządu, odejście od ustaleń Okrągłego Stołu i filozofii „grubej kreski”. Nie wiem czy było to postulaty realne, choć gdyby spróbowano go posłuchać, mogłoby być ciekawie. Może doczekalibyśmy wizji niczym z „pamiętnika mojego wnuka”.

Wycieczka

Jeszcze nigdy nie byłem na wycieczce w Smutnym Miasteczku. W podstawówce akurat zorganizowaliśmy strajk przeciw koedukacji, a w gimnazjum chyba zerwałem się na waksy, bo w holowizji szła transmisja z lądowania polskiej załogi na Tytanie. Początkowo myśleliśmy, że udamy się tam wehikułem czasu, ale dziadek Marcin, który zgłosił się ochotniczo twierdząc „bez przewodnika się pogubicie”, wytłumaczył nam, że szkolny poduszkowiec wystarczy. Smutne Miasteczko leży na północ od Stolicy, tam gdzie ongiś dymiła Huta Warszawa, ale po splajtowaniu i splantowaniu terenu pozostał tylko jeden wydział muzealny i jeden komin jako punkt widokowy. Poduszkowiec okrążył obiekt zbudowany na planie gwiazdy pięcioramiennej, otoczony zasiekami z drutu kolczastego, fasą i murem najeżonym stanowiskami samopałów, po czym usiadł na centralnym placu. Dookoła rozciągały się kolumnady, portyki i wspaniałe gmachy, o portalach z papier mache, przypominające sen pijanego Fidiasza, rzuconego do

zakładu cukierniczego. Za tymi fasadami rozciągało się morze bloków z wielkiej płyty, przeniesionych tu ze zdemontowanego Ursynowa i Bródna, wśród których na kształt wysepek ustawiono kilka pretensjonalnych willi obsypanych tłuczonym szkłem. W centrum placu wznosiła się stumetrowa, monumentalna statua Hegemona — Robociarza z zakasnymi rękawami. Dzięki nowoczesnej technice madę in Japan lico proletariusza zmieniało się w zależności od kąta patrzenia. Jak twierdził dziadek — jeśli patrzyło się z zachodu wyrzeźbiony przypominał Marksa, en face wyglądał, wypisz wymaluj, Lenin, ze wschodu — Mao, a jak padłeś na kolana — to Stalin...

— Kim byli ci faceci? — zapytałem dziadka, ale w tym momencie grupka miejscowych funkcjonariuszy wylegitymowała nas i zrewidowała dokładne. Zyzio Rogal, na wyraźne życzenie, dostał pałą. Zresztą atrakcji było więcej: Stanie w kolejce do pustej lady, jazda na buforach przepelnionego pojazdu szynowego, posiłek w barze mlecznym zakończony płukaniem żołądka. Potem znaczna cześć wycieczki udała się podziwiać „Karuzelę Kadrową” i robić miny w gabinecie krzywych luster. Dziadek jednak wolał „Salon Okropności” gdzie można było zobaczyć wypchanego cenzora i rencistę propagandystę czytającego w kółko ten sam dziennik telewizyjny. Dopiero jednak „Tunel Grozy” dostarczył prawdziwych atrakcji — najpierw jechało się milicyjną suką, która cudownym sposobem przekształcała się w bydłęcy wagon, a następnie w kibitkę. Dla urozmaicenia pojazd atakowały a to wilki, a to konni czerwonoarmiści, aż wreszcie pojedynczo sprowadzono nas w piwnicy gdzie funkcjonariusz strzelał nam w tył głowy. Z korkowca. Później dla relaksu puszczono nas na „Ścieżkę Zdrowia”, jednak dzięki pancerzykom antygravitacyjnym, ciosy zomowskich pał odczuwaliśmy jak łaskotki.

Wycieczka kończyła się w „Domu Lalek”, gdzie każdy mógł spotkać się i poobcować z historycznymi postaciami — podyskutować o kwestii chłopskiej z Różą Luxemburg, spróbować się na rękę z Felusiem Dzierżyńskim. Do tej pory nie wiem czy były to doskonałe kukły, czy może autentyczne klony? W każdym razie towarzysz Stalin, gdy usiłowałem podgrandzić mu fajkę rzucił mi takie spojrzenie, że fajka wypadła mi z rąk, a ja po rosyjsku (mimo że nigdy nie uczyłem się tego zapomnianego języka) przeprosiłem Generalissimusa i wycofałem się na dwór, gdzie gromady anegdotczyków i humorystów śpiewając wesoło, pogłębiały kanał żerański, w wolnych chwilach, karczując porastającą jego brzegi tajgę.

Musiałem niestety zawrócić, bo dziadek tak zagadał się z towarzyszem Gomułką, że niewiele brakowało, żeby zamknięto go w gablocie, tym łatwiej, że brakowało w niej Edwarda Gierka. — Jedna z wycieczek rozdrapała na relikwie, a prace nad nowym egzemplarzem, opartym na francuskich komponentach jakoś się przedłużały. Wlokąc dziadziusia za sobą musiałem pomylić drzwi wylądowałem bowiem w koszmarnych slumsach z wielkiej płyty, ku mojemu zdumieniu ciągle zamieszkałych. Wyłącznie przez staruszków.

— Kim są ci ludzie, dziadku?

— Skansenowcy! — Padła odpowiedź

— Kto?

— Ci, którzy przed laty wymarzyli sobie Smutne Miasteczko.

— Rozumiem że siedzą tu za karę.

— W nagrodę, wnusiu, w nagrodę. Nie udało im się nijak przyzwyczaić do normalnego życia na zewnątrz. Wybrali skansen.

Basowe dźwięki pieśni „Gdy naród do boju” świadczyły że poduszkowiec jest gotów do odjazdu. Pociągnąłem dziadka za sobą. Po nostalgicznym wyrazie jego twarzy sadząc nie byłem pewien czy przypadkiem nie zechce tam zostać.

*

Na zakończenie owego przełomowego roku Radio zamówiło u mnie Szopkę Polityczną. Zaśmiała się we mnie dusza. Oznaczało to bowiem spełnienie jednego z mych najskrytszych marzeń. Szopki pisałem jeszcze w szkole, później w „Stodole”, z Maciejem Wojtyszko dwa razy zrobiliśmy kukielkowego sylwestra. Zaś przez wszystkie lata obserwowałem szopki telewizyjne, wprawdzie cenzurowane, lakiernicze, ale mimo wszystko, w kraju garniturowej przeciętności raz w roku dopuszczające inne (przynajmniej formalnie) spojrzenie na świat polityki. Oczywiście brzydził mnie Gomułka piękny jak lalka Barbie (oczywiście nie miałem wtedy pojęcia co to „barbie”) śpiewający *cała Polska śpiewa z nami* czy jeszcze śliczniejszy Breżniew, nucący, że *już tyle lat człowiek żyje wciąż w Kraju rad*, („I chwatić” chciałby się dośpiewać!) Wyobraźnia, na przekór zdrowemu rozsądkowi podsuwała myśl, że można by zrobić to odważniej, śmieszniej. Słyszałem coś niecoś o przedwojennych szopkach „Cyrulika Warszawskiego” i ich prezentacjach w Belwederze, zresztą nawet w PRL-owskiej produkcji można było zauważyć różnicę klasy dzielącą finezyjne dzieła Janusza Minkiewicza and Co. od pokracznych płodów Fillera czy Broniarka.

Teraz moje marzenie o „polskiej szopie” mogło się spełnić. Początkowo szopkę miało tworzyć szerokie grono „zsypanych” autorów, Jaślar, Ławrynowicz... Jednak gdy faza dyskusji się przeciągała, a termin gonił, napisałem całość jedynie przy pomocy Marka Majewskiego. (Kto by przewidział, że kroi się spółka autorska na długie lata?)

W programie para konferansjerów — Jolanta Zykun i Krzysztof Kowalewski wcieliła się w rolę rzeczników rządu, byłego (Urbana) i aktualną (Małgorzatę Niezabitowską). Ponieważ nie powstało jeszcze „Nie” przegrany Urban, wstępujący jak wieść niesie do rozpadającej się Partii, wydawał się figurą bardziej godną politowania niż odrazy.

Szopka 89

(fragmenty)

Całość rozpoczynał CHÓR na melodię „Czterdziestolatka” ze znanego serialu.

*Czterdzieści pięć minęło straconych lat.
Wciąż dalej był niż bliżej złudny cel.
Dobrobyt licho wzięło, uciekł nam świat,
gdy zamiast Polski była PRL
A wiatr — co innym w żagle — nam w oczy wiał,
wciąż bliżej było dno,
gdy zaś ktoś Europą nagle być chciał,
do Azji wnet przywoływano go.
Aż wreszcie rok, co minął
skrzydła nam rozwinął.
Choć kryzys coraz większy
lecz był to rok najlepszy
z owych czterdziestu pięciu lat!*

Po piosence Andrzej Zaorski, niezapomniany „Pan Tadeusz” (nie mylić z Mazowieckim) z telewizyjnego spektaklu Hanuszkiewicza wygłaszał

Inwokację

*O roku ów, co minął właśnie w naszym kraju,
roku wielkich nadziei, średnich urodzajów,
trzycyfrowej inflacji, albo nawet cztery,
gdy w całkiem nowe ręce przeszły nasze stery.
Roku, w którym mniej było pałek i mundurów.*

*Roku Stołów Okrągłych, przewróconych murów,
nagłych zdziwień i lęków szemranych półgłosem,
wielkiej Ludów Odwilży, roku „Czterech Wiosen”!
Gdy zwrot dokonany przez nasz polski naród,
pociągnął Węgrów, Niemców, Czechów i Bułgarów.
Roku rosząd na szczytach, spadku prominentów,
któryś nam dysydentów zmienił w decydentów
i teraz obserwujesz jak „byli” się płaszczą,
z nadziejami, że jednak może się uwłaszczą.
I choć wstrzymała oddech cała Europa,
my raz jeszcze przeżyjemy — oto Polska Szopa.
Dawniej jasne w niej było, gdy partia z narodem —
kto wołem, kto był owcą, kto zasię Herodem?
Kto z darem lub po dary podązał ze Wschodu,
kto robił za artystę, kto był bliżej żłobu...?
Dziś to już poza nami. Więc bez zbędnych słów
zaczynamy misterium tak: o roku, uff...!*

Galerii reprezentatywnych postaci otwierał Jacek KURON, oczywiście z zupą, na mel. „SOS” z Kabaretu Starszych Panów śpiewaną kiedyś przez Kalinę Jędrusik

*— Nasza ludność jest słaba i głodna
nasza ludność jest dzielna, choć czuje,
że Miodowicz ją stale buntuje.
Czy z pomocą nadąży George Bush?*

Co wam powiem we wtorek mądrego?

Moje serce z rozpaczy wciąż krwawi.

Choćbym sweter w lombardzie zostawił

bieda — zupki nie starczą tu już.

Ratunku! Ratunku!

Na pomoc ludności co pości!

Nim przyjdzie jej kres cierpliwości

i grymas zagości wściekłości.

Na fundusz! Na fundusz!

Wpłacajcie i możni i prości

Nim z głodu osłabnie jak pies:

SOS, SOS...!

Niezabitowska kwitowała ten apel na melodię „Przyjdzie walec i wyrówna”

Fakt, społeczność dzisiaj ufna

Gdy zapobiec trzeba złu

Przyjdzie Kuroń i wyrówna.

Przyjdzie Kuroń i wyru...

Zabawne, ale właściwie poza Kryszakiem kreującym Jacka Kuronia, i trochę Jolą Zykun nikt z licznych aktorów nie kwapił się parodiować głosowo szopkowych bohaterów. Chyba sami nie zdawali sobie sprawy, że potrafią...

Po latach zauważam, że byliśmy wówczas niezwykle dobrotliwi dla polityków naszej strony. Przykładem ówczesny szef Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego profesor Bronisław Geremek, śpiewający pieśń na motywie przeboju zespołu „Pod Budą”

— *Kap, kap, OKP,*
drąży beton całe dnie,
a przez całe noce,
wewnątrz ściera się.

Kap, kap, OKP

Cicha woda brzegi rwie,
Tu ustawa prawa,
A tam twarde — nie.

Bardziej można było sobie poużywać na liderze OPZZ, Alfredzie Miodowiczu

Miodowicz

(mel. „Tak bardzo się starałem”)

Kto do związku ludzi zganiał,
Do poparcia ich nakłaniał,
Kto, no powiedz, kto?

Kto swój zapal dał i serce,
Przed kamerę wziął Wałęsę,
Kto no powiedz kto?

Tak bardzo się starałem,
a lud teraz nie chce mnie!
Ból stał się mym udziałem,

Co komentowali konferansjerzy:

NIEZABITOWSKA

— *Mógłby dziś zauważyć kronikarz szyderca,*

Że dla wielu świat skończył się Czwartego Czerwca.

URBAN

— *Ja pragnę zauważyć, tu z głęboka troska,*

Że droga koleżanka powtarza Szczepkowską

(która, gwoli informacji dla młodych, zaproszona do Dziennika Telewizyjnego oświadczyła z mina trzpiotki, że „4 czerwca skończył się w Polsce komunizm”). Nie przekonywało to Miodowicza, który na melodię „Jeszcze jeden mazur dzisiaj” kontynuował swój występ:

Jeszcze się odwróci karta, jeszcze dzień zaświta,

Jeszcze nasza będzie partia. I Rzeczpospolita.

Jeszcze trochę agitacji, dolewania wrzątku.

Komu dziś po demokracji przy pustym żołądku...?

Zaraz potem pojawiał się Wiatr junior. („Jeden Wiatr w partii trwał, drugi Wiatr młodzież rwał”), postrzegany wówczas jako przyszłościowy sekretarz. Później na długie lata zaszył się w biznesie, a dziś poucza naród w roli „pana od Europy” Jemu przychodziło wykonywać w szopce pieśń programową przewodniej, czy raczej przechodniej siły.

(mel. „Korowód”)

Kto pierwszy wszczął reformy i kto rozpoczął dialog.

Kto oparł swoje normy, o Marksa i dekalog?

Kto zawsze awangardził, kto się odradzał co dnia,

Kto na dno nas sprowadził, by móc się odbić od dna.

Partia się odmieni, Partia znów nadąży,

Choć przeszłość i przyszłość jej okropnie cięży.

Cięży jej aparat, cięży niesłuchanie

Lecz fachowcy mówią,

— Wkrótce rozwiązanie.

Tu rozlegał się płacz noworodka i na antenę wkraczał ostatni sekretarz PZPR-u Mieczysław Rakowski witany uszczypliwie przez Niezabitowską:

NIEZABITOWSKA

— Wśród politycznych sensacji.

Taki skok rzadko się zdarza,

Z szefa pierwszej redakcji

Na ostatniego sekretarza...

RAKOWSKI

(na mel. „Ostatniej Niedzieli”)

Teraz nie pora rozdzierać szaty. Fakt odmieniło się.

Dziś nastał inny, skromniejszy i lepszy ode mnie

I wraz z wami skradł funkcje me.

Jedną mam prośbę, może ostatnią, zanim rozliczę mnie,

Zróbmy to jedno zebranie, ostatnie zebranie,

A potem niech świat wali się!

To ostatnie zabranie — Jutro się rozstaniemy,

Jutro się rozwiążemy. Bez walki klas.

To ostatnie zebranie! Nie żałujcie go dla mnie,

Przyjdźcie tłumnie, ofiarnie,

Ostatni raz!

Będzie jeszcze dość tych zebrań innych,

Co się ze mną stanie, któż to wie?

To ostatnie zebranie, brawa i skandowanie,

Wolnych wniosków składania,

Skończyło się!

Pozostawało tylko wyprowadzić sztandar. Rzeczniczka próbowała jednak pocieszać byłego naczelnego „Polityki”:

NIEZABITOWSKA

— Dla pana odejść przecież to żaden dylemat Bo zawsze ma pan pióro...

RAKOWSKI

— Ale waaadzy nie mam.

I nic już nie poradzę...

WIATR

— Kiedyś to się zmieni.

RAKOWSKI

— *Ja tak waadzę kocham, że bym się z nią ożenił. (...)*

Wychodzę... A mówili w niejednej wyroczni,

By nie pakować palca między drzwi...

NIEZABITOWSKA

— *Od stoczni!*

Następną postacią był zatroskany premier Mazowiecki nucący na melodię przeboju Wiesia Gołasa „W Polskę idziemy”:

Polskę tworzymy, panie, panowie,

Polskę tworzymy!

Choć to zadanie jest syzyfowe

Wznieść ją z ruiny.

Wkrąg zapach biedy, więc może kredyt,

Lub o...

(tu, w późniejszej wersji estradowej, parodiujący premiera Kryszak się zacinał, na moment omdlewał, ale błyskawicznie wracał do siebie)

... obligacja,

Praca w soboty, zmniejszony popyt —

Końska kuracja.

Po Mazowieckim następowała dłuższa sekwencja zagraniczna. Pojawiał się Michaił Gorbaczow, któremu ze złośliwej przekory kazałem śpiewać na melodie Pietrzakowego hymnu („Żeby Polska była Polską”). Pierwotna wersja piosenki poza dobrym pomysłem była dość mdła. Przytaczam więc od razu wariant późniejszy, wykorzystany rok później w naszej pierwszej szopce telewizyjnej:

GORBACZOW

— *Wszyscy w koło są dziś anty,
Kruszy się komunizmu wiara,
Tylko patrzeć jak kuranty
zagrmią — „Boże chroń nam cara!”
Spada gwiazda i posązek,
sam już w cerkwi palę świeczki,
żeby Związek, żeby Związek, żeby Związek był Radziecki!
Choć kraj wzbiera wolnym słowem,
braknie skręta, w brzuchach burczy,
cóż z Nagrody Pokojowej,
kiedy pokój nam się kurczy?
Z przodu upadł mur niemiecki,
z tyłu Islam parzy w plecki,
czy ten Związek, czy ten Związek...
Czy on jeszcze jest Radziecki?*

Po „Gorbim” wkraczał kanclerz Kohl śpiewając na znaną i budząca mieszane uczucia melodię z filmu „Kabaret” — „Nasz będzie jutrzejszy dzień”

KOHL

— *Ty wiesz Europo, jak było nam źle
gdy granic dzieliło nas sto,
lecz my to zmienimy, już widać cel,*

nasz będzie ten wspólny dom.

W nim każdy odnajdzie swe miejsce i szyk,

Francuzom alkowę się da,

Polakom podziemie, Norwegom strych,

a Szwajcar niech furtkę ma.

Dać Włochom kuchenkę, bo dobrzy są w tym,

Anglikom trawniki i klomb,

zaś Niemcy zadbają o pokój, gdy

nasz będzie Euro

nasz będzie Euro,

nasz będzie Europejski dom!

W przedśionku do tego wspólnego domu nie brakował naturalnie Vaclava Havla, który właśnie zostawał prezydentem (jeszcze całej) Czechosłowacji. Jeśli dobrze pamiętam poniższy wierszyk recytował w szopce osobiście Majewski:

Havel i Husak w jednej żyli Pradze,

Havel pod kluczem a Husak na zamku,

Husak spokojny pod osłoną tanków.

Havel swą „Kartą” pragnął ogrzać władzę.

I nagle lody ruszyły w Wełtawie,

Wiec tylko patrzeć jak przeczyta świat

Hasło tej treści w samym „Rudym Pravie”

„Pod klucz Husaka a Havla na hrad!”

Złe miłego początki lecz koniec radosny,

Dynamikę tamtych dni odzwierciedla najlepiej przypadek Ceaurescu. Z materiału nagranych przed Bożym Narodzeniem musieliśmy wyciąć całą sekwencję rumuńską, w międzyczasie bowiem gwałtowna rewolta położyła kres władzy Geniusza Karpat, a on sam wraz z żoną został stracony w dość podejrzanych okolicznościach... I naprawdę nie był to temat do żartów. Dziś jednak przytoczą fragment jego wyciętego wystąpienia na mel. „Co nam zostało z tych lat?” (głosu użyczył Andrzej Zaorski)

CEAUCESCU

— Co nam zostało z tych państw,

Wielkiej rodziny,

Albania, Kuba i ja...

I może Chiny.

Codziennie mniej nas i mniej,

Kto przeszłość wspomni?

Nie kupią nas za garść lej.

Bo my niezłomni!

Tymczasem za progiem czaiła się kolejna postać, doktor Baker ze skalpelem (i swoim słynnym planem, o którego skutkach mieliśmy na razie dość mgliste wyobrażenie). Ledwie udało mi się spłacić kredyt wzięty przed laty na budowę domu, a już lawinowo ruszyło oprocentowanie odsetek.

BALCEROWICZ

(mel. „Parasolki”)

Zgromadzono już kapitał zaufania

i stabilizacji fundusz jest w kroplówce,

*trust chirurgów maseczkami twarz zasłania,
czas ciąć szybko. Znieczulenie minie wkrótce.*

*Wygolono już pacjenta po kieszeniach,
w twarz mu świecą reflektory rozpalone,
pięć skalpeli dostarczono wprost z podziemia,
dziennikarze dech wstrzymują na balkonie.*

Operacja! Operacja!

Znów cenowo–dochodowa

*Choć na życie nie wystarcza,
perspektywa przyszłościowa.*

Operacja z pełnym gazem

*nie widziana od pokoleń,
udać musie się tym razem,
choćby pacjent zgasł na stole.*

Balcerowiczowi odpowiadała jedyna w tej szopce postać symboliczna —

Nomenklatura

w brawurowej interpretacji Grażyny Barszczewskiej (na mel. „Przeklnę cię”)

To nie była umarła klasa,

Wręcz przeciwnie, mas awangarda,

Panująca we wsiach i miastach,

Biorca łaski talonów i jadła.

*Właścicielka ludowej Polski,
Aż do czerwca roku owego,
Dziś do nowych bogów się modli,
Dopraszając się wciąż jednego:
Uwłaszcz mnie! — Podaruj przedsiębiorstwo!
Uwłaszcz mnie! — I całe me potomstwo!
Uwłaszcz mnie! — Nim zmienią się struktury,
Nim sypną się wióry. Od dołu do góry.
Uwłaszcz mnie! Uwłaszcz mnie!*

Oczywiście w aktualnym stanie naszych umysłów szopka musiała obowiązkowo kończyć się pojawieniem Lecha.

NIEZABITOWSKA

— Był tu mrok, tonęliśmy w nim niczym w okopie

Wciąż straszeni metoda zaiste ohydną

URBAN

— Że widmo komuny wciąż krąży w Europie.

NIEZABITOWSKA

— Aż zjawił się Elektryk i stało się widno!

WAŁĘSA (mel. „pałacyk Mühla”)

— Są kraje tak demokratyczne,

że się w nich wszystko robi publicznie.

A u nas lepiej jest o wiele

prywatnym zostać obywatelem

CHÓR

— *Czuwaj Lechu i pobudzaj prąd
a jak będzie swąd, to wymienisz rząd!
Czuwaj Lechu przewodnikiem bądź,
nie dziel ale łącz, jak król.*

WAŁĘSA

— *Ja jestem prostym elektrykiem
Ja nie chcę władzy, chcę Republikę.
Lecz gdy bezpańska nawa państwa,
Wystarczy jeden telefon z Gdańska*

CHÓR

— *Czuwaj Lechu...*

Ta pierwsza szopka różniła się od wszystkich innych, z jeszcze jednego powodu. Jeden raz wprowadziliśmy z Majewskim do korowodu postaci Jana Pawła II. Papież śpiewał w na melodie „Modlitwy Villona” — Bułata Okudźawy

PAPIEŻ

— *Dopóki Ziemia obraca się
Dopóki żyje świat
Panie, każdemu z narodów racz
Dać, czego im dzisiaj brak
Niemcom daj pojednanie
Rosjanom przyjaźń i ład
Rumunom daj trochę wolności*

A Polsce otwórz świat.

Rok 1990

Smak zwycięstwa

*Na zgromadzeniu egzorcystów,
cisza się uczyniła nagła,
gdy w genialnym ktoś przebłytku
zawołał:
— „Koniec, nie ma diabła!
Skończyły czarcie się zakusy
już nie poleci ogień z paszczy,
Drapaka właśnie daje Kusy,
Mefisto już się nie uwłaszczy!”
Od braw zatrzęsła się podłoga
lecz później poszedł szmer wśród stołów:
— „Z kim walczyć, jeśli nie ma wroga?
Kogo przeświecać dziś, aniołów?
Leżących kropić, nie uchodzi,
wiadomo sama zdechnie bestia
Choć wielu twierdzi — nie zaszkodzi —
obowiązuje „gruba kreska”...
Niepokój w serca więc się wciska —
Gdy nie masz draniów i łajdaków,
gdzie ma pracować egzorcysta?
Stanąć w kolejce w pośredniaku?*

Tu ktoś popatrzył do zwierciadła,

i gromko zabrzmiał jego bas:

„A może pora tropić diabła,

co sprytnie skrył się w samych nas”!

Skończyły się wiwaty. Zaczęły reformy. Parlament ukoronował orła, chociaż wielu malkontentów narzekało, iż jest to korona cierniowa. W elitach zapal był większy i dłuższy — ogłoszono zrzutkę po hasłem „Artyści dla Rzeczypospolitej”, prasa rozkoszowała się nieskrępowaną wolnością słowa, witryny księgarskie zaroily się dziesiątkami do niedawna *zapreszczonych* *knig*... Co prawda, już wkrótce okazało się, że jest to towar niechodliwy. Szybko zdaliśmy sobie sprawę, że normalność kosztuje, podczas gdy w swojskim domu wariatów siedzieliśmy wszyscy na koszt państwa (i zachodnich pożyczkodawców). Tyle że nie wszyscy chcieli się z tym pogodzić. W „Okrągłym stołku” pisałem o narastającym oporze społeczeństwa wobec reform:

„Niedźwiedzie tresowane przez wiele lat na rozgrzanej blasze, po zmianie muzyki być może zatańczą zamiast kazaczoka, lambadę, ale spróbujcie namówić je do stanięcia na przednich łapach.”

Kończyłem dość ryzykownie:

„Mój optymizm opiera się na wierze w nasz charakter narodowy. My wytrzymamy! Na złość! Na złość odnawiającej się lewicy, na złość dotychczasowym właścicielom PRL-owskiej masy upadłości. Choćby dlatego, żeby Urban nie mógł napisać w „Trybunie” — „A nie mówiłem” a Rakowski z Miodowiczem nie wkroczyli na Wawel w charakterze opatrnościowych konsulów...”

Chyba przesadził pan z wiara w złośliwość naszego społeczeństwa, panie Wolski! Zresztą nawet wtedy snuł pan całkiem inne wizję:

Spirala

*Pamiętam dawno, w szkolnej sali,
pedagog mój, rewizjonista
rzekł — „Wszystko idzie po spirali,
świat się powtarza, oczywista.”*

*Puściłem mimo uszu słowa,
wpatrzony w jasny cel dziejowy,
dokoła kwitła nam Ludowa,
wśród bzyku trutniów nowomowy.*

*Lecz przeszło wieku pół bez mała
i obrót losów jednak zdziwił —
do Lubomirskich wraca pałac,
w Senacie znowu jest Radziwiłł.*

*Z ekranu kapitalizm zdrowy
zamiast surówki się wylewa,
powraca giełda, plac Bankowy,
na każdym rogu kantor śpiewa...*

*I tylko czekać, kiedy w maju,
załśni na wszystkich transparentach —
„Akcjonariusze wszystkich krajów...”
„Ludzie, nasz wyzysk w naszych rękach!”*

*I tylko nocą, na dnie serca
ogarek lęku wciąż się pali? —
A jak się sprawdzą słowa belfra,
I nie jest koniec to spirali?*

*

ZSYP okrzepł, mimo, że długo nie mógł znaleźć stałego miejsca w programie, dopracował się autorskiego trzonu i stałych rubryk. Ze swego warsztatu obok referatów Nadredaktora, któremu przeszkadzali, buszujący pod mównicą Kryszak z Zaorskim, dostarczałem wierszy i opowiadań, przede wszystkim odcinków „Pamiętnika mojego wnuka”, który jednak dość szybko się wyczerpał. Z Zaorem (wznowieniu uległ tandem autorski Marcin Jędras) zainaugurowaliśmy cykl — „Dwóch panów w Zsypie”, w którym brylowali Janek Kociniak i Wiesław Drzewicz, pisaliśmy też aluzyjne słuchowiska rozgrywające się a to w cyrku, a to na wycieczce, a to w studio telewizyjnym, starając się prezentować w nich reprezentatywne opcje polityczne i rejestrować zróżnicowane nastroje społeczne. Podobnie jak w epoce „60 minut na godzinę” Andrzej dość szybko znudził się cotygodniową pańszczyzną, toteż ja, jak wyrobnik, musiałem ciągnąć manufakturę sam. Odsuwając publikacje wszystkich tekstów na inne czasy, przytaczam jedno z wcześniejszych słuchowisk, przetworzone na opowiadanie do jakiejś, nie pomnę już jakiej, gazety.

Sztuka cyrkowa

Powołany na Generalnego Inspektora Cyrków Zespolonych Wokół Wspólnej Areny postanowiłem zrezygnować z praktyk moich poprzedników, którzy pohukiwali na treserów, sterowali ręcznie żonglerami i wbijali klin między członków akrobatycznej piramidki. Zwołałem plenarne posiedzenie artystów cyrkowych. Tych lepszych. Doświadczenia wielkiego nie miałem, w namiocie cyrkowym nie byłem od dziecka i uznawałem ten gatunek rozrywki za prymitywną uciechę gawiedzi. Sam parałem się od lat krytyką literacką. Sytuacja przedsiębiorstwa była trudna: brak sprzętu, walący się namiot, spadek zainteresowania widowni, emigracja wartościowszych wykonawców, a nade wszystko pusta kasa, której nie potrafiłby zapełnić nawet dyrektor iluzjonista. To wszystko sprawiało, że wszyscy z niepokojem patrzyliśmy w przyszłość.

Zaraz na wstępie, w kwestii formalnej, wystąpił stary klaun. — Mam zastrzeżenia do naszego usadzenia na tej sali — rzekł. I dostał brawa. — Posadzono nas znów jak za dawnych lat. Treserów i wołtyżerów na prawicy, ekwilibrystów i żonglerów w centrum, a nas, rozśmieszaczy, znowu na lewicy.

Tu podniosła się wrzawa. Oliwy do ognia dołał treser papug, który zaprotestował przeciwko nazywaniu go prawicą, skoro siedzi na lewo od najdalej wysuniętego klauna ze skrajnej lewicy.

— Ludzie, cyrk jest okrągły, a arena jest jedna! — zawołał człowiek guma, wyściubiając głowę z węzła w kształcie chatki, w którą był spleciony.

Pociągnąłem za ogon dyżurnego lwa. Ten zaryczał, przywołując na moment zebranych do porządku.

— Panowie, o żadnym podziale na prawicę i lewicę nie ma mowy — rzekłem. — W namiocie jest tylko góra i dół. I ja jestem górą. Ale to nie jest powód, żeby nie wysłuchać waszych postulatów. Bardzo chcę poznać wasze bolączki.

— Jak mam bolączkę, to nie występuję, bo koń się płoszy — powiedziała woltyżerka.

— Ja mam prośbę, żeby zadbać o rekwizytornię — rzucił magik. — Ostatnio wyciągnąłem z cylindra za uszy, zamiast króla, waleta, a pałeczka magiczna okazała się gazurką, która przetrąciłem sobie kolano. Potem już wołali jeden przez drugiego. Orkiestra protestowała przeciwko uczeniu zwierząt gry na instrumentach, gdyż to groziło im bezrobociem (zwierzęta mogły otrzymywać niższe stawki). Następnie znów rozgdał się klaun:

— A ja i mój partner Koko nie będziemy już dłużej pracować za friko! Równocześnie cały czas do głosu rwał się ryży szympans, ale jako nie posiadający strun głosowych pokazywał wyłącznie coś na migi. — Nie znałem, niestety, tego języka. Przerażony ogromem drobnych spraw i zalewem prywaty, ponownie zabrałem głos. Krótco przedstawiłem naszą sytuację ekonomiczną i postawiłem formalne pytanie: „Jeśli oszczędności, to czym kosztem?”

— Należy zrezygnować z tresury — powiedział prestidigitator. — To niehumanitarne, a jakie kosztowne! Jeden słoń zżera kartofle, którymi można by wykarmić cały internat lub jednostkę wojskową. Spotkało się to z natychmiastową repliką treserki. W odwecie zaproponowała rezygnację z magii, która — jak powszechnie wiadomo nie istnieje, a skazuje obywateli na pełne nieuzasadnionych nadziei iluzje.

Akrobata parterowy wnioskował o likwidację ewolucji powietrznych, argumentując kosztami importowanej siatki i brakiem sznurka do snopowiązałek, którego kilometry idą na cyrkowe drabinki. Na koniec wszyscy zaatakowali klauna twierdząc, że głupie żarty kosztują najwięcej.

— W czeskim cyrku wystarczył skecz na dwa tysiące słów — powiedział człowiek guma — a czołgów z areny nie można było wymieść przez dwadzieścia lat.

— Gratuluję elastyczności — odparował klaun. — Jeszcze niedawno spletał pan swoje członki w miot i sierp w otoczeniu kłosów, a już wczoraj widziałem w próbach „Pogoń po litewsku”.

Dyskusja zaostrzyła się, w ruch poszły pejczy treserów, pałeczki magików, a nawet nosy klaunów. Mogłem tylko zacierać ręce. W obliczu finansowego krachu firmy, najbardziej obawiałem się solidarnej postawy załogi, atak każdy usiłował utrzymać swoje apanaże kosztem innych. W trakcie wymiany zdań i ciosów runęła dekoracja i zapadła cisza. Potem odezwały się chichoty. Musiałem się obejrzeć. Tuż za mną ryży szympans kończył mozolnie pisać na piasku areny postulat, z którym nie udało mu się przebić językiem migowym. ZREZYGNOWAĆ Z ADMINISTRACJI! TO 150 ZBĘDNYCH ETATÓW! Obecnie jestem redaktorem w kwartalniku „Sztuka cyrkowa”, „. Krótki staż na arenie bardzo mi pomógł w zrozumieniu tajników tego

szlachetnego zawodu. Artyści lubią mnie, dla każdego mam dobre słowo. Tylko jak sobie pomyślę o tej małpie...! Mało że szympan, to jeszcze na pewno Żyd!

I jeszcze jedno krótkie opowiadanko z tamtych czasów.

Piwnice muzeum

Wiadomości rozchodzą się szybko. Toteż plotka o zadymie, która z braku innych obiektów — Komitet już stał się żłobkiem, komenda — szpitalem, a dacza sekretarza — izbą Wytrzeźwień, miała skierować się przeciwko Muzeum, błyskawicznie dotarła do piwnic gmachu, wzbudzając zrozumiały lęk wśród zgromadzonych tam eksponatów.

— Rozkruszą nas na granulki — wołały zasłużone biusty tytanów myśli.

— Oddadzą na makulaturę! — jęczały portrety i produkcyjne oleodruki.

— A kogo nam wsadzą? — żaliły się ramy, nie tyle z lęku, ile wrodzonego wygodnictwa.

— Potem będą żałować, ale będzie za późno — zaskomlił rulon z hasłem „Trzy razy Tak”.

— Nie czekajcie beczynn timer, zróbcie coś! — zaproponował Duch Piwnic, pamiętający jeszcze czasy cara Mikołaja, który nie miał powodu lubić nowszych lokatorów, ale tej nocy obudziła się w nim ogólnomuzealna solidarność.

— Ale co? Nie da rady uciec. — ozwał się tors Włodzimierza Iljicza półpaścem zatopiony w beton.

— Zawsze możliwa jest charakteryzacja! — zawołały pomniejsze duszki, wszelkiego rodzaju lary i pętaki, patronujące pędzłom, wiadrom, dłutom i barwnikom — Nie święci garnki tłuką!

Kiedy nad ranem przybyła ekipa twórców zrzeszonych, aby pozabierać własne arcydzieła, nie poznała eksponatów. Oto płótno „Podaj cegłę” zmieniło się w obrazek „Podaj cegiełkę na fundusz Mazowieckiego”. Robociarzowi z kołem sterowym domalowano wąsy i znaczek w klapie (klapę zresztą też domalowano), zaś dzięki rozszadzie literek napis PARTIA zmienił się w wyraz PATRIA! Czterej Klasycy ustawieni profilami wyglądali dokładnie jak Sofokles, Ajschylos i Eurypides, w towarzystwie Arystofanesa, oczekujący na minister Cywińską. Przędzące dójki udawały teraz pasterki z Arkadii, proletariaczyków odziano w rzymskie togi, a obrazy z rewolucji przekształcono w manifestacje społeczeństwa Nikaragui po wyborach zmiatających ze sceny komunę...

— Patrzcie już się pozbyto dzieł naszej niesłusznej młodości — zauważył jeden czcigodny

twórca.

— A może tylko schowali je na lepsze czasy? — dorzucił Zasłużony Działacz Kultury. I wyszli.

Zadymiarze opanowali gmach około południa. Poszły w ruch łomy i młotki a na dziedzińcu zapłonęły stopy plakatów i oleodruków.

— I pomyśleć, że ginę jako Sokrates! — westchnął Stalin.

— A ja jako Scypion Afrykański! — wtórował mu Janek Krasicki. Niestety, podczas samocharakteryzacji nikt nie przewidział, że zdobywcy nie będą rozróżniać niuansów między Agryppiną Starszą, a Nadieżdą Krupską. Bywa.

*

W burzliwych czasach politycznego przełomu kabaret na chwilę zamilkł. Zresztą wobec rozbuchanego życia politycznego nie stanowił poważnej konkurencji. W telewizji pojawiły się Otwarte Studia (przy okazji uchylono również drzwi). Ludzi „Sześćdziesiątki” zaabsorbowało radio. Wróciły nasze nocne sesje z Andrzejem Zaorskim. W dodatku wszystkie stare teksty stały się naraz okropnie nieaktualne, a wiadomo, że estradowcy, patentowani lenie, nie cierpią nowych utworów, zanim się ich nie nauczą, zaś uczyć się nie lubią jeszcze bardziej. Sytuację autora komplikowało jeszcze co innego. Korciło mnie, by dokładać komuchom za całokształt, za zmarnowane lata i za brak rzetelnego rachunku sumienia, ale wyniesiona z domu kindersztuba zniechęcała do kopania leżącego. Że leżący wcale nie leżał, tylko przykucnął, mieliśmy się dopiero dowiedzieć. Z kolei atakowanie „swoich”, kiedy i bez nas mieli dość problemów, z ogromem masy upadłości, z apatycznym społeczeństwem, z pojawiającymi się hasłami „Komuno wróc” — zakrawało na dywersję. Nie zgadzałem się z zasadą głoszoną przez niektórych kolegów, domagających się od satyryka bezstronności, dokładania wszystkim po równo i atakowania przede wszystkim rządzących. Przecież byliśmy również obywatelami, ludźmi o określonych poglądach i rodowodach. Jeśli mieliśmy Nasz Rząd, a ten wdrażał Nasz Program i to o wiele śmielszy niż rok wcześniej mogliśmy zamaryć, dlaczego mieliśmy podstawić mu nogę?

Pozostawało więc krytykowanie szczegółów, bez ruszenia generalistów...

W nastroju obywatelskiej troski włączyliśmy się też w akcję „Artyści dla Rzeczypospolitej” (co nie przeszkodziło podśmiewaniu się z niej w ZSYP-ie „Nie stój nie czekaj, pomóż i uciekaj!”). Pewnego razu zaproponowano nam charytatywny koncert w Toruniu. Kabaret właściwie nie istniał, zebraliśmy się w czwórkę: Kryszak, Zaorski plus akompaniator Maciek Domagała, by radzić, co jeszcze możemy pokazać? Dylemat rozstrzygnął Andrzej, wymachując broszurką wydaną przez „Tygodnik Demokratyczny” z naszą radiową szopką...

— Jest za mało czasu żeby się nauczyć, ale przecież można czytać z książeczki.

W auli Uniwersytetu Toruńskiego odnieśliśmy prawdziwy sukces. Standing ovation. Bisy... Nie wróciliśmy tej nocy do domu. W długiej, zakrapianej suto nocnej debacie w hotelu Helios urodził się pomysł nowego wcielenia Kabaretu „Sześćdziesiątka” — „Polskiej Szopki Całorocznej”.

Podczas premiery 1 maja w sali podupadającego kina „Klub” nad trasą Łazienkowską zapowiadałem ją tymi słowami:

Polska szopa trwa okrągły rok. W odróżnieniu od wszystkich innych szopek dzieli się na żłób, oraz tych co mają i nie mają do niego dojść. Jest gościnna, choć spośród wizytujących ją królów istnieje społeczne przyzwolenie jedynie na Węgra i Francuza, Murzyna pogonili, a jego zmiennika Cygana pobili... W polskiej szopce nikt nie chce robić za bydlęta. Wolą do senatu. Na mocy kompromisu diabełka z aniołkiem, Herod ma dotrzeć do końca kadencji. Co do naszych pastuchów, jedni uważają, że winni pozostać, a drudzy, że mają zabierać swe czołgi i wracać do domu. Poza tym pustawo. Józef z Marią wyemigrowali. Miał być Egipt skończyło się na RFN-ie. W polskiej szopce jest wprawdzie miejsce na gwiazdę (w koronie), ale do tej pory nie ustalono jeszcze jej kształtu: pięcioramienną uznano za zbyt bolszewicką, sześcioramienna pachnie czosnkiem, czteroramienna, to dobre dla brydżystów, trójramienną ukradł Mercedes, a dwuramienna to kompas...

A poza tym serdecznie wszystkich zapraszamy. Muzykę do niej skomponował Szopen, teksty ułożył Szopenhauer, a scenę umyśl szop pracz. Niestety wskutek zastrzeżeń episkopatu nie będzie to porno-szopa. Zaczynamy!

Nie mieliśmy naturalnie pojęcia, że znaleźliśmy patent na całe lata, że obrodzi on licznym odnózkami, prowadzącymi do ogromnego sukcesu, a potem do rozpadu. Początkowo zamierzaliśmy podpierać się na występach lalkami, sygnalizującym kto gra kogo, rychło jednak okazało się, że umowność jest dużo skuteczniejsza, zwłaszcza że po krótkim czasie Zaorski, Kryszak i Jola Zykun (weszła na zastępstwo za Ewę Wiśniewską i została już na parę tysięcy spektakli) nauczyli się sztuki parodii. Co pewien czas dołączał do tego składu Marian Opania, specjalizujący się w parodiowaniu Rakowskiego, generała Siwickiego, a później Jelcyna. Ogromnie pomocne okazało się spotkanie z utalentowanym parodystą — Waldemarem Ochnią, który jak mało kto potrafił wyodrębnić charakterystyczne cechy wymowy parodiowanej postaci. Parodia parodii była zdecydowanie łatwiejsza. Tym bardziej, że aktorzy nie koncentrowali się wyłącznie na imitacji głosu, parodiowali gesty, charakter, przekazywali osobowość. Wałęsa czy Geremek Zaorskiego po prostu byli ekstraktem wałęsizmu czy giermekowstwa. A Skubiszewski czy Mazowiecki w wykonaniu Jurka Kryszaka wydawali się lepsi od oryginałów.

Do autora obecnego w ekipie należała troska o stałą aktualizację. Materiału nie brakowało, co rusz dopisywałem nowe teksty, a jeszcze tej wiosny powstała (przy współpracy z Majewskim) radiowa **SZOPKA W JAJKU**.

W niej pozostający ciągle w Ministerstwie Obrony **GEN. SIWICKI** na mel. „Towarzystwa weteranów” tak komentował pojawienie się w resorcie solidarnościowych wiceministrów.

SIWICKI

— Nagle w *MON*–ie się zjawili jacyś dwaj cywili,

znaczkę przyszpili, wąsy jak badyli.

Nic nikomu nie mówili, resort mi rozbili,

co by *Dżugaszwili* na to rzekł?

Ech, co to za bajzel w tym woju,

koniec drylu i spokoju.

Odpocząłby człek po znoju,

A tu nie ma gdzie!

Zniknął związek bojowników

każdy znał tych byków,

władzy utrwalaczy, więcej nie zobaczysz.

Zmienił *ZBOWID* jak *Światowid*

profil swój na inny

i już jest niewinny, jak dziecko jest.

CHÓR

— Pan *Onyszkiewicz* ma racje,

robiąc nam cywilizację,

SIWICKI

— Oj, chyba już na wakacje

przyjdzie wcześniej pójść.

A *General* tirlu pirlu, też wypada z gry,

o Okrągłym Stole nawet już nie śni.

Nie poduma o Hetmanie, ni o szpadzie on,

kiedy na dywanik — paszoł MON!

Sytuacje komentowałem od stolika

— Nie jednego lękiem zdjęło

przejsście z MON-u na stereo.

Zaraz odzywał się kreowany przez Kryszaka, urzędujący jeszcze prezydent **JARUZELSKI** wspominający na mel. „Takiemu to dobrze” swoją karierę.

Kiedy na plenum, po ostrych zdaniach,

ustąpił z funkcji towarzysz Kania

ja biorąc urząd w żołnierską rękę

nucilem cicho znaną piosenkę:

Takiemu to dobrze, takiemu dobrze —

Opuścił w porę ten cały kram,

takiemu to dobrze, takiemu dobrze,

ja w perspektywie stan wojenny mam”.

Kiedy po sporach, groźbach, napięciach,

szedł w noc grudniową kapral Wałęsa,

do Arłamowa na sen zimowy,

ja pomyślałem, że mam go z głowy.

Takiemu to dobrze, takiemu dobrze,

*opuścił z twarzą przegraną grę,
takiemu to dobrze, takiemu dobrze,
a ja w tej magmie, po okular tkwią.
Gdy Jesień Ludów beton nam orze
Todor w szpitalu, Erich w klasztorze,
Jakesz też przegrał na swoim ringu,
ja myślę dziś o Teng Siao Pingu...
Takiemu to dobrze, takiemu dobrze,
nie grozi rozłam, zbyt ni luz,
takiemu to dobrze, takiemu dobrze,
Niebiański Spokój ma i szluz.
Więc, kiedy przyjdzie rozstać się z władzą,
lepiej jak puszcza niż jak posadza...
Jeszcze historyk me uzna męstwo,
ja tak pożegnać chcę społeczeństwo:
(zmieniając melodię) Nie płacz kiedy odjadę...*

Odmienny nastrój wносиła Jola Zykun (jako Małgorzata Niezabitowska) śpiewając, w nawiązaniu do pierwszej wyprawy Mazowieckiego ze swą rzeczniczką do Moskwy na melodię „Mój pierwszy bal”

NIEZABITOWSKA

— (...) *Mój pierwszy rząd!*
Jak ten premier prowadzi wspaniale!
Czasem błąd.

Ale ważne by dobrze się znaleźć!

Rząd z kreską, na przeszłość,

Biedny rząd,

I kredyty co tylko się śnią.

Mój pierwszy rząd, koalicyjny rząd,

Pod lokiem blond,

Nasz pierwszy, ostatni rząd.

Raz jest Londyn raz Moskwa,

Dziennikarskiej szarańczy

Tu i tam trzeba sprostać

Lub z premierem zatańczyć,

Na golonce u Konia

I u Thatcher na herbacie

Lub w stołówce na Starym Arbacie.

Mój pierwszy bal — i zdziwione kamienie Łubianki

Komu żal, że czekał się udają baranki?

Bal z Miską, na przyszłość

By się zdał

Lecz jak długo tan będzie trwał? (...)

Nie mogło zabraknąć w szopce odnowionych Socjaldemokratów. W wersji radiowej reprezentowali ich **KWAŚNIEWSKI** i **FISZBACH**, którego, gdy okazało się że z PUS-u wyszedł pic, trzeba było bardzo szybko zastąpić na estradzie **MIODOWICZEM**. Inspiracji i melodii dostarczyli „Tanie dranie” Wasowskiego i Przybory.

Myśmy socjaldemokraci,

Jądro lewicowej braci,

Jedno jądro partia twa,

Drugie jądro związek twój

A ogólnie — twardy... znój!

Zdrowia, szczęścia dla każdego

Dobrobytu od pierwszego.

Dolce vita dla staruszków

Cały naród na garnuszku.

Równe płace, równe ceny,

Równy dostęp do anteny.

To że wszystkich będzie stać...

Gwarantuje nasza brać

Refren (...)

By inflacji zdechł tasiemiec,

By nie napluł nam w twarz Niemiec,

By miał każdy w garnku kluski

I pozostał tu czołg ruski.

Nie wykupił nas kapitał

Bezrobocia nikt nie witał,

Żeby każdy mógł tu spać.

Gwarantuje nasza brać!

MIODOWICZ

— Tak, brać... brać co swoje towarzysze i w nogi...

Króciutki był okres solidarnościowego tryumfu, króciutki. Bardzo szybko świat ujawnił swój pluralistyczny charakter. Szybko też okazało się, że brzmiący dumnie termin Homo S. oprócz „homo sapiens” może oznaczać również — „homo solidaricus”, „homo sovieticus” i homoseksualista.

Ze spaceru

Szliśmy sobie z kolegą Krakowskim Przedmieściem, mijając co parę kroków rozmaitych facetów z wystawionymi kapeluszami i tabliczkami typu „Była nomenklatura prosi o wsparcie” albo „Bezrobotny lektor KC poczyta do snu twemu dziecku, jako baby-sitter”. Niektórzy z siedzących mieli białe laski lub ciemne okulary, jeszcze inni reprezentowali różne gatunki kalectw. Kolega bywały w sferach tłumaczył mi precyzyjnie — Ten stracił chody, ten plecy, ten zobaczył tak jaskrawo swoje błędy, że osłupiał, ten przeciwnie, w momencie gdy zgasło jego życiodajne słońeczko — ociemniał. Nie byli nachalni, nie, raczej przygnębieni, zaskoczeni swoją nieoczekiwaną rolą. Jeden na wysokości „domu bez kantów” wygrywał na ustnej harmonijce „Spoza gór i rzek”, ale na życzenie przechodniów chętnie zmieniał repertuar na „Pierwsza brygadę”. W bramie Uniwersytetu dwóch marcowych docentów w szatach pokutnych (aliści z gronostajowymi kołnierkami) posypywało sobie głowę popiołem z dzieł Lenina. Pod kościołem Wizytek grupa byłych aktywistów leżała krzyżem nasłuchując, co piszczy w betonie, ale całym Traktem Królewskim od strony Ambasady Ościennego Mocarstwa niosło się ino tęskne „Nie ma przewodniej roli, nie ma przewodniej roli”. Za to kilku obrotnych młodzieżowców pod Hotelem Europejskim urządziło stoisko z dewocjonaliami. Grupki turystów kupowały zdemobilizowane krawaty organizacyjne oraz losowały talony na cegiełki z Pałacu Kultury, aczkolwiek na temat jego losów w kręgach decydentów nie było jeszcze jasności: Czy sprzedawać po kawałku w charakterze uzupełnienia odcinka Żelaznej Kurtyny z Węgier i Muru z Berlina, czy też zwrócić ofiarodawcom? Tylko na czyj koszt? Gorzej szło z partyjną bibułą, ratowano się więc sprzedażą wiązana i do najnowszego tomu Fryderyka Forsytha dorzucano pięć kilo dzieł Mieczysława Rakowskiego. Tak doszliśmy do Pałacu Rady Ministrów, gdzie powstało małe zbiegowisko. Jakiś mężczyzna w sile wieku przykuł się — pożyczonymi zapewne — kajdankami do jednego z kamiennych lwów. Pytany, w jakim celu to robi, odpowiadał stanowczo: — Chcę władzy! Niektórzy z przechodniów usiłowali tłumaczyć nieborakowi bezsens takiego postępowania i radzili, jeśli już musi, żeby pisemnie zwrócił się do Pana Boga albo Pana Wałęsy, ale przykuty tylko potrząsał głową.

— Chcę władzy!

— Podobno głoduje od tygodnia — powiedział jeden z gapiów.

— A od miesiąca nie czyta prasy — dorzucił inny.

— Wygląda jak Prometeusz — zauważył kurdupel o powierzchowności intelektualisty.

— Prometeusz, Prometeusz? — zainteresował się osobnik o aparycji zwolnionego majora bezpieczeństwa. — To możliwe, od tygodnia, co pewien czas przylatuje tu jakiś ptak i szarpie mu...

— Wątrobę?

— Na razie garniturek.

— Sęp? Kania może? — zapytał mój kolega.

— Nie znam się na ornitologii — powiedział eks-major — ale raczej wrona.

Na chwilę zapadła cisza, którą przerwało wycie wichru, brzęk łańcucha i głos:

— Chcę władzy!

— Właściwie to wygląda, że ma kwalifikacje — powiedziała długonoga dziewczyna o twarzy studentki i ciuchach kurtyzany. — Ta twarz, sylwetka...

— Ale władza już nie leży na ulicy — powiedział młody ksiądz, który przystanął na moment i pobłogosławił cierpiętника.

— Chcę władzy!

— Ale po co — zapytałem z głupia frant. — Władza to przecież ciężar, ryzyko...

Nie odpowiedział, ale tłum skomentowali — Bo pewnie lubi, przyzwyczał się.

— No to na odwyk, na odwyk! — poradził osobnik o nosie czerwieńszym od malin.

Protestujący nie zareagował na te propozycje.

— Cholera — powiedział staruszek z pieskiem — jeśli wytrwa, to jeszcze dostanie. Teraz rząd ma miękkie serce i wszystko można na nim wymusić. Wymusili już zamknięcie elektrowni atomowej w Żarnowcu...

— Chcę władzy!

I wtedy pojawiła się ona. Wiośniana, jędrna jak pałka z oddziału prewencji, niebieskooka i jasnowłosa, w stalowym mundurku — pani Władza. Jednym ruchem odczepiła kajdanki, drugim przytuliła biedaka.

— Dobrze — powiedziała krótko i namiętnie pociągnęła go do radiowozu.

Tłum począł się rozchodzić, a ja pomyślałem, czując jak mi serce rośnie, że po raz pierwszy

zobaczyłem Władzę tak blisko obywatela, choć kolega marudził, że na razie są to na ruchy ciągle w obrębie tej samej struktury

Jak to się czyta po latach? Przez łzy nad własną naiwnością? A swoją drogą opisany demonstrant nie potrzebnie się przykuwał, parę latek minie, a lwy sprzed pałacu aportują mu wymarzoną władzę na powrót do rączek. Wystarczyło się przyczaić jak kret w poniższej piosence.

Kon–kret

(muz. Andrzej Janeczko)

Obywatele, to wszystko pic.

Pora się skryć i zacząć ryc.

*Gdy na powierzchni zabiorą etat,
zawsze się można zamienić w kreta.*

*A kret, jak mówią skrypty Pawłowa,
To „mała świnka futerkowa”.*

*Lepiej być kretem niż kretynem,
pod ziemia da się przeczekać zimę.*

*Na zewnątrz mogą grozić procesem,
który kret mógłby przegrać z kretesem.*

*Dlatego wspólnie do głębi zstąp,
tak udowodnisz, żeś nie jest głąb.*

*Jeszcze przyjdzie czas na krety,
wrócą gąże, premie, diety...*

Gdy historii burza przeschnie,

wyleziemy na powierzchnię (...)

Wszak kret jest, zgodnie z wiedza tajemną,

krzyżówką orła z łodzią podziemną!

Jeszcze przyjdzie czas na krety,

wrócą misje, ONZ–ty,

gdy w męczeńskiej aureoli,

do dziejowej staniem roli.

Program tajnie będzie szedł,

aż ogłosi nasz Sek–kret... (aż!... ogłosi)

Na razie sekretarze byli jeszcze w defensywie, przybywało za to nam nowych świat mimo że nie ubywało starych. Toteż do kolejnego ZSYP–u wspólnie z Zaorem zaproponowaliśmy —

Reformę kalendarza

Po tegorocznych doświadczeniach z komasacją świąt od przyszłego roku wprowadzona zostanie Wiosenna Dekada Świąteczna. Rozpocznie ją 29 kwietnia Lany Poniedziałek — Święto Policji państwowej i młodej emigracji zarobkowej, według zasady: policja — leje, młodzież — pryska.

30 kwietnia — Wolny Wtorek, na który planuje się przeniesienie Sylwestra. i maja — Święto Lewicy

2 maja — Święto Centrum

3 maja — Święto Prawicy.

4 maja — Święto Mniejszości Narodowych (Przeniesione z 22 Lipca). Przy okazji — szabas.

5 maja — Dzień Większości Narodowych przeniesiony z 11 listopada.

6 maja — Zaduszki.

7 maja — Nowy Rok

8 maja — Wigilia (Dnia Zwycięstwa)

9 maja — dzień Zwycięstwa — Cudu nad Wisłą (Przeniesiony z 15 sierpnia)

Przy okazji, korzystając z ogólnej dostępności kwiatów przeniesie się na tę dekadę wszystkie popularne Imieniny. I Urodziny. Czerwonych kartek do kalendarza też nie zabraknie. Tyle legitymacji oddano na makulaturę...

Przy okazji ogłoszenie drobne. Po ogłoszeniu przez Bundesbank o wymianie marek na marki (NRD-owskich na RFN-owskie) Narodowy Bank Polski potrzebuje dobrego wujka, który wymieni nam złote na złoto.

Oprócz dowcipkowania zabierałem głos niekiedy w poważniejszej tonacji. W felietonie **PRAPRZYCZYNA** pisałem o poszukiwaniu autora „Roku Ludów”.

(...) Wersja obowiązująca cały postępowy świat brzmi — W imperium zła pojawił się dzielny królewicz — Michaił Wallenrodow. Ogłosił pierestrojkę, zainicjował zmiany i poszło. Stąd bałwochwalcza (choć wyraźnie nieodwzajemniona) miłość do Gorbiego i lęk żeby mu nie zaszkodzić — Złe moce nie śpią... Stąd niechęć do Litwinów, którzy mogą popsuć genialne przekształcenie Związku Radzieckiego w Związek Naprawdę Bratni, co wreszcie ogranie ludzki ród... Biedny Gorbi. Obsadzają go w roli Piotra I, a może to najwyżej jakiś Ludwik XVI, lub co gorsza Mikołaj II? Żaden wielki reformator, tylko zręczny (chwilowo) gracz defensywny — co próbuje pułapek offsjadowych, zwleka, gra na czas, czasem skonstruje... Czy ogłosił pierestrojkę dlatego że chciał, czy może musiał? Ocenimy z historycznego dystansu. Na szczęście dysponujemy tym dystansem w chwili, gdy obchodzimy 70. urodziny Naszego Papieża. Wielu przyznaje mu rolę demiurga, katalizatora, wreszcie zapalnika wydarzeń w Polsce. Przybył, uświadomił ludziom siłę solidarności, powie — dział: „Nie lękajcie się...” I poszło!

Moim zdaniem rola Jana Pawła II jest o wiele głębsza. Nasz Wielki Rodak przełożył zwrotnicę intelektualną, dowiódł że świat nie musi kręcić się wyłącznie w lewo, a intelektualista nie musi być obowiązkowo socjalistą... (...) Nareszcie można było podważyć nie tylko praktykę „najlepszego z możliwych ustrojów” ale i same zasady. (...) Przez wiele lat futurologi i fantaści daremnie usiłowali wyobrazić sobie rozmaite warianty Końca — ograniczoną wojnę nuklearną, walkę o władze na Kremlu. Któż przewidział, że przełom, jak zresztą większość zwrotów w historii dokona się najpierw w sferze Ducha. Który, jakby nie było odmienił oblicze nie tylko naszej ziemi. Tej Ziemi.

Podniosły ton felietonu nie zmienia faktu, że po zwycięstwie Duchowi przyszło zmagać się z

materia wyjątkowo oporną. Choć ciągle żyliśmy w epoce cudów.

Przeciętny

O Nowaku zwykło się mówić, że taki jak on prochu nie wymyśli. Cóż, faktycznie była to chodząca przeciętność, szary, wytarty garniturek, płaszcz za krótki o dobry metr, buty gdzieś po piątym żelowaniu. Czy był w pokoju, czy go nie było, jego kąt zawsze wyglądał jak pusty. Nie awansował, nie dostawał odznaczeń, nie pytano go o zdanie, co najwyżej czasami ktoś przemówił w jego imieniu. „W imieniu takich jak wicie, obywatel Nowak i szerokie rzesze jemu podobnych”. Nowak ożywił się dotąd raz w życiu, było to na zebraniu związkowym z początkiem grudnia roku pamiętnego. Poprosił wtedy o głos. Prowadzący się zdziwił. A przez całą salę przeszedł szmer. Po co się miernota wrywa, gdy przy głosie sami złotouści? Przecież taki jak on prochu nie wymyśli! Nowak długo nic nie mówił, a potem wyciągnął z kieszeni papierową tutkę.

— Co to jest? — zapytał prowadzący.

— A to proch właśnie!

Trochę zrobiło się huku, ale pomysł z produkcją środka wybuchowego uznano za przedwczesny, a w dobie powszechnego dialogu za prowokacyjny. Potem Nowak dłuższy czas milczał, a że był szary, to nawet komisja weryfikacyjna go nie zauważyła. Chociaż u nas w pokoju zaprzestano jakoś używać tego powiedzonka o prochu. No, bo faktycznie, jedno mu się akurat udało. Dużo później, kiedy podczas reorganizacji przestawialiśmy biurka z układu alfabetycznego na według zasług, nasz szef rzucił:

— Nowaka można posadzić przy oknie — nie orzeł więc nie wyfrunie.

I przyłgnęło. Znow życie toczyło się biurowo — sennie. Znow Nowak egzystował tak jakby go nie było, co najwyżej bułkę na parapecie gołębiom kruszył i obserwował ptaki. Kruszył i obserwował. Aż wczoraj zjawił się ze zmienioną twarzą, skrzydła okna szeroko otworzył i dawaj, gramolić się na parapet.

— Nowak, co panu? — zaniepokoił się szef. — Owszem jest pluralizm, ale żeby tak wietrzyć?

— Już wiem, jak to się robi — padło w odpowiedzi — Zaraz wam udowodnię!

Rękami wykonał parę gestów i na sekundę, może zresztą mi się tylko wydawało, uniósł się pięć centymetrów nad parapetem. — Człowiek może latać, a wicie, dlaczego nie latał?

— Jak kto, ja tam się w ciągu dnia tyle nalatam — zażartowała księgowa ale reszcie nie było

do śmiechu.

— Nie latał, bo nie wierzył, że możliwe. Ale dziś w dobie kiedy niemożliwe stało się rzeczywistością... Kiedy nasz naród...

— No, no, no — łagodnie powstrzymywał go szef. — Nie wygłupiaj się pan...

Jednak Nowak już był na zewnętrznym parapecie,

— Nie orzeł, nie pofrunę? — kwilił ptasio — no to zobaczycie! Jakoś udało się nam zbiorowym wysiłkiem ściągnąć go na ziemię. Jedni, bo bali się, że nie polecą, tylko wyrznie o beton pięć pięter na dole, a inni... a nuż rzeczywiście się wzbije. I, co gorsza, każe nam iść w swoje ślady. Przesunęliśmy go zaraz z biurkiem na poprzednie miejsce, koło elektrycznego czajnika, (szepcząc po kątach „Może nam nagwizdać!”) szef dał mu na piśmie, że uważany jest za orła w działalności biurowej, a kolektyw postanowił nawet zrobić mu na imieniny zrzutkę na koronę.

Polskie niebo

Gdy w koło klóć się zaciekle

Jeden drugiego zgnoić rad,

Powraca zwrot o „polskim piekle”

Znany od wielu smutnych lat.

Piekło gdzie diabeł nas nie strzeże

Bo każdy baczy na bliźniego,

Dziś raczej warto spytać szczerze —

A jak wygląda „polskie niebo”?

Czy mówią tylko tam po polsku,

A mniejszość z praw swych nie korzysta,

Zaś każdej chmurki strzeże swojsko

Anioł indywidualista?

*Czy obok równych są równiejsi,
I co z protekcją, tam na górze?
Czy można się do raju wkręcić,
Po znajomości, dziurą w murze?
Czy mądrych tam traktują ciepło,
Czy znajdzie kącik się dla świrów.
Czy struny harf, to przemyt z piekła,
Czy własny rzemieślniczy wyrób?
Czy z nonszalancji i lenistwa
Plus bałaganu w kartotekach,
Przyjmą tam nawet niegodziwca,
Jeśli potrafi ponarzekać?
Ach, pożyczby człek w tym zaścianku...
A jeśli nie ma tam zaścianka?
Jest chłodny raj dla protestantów
I wschodni — śpiewy, plus grazdanka
Jeśli nie dla nas Ogród Hurys
Nie będzie piwka i wódencji...?
To może lepiej, miast do góry,
Pojechać w dół. Do konkurencji.*

Zaraza demokracji nie zatrzymała się na środkowej Europie, Gorbaczowowi wyrósł poważny konkurent w postaci Jelcyna. Żartowaliśmy sobie wówczas — „Co to będzie jeśli Rosja wystąpi ze Związku Radzieckiego?” I znów dowcip wyprzedzał rzeczywistość. Coraz bardziej burzyła się Pribałtyka, co komentowaliśmy na bieżąco w szopce, kibicując braciom Litwinom na mel. „Mambo Spinoza” z Kabaretu Starszych Panów:

*Ostatnio coraz więcej krzyku,
Na Kreml dociera znad Bałtyku,
Panika wzbiera pośród sitwy
Tonący chwyta się Litwy.
Blokadą chce secesję gromić,
Ale zaraza już w Estonii
Dogadać trudno się na migi.
Do Rygi jechać strach...*

CHÓR

*— Sajudis — nie imię to dziewczyny,
Sajudis — to nie z importu lek.
Sajudis — nie nazwa to rośliny,
To jest ruch dzielny, nowy, przebojowy,
Czapkę przed nim zdejm,
Sajudis — dziś litewski Sejm!*

Jeśli idzie o ZSYP, życie wymuszało formy coraz krótsze bardziej satyryczne, a w konsekwencji bardziej doraźnym charakterze Taką pozycją stał się, mój **KRÓTKI KURS WKP (b)** — oczywiście skrót ten nie oznaczał, jak w latach stalinowskich Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) lecz zawołanie, z którym Krzysztof Kowalewski — kulturalno oświatowy lektor, w skrócie K.O.Lektor, witał się ze słuchaczami — „W kapitalizm przejdziesz bezboleśnie!”

Krótki kurs — kto idiot?

Obywatelu! Słyszysz, to już idzie? Nie słyszysz? Ale wiesz chyba, jak się zachować. Mądrość ludowa uczy przecież, że należy przyłożyć ucho do szyny, aby wywołać pociąg z lasu, lub nos do talerza, by wywołać kierownika lokalu. W naszym przypadku wystarczy przytknąć ucho do kieszeni i posłuchać, co komu w portfelu gra? U jednych bieda aż piszczy. A u drugich słyszą szelest nadciągającego kapitału, tak że złotówka zielenieje z zazdrości.

Oczywiście na wizytę kapitału, do niedawna obcego, należy się zawczasu przygotować: Przeczytać dzieło Karola Marksa, bo wprawdzie nie chodzi o ten „Kapitał”, aleć zawsze rodzina! Można kupić dziecku grę „Eurobiznes”, niech za młodu skorupka nasiąka. No i pilnie trzeba uczyć się języka. Jakiego? Rosyjskiego! A dlaczego rosyjskiego? Odpowiedź jest prosta i wcale nie brzmi, że najłatwiej, albo z przekory — O nie! Jak wszyscy zauważyli, większość krwiopijców — kapitalistów, nie śpieszy się z inwestowaniem u nas. Mimo, że to myśmy ten realny socjalizm załatwili sobie i innym, „za waszą i naszą kasę”! Premie wypłacają tylko Enerdusom. Kapitalista pcha się na Węgry, bo nie rozumie języka, choćby mu tam mówili, że: „suto forse ne zarobisz”. Lezie do Czechosłowacji, bo przynajmniej dobrego piwa tam nawarzyli, zagląda do Rumunii — bo tam nie ma długów i nie wolno strajkować. A nawet, bywa wdepnie do Bułgarii — bo jest tam ciepło, a będzie gorąco. Ale przede wszystkim ciągnie go do ZSRR, A dlaczego? Bo łatwo trafić do dużego kraju. Poza tym kiedyś kapitalista okropnie się bał, czując oddech Lenina na karku, a teraz może się popisać swoją odwagą. Poza tym, ma wyrzuty sumienia za Alaskę, zakupioną za bezcen. A my? Co możemy zrobić w tej sytuacji? Zachowujemy spokój. Uczymy się rosyjskiego. I nie denerwujemy się, że ten kapitał nad naszymi głowami przepływa, przepływa i bardzo rzadko coś kapnie. Uczymy się rosyjskiego, bo będzie jak znalazł, kiedy ten kapitał będzie stamtąd wracać. W podskokach!

Polskie drogi

*Różne były w przeszłości nasze polskie drogi,
za chlebem, lub Big Maćkiem w świat niosły nas nogi.
Prowadziły na Zachód, na handelek szybko,
lub na dłuższe wakacje, za Ural, kibitką.
Były polne, na skróty, znajome od dziecka,
w tym jedna autostrada, jeszcze ponemiecka.
Czasem wiodły do celu, ale częściej obok,
tak, że koszty wędrówkę wypadały drogo.*

*Raz pod prąd a raz objazd, tu znów szlak się urwał
tam zakręt niebezpieczny... (Po łacinie krzywa)
Ówdzie jakiś drogowskaz chwiał się koło szosy
„Do żłobu”, „Do historii”, „Do wód”, „Do Canossy...”
Dziś wreszcie, po epokach błędów i trudności,
wychodzimy na prostą, trakt do normalności
Więc pełni uniesienia, wiary, optymizmu,
pędzimy traktorami, furą, na piechotę
drogą od socjalizmu do kapitalizmu.
Bo piękna to jest droga!...
Szczególnie z powrotem.*

Krótki kurs — edukacja kapitalisty

Co tu kryć — kapitalistą trzeba się urodzić — Ja na przykład idee Adama Smitha i Korwina Mikkego wyssałem z piersi matki robotnicy rolnej i ojca Stachanowca. Nie mało pomogły mi lata służby w aparacie, w którym robiłem i za słuchawkę, i za półprzewodnik, i za opornik, a najczęściej za tarczę. Posiadam nie tylko magisterium honoris causa z poprzedniej dekady, ale wspomnianą długoletnią praktykę. Czwierć wieku nie zajmowałem się niczym innym jak kapitalizmem właśnie, na łamach takich organów jak „Lewo i Bicie”, „Sołdat Swobody”, „Ogarki” czy „Mównica Plebsu” Nie powiem, błdziłem — ale jak powiadali Klasycy — człowiek uczy się na błędach. Im więcej ich popełnia, tym bardziej się uczy. Obecnie wykonawszy pełną woltę wyszedłem na swoje, które kiedyś było wspólne. Z prawami kapitalizmu jest tak jak z Chińczykami. Kto zna jednego, zna wszystkich. Prawa rynku są równie nieubłagane na giełdzie nowojorskiej, jak na samochodowej. Bazar w Stambule czy na Różyckiego to jedynie różnica skali. A jak wiadomo, aby poznać Zachód z bliska lepiej oglądać go z dystansu. Jeśli nawet człowiek będąc w świecie nie wychodził z własnej ambasady, to byli tacy, którzy wychodzili i dostarczali informacji. Ale do rzeczy. „Wszystkiego się można nauczyć” — jak powiedział pingwin wyrzucony z lecącego samolotu. Edukacja kapitalistyczna musi być najpierw — podstawowa. Wtedy to burżuazyjny narybek winien nauczyć się: liczyć... na siebie, czytać... między przepisami, rachować... kości konkurencji, i śpiewać... w urzędzie finansowym! Po przyswojeniu wiedzy elementarnej można przejść na stopień średni i tam szybko

opanować:

Z geografii — Gdzie Rzym, a gdzie Krym? Z historii — Co nam obca pomoc wzięła? Z astronomii — żeby wierzyć w swoją gwiazdę, trzeba stąpać mocno po ziemi. Z chemii — Nie przejmować się, Związkami... Zawodowymi! I z geometrii — Nie ma takiej figury, której by się nie dało obrócić.

Oczywiście podstawą każdego stopnia nauczania jest wf — który uczy, jak się trzeba nagimnastykować, żeby wyjść na swoje. Co się tyczy stopnia wyższego, moim zdaniem magisterium jest dla prawdziwego kapitalisty zbędne, ponieważ jeśli stanie się bogaty, to będzie miał od myślenia wykwalifikowanych doradców, a jeśli biedny — likwidatora i komornika.

Tak sobie żartowałem, a życie bardzo szybko dowiodło, że dawnym towarzyszom, w przeciwieństwie do niedawnych opozycjonistów nie obca jest ekonomia polityczna kapitalizmu. A myśmy ich tak niedoceniali!

Mieliście rację towarzysze!

*To tak niedawno, więc pamiętam,
choć rany jut porosty strupem,
jak cenzor deptał nam po pointach
i między wiersze wciskał lupę.
Co rusz nas dopadała kwestia,
na łamach lub w przestronnej sali
powtarzał ją towarzysz Wiesław:
„ Warn tu się marzy kapitalizm!
Chcecie podważać podwaliny,
śni się wyzysku czas koszmarny,
Gdy zbraknie zgodnej państw rodziny,
powróci burżuj i obszarnik!*

*Chcecie reakcji, na całego,
by kler wziął rząd dusz, i ścisnął dobrze...
Giędy na placu Dzierżyńskiego
i RFN-u wojsk na Odrze...?”
A autor spuszczał łeb pokornie
klucząc, tłumacząc się nietęgo,
że śnił najwyżej o reformie,
o socjalizmie z ludzką gębą.
Że kapitalizm — nigdy w życiu!
Z Armią Radziecką po wsze czasy,
Nie chcemy tu dorobkiewiczów,
lecz ciut swobody i kielbasy...
Dziś, gdy nadzorcy dawno zdjęci,
przebici kołkiem anatemy,
przyznaję — że wiedzieli lepiej
od nas — naprawdę czego chcemy.*

Krótki kurs — rękodzieło

W związku z rosnącym bezrobociem (we Włodawie 10%, przybyło 2%, w Miedoni 11%, przybyło 3%) proponuję wykład pod tytułem „I ty zostań rękodzielnikiem!” Jak wiadomo, sztuka ludowa ma Wielką przeszłość i jeszcze większą przyszłość. Ostatnio w Puszczy Piskiej spotkałem grupę byłych lektorów KW zajętych wyteżoną pracą. „Co oni znowu plotą?” — zapytałem tubylca. „Koszyki!” — padła odpowiedź. Z kolei w parafii Stężno nawróconym funkcjonariuszom byłego SB miejscowy proboszcz zalecił za pokutę pracę przy kole garncarskim. „Nie święci, a garnki lepia” — ocenił miejscowy biuletyn „Przewał”. Prowadzony jest również kurs koronczarstwa w Państwowej Akademii Kultury i Sztuki. Byli wykonawcy przydrożnych haseł i dekoracji kładek nad drogami, w ramach reedukacji

sporządzają koronki. Dla orłów z godeł. Choć raz omal nie doszło do nieszczęścia, gdy jakiś nadgorliwiec umieścił taką koronkę ptakowi na szyi i omal go nie udusił. Przede wszystkim jednak opłacają się wycinanki. Potrzeba do tego, obok zręcznych rąk, wyłącznie ołówka, nożyczek i wytycznych. Na początek czerwonym pisakiem zakreślamy wzór, eliminując treści obce. Następnie owe elementy likwidujemy za pomocą nożyczek, petem rozprostowujemy bibułkę, w puste miejsca wstawiając nawiasy klamrowe, wraz z określonym paragrafem, lub numerem któregoś z elementarnych przykazań. Mistrzostwo kraju w tej konkurencji osiągnął pewien były zasłużony cenzor, który swego czasu potrafił nawet ze suity baletowej wyciąć hołubce. Jeśli ten budujący przykład nie zachęci cię obywatelu do rękodziela, nie pozostaje ci już nic innego jak świątki. W celu wykonania świątka siadamy na rozstaju dróg, oblepiamy się gliną, robimy minę a la Mazowiecki i czekamy na zmiłowanie Pańskie, zagraniczny kredyt, albo nowe wybory. Najważniejsze bowiem — by w żadnym wypadku nie załamywać rąk, co najwyżej je we właściwym kierunku wyciągnąć.

Złota kura

Raz do urzędnika o twarzy jak burak

zajrzała petentka, którą była kura.

Urzędnik machinalnie mruknął: „Proszę, proszę...”

A kura! —

„Ja mam problem. Złote jajka znoszę.

Ale ciągle o karmę muszę się kłopotać,

mój projekt — miarka prosa za pół kilo złota”.

Urzędnik na te dictum skrzywił się boleśnie,

zapytał o uprawnienia, potem o koncesje,

o szczepienie pryszczycy — papier z Sanepidu,

o druk z Solidarności, albo ze ZBOWiDu

Opinię rzeczoznawców i Rady Kurnika,

wadium, kaucję na poczet, kartę podatnika.

Własnoręczny podpisik — byle zamaszysty

świadectwo od proboszcza oraz egzorcysty.

Z PZU bumażkę, glejt niekaralności

oraz oświadczenie, że kogut nie rości...

Na koniec popiwszy mętnawej herbatki,

jajo jako załącznik schował do szufladki.

A kura westchnęła wychodząc z GS-u

„Dobre czasy wreszcie są dla interesów”

Krótki kurs — adaptacja

Nierzadko od strony obywateli rozlega się nabolałe pytanie. Co robić, żeby nie przestraszyć się wilczych reguł naciągającego kapitalizmu i nie dać się wziąć na ząb rekinom finansjery? Trzeba się szybko zaadaptować. Kto pierwszy, ten lepszy. Ale jak? Czy mogą służyć nam za wzór dawne adaptacje literackie utworów „Za chlebem”, „Latarnik”, „Nasza szkapa”, czy „Pan Balcerowicz w Brazylii”? Niestety nie. Spróbujmy więc innych wzorów.

W celu korzystnej adaptacji w kapitalizmie najpierw za circa 15 milionów nabywamy **ucieczkę** do USA Ameryki Północnej, gdzie po przybyciu spacerujemy po Bulwarze Zachodzącego Słońca, promenadzie w Miami, lub Broadway’u. Staramy się wyglądać przystojnie, dziarsko i uczciwie, bo, jak wiadomo, Ameryka stworzona jest dla ludzi sukcesu. Spacerujemy, cały czas pilnie wypatrując bezbronnych, samotnych staruszków, lub zaniedbanych starych panien. Każde z nich może być milionerem. A kiedy już okaże się, że dama, którą przeprowadziliśmy przez jezdnię lub staruszek, któremu wysadziliśmy psa, jest bogaczem — zaprzyjaźniamy się. Nie gardzimy żadną propozycją, a nawet pracą. Pozyskujemy zaufanie i szybko stajemy się dla nich wsparciem i osłoda. Nie rozmawiamy rzecz jasna o pieniądzach! Czytujemy na głos poezje. Po pewnym czasie doprowadzamy do naszego usynowienia lub ucórkowienia, czyli adopcji. Ten rodzaj zaadaptowania w kapitalizmie jest najprostszy, a na pewno najskuteczniejszy, I kiedy wracamy do starego kraju jako Kowalski Simpson–Simpson, to żaden nawis inflacyjny nam nie podskoczy! Oczywiście w kapitalizm można również się wżenić lub wmeżyc. Ale to potrafi każdy głupi.

Podsluchane w plenerze

*On szeptał jej czule, by została jego,
ona się opierała, choć opadł z niej gorset.*

On naciskał i mówił

— Idźmy na całego!

(Z podtekstu wynikało, że chodzi o forszę)

*Straszył ją samotnością i brakiem pokrycia,
wyszydzał jej stosunki z zachodnim partnerem
i roztaczał uroki słodkiego pożycia,*

tłumacząc:

— Ty się nie łam jednym, drugim zerem...

*I było coraz cieplej, mimo że na dworze,
aż wreszcie coś ruszyło jak szarża ułańska*

gdy ona mu szepnęła:

— Ty... Likwidatorze!

A on:

— Moja ty Jednoosobowa Spółka Skarbu Państwa.

Krótki kurs — co robić?

Kilkadziesiąt lat temu Włodzimierz Lenin zadał sam sobie mądre pytanie „co robić”? Ale odpowiedział idiotycznie — „Rewolucję”. A jak brzmiała prawidłowa odpowiedź? — „Interes”! Rewolucja jest niestety interesem najgorszym z możliwych. Pożera swoje dzieci, przynosi nieprawdopodobne ofiary, a na końcu stwierdza, że dobrze było jak było. Rewolucja Francuska potrzebowała na taką konstatację paru lat, radziecka ponad 70. Cóż, inna strefa czasowa! Początkujący kapitaliści, chcieliby oczywiście podpowiedzi bardziej konkretnej — jaki interes otwierać i jakimi metodami? Kiedy się spojrzy na rynek, wyłaniają się różne możliwości. Po pierwsze „owczopędna”. Zauważmy, że tuż obok znakomicie prosperuje piekarnia. Zatem i my budujemy piekarnie, nie zauważając, że dwa identyczne interesy to

dokładnie dwie połowy poprzedniego, więc czeka nas ostra walka.

Po drugie, pozornie bezpieczna „metoda na chłopski rozum”. Obserwujemy czego na rynku jest najbardziej brak, powiedzmy skarpetek, i przystępujemy do produkcji. Jest to tylko pozornie dobra metoda, reszta potencjalnych inwestorów to też nie cymbały. Również decydują się na skarpety. W krótkim czasie mając obok dziesiątki fabryk skarpetek z królestwa niedoborów dostajemy się do piekła nadprodukcji. Osobiście więc polecałbym „Metodę silnych nerwów” Badać co masowo plajtuję i od czego ludzie uciekają. A potem ruszyć pod prąd. Bo gdy uciekną już wszyscy, owa nadprodukcja stanie się niedoborem i wtedy my wkroczymy na rynek z komfortem monopolisty. Oczywiście może się okazać, że nastawiając się na budowę parowozów, czarno — białych telewizorów czy plastikowych pasów cnoty również splajtujemy. Na pociechę pozostaną nam jednak stalowe nerwy, które spokojnie oddamy je na złom. I zaczniemy wszystko od nowa jako proletariusz, który jeszcze zawsze może zrobić sobie rewolucję.

Inna sprawa czy, czy zawsze trzeba wszystko od razu próbować na ludziach?

Nie lepiej było wpierw na szczurach?

*Wśród gołych ruin, bez sufitu,
gdzie nawet szczur utracił futro
kazano wznosić nam instytut,
co miał zapewnić Lepsze Jutro.
W nim chciano biegi rzek odwracać,
na lodzie sadzić okopowe,
tu cuda miała stworzyć praca,
a w tyglu powstać — nowy człowiek.
I tylko mrucał jakiś durak,
że lepiej sprawdzić to na szczurach.
Lecz zaraz donos, szur, szur, szur.*

„Brać ponuraka!” Podpis: Szczur.

*Mijały lata w znojmym trudzie,
każdy wypełniał obowiązek
w pułapki się łapali ludzie,
chcąc stworzyć upragniony związek.*

*Wreszcie po testach, medytacjach,
wypróbowaniu stu sposobów
zaczęła się samo reakcja,
ku zgrozie głównych technologów.*

*Znów przyszło pismo: „Hańba, bzdura
oni chcą sprawdzić to na szczurach!*

*A gdzie ochrona naszych skór,
rozbić ten związek!” Podpis: Szczur!*

*Dzisiaj już tylko swąd rozkładu,
personel ma wypowiedzenie
po Instytucie ani śladu,*

skończone Wielkie Doświadczenie.

*Fruwają strzępy pism, pieczętek,
instrukcji, które szły z zagranic.*

*Kiedy na nowo wybuchł związek,
cały aparat poszedł na nic,*

I tylko żal do panów z biura.

Nie lepiej było wpierw na szczurach..?

Lecz co to, kartka z fotką cudną

New York, widoczek, Wall Street z góry.

— „*Opuściliśmy wasze pudło,*

Już dawno temu.” *Podpis: Szczury!*

Krótki kurs — pomysły i pieniądze

Co trzeba mieć za sobą ruszając w stronę kapitalizmu? Wedle wszelkich autorytetów albo wielkie pieniądze, albo pomysł. A najlepiej jedno i drugie. Miał pomysł facet, który wymyślił dzinsy i dodatkowo jeszcze nazywał się Lewis. Miał pomysł emigrant Kola kiedy wpadł na Kokę. Wykazał się intuicją Mac przylegając do Donal — da i Ham zawierając związek z Burgerem. Nie mówiąc o spółkach General — Elektryk (z polską filią w Magdalence) czy Johnson–Johnson. Pomysłowość kapitalisty niż zna granic. Niejaki Hefner chciał zarobić i jeszcze mieć zawsze pod dostatkiem gołych panienek więc wymyślił „Playboya”. Z drugiej strony Onassis wymyślił sobie panią Kennedy i wyszedł na niej jak Zabłocki na PZKS–ie. U nas przykładów nieudanych pomysłów jest znacznie więcej. — Nie zrobiła interesu Huta wychodząc za Lenina, oraz Róża nie emigrując póki czas do Luksemburga.

Jednak pytanie: „Jak najszybciej dojść do kapitalizmu?” wcale nie jest tak podchwytliwe jak mogłoby się wydawać. Odpowiedź przecież brzmi — Budując socjalizm. Moim zdaniem w historii działa prawo przekory — Weźmy taką Szwecję budowali tam ze sto lat kapitalizm — a wyszedł im prawie socjalizm. Odwrotnie u nas. I u naszych sąsiadów. Tylko na Kubie, trochę przeholowali z zapalem, więc wyszedł im feudalizm, a może nawet niewolnictwo.

Jak natomiast zachowywać się w okresie przejściowym. Przyśpieszać? Spowalniać? Prawo przekory podpowiada metodę myśliwych — łowców niedźwiedzi — usiąść i czekać, aż misiek sam przyjdzie. Zwabiony zapachem bigosu, którego sobie nawarzyliśmy.

W formie przerywnika proponuję bardziej refleksyjny, osobisty tekst z tamtego lata. Mniej więcej wtedy, bardziej przez przypadek niż ze świadomego założenia zacząłem osobiście recytować moje wiersze na zakończenie ZSYP–u. Aktorzy przeważnie bardzo się śpieszyli, a nad — redaktor musiał trwać na stanowisku do końca. I praktyka ta stała się jedną z zasad konstrukcyjnych naszej audycji

Archiwum pamięci

*Zapodział dawno się inwentarz
ówdzie druk wyblakł ze starości —
to biblioteka jest, czy cmentarz —
archiwum wspomnień, skład miłości...?*

*Pierwsze porywy — szkolne zgrywy —
obok studenckie fascynacje,
ukryta półka tych prawdziwych,
i pocket booki — szybkie akcje!*

*Są przypomnienia dawnych dreszczy
lub radosnego uniesienia,
te, co jak skrypty lub indeksy —
(w nich zaliczenia, zaliczenia...)*

*Bose, po rosie w rannej trawie,
Naiwno — śmieszne — zawsze w czwartek,
te które były snem na jawie,
choć pełne nierozciętych kartek.*

*To wszystko? Nie, w archiwum głębi
odmiennych uczuć leżą pryzmy —
miłość do sławy, do pieniędzy,
do władzy...? Raczej do Ojczyzny.*

*Czas zmieszał kartki i kolory
goryczy tony, szczęścia deka..
dawne rozterki i wybory:
czy iść na całość, czy na etat...?*

Naszych miłości biblioteka,

pachnie kurz, papier, świeża pasta...

Lecz w progu niczym cerber czeka

czujna, bezwzględna — miłość własna.

Spośród ówczesnych ZSYP-owych opowiadań, nie zaniedbywałem bynajmniej tego gatunku, przytoczę jedno, chyba reprezentatywne.

Pensjonariusz

Całe życie się bałem. Okropnie bałem się tej chwili, w której zostanę zdemaskowany, kiedy wyjdzie na jaw to, co przez tyle długich lat z niemałym wysiłkiem i kunsztem aktorskim starałem się skrywać. A przecież tyle zdarzało się okazji do wpadki. Nie mogłem nie brać pod uwagę prowokacji. Pobyt w Domu należał do zbyt wielkich przywilejów, łączył się z za wielkim komfortem, aby wykluczyć można było pułapkę i ludzką zawiść.

Każdy dzień zaczynałem od rachunku szans i prognoz. I każdy wieczór witałem z ulgą — znów się udało. Nie zauważyli, nie poznali, nie wyrzucili. Pamiętam, kiedy przysłali nam nowego ordynatora. Miał lśniąco wąsy, wypomadowane włosy i w ogóle przypominał spasionego żuka. Podobno należał do najwybitniejszych psychologów, a jego sława w wykrywaniu symulantów biegła przed nim jak jutrenka, Eos, przed rydwanem Heliosa. Ordynator stanął w lekkim rozkroku przed frontem pensjonariuszy, przetoczył świrującym spojrzeniem tak, że ciarki po plecach poszły i rzucił:

— Normalni, wystąp!

Drgnąłem, omal nie dałem kroku, ale na szczęście wielki jak pomnik Ojca Narodu neurastenik zwalił się zemdłony, odwracając skutecznie uwagę od innych. Nigdy go więcej nie zobaczyliśmy. Czyżby rzeczywiście symulant?

Macie pojęcie, co znaczyło przyznać się do normalności w przodującym Domu Wariatów Nr 1 imienia Psa Pawłowa? Miejscu słynnym z komfortu psychicznego i luksusu egzystencji? W czasie, gdy na zewnątrz bywało chłodno i głodno, armie krwawiły, lud pracował w pocie, a urzędnicy drżeli o swoje głowy — tu wspólnota dewiantów zażywała bajecznych wywczasów.

Oczywiście, myliłby się ten, kto szukałby w naszych progach groźnych furiatów czy melancholików — o nie, zgromadzono tu przypadki wyłącznie pozytywnej paranoi, postępowego

paraliżu, czy radosnej schizofrenii. Tę ostatnią uznawano za stan błogosławiony, albowiem w czasie dzienników telewizyjnych im większą ogłaszano brednię, z tym większym spotykała się aplauzem. Nie bez powodu nasza wieczorna pieśń zaczynała się od słów: „Myśmy rezerwą kadrową”. I wszystkim było dobrze, z wyjątkiem mnie. Odmieńca, człowieka normalnego, który udawał, symulował, przepojony nieustannym lękiem, że można stracić z trudem zdobytą stabilizacją i znaleźć się na zewnątrz.

A potem zmieniono nam ordynatora, jednego, drugiego, trzeciego. I w ogóle wiele się zmieniło. Wieści z zewnątrz docierały coraz dziwniejsze. Coraz mniej chętnych zastygało w pozycji „nogi w górę” czy „nadół łeb”. Wreszcie któregoś dnia otwarto szeroką bramę, pojawili się nowi pielęgniarki, a jeden przemówił:

— Ogłasza się, że i tu wkrótce dotrze normalność. Zrywamy z mylnymi ocenami diagnostycznymi i drakońskimi metodami terapii. Wiemy, że są wśród was ci, którzy całe lata ukrywali swoją normalność. Dziś normalność stała się rzeczą przydatną. Wszyscy mogą się przyznać. Wiemy, że trudno wam uwierzyć, że nie łatwo będzie się przestawić, dlatego nie zapytamy wprost, kto jest normalny? Nie, powiemy inaczej: Rzeczywiście chorzy, wystąp!

Uczułem niemiłe swędzenie. Rozejrzałem się. Cholera! Nie wystąpił ani Wesoły Lolo, ani Kaziu Słupnik, ani Feliks Roślina... Nie kwapił się nikt z zasłużonych i nierzadko odznaczanych za wieloletni pobyt pensjonariuszy. Z absolutnie normalną miną stał Mieciu Pyton i Rysiu Napoleon IV oraz Zyzio Dublet, który utrzymywał, że jest parą bliźniaków. Sytuacja zrobiła się nie do zniesienia. Sami symulanci? Naprawdę, czy w owym Przodującym Domu nr 1 nie było choćby jednego...? — Informujemy, że wszyscy zdrowi mogą zabrać najniezbędniejsze rzeczy i już dzisiaj opuścić Dom.

Opuścić Dom? Co on powiedział — wariaci wystąp?...

Zrobiłem krok do przodu. Już się nie bałem. Zawołałem: „Hop sa, sa!” i śmiało stanąłem na ciemieniu, kierując stopy ku niebu. Nie zdemaskują mnie, nie zdemaskują! Zwłaszcza, że prowokacja z tym powrotem do normalności już na pierwszy rzut oka była zbyt gruba nicią szyta.

Krótki kurs — dobra lokata sprawa finita

Dziś odpowiedzi na pytania. Oczywiście nie na nieprzemyślane anonsy: „Nie mam pieniędzy — oczekuję propozycji”, albo „Czy w kapitalizmie będą pluskwy?” Odpowiadam wyłącznie na pytania rzeczowe. Na przykład: „W czym lokować?”

Dolar spada, złotówkę mogą nam wymienić, nieruchomości gotowe stanąć, a ruchomości prędzej czy później nam ukradną. Może w złoto? Jeden mój znajomy Ben tak właśnie ulokował i dobrze na tym wyszedł. Zakopał mianowicie złoto na działce w Texasie. Tymczasem, zły sąsiad to zauważył i następnej nocy wszystko wyciągnął. Po jakimś czasie Ben sięga do swego

„ziemnego banku”, kopie, kopie i nic. No to kopie głębiej. Nie ma. Próbuje jeszcze głębiej... I naraz jak mu ropą siknie!... Złota wprawdzie nie znalazł, ale został naftowym milionerem. Tylko czy mogę ten pomysł z czystym sumieniem polecać w naszym kraju? Gdzie ropę można znaleźć najwyżej podkopując się do garażu sąsiada?...

Są tacy, którzy twierdzą, że najlepiej inwestować w głowę, w swoją lub w dzieci, Kształcą się, kupują dyplomy. I co z tego mają? Sam widziałem w Hamburgu rodaka, który chciał zamienić habilitację z ekonomii politycznej socjalizmu, na małą maturę z technikum budowlanego. Jedno jest pewne — pieniądz powinien być w ruchu. Tylko gdzie ten „Ruch”, bo chyba nie w kiosku?

Dlatego szczerze namawiam, jak ktoś ma za dużo forsy to może, przykładowo przesłać ją mnie. Przynajmniej jej nie zmarnuję.

Kto?

*Zasady oszczędzania znam,
nie oszczędzałem się, więc mam,
zbyt małe siły na zadania,
i skąpy kredyt... zaufania.
Stąd me pytanie do PKO
niech mi odpowie jedynie — kto?
Nie chce kredytów, obligacji,
pragnę jedynie informacji:
Kto mi może zwrócić lata zmarnowane,
zgwalczone nadzieje,
idee zszargane?
Włosy nim zsiwiały, ręce co nie drżą,
przedwczesne zawały —
Kto?*

*A może mi podszeptnie ZUS,
że mogłem ubezpieczyć mózg.
I dzisiaj miałbym go w tym stanie,
w jakim znajdował się przed praniem?
Przecież pytanie to nie błąd,
zapewne mi odpowie rząd,
że winnych nie ma, a sąsiad trwa,
i mówiąc szczerze — winnym ja...
Kto nam może zwrócić,
uśmiech w pełni szczery,
zasady moralne, twarde charaktery,
dziecięca naiwność
i gołębie serce...?
Powiadacie ONI.
Od nich ja nic nie chcę!*

Z początkiem lata, gdy pewni aktorzy, przestali godzić się na występowanie w radio za symboliczne stawki w ZSYP—ie pojawiły się nowe głosy i nowe pozycje. Między innymi

Sennica publiczna

Ściana była jedną z ciekawszych rzeczy w „Sennicy publicznej”, placówce usługowej, która rozkwitła na naszym osiedlu, wygrywając przetarg z jubilerem na lokal. Czynnosc osiągnął astronomiczną wysokość, ale najwyraźniej, w czasach gdy do amfiteatrów więcej ludzi ściąga Kaszpirowski niż Pietrzak, poradnictwo senne musi być społeczeństwu bardziej potrzebne i społeczeństwo jest gotowe za nie płacić. Wróćmy jednak do ściany — frontowej. Pokryta świeżym tynkiem, charakteryzowała się tym, że wskutek obfitości żył wodnych, a może nadmiaru

impulsów bioenergetycznych co rusz wyłaziły z niej rozmaite napisy, często pochodzące z odległych epok tynkarskich. Zwykle wiązało się to z pogodą. Niż syberyjski wyciągał na wierzch charakterystyczne „Min niet — Stalinu priwiet”. Za to klin znad Bałtyku nieodmiennie wywoływał zawołanie: „Wiosna nasza, ale jesień niepewna”. Galimatias robił się dopiero przy wyżu azorskim — napisy z różnych epok wynurzały się z tynku jak obrazy w fotograficznej ciemni, splatały ze sobą tworząc niezwykle krzyżówki, slogany — mutanty, w rodzaju: POMOŻEMY — PARTIA GOLA albo ORŁA WRONA TRZY RAZY TAK lub PPR WALCZY, A POLAK POTRAFI.

Dawniej popularnością ze ścianą mogły się równać notowania kantoru, ale ostatnio firma podupadła, za sprawą jednego z klientów, który wpadł raz wołając: „Szefie, mam na widoku świetną transakcję, muszę koniecznie spylić sto tysięcy papierów — I położył zielone na ławę. Właściciel, nie w ciemną bitą, zwierzył szwindel, toteż każdy banknot pięć razy brał pod lupę, a tu nic, każdy prezydent jak żywy, numery w porządku. Wyplacił więc ekwiwalent w złotówkach, klient ucałował go z dubeltówki i znikł. Ale już po kwadransie wraca zdyszany, twarz ma pobladłą, klnie w żywy kamień, bo jego „pewny klient” mu się rozmyślił. A teraz trzeba dolary odkupić. Właścicielowi w to graj — odsprzedaje z pięcioprocentową różnicą i zaciera ręce, że taki zysk w kwadrans. I dopiero poniewczasie okazało się, że wprowadzicie dolary były dobre, za to złotówki zamieniono na sfalszowane... I od tej pory kantor cienko śpiewa i za nic nie może odzyskać prestiżu.

Któregoś dnia wszedł do Sennicy obywatel i nie zatrzymując się przed wspomnianą malowniczą ścianą zgłosił reklamację.

— Co to się dzieje — zaskomlił do wróżbitki — co to się dzieje, że wszystkie moje sny urywają się w najciekawszym momencie?

— Na przykład?

— Na przykład śnię cudowny, kolorowy sen o rajskiej wyspie, palmy, kozy, tubylki w polowie czekoladopodobnej... I naraz słyszę nieprzyjemny głos: „Przeerwa!” Sen się urywa. Co gorsza zdarza się tak zawsze. A sny mam prorocze, kiedyś przyśnił mi się wynik totolotka, ale ledwie zdążyłem zapamiętać trzy pierwsze cyfry, padło „Przeerwa!” i miraż prysł. I dopiero jak zobaczyłem wygraną, przypomniałem, że właśnie takie numery mi się śniły... Czy to jakaś choroba, zaburzenia hormonalne? Na własną żonę miałem kiedyś alergię, ale się rozwiódłem.

— Taak — wróżbitka chwilę wpatrywała się w szklaną kulę, jakby tam szukała inspiracji — A o jakiej porze najczęściej ma pan te sny?

— Przeważnie między jedenastą a pierwszą, musi pani wiedzieć, że jestem w zakładzie kontrolerem jakości. Zwykle przychodzę do pracy, kawę wypiję, śniadanie zjem, gazetę przeczytam, do szwagierki, w Paryżu zadzwonię, potem na chwilę oczy przymknę...

— Przeerwa?

— Tak jest, obiadowa. A głosu z radiowęzła nie sposób wyciszyć...

Ma pani dla mnie jakąś radę?

— Cóż — odrzekła — duży zakład, hałas, radiowęzeł — na pańskim miejscu zmieniałbym pracę na mniej absorbującą. Pan powinien mieć coś cichego, bardziej kameralnego — nocny stróż, latarnik, maszynista ekspresu, I wtedy gwarantuję — każdy sen przyśni się panu. Do końca.

Niestety, klient nie usłyszał ostatnich słów. Uspokojony usnął jak dziecko i spał, dopóki przez sprowadzony radiowóz nie huknęliśmy na niego: „Przeeerwa!”

*

Nie były to jednak senne wakacje. Zimna wojna na górze między Lechem, a Mazowieckim, od chwili gdy pan Tadeusz (co prawda mniej z własnej woli a bardziej przymuszony przez doradców) zdecydował się kandydować na prezydenta, zmieniła się w gorącą. Właściwie konflikt tlił się od początku powstania nowego rządu, który przyjęliśmy z takim entuzjazmem. Mazowiecki postanowił zostać premierem niemalowanym i niezależnym od Elektryka z Gdańska. Od naocznych świadków wiem, że wkrótce po zaprzysiężeniu na premiera między nim, a Wałęsą odbyła się znamienna rozmowa: „Mam nadzieje, że będzie pan pamiętał, kto zrobił pana premierem?” — powiedział Wałęsa. „A ja mam nadzieje, że pan, panie Lechu będzie pamiętał kto jest premierem” — odpalił z rzadką stanowczością Mazowiecki. Dwa zdania które przesadziły o naszej współczesnej historii. Gdyby obie strony potrafiły opanować ambicje...? Gdybyż elity, patrząc chłodnym okiem dokonały rachunku kosztów i strat. Strasząc Lechem jako potencjalnym dyktatorem „salon” skompletowany na sesji u fotografa sam strzelał sobie samobójczą bramkę. Wałęsa pasował na dyktatora jak siodło na krowę. Dyktatorzy nie śpią i interesują się wszystkim, on gdy już został prezydentem nie czytał nawet raportów UOP-u. Chciał panować nie rządzić. I trzeba było mu na to pozwolić. Może należało wybrać go królem? Tylko czy istniała taka możliwość? I kto miałby to zaproponować? Pamiętam podczas II Zjazdu „Solidarności” swoje spotkanie z Michnikiem. Adam prawie mnie nie poznał. Miał nieprzytomne oczy człowieka pozbawionego kontaktu z otaczającą go rzeczywistością. Albo spotkanie z innym prominentem z listy „Solidarności”. Na dzień przed pamiętnym posiedzeniem Komitetu Obywatelskiego wołał rozpromieniony: „Nareszcie pozbędziemy się Lecha z Komitetu przy Lechu Wałęsie”. Na odpowiedź „Wodzusia” nie przyszło długo czekać, był więc tekst „Wujcu, czuj się odwołany” i odebranie znaczka michnikowej „Gazecie Wyborczej” i publiczne ruganie sędziwego Turowicza i riposta skierowana bodajże do Wielowieyskiego „Stłucz pan termometr, nie będzie gorączki”. Obserwując konflikt czuliśmy się jak dzieci wobec nieuchronnego rozvodu rodziców. Poza Ławrynowiczem sprzyjającym ROAD — owi, trzon ZSYP-u opowiadał się za „Wodzusem”. Może dlatego, że grając koncerty w całym kraju czuliśmy nastroje społeczne lepiej niż „salon warszawski”. Może byliśmy pod urokiem charyzmy Wałęsy (znaliśmy go tylko z paru przelotnych spotkań). Jednak chyba najbardziej irytowała nas, a tak to odbieraliśmy, próba pozbycia się człowieka — symbolu, który zrobił już swoje. Nie akceptowaliśmy zasady „grubej kreski”, przyznawaliśmy rację Przewodniczącemu gdy już w grudniu 1989 domagał się przyspieszenia, i rządu za pomocą dekretów. Nadto liczyliśmy, że jego prezydentura stanie się dla Polski

psychologicznym przełomem, gwałtownym, ożywczym szarpnięciem, które wyrwie nas z bagienka kompromisu w którym zaczęliśmy grzęznąć i powstrzyma zacierania granic między dobrem a złem. Dziś możemy tylko spekulować, co by było, gdyby „warszawka” znalazła z Wałęsą jakiś *modus vivendi*. Wbrew socjalistycznym twierdzeniom „Jednostka zerem, jednostka bzdurą” wiem, że w kluczowych momentach historii, jeden człowiek wart jest więcej od całych legionów. Jego obecność lub brak decyduje o biegu dziejów. Często zastanawiam się, czy niekomunistyczna lewica miałaby szansę, gdyby w roku 1988 nie zamordowano Jana Strzeleckiego? Albo gdyby na prawicy pojawił się człowiek z prawdziwą charyzmą?

Ówczesne nastroje społeczne znajdowały, rzecz jasna odzwierciedlenie w nowych tekstach do szopki całorocznej, w której Kryszak, doskonale imitujący Adasia śpiewał znany utwór Piotra Szczepanika „Puste koperty”

MICHNIK

— *I tylko o jedno cię proszę,*

Czy będzie nam dobrze czy źle,

wysyłaj choć puste koperty

niech myślą że wciąż kochasz mnie

Na co **WAŁĘSA** (grany przez Zaorskiego) odpowiadał

— *Kocham cię Adasiu i nad tobą płacze,*

Koperty ci wyślę, tylko oddaj znaczek.

Do metaforycznego zilustrowania wojny na górze, wykorzystałem jeszcze raz pomysł „żywych szachów”.

Polskie szachy

(muz. Andrzej Janeczko)

Polskie szachy najdziwniejszą grą na świecie,

nie ma takich ani dalej, ani obok.

*Kiedy wskutek ruchów śmiałych
„czarne” partie swą przegrały,
„białe” nadal grają ostro... między sobą.
Z jednej strony Król namawia by przyspieszać
i zwołuje z animuszem swoje hufce,
z drugiej strony na kształt chmury
zgrupowały się figury
przy Hetmanie lub (jak mówią) przy Królówce.
Choć Królówka bardzo często się rozczula,
a Król mówi o Hetmanie „ten mój drogi”,
grać na remis nie da rady,
Król niechętny do rozszady,
a Królówce paru skoczków pęta nogi.
„Biały” prawy, „Białych” lewych chętnie gromi,
że lewica się podszywa pod prawicę!
Z boku straszy jakiś komik,
że wnet łapsko się wyłoni,
co zmieść może całą naszą szachownicę.
Polskie szachy, polskie szachy, polskie szachy.
Słysząc wokół jak kryzysu minąć rafy:
Porzuciwszy wszystkich figur chytre rady
w imię pionów grę zamienić na warcaby.
Po co szachy, po co szachy, po co szachy?
Zbyt misterne tu reguły jak na Lachy.*

Warcabami urządzimy figur pranko.

A co z Królem? — jasna sprawa, będzie Damką!

Równocześnie i raczej nieprzypadkowo na czas wakacyjny wspólnie z Andrzejem Zaorskim uruchomiliśmy w ZSYP–ie nowy cykl mikrosluchowisk, nie mając wówczas pojęcia, że na podobny pomysł wpadł pięćset lat wcześniej William Szekspir.

Organy mają głos

Wizyta w Klinice Bardzo Chorego Organizmu, dostarczyła mi naprawdę niezwykłych wrażeń. Organizm, którym zajmował się osobiście sam ordynator był w stanie silnego szoku, wywołanego wstrząsową terapią usiłującą wymusić na nim samodzielny powrót do zdrowia.

— Żadnych kroplówek, sztucznych nerek, stymulatorów... — tym bardziej że organizmu na to nie stać! — tłumaczył profesor.

— Ale przecież serce nie bije! — zawołałem.

— Strajk absencyjny! Kiedyś biło, kogo popadnie, spełniając w organizmie rolę aparatu przymusu... Obecnie tylko symuluje bezruch. Chce pan posłuchać co się dzieje w przedsionku?

Ordynator ruszył jakimś pokrętle i do mych uszu dotarły słowa, a raczej wyzwiska:

— Ty stara limfo!

— Zmień płytkę, czerwony karle.

Jak się okazało białe ciała, uporawszy się z czerwonymi polowały obecnie na różowe. Przesunęliśmy się ku płucom, oba kłóciły się zaciekle, nie zwracając uwagi na zapalenie oskrzeli.

— Tak jest wszędzie. — tłumaczył profesor — Organizm jest wycieńczony przez nowotwór, a mimo to, ledwie rak się cofnął, każdy organ nalatuje na drugi.

— A jak było kiedyś? — zapytałem.

— Jeszcze gorzej, każdy działał osobno wbrew własnym interesom — ręce łapały się za głowę, nogi skrobały rzepkę, każda sobie, mózg nazywano „ciemną masą”, a śledziona śledziła nawet siebie. Co gorsza organ mowy trudnił się głównie wydalaniem.

— To chyba jednak mamy za sobą?

— Pozornie. Po działalności samozwańcych znachorów, organizm ma dziś dwa prawe płuca, maleńką stopę i dwie lewe ręce... A najgorsze że nie mogę im pomóc.

— Czemu?

— Powołując się na prawa pacjenta nie dopuszczają do operacji zgangrenowanego wyrostka.

— Tylko nie zgangrenowanego! — zapiszczało coś z wnętrza ciała.

— Ty bądź cicho — odezwała się Wątroba. — Wszystko przez to za dobre Serce. Trzeba było rozprawić się z wyrostkiem jeszcze w dzieciństwie.

— A co by powiedział na to jego wielki Brat — Żołądek? — zaproponowało Serce wspierane przez Szyszynkę.

— Bez przysadki! — obruszył się Żołąd — Ja się nie wtrącam do waszych wewnętrznych spraw, to tylko ta głupia Dwunastnica wymawiała nam, że dostrzega w ślepej kiszce światełko, jak w tunelu.

— Nie wchodząc w zaszłości, na czym dziś polega główny problem? — spytałem profesora.

— Na solidarności. Źle rozumianej. Wyrostka nie da się wyleczyć farmakologicznie. Stanowczo powinienem ciąć...

Tymczasem do pisków wyrostka dołączyła już towarzyszka lewa Nerka i jeden szary członek, wrzeszcząc, że „Noża w katolickim kraju można używać tylko w ostateczności!” Wspierał ich głośny protest kilkudziesięciu szarych komórek, o tyle dziwniejszy, że nie tak dawno właśnie wyrostek żądał pozbycia się przemądrzałego mózgu.

Wrzawa potężniała.

— Precz z tym konowałem, ordynator musi odejść, ordynator musi odejść!

Ordynator wyglądał na zrezygnowanego. Nie wiele myśląc wyrwałem zasilanie z kontaktu, nasłuch ucichł, pogasły monitory...

— Rznij pan bez znieczulenia — zawołałem — Teraz!

— Ależ to byłoby nie demokratyczne!

— Wiem, ale zna pan zdanie docenta Wielopolskiego „Dla tych organów można zrobić wiele, z tymi organami nic”. Jednak ordynator nie odpowiadał, stał jak wryty, patrząc jak po stole uciekał w podskokach wyrostek, a za nim wymyślając od dezerterów gnała reszta zdrowszych organów, wołając. „Odcinamy się od ciebie warchole!”

W przeblysku genialności zrozumiałem. Organizm zagrożony operacją przejął inicjatywę i postanowił się rozproszyć.

Koniec świata

*Zdarza się czasem, w środku lata,
że jakiś gość ze smutną miną
zaczyna truć o końcu świata
i zagrożeniach, które płyną.
Że jeden krok, a wszystko runie,
zdziczeje nam ojczysty ogród,
znów Chochół stanie na trybunie,
zacznie się nędza, smród, Ciemnogród.
Spadniemy ze światowej sceny
i pożegnamy się z bankami.
„Bo jeśli nie my, to toniemy,
a naród z nami, z nami” ... Z wami?
Już chciałoby się wspólnie płakać,
lecz w sercu rośnie dziwny osad,
czy, gdy nam mówią: koniec świata,
nie chodzi im o koniec posad?*

Na narastający konflikt reagował również towarzysz K.O.Lektor:

Krótki kurs — przyspieszacz domowy

Zgłosił się do mnie niedawno wynalazca samouk twierdzący, iż wynalazł urządzenie o nazwie **prostownik**, powodujące — jak twierdził — automatyczną, samoistną przemianę czegoś, co jest socjalistyczne w kapitalistyczne. Podobno jego prostownik, łatwy w obsłudze i nie wymagający zagranicznych komponentów, prywatyzuje nie przerywając snu.

Pewna krowa (adres i nazwisko znane w redakcji) potraktowana prostownikiem nie dość, że daje od razu pasteryzowane mleko, ale jeszcze dostarcza je wprost do sklepu, z pominięciem mleczarni, biorąc na rogi, przeszkadzającą jej w tym nomenklaturę spółdzielczą. Widziano również kasjera, który na sam widok prostownika zamienił złotówkowy nawis w dolarową superatę. I zniknął. Prostownik uruchomiony w gminie R. zaowocował natychmiast sprowadzeniem na wieś byłego dziedzica, znalezieniem, rzekomo spalonych, akt miejscowej prokuratury, oraz wysoką frekwencją w wyborach uzupełniających. Sam wynalazek, nadesłany przez wynalazcę okazał się po prostu siekierą. Zwyczajną siekierą z przyspieszaczem ideowym. W instrukcji obsługi można przeczytać: „Ujawszy za trzonek, należy stanąć na dobrej pozycji, najlepiej w Centrum i rąbać: spowalniaczy, opóźniaczy, miłośników, nomenklaturę, złodziei, bumelantów, idiotów oraz tych, co komplikują — trzeba nam bowiem prostoty. W wypadku pojawienia się nie trudności nie do przerąbania, należy znaleźć obywatela nazwiskiem Stryjec (nie mylić z Wujcem) i wymienić siekierkę na kijek, fudzież marchewkę”. Zestaw ten, zwany także „Mały bodziec”, może wprawdzie zaprowadzić nas ponownie do realnego socjalizmu, ale, jak dowiodła praktyka, tędy właśnie prowadzi polska droga do kapitalizmu.

*

Tego roku wybrałem się na wakacje wraz z Jolą, Julią i Mateuszem po raz pierwszy i ostatni do Jugosławii. Nie miałem pojęcia, że republika znajduje się na krawędzi rozpadu. Chociaż zapytany o narodowość mieszkaniec Istrii powiedział mi, że najbardziej czuje się Włochem. Obfitość kanonierek na morzu, wskazywała na realną perspektywę implozji. Ale żeby od razu miała wybuchnąć wojna? Z wakacyjnej perspektywy bratobójcza rzeź wydawała się czymś zgoła absurdalnym. Spośród żywiołów bardziej przeraziła nas burza, która omal nie zmyła do morza całego campingu. Wiatr szarpał namiotem, ulewa lała się już nie kubłami, cysternami raczej, a mały Mateusz, dzielnie złobił kanały odprowadzające wodę, byle dalej od nas. Ale potem zaświeciło słońce i nocna groza znikła. Kanonierki nie.

Po powrocie do kraju zastaliśmy sytuację polityczną jeszcze bardziej zaognioną. Znowu trzeba było zmieniać teksty do kabaretu. Mazowiecki ostatecznie przestał być naszym faworytem, toteż Zykun, Kryszak i Zaorski używali sobie w najlepsze (na mel. „Wio koniku”):

CHÓR

— Powoli człapał ROAD skrajem szosy,
Starego Tadeusza ciągnąc wóz,
Wtem bracia z Centrum, krzycząc wniebogłosy,
Pomknęli naprzód, aż mu stanął mózg.
Wnet okopali się jak Święta Trójca,
Rozbili Komitety w drobny mak,
Własnego nawet się pozbyli Wujca,
Tadeusz zaś spokojnie mruczał tak:

MAZOWIECKI

— Wio, Michniku, a jak się postarasz,
Przyspieszaczy przegonimy akurat,
Tobie znaczek przywrócimy zaraz,
Ja wam będę w Belwederze z ręki jadł.
A dla nich, choć w godzinę, chcę dekretów wydać sto,
Zostanie beret i śrubokręt, wio Michniku, wio!
Wio Michniku, Europa dla nas,
Dla nich Azja i Ciemnogród i a sio...

Kampania wyborcza przybierała momentami charakter paranoi, kiedy indziej groteski, a niektóre oskarżenia przekraczały granicę śmieszności. Jak mógł Andrzej Szczypiorski, uważający się za intelektualistę, mówić o Lechu jako „najbardziej nieodpowiedzialnym kandydacie.” Czy intelektualista nie powinien rezerwować stopnia najwyższego (lub najniższego) na prawdziwe nieszczęścia?

W swoim felietonie „Strach ma wielkie wąsy” nie agitowałem za Elektrykiem, zrobił to dużo lepiej, szkoda że na klęczkach, Piotr Wierzbicki w „Bitwie o Wałęsę”, wytykałem jedynie absurdy

antylechowej propagandy, zauważając, że już niedługo staruszek będzie mówić dostaruszka: „Jedź grzeczni zupkę — kuroniówkę, bo przyjdzie Lechu i ci ją zabierze” Zwróciłem też uwagę na inne zjawisko:

Kolejka

*Mimo chłodu i mżawki, na jesiennych alejkach,
Niczym wyrzut sumienia albo powód zadumy,
stoi sobie ogonek, lub inaczej — kolejka,
Jak za czasów zastoju, kartek, czyli komuny.
Za czym stoją ci ludzie? Może marzą o meblach,
Może nabyć chcą akcje, albo pozbyć dolarów,
Na przecenę czekają, lub torciki od Wedla,
Może wystać chcą wizy, albo leki... te z darów? (...)
Przemieszanie szarości i prawdziwej charyzmy,
I zawziętość okrutna, jak u Greków pod Troja,
Ogon rośnie i rośnie, aż po krańce ojczyzny.
A przechodnie pytają, za czym ludzie ci stoją?
Może to przedsiębiorcy, albo przyszli ajenci,
Bezrobotni, lub chętni służyć Polsce żołnierze? ...
Nie, to stoją jedynie pretendenci zawzięci
Którym strasznie się marzy fotel mieć w Belwederze.*

Nieźle ilustrują sytuacje fragmenty ówczesnych **LISTÓW SYMPATYKA** — Kryszaka podredagowane przeze mnie na potrzeby ówczesnych publikacji w prasie. Przez pewien czas w Łodzi ukazywało się obiecujące czasopismo satyryczne „Młyn”.

(...) Serce boli, że tylko jeden z dwóch może wygrać te derby i to kosztem drugiego. Proponuję więc polską drogę do demokracji i wybór dwóch. Mamy dwie izby w parlamencie, więc nie będzie kłopotów z lokalem. Mieliśmy Rzeczpospolitą Obojga Narodów, niech więc będzie Rzeczpospolita Obojga Prezydentów. Razem zbiorą z 90% głosów, więc bez podtekstów będą mogli mówić o sobie — My Naród.. A na pieczęci będzie można napisać „Prezydent RP obojga imion Tadeusz Lech Wałmazo”. Oczywiście szyk imion może być odwrotny. Np. Lech Tadeusz Mazował.

PS 1. Każdemu przydzielili się po jednym bliźniaku. A na eksperta poprosi prezydenta Kaczyńskiego na wychodźstwie. Czy to jakiś kuzyn braei Kaczorowskich?

PS 2. Jestem jednak za Wałęsą, bo drogę dwupasmową do Katowic już mamy a do Gdańska bardzo by się przydała.

I znów wypada przytoczyć kolejne uzupełnienia do szopki. Przyspieszenie zdarzeń sprawiało, że każdy nasz spektakl był właściwie niepowtarzalny:

MICHNIK (mel. „Ewiva Espania”)

Już do wyścigu wezwał gong — prawdziwa kampania,

już dobre obyczaje w ką — zelżywa litania,

inwektyw wokół słycać stek, dłoń swędzi do lania,

kto czysty Polak, a kto Grek?

Czy ten naród nam się wściekł? ...

(mówi) — *A w „Gazecie Wyborczej” myślano z pośpiechem —*

jak wygramy wybory, co zrobimy z Lechem?

CHÓR ROAD– u (mel. z kabaretu Starszych Panów „Na ryby”)

Na ryby! — Wysłać go najwyższy czas.

Na ryby! — Nim nie zakabluje nas.

Niechaj weźmie śrubokręcik,

byle nami nic nie kręcił

bo my wszak inteligenci

a on gminny elemencik...

Na ryby! — Nie ubierzesz go we frak.

Na ryby! — Francuskiego też mu brak.

Niechaj robi za legendę,

a nie stara się o grzędę!

GEREMEK

— Gdzie z Familią ja zasięde,

On by robił błąd za błędem...

Na ryby!!!

GŁOS WAŁĘSY

— A może samiby poszliby na ryby?!

KONFERANSJER (mówi)

— Toczy się historia niczym kamień młyński,

gdzie nie rzucić okiem czyha brat Kaczyński.

A to przecież bardzo twardzi zawodnicy,

co ukradli Księżyc... I Lecha lewicy.

Nawet Michnik się zgubił, gdy podnieśli głowę

Jacek z Plackiem — bliźnięta jednowałęsowe.

Żartowanie z braci Kaczyńskich, którzy w dzieciństwie grali w filmie wg powieści Kornela Makuszyńskiego „O dwóch takich co ukradli księżyc”, stało się w tym czasie stałym elementem humorystycznym, wykorzystywanym przez wszystkich. Nie zmienia to faktu, że obaj bliźniacy, wspierający w tym czasie Wałęsę, okazali się niezwykle skuteczni.

Nadszedł dzień wyborów. Głosowałem w Konsulacie Polskim w Kolonii w trakcie kolejnej

kabaretowej trasy po RFN—ie. Należałem tam, obok kierowców PKS—u do nielicznych zwolenników Lecha. Nad Renem wygrał Mazowiecki. A w kraju? Zapachniało grozą.

Belwederek odszedł w dal,

ostał mi się ino Hall

— mruczał szopkowy Mazowiecki, obserwując drugą turę wyborów z pozycji kibica. Miedzy niego a „Wodzusia” wkroczył bowiem czarny koń! Czy może Kondor? Jeszcze w trakcie tournée wymyśliłem nową wersję popularnego wierszyka, która recytował Andrzej w ciemnych okularach, chrapliwym głosem Tymińskiego

Kto ty jesteś

Kto ty jesteś? — Człowiek znikąd.

Twoje hasło? — Skończyć z kliką.

Twa idea? — Wielka misja

Kto ją ziści? — Ubek i Stan.

Główny zamiar? — Stać u steru!

Co zbudujesz? — Drugie Peru.

Obietnice? — Dać milionom.

Skąd miliony? — Nie wiadomo.

Za komuny? — Było fajno!

Kto kraj zniszczył? — Solidarność!

Twa nadzieja? — Naród ciemny!

Twój ideał? — Stan!

Wojenny? ... — Tymiński.

Panika w salonie zapanowała olbrzymia, tak jak gdyby zwycięstwo szamana z Peru, wraz z jego czarną teczką i żoną Indianką (być może czarownicą) było naprawdę realne. Gorączkowo rzucono się badać jego przeszłość, kontakty z Libią, różne paszporty... Paradoksalnie, im więcej atakowano Staną, tym bardziej zwiększało się dla niego poparcie. I gdyby nie ujawniony przez korespondenta z Kanady fakt, że bije żonę, kto wie czy model białoruski nie zagnieździłby się u nas na parę lat przed pojawieniem się Łukaszenki. Zresztą ulubioną obelgą w tamtych dniach było „Ty Miński... (tu wulgaryzm)”!

W dramatycznej fazie rozgrywki sam włączyłem się w kampanię i na prośbę redaktora Gelberga reprezentującego w radio sztab Lecha napisałem kilka tekstów. Jeden utrzymany był w mrocznej tonacji political fiction.

Za rok... jeśli...

Dzień dobry, z Warszawy w programie „Dalej Świata” kłania się wasz korespondent. Dobiegają końca przygotowania do pierwszej rocznicy przesławnej prezydentury. Mamy początek grudnia 1991 roku, ale z powodu braku prądu nie możemy zobaczyć dokładnej daty. Wiemy, w każdym razie, że główne uroczystości odbędą się przed dawną katedrą, obecnie zamienioną w świątynię Czwartego Wymiaru, czyli Kał-Tiki. Od wczesnych godzin rannych bataliony zombos oraz milicjoneros patrolują miasto w poszukiwaniu niezadowolonych. Ale nie ma niezadowolonych, ostatnio cena bochenka chleba skoczyła jedynie do pół miliarda peso, więc nie jest źle. Spokój panuje również w kolejkach, w których wydawane są talony na uniwersalne poncho jednorodzinne i kilo kartofli. Za to płyn z lian rozdawany wszędzie za darmo powoduje radosne uniesienie: grupki młodzieży, a nawet emerytów, unosząc się w stadkach nad ziemią, śpiewają nasz nowy hymn „Peru, Peru, bilans wnet się zrówna zeru”. Wszędzie rozdawane są gazetki sporządzone pismem węzełkowym, tak zwane „Kipu Warszawy”. „Kto kipu, nie błądzi” — twierdzi z przymrużeniem ucha nowy rzecznik prezydenta, Jorge Urbanos, na konferencji prasowej. Jest świetnie, zwłaszcza, że od pewnego czasu we wszystkich sklepach zamiast towarów darmo rozdawane są pieniądze. Grupa zbrojnych w maczety pezetpeeros demonstruje godnie już trzeci tydzień, domagając się zmiany nazwy Rzeczypospolitej Polskiej na — zgodnie ze stanem tym... faktycznym — Ubekistan. Najśmieszniejsza wiadomość mówi o przetransportowaniu z Żarnowca wystarczającej porcji materiałów rozszczepialnych do pierwszej polskiej pokojowej eksplozji nuklearnej na Pustyni Błędowskiej. Budzi to wiwaty kobiet z kolejek. I pozdrowienia czerwonoarmistów, którzy po wyprowadzeniu się z NRD tymczasowo rozlokowali się w najważniejszych punktach miasta. „Wot siurpryza” — woła bawiący się z niemowlętami sierżant KGB, ponoć przyjaciel prezydenta jeszcze ze wspólnych potańcówek w Trypolisie. Podniosły nastrój mąci jedynie fakt, że od paru tygodni nie można nigdzie znaleźć Ojca Narodu, jego żony ani rezerw walutowych NBP. Jasnowidze twierdzą, że gdzieś w dżungli wespół z Lechem Grobelnym tworzą drugi Lech i Stan.

W innym felietonie, bardziej wprost pisałem:

Kandydat sprawia wrażenie męskiej Barbie. Tylko z rzadka przyciśnięty do muru obnaża kły.

Sugerując, że jest kreacją dawnych służb specjalnych, może nawet rodem z ościennego mocarstwa dodawałem —

Komuna wraca! Należy tylko żałować, że wstydząc się swojej prawdziwej twarzy chowa się pod maską menedżera, odzianego w dobry garnitur — będącego w gruncie rzeczy zszytym z różnych hasel, obietnic i złudzeń „Frankensteinem dla ubogich”.

Dziś widzę to jeszcze inaczej. Niezależnie od prawdziwych lub domniemanych powiązań, ów „niezależny kandydat” był efemerycznym produktem epoki, w której bardzo wielu rodakom, nie wypadło jeszcze głosować na komunistów, ale na Solidarność już się nie chciało. A po epizodzie pozostały piosenki:

(na mel. „Pero, Pero...” z repertuaru Jana Kaczmarka)

CHÓR

— *Zewsząd zaszczuty, sprawiedliwy,
wielbiony we wsiach i miasteczkach,
wkrótce już cały świat zadziwi,
gdy się otworzy czarna teczka.*

TYMIŃSKI

— *Tysiąc obietnic ciągle składam,
gdym coraz bliżej Belwederu.
Na ustach kwitnie mi Kanada,*

lecz z tyłu zęby szczerzy Peru.

Peru, Peru — budżet będzie równy zeru.

Peru, Peru — zawsze znajdę dość frajerów!

KONFERANSJER (czyli ja)

— Już prawie był w ogródku,

już witał się z gąską

kiedy prasa ruszyła z gwałtowną nagonką.

Apele i kazania, spazmy, wolne wnioski,

a on naród czarował niczym Kaszpirowski.

TYMIŃSKI (mel. „Mój kraj” Daukszewicza)

Dość często mnie pytają ludzie,

gdy wiec wyborczy mam,

jaki naprawdę jest mój plan

i co dać mogą wam?

Górnikom góry, chłopom — fury

przedsiębiorcom: raj

na młodzież: odzież,

bo to jest mój kraj.

Rencistom: wszystko, żuli — czystą,

esbecji: dobry sen.

Posadzki ciepłe komunistom,

co popierają mnie.

Tu biednym kij i torba,

Lechu w to ci graj,

dla ciebie to folwark

dla mnie to mój kraj!

W drugiej turze nie doszło do niespodzianek, Wałęsa wygrał gładko, wchodząc do historii cytatów toastem „Zdrowie wasze w gardła nasze”, natomiast Tymiński okazał się bardziej śmieszny niż groźny, zasilając na jakiś czas pulę szopkowych postaci. Szopek zresztą namnożyło się z końcem roku sporo, oprócz stałych aktualizacji na estradzie, napisałem drugą szopkę do radia, a równocześnie razem z Markiem Majewskim przystąpiliśmy do tworzenia pierwszej szopki dla telewizji. Przyznaję powstała ona głównie dzięki operatywności Marka, on rozmawiał z kim trzeba na Woronicza, ściągnął animatorów z teatru „Fraszka”. Ja skoncentrowałem się na scenariuszu. O ile w radio wykorzystaliśmy przede wszystkim teksty premierowe telewizyjna **SZOPKA POLSKA AD 1990** stanowiła antologię najlepszych utworów, z radia i estrady, powstałych w ciągu roku. Program reżyserowali i prowadzili Kryszak z Zaorskim, usiłując nadrobić dynamiczną grą żywym planie” nieruchawość kukieł o martwych twarzach. Przytoczę kilka utworów z obu programów. Sporo tekstów dotyczyło ustępującego rządu. Jak pamiętamy Mazowiecki nie przyjął po wyborach oferty Wałęsy — kontynuowania misji premiera. **NIEZABITOWSKA** śpiewała w więc w radio na mel. „Kaziu, zakochaj się”

Choć wyszło nad Wisła, z dymisją źle,

Tadziu, Tadziu, Tadziu — uśmiechnij się.

Gdy w Unii masz tłumy i cały Hali

Tadziu, Tadziu...

MAZOWIECKI

— Słucham?

NIEZBITOWSKA

— To mnie jest żal.

Czy masz plan, w sprawie dam,

W opozycji sam?

Prześlicznej Małgosi N.

To odbiera sen.

Więc jeśli znów rzecznik, przyda się w grze,

Tadziu, Tadziu, Tadziu

MAZOWIECKI

— Słucham?

NIEZBITOWSKA

— Nie powiem nie.

W wersji telewizyjnej zwierzała się natomiast w rytmie „Kolorowych jarmarków”

— (...) A najbardziej mi żal.

Z Tadeuszem pogwarków,

Konferencji przy barku,

Rządowej grupy

I Kuronia zupy.

Na co **KUROŃ** odpowiadał na mel. „Gdy mi ciebie zabraknie”:

Gdy Kuronia zabraknie,

Jeśli mogę być szczery,

Straci szansę ostatnie

Zubożały emeryt.

Niczym dziecko z kąpielą

Przerażony jest tym —

że gdy Jacka wyleją

Zupka spłynie wraz z nim.

Komentarz do „wojny na górze” włożyłem w usta naczelnego „Gazety Wyborczej”. **MICHNIK** jękając się śpiewał na mel. „Orkiestr dętych” —

Pa, pa, pa — paskudnie się zaczęło

pa, pa, pa — padł nagle blady strach,

ko, ko, ko — komitet lichy wzięło,

a to było tak.

Le... Lech krzyknął — przyśpieszamy!

Tadziu wołał grubą krechę,

w Gdańsku się zebrali, znaczek odebrali...

„Wujcu czuj się odwołany”!

Związek z miejsca zmienił nogę,

z lewej przeniósł się na prawą,

Najder zaczął gierkę,

„Wodzuś” wziął siekierkę,

a publika biła brawo.

Wątek chłopski reprezentował zapomniany dziś lider, ówczesny kandydat na prezydenta Roman Bartoszcze, który sięgnął po repertuar Kazia Grześkowiaka („Chłop żywemu nie przepuści”)

BARTOSZCZE

— Biedna wieś to głodne miasto,

Tam kryzysu spada ostrze,

Rząd zrujnować pragnie państwo.

Ale jeszcze jest Bartoszcze.

Chłop rządowi nie przepuści,

Chłop rządowi nie przepuści!

Balcerowicz jak podskoczy,

Nie porządzi se, a juści! (...)

Dajcie kosy i nawozy,

Jeśli zreć pragniecie mięso,

Dołożyli Tadzikowi,

Poradzimy se z Wałęsą...

Zdumiewające, że wystarczy w utworze wymienić niektóre nazwiska, a tekst pozostanie aktualny nawet dziś.

W radiowym programie nie zabrakło też ustępującego **JARUZELSKIEGO**, apelującego do Lecha parafrazą Demarczykowego „Tomaszowa”

A może byśmy tak najmiłsi,

Wpadli na dzień do Arłamowa...

Po czym generał dokonywał ćwierć rachunku sumienia, zwracając się do społeczeństwa na melodię „Już szumią kasztany” Była to jeszcze „stodolana” piosenka Magdy Umer, której pierwotne słowa napisał startujący właśnie z radiem Zet, inny mój kolega ze „Stodoły” Andrzej Wojciechowski.

JARUZELSKI

— Już zmienił się ustrój i wchodzi kapitał,

ja muszę się żegnać, gdy inny się wita,

ja muszę się zegnać i dobrą mieć minę.

Brać wszystko na siebie,

przyznawać, żem winien.

Za wszystko co było głupie i złe —

Przepraszam Narodzie, przepraszam Cię.

Przepraszam cię, za wszystkie gorzkie żale,

Reformy, których nie było wcale,

Przepraszam, za stratę talentów bezcennych,

Za zło nie najmniejsze, za mój stan wojenny.

Przepraszam za morze cierpień i łez,

Za wszystko za co tylko chcesz...

Patrząc z perspektywy lat, zauważam własną pomyłkę. Bardziej skory do przepraszania od generała okazał się jego młody kontynuator, sam zaś Jaruzelski woli podtrzymywać teorię „mniejszego zła”, twierdząc przy okazji swego procesu, że w roku 1970 wojsko strzelało do warchołów i chuliganów.

Z szopki telewizyjnej wspomnę jeszcze wystąpienie ostatniego premiera PRL i zarazem ostatniego sekretarza PZPR **MIECZYŚLAWA RAKOWSKIEGO**, nucącego na mel. „Puszkina” Okudźawy. Utwór nawiązywał do pamiętnego spotkania w Stoczni Gdańskiej im. Lenina, wkrótce po stanie wojennym, kiedy to Rakowski zdjął marynarkę i rozluźnił krawat, żartując na temat wieszania, po czym nabijał się z Wałęsy i groził paluchem klasie robotniczej. Tekst odnosił się również do próby likwidacji zakładu tuż po objęciu funkcji premiera. Z dzisiejszej perspektywy nachodzi mnie refleksja — może jednak trzeba było zlikwidować kolebkę?

Co było nie wróci i krawat zdejmować daremnie,

Bo życie jak stocznia, był kanał, a jest suchy dok.

A przecież mi żal, że w tych drzwiach nie pojawi się Lenin,

Tak chętnie bym rzekł:

Nu za sto tak Władmir, za szto?

Zawalił się świat i historii sprasował nas walec

Z kim innym rozmawia Gorbaczow i Thatcher i Bush,

A przecież mi żal, że zostałem samotny jak palec,

Co nawet nie może nikomu pogrozić dziś już.

KACZYŃSCY śpiewali w duecie, oczywiście na melodię popularnych „Kaczuszek”

(...) Przypinają nam sto lat, na zaszczyty wielki smak,

dobrych manier ciągly brak, brak, brak, brak, brak.

Ale nas nie trafia szlag. Na każdego mamy hak,

Kto, gdzie, kiedy oraz jak, w komunę wpadł.

Już dla „różowych” stoją taczki,

Czas zmazać Magdalenki grzech.

Pora na kaczki z nowej paczki,

Gdy jak sokoły je puszcza Lech.

Choć dodatkowy będzie smaczek,

Że kiedy uda się nasz plan,

Na złość legendzie, z pięknych kaczek

Brzydkie łabędzie wyrosną wam.

To zdanie akurat było prorocze, już wkrótce obaj bracia z najbliższych filarów (no, filarków!) Lecha mieli przekształcić w jego równie zagorzałych przeciwników.

Co znalazło się jeszcze w tamtym programie? Minister Spraw Zagranicznych **KRZYSZTOF SKUBISZEWSKI** apelował do światowych mężów stanu „Zaproście mnie do stołu”, **KSIĄDZ JANKOWSKI** z Gdańska pohukiwał radośnie „Raduje się serce raduje się dusza, gdy Pierwsza

Brygida na Warszawkę rusza”. Natomiast duet **GORBACZOW–JELCYN** proroczo przekomarzał się na melodię pamiętnego „Przeklnę cię” Wasowskiego–Przybory.

JELCYN

— *Kiedy trzeba obniżyć loty,
Zamiast siły, więcej perswazji,
Chcemy znów wejść do Europy...*

GORBACZOW

— *Przy okazji nie tracąc Azji!*

JELCYN

— *Kiedy trudniej zwodzić i kłamać*

GORBACZOW

— *Satelicie nie ujdzie ni myszka.*

JELCYN

— *Kiedy jeszcze słaba jest „Pamięć”
Jedno wyjście dla ciebie mam Miszka!*

GORBACZOW

— *Jakie?*

JELCYN

— *Ustąp mi — ja jeden zbawię Sojuz,
Ustąp mi — nie szukaj wsparcia w woju
Ustąp mi — nim zmieni się na pora
Nim zbudzisz upiora. Nim huknie Aurora,
Ustąp mi, ustąp mi!*

Szopkę i cały rok kończył FINAŁ utrzymany w poważniejszej tonacji. Taka kropla powagi na zakończenie stała się tradycją wszystkich następnych szopek telewizyjnych podobnie jak osobiste pojawianie się autorów.

(Na melodię „Niech żyje Bał”)

Milczcie mass — media, skończona komedia,

Choć czasem pobrzmiwał w niej strach.

Grali przegrani, wygrali wybrani

Pociecha, że Lecha ma Lach.

Było nie miło, lecz troszkę na niby,

Choć tryby z rozpędu się trą.

Można nareszcie pójść razem na ryby,

Dać krok, w Nowy Rok.

Niech przyjdzie rok,

W którym będzie się można ponudzić,

To byłby skok — Zacząć ludzi traktować jak ludzi,

Niech żaden szok, nie wywoła nastrojów fatalnych,

Niech przyjdzie rok, który będzie nareszcie normalny!

Rok 1991

Szopka nadana w noc noworoczną dobrze rozpoczęła rok 1991, który z wielu względów muszę uznać za najpomyślniejszy w moim życiu. Doświadczenia z estrady i powodzenie szopki nasunęły mi z Andrzejem Zaorskim myśl, aby w ZSYP-ie zamiast słuchowisk, opowiadających aluzyjnie o problemach naszej rzeczywistości, przy pomocy wymyślonych postaci i sytuacji, stworzyć cykl kipiący aktualności. Taką cotygodniową szopkę prozą. W telewizji tryumfy świeciła „Dynastia Carringtonów”, czemu, korzystając z wolności nie mielibyśmy uruchomić „Dynastii Wałęsów”, no, może po małej modyfikacji, „Klanu Szwendałów”? Gdzieś w tym czasie w lewicowej „Trybunie” pojawiła się codzienna pozycja, napastliwa wobec bohaterów „Solidarności”, której autor ukrywał się pod pseudonimem „Magda Cień”. Na zasadzie przeciwstawienia moja spółka z Zaorem przybrała pseudo „Marta Blask” i rozpoczęliśmy nadawać

Klan szwendałów

sagę o kulisach działania Centralnej Dyspozytorni Mocy z Wielkim Energetykiem na czele.

Wybrane fragmenty pochodzą z tomiku, który przygotowałem na podstawie pierwszych kilkunastu słuchowisk i poprzedziłem stosowną przedmową

Dlaczego ON?

Co powoduje, że zdecydowałam się zająć tą postacią, włączając ją do panteonu Zasłużonych dla Energetyki, między Voltę i Ampera, Ohma i Coulomba, skłaniając Einsteina i Fermiego, żeby się trochę posunęli? Czy powodem jest frapujący mit XX-wiecznego Kopciuszka, który został królową? Czy ma być to być podziękowanie, za rolę w historycznym przełomie, jakim było włączenie Energetyki Wschodu do systemu Cywilizowanej Europy, wyzwanie rzucone doktrynerom prądu stałego? A może po prostu piszę o nim dlatego, że jako debiutująca autorka, po prostu zafascynowałam się panem Czesławem i gdyby nie pani Jagusia... No comments! Czesław Szwendała, urodził się w ubogiej wsi mazowieckiej. I choć jego narodzinom towarzyszyły tak wyraźne znaki na niebie i ziemi, jak Konferencja Energetyków w Jałcie czy błysk nuklearny w Los Alamos, długo nie wiązano tych zjawisk ze sobą. W wieku siedmiu lat zobaczył po raz pierwszy żarówkę. Mając lat piętnaście, usłyszał z własnoręcznie skonstruowanego radia, jak facet stojący na czele kierowniczej siły w Dyspozytorni Mocy, niejaki Włodzisław Oscypka wrzeszczał — „Nie kartka z rachunkiem na prąd dała nam władzę i nie kartka ta nam ją odbierze!”, i dorzucał po chwili „Niech żyje wiecznie — trwała przyjaźń z Elektrownią Górna Wołga i nasza nierozzerwalna miłość do prądu stałego!”. Ukończywszy 24 lata pan Czesio, dusząc się zbyt świeżym powietrzem rodzinnej zagrody, wyjeżdża do Czwórmiasta, gdzie podejmuje pracę przy Wielkim Kotle im. Jelenia. Rok później jest świadkiem, jak po raz pierwszy użyto zaworu bezpieczeństwa celem spuszczenia pary nagromadzonej w Kotle. Nie obyło się bez ofiar, gdy ciśnienie wysadziło zawór, a bezpieczeństwo użyło swych środków. W wieku lat 34 od pewnego brodatego, cygańskiego dysydenta dowiaduje się o istnieniu prądu zmiennego i od tej chwili poświęca się bez reszty idei „Powrotu do Prądnic”. Po dwóch latach Szwendała staje na czele wielkiego ruchu o nazwie „Energetyczność”, który ogarnia praktycznie cały system elektrociepłowniczy kraju. Do pomocy przyjmuje pierwszych doradców (m.in. redaktora Małopolskiego, docenta Hajduczka). W efekcie herezja, że prąd stały jest gorszy od zmiennego — upowszechnia się w społeczeństwie. Budzi to żarliwy niepokój w Elektrowni „Górna Wołga” i sprzęgniętych z nią siłowni — „Średnia Szprewa” i „Bratnia Wełtawa”. W obliczu tych zagrożeń 13 grudnia roku pamiętnego, Dyspozytornię Mocy przejmuje harcmistrz Kieruzelski z zespołem „Komenda”. Celem oszczędności zostają wyłączone telefony, a najbardziej zapalne punkty systemu energetycznego starannie zabezpieczone. Sam Szwendała owinięty taśmą izolacyjną spędza rok w pudle. Z

ebonitu. Kieruzelski obiecuje pozytywne zmiany w sytuacji na linii ciepłownia — obywatele, ale w praktyce realizuje powrót do prądu stałego, co jest o tyle utrudnione, że znaczna część społeczeństwa nabyła już urządzenia na prąd zmienny. Tworzy się drugi obieg. W piwniczkach i garażach niestrudzenie warczą domowe agregaty prądotwórcze, mimo wysiłków Lesława Kaszaka i jego kontrolerów z brygady antypajęczarskiej. Symbolem podziemia staje się opornik.

Aliści czas płynie. Do zmian dochodzi również w Elektrowni „Górna Wołga”, która sypie się szybciej niż paliwo antyreakcyjne wrzucane do jej reaktorów. Inżynier Naczelny Grisza Michaczow wprowadza „elektrostrojkę” zamiast „czerezwyczałki”. Jego doradcy uzasadniają możliwość równouprawnienia prądu stałego i zmiennego w jednym obwodzie i nazywają to Trzecią Drogą Q Przyszłości. U nas w obliczu plajty, gdy energii przestaje wystarczać na samo wydobycie surowców służących do wytworzenia tejże, Kieruzelski i Kaszak decydują się na zwołanie Kółka Graniastego, Bezkanciastego. Na nim zezwalają na 35-procentową Wolną Elekcję do Rady Ciepłowniczej. I to jest początek końca. Pół roku później Elektrownia Średnia Szprewa jest już na garnuszku Zagłębia Grubej Ruhry, a w Bratniej Wełtawie w sposób aksamitny zamieniono przymiotnik „Bratnia” na Niezawisła. A u nas? Czesław Szwendala zostaje przez ogół ciepłobiorców wybrany Generalnym Dyspozytorem Mocy. I w tym momencie zaczynamy naszą relację, nie mając pojęcia, jak się to wszystko zakończy.

Pierwsze odcinki dotyczyły przeprowadzki z Gdańska, zainstalowania się w stolicy i kontaktów z „warszawką”, który uosabiał MUZG (Mazowiecka Unia Zakładów Gazowniczych). Patent deformacji nazwisk był prosty — premier Jan Krzysztof Bielecki stał się Czarnieckim, Kaczyński — Gąsiorkiem, Geremek — profesorem Hajduczkiem, a Adaś Michnik — Michasiem Adamikiem. Na podobnej zasadzie Sejm stał się Wielkim Kotłem, a główne problemy kraju zogniskowały się wokół iskrzenia na łączach. Poniżej prezentuje dwa z wielu odcinków tego serialu. Z wierszykami zoologicznymi w formie przerywników

Gado struś

Raz się zdarzył przełom w bulwie

Skrzyżowano strusia z żółwiem,

Zabieg przebiegł zgodnie z normą,

Chociaż był troszeczkę porno.

Z konferencji naukowej

Wiść obiegła cała prasę,

*Że zwierz pióra ma na głowie,
No i chowa kuper w piasek.
Jaja znosi on pancerne,
Żre za pięciu, często spluwa,
Nigdzie szybko nie pobiegnie,
Ale za to nie pofruwa!
Choć pożytków z niego nie ma,
Nie pośpiewa, nie pogada,
Całkiem jest nie do zjedzenia
I ma zimne serce gada.
W menażerii krucho z forszą,
Wśród naukowców smutek pełny
Zwierz kosztowny jest jak Rolls Royce
I praktycznie nieśmiertelny.
I najbardziej wszystkich trwoży,
Że się mnoży, strasznie mnoży.
„Nie ma siły, nie ma rady,
Zeżrą nas te strusiogady!”
Zaś w szeregach specjalistów
nazywają te koszmarki,
Próba przejścia z komunizmu
do rynkowej gospodarki.*

Klan Szwendalów — Odcinek piąty

Służbowy segment Dyspozytora Mocy, z którego ledwie tydzień temu ksiądz Jabłoński wyświęcił ostatnie duchy komuchy, rozbrzmiewał muzyką. Na półpiętrze Czesław Szwendata, oparty o galeryjkę i redaktora Gąsiorka, a może zresztą jego brata, też Gąsiorka, przypatrywał się napływający gościom.

— No i mamy przełom, mili państwo. Za poprzedniego reżimu karnawał kończył się ostatkami — a u nas dostatkami! — mruczał zadowolony.

— Ale potem, jak zawsze będzie post — stwierdziła praktycznie pani

Jagusia, dźwigając kolejną tacę kanapek z mózdzkiem.

— Żeby tylko ci z MUZG-u (Mazowieckiej Unii Zakładów Gazowniczych) nie zarzucili nam, że zaczynamy urzędowanie od zabawy — martwił się Gąsiorek.

— Hę, hę, hę! — pan Czesław trzepnął go w ramię — Szwendata nie taki głupi, żeby dać się złapać na balowaniu. To żaden bal.

— A co?

— EWG! Energetyczny Wieczorek Gapoznawczy i szkolenie pepoż.

Wystarczy popatrzeć na kostiumy. Choćby Aurory! W drzwiach salonu dzieciennego ukazała się wystrzałowa dziewczynka, ubrana zgodnie z modą i zasadą balu maskowego. Przy pasku miała przytroczoną wyszywaną cekinami torebkę z maską gazową, stanowiącą dar od ciepłowników izraelskich. Jak się okazało starsi synowie Dyspozytora mieli maseczki produkcji irańskiej, których wersja kobieca nie nadawała się do noszenia, z powodu braku otworów na oczy.

Tymczasem pojawiali się kolejni poprzebierani amatorzy tańczącego szkolenia. Szwendata z Gąsiorkiem bez trudu, w przebranym za kombajn mężczyźnie rozszyfrowali szefa komórki rolnej — Potroszcze. Sprytnie blokował on wjazd do przebranej za cukrownię w Mławie blondynki, w której rozpoznano była rzeczniczkę firmy Nieinformatyką. Sporo śmiechu wywołał jak zwykle nienagannie wymuskany księgowy Balcerek, tańczący z kuflem na głowie.

— Za co on się przebrał? — zastanawiał się Szwendata.

— Jak to za co? — wypaliła Aurora. — Za podpiwek.

Paru gości ubrało się wręcz prowokacyjnie, np. niedawny rywal pana Czesia, Szamoszewicz, za książkę, ale nie za swój ulubiony Manifest Komunistyczny, tylko za coraz częściej cytowaną

w jego kręgach, Biblię.

— Zaraz, zaraz! A tamuj?! To przecież ja! Kto śmiał przebrać się za Szwendalę? — wybuchnął naraz Dyspozytor.

— Trrochę tollerancji, druhu Czesławie. To ja — Frrredzio Słodzik — odezwał się jego sobowtór z HopZetZetZetu, nie wyjmując fajki z ust.

— Znów się podszył pod klasę robotniczą — westchnęła pani Jagusia.

— Cóż, to jedyna klasa jaką skończył — skomentował Gąsiorek. Czesław Szwendala szukał jednak zupełnie kogoś innego. Zastanawiał się gdzie zniknęli, zaproszeni na uroczystość jego czołowi oponenti z MUZG-u? W kaplicy, sali pingongowej, w kiblu?

— Tu nam nikt nie przeszkodzi. — Wacek Muroń zablokował kolanem drzwi do łazienki, wskazując dyr. Małopolskiemu i red. Adamikowi ciepłe miejsce na sedesie i bidecie. — Coś mi tu brzydko pachnie: ten bal, ta ostentacyjna grzeczność...

— Mnnieeee tteż — Adamik ściągnął maskę i łapał powietrze niczym karp po polsku, za którego był przebrany. — Szwendala chce powołać Specjalną Komisję Ciepłowniczą przy swoim urzędzie. Co ppan na to, panie Władysławie?

Obaj spojrzeli na Małopolskiego, który milczkiem pałaszował sałatkę jarzynową. Ten, stęknął tylko, uniósł brwi i spojrzał w sufit, jakby tam miał napisaną odpowiedź, potem ze świstem wypuścił powietrze i kiwnął głową...

— Tak, tak, święte słowa! — ucieszył się Muroń. — Ja też uważam, że to ciało dublowałoby pracę legalnych struktur. Zawsze podziwiałem pańską siłę spokoju, zwłaszcza teraz, kiedy przepadł pan w konkursie na Dyspozytora.

— A mmmmy razem z panem — redaktor Adamik o mało nie zadławił się kawałkiem ulubionej Kiełbasy Wyborczej.

— Swoją drogą — kontynuował Muroń — ma tupet ten Szwendala. Najpierw krytykował, że prąd za wolno płynie. Obiecywał, że jak obejmie stanowisko, to rozda wszystkim po świetlówce za darmo. A teraz, w gruncie rzeczy, robi to samo co pan.

W tym momencie elegancki łomot do drzwi zasygnalizował, że do łazienki usiłuje dostać się profesor Hajduczek, specjalista od życia umysłowego galerników na Bliskim Wschodzie w XVIII wieku. Wpuścili go ze zrozumiałą atencją.

— Czy wolne? — pro forma rzucił Hajduczek.

— To jedyne nnaprawdę wolne miejsce w tej uupiornej rezydencji — skomentował Adamik.

— Mam wiadomość dla pana Małopolskiego — Hajduczek pogładził się po brodzie. — W hallu czekana pana kolega Lolek Hill i szamoce się ze służbą, bo zgubił zaproszenie. A w

przebraniu Ustawy o Partiach nikt go nie może poznać.

— Już biegnę — Małopolski energicznie uniósł się z bidetu i zaczął wychodzić. Gdy po kwadransie zamknęły się za nim drzwi, Hajduczek podskoczył do umywalki i umył ręce.

— Masz rację, Sławku — Adamik podał profesorowi ręcznik. — Coooś trzeba zrobić z tym nieszczęsnym Władziem. Ubzdurał sobie, że be — bebędzie szefem MUZG-u. A prze... przecież to człowiek całkiem nieprzewidywalny.

— Sam go lansowałeś, Michasiu — przyciął łagodnie Hajduczek. — Pamiętamy twoje hasło „Wasz dyspozytor, nasz rewizor”, a potem „Nasz rewizor i nasz dyspozytor”.

— Przepraszam, ale to hasło ja wymyśliłem! — rzekł Muroń — A i Szwendąła się do niego przyznaje.

— Na dydyspozytora Tadek się nadawał, ale nie na przyprzywódcę! Prawdziwy przywódca musi mieć nie... nie... nanaganną wywymowę — wydukał Adamik.

— Oraz aparycję i elegancję — zachrypiał Muroń.

— I wesole bezpośrednie usposobienie, jednające tłumy — skończył Hajduczek. — Ale pocieszcie się przyjaciele. Z Małopolskim czy bez, mamy na Szwendąłę haka.

— Mianowicie?

— W zeszłym tygodniu tyle krzyczał, o przyjęciach dla prominentów i alkoholu za pieniądze społeczne. A ciekawe kto zapłaci za to rzekome szkolenie?

W pokoiku na górze pan Czesław pogwizdując sam parzył sobie herbatę.

— A coś ty taki zadowolony Czesiu? — zapytała pani Jagusia.

— Bo wyobrażam sobie ich miny, gdy każdy znajdzie w kieszeni palta indywidualny rachunek za dzisiejszy bal składkowy.

Wniesiono kawę, tort i likiery.

Zabawne, ale pisząc te odcinki, nie mieliśmy żadnych specjalnych informacji, o tym co naprawdę działo się w Belwederze za zamkniętymi drzwiami. Opieraliśmy się na ogólnodostępnych wiadomościach prasowych, a głównie na własnej intuicji. To jednak nie hamowało naszej inwencji, zwłaszcza, że Wałęsa zachęcał „do brania swego interesu w swoje ręce”.

W Republice Pingwinii, po stu gołoledziach
Wiosna — Mors zajął miejsce białego niedźwiedzia.
I zgromadziwszy tłumy pingwiniej hołoty,
Rzekł życzliwie i ciepło:
— Kochane nietoty!
— Minął czas wielkich mrozów i wiecznej marzłoci
Jesteście wszyscy równi, wolni, moi złoci!
Nie ma już ograniczeń, dziś czas dla odważnych,
Koniec z przywilejami! Fruwać może każdy!
A więc bracia pingwiny, gdy nie ma kłopotów,
Kto zdrowy, przedsiębiorczy, do lotu, do lotu!
Tu radość nastąpiła i śpiewy na głosy,
Zza granic lecą mewy, nury, albatrosy...
Lecz pingwiny smutnawe stoją, jak straszydła:
— Chociaż dano nam wolność, ale gdzie są skrzydła?
A wśród skałek już szydzą złośliwie lemingi
Jak tak chce wam się latać, to kupcie boeingi!

Klan Szwendalów — Odcinek ósmy

Tłum gęstniał. W pewnym momencie stał się gęstszy nawet niż sztachety płotu otaczającego rezydencję Szwendalów, które dopiero co z koloru khaki na białoczerwone przemaalował w czynie społecznym były lokator willi, harcmistrz Kieruzelski. Przyłożył się do tej pracy gorliwie, jak to on, a na słupki wokół bramy wjazdowej dodatkowo nasadził mosiężne rogatywki. Tłum jednak nie szanował tych symboli i bezpardonowo nacierał na bramę i nielicznych funkcjonariuszy formacji

BOE (Biura Ochrony Energetycznej), o której pan Czesio lubił nucić przy goleniu: „BOE coś Polskie”

Oczywiście demonstracje nie były żadną nowością dla mieszkańców dyspozytorskiej willi. Utało się nawet, że w poniedziałek demonstrowali bezrobotni, którym zasiłki nie starczały na „klina”. We wtorek przeciwnicy aborcji, w środę jej zwolennicy, w czwartek taksówkarze, a w piątek pani Jagusia nie musiała chodzić po zakupy, dzięki rolnikom, którzy wywalali przed bramą całe tony masła, smalcu, ziemniaków, cebuli, rzodkwi i kalarepy, a niekiedy, gdy po drodze nawinął się im stragan, również bananów. Sobotnie przedpołudnia i popołudnia wypełniały zadymy młodzieżowe, a w niedziele, po kościele, radykalne ruchy pozaparlamentarne: Tego jednak dnia, rozmiar, a także charakter demonstracji nappełnił głębokim niepokojem użytkowników rezydencji.

— Lud strasznie trzeszczy tego przedwiośnia — zauważył melancholijnie redaktor Gąsiorek.

— To nie jest trzask ludu — z przekonaniem replikował Dyspozytor — Szwendała ma słuch do ludu, oj ma! Bezbłędnie potrafię odróżnić zdrowy trzask klasy robotniczej, od potrzasków płatnych krasnoludów.

— Fakt. Transparenty mają jakby wydrukowane, a te tablice z dykty pamiętam z całkiem innych okazji — przyznał inżynier Cyrkiel.

— Od razu widać, zawodowcy — powiedział rzecznik Drży-Cimski otwierając okno.

Od strony Alei dobiegły gwizdy i gniewne skandowania, rozpisane na głosy, kanony i melodeklamacje: „Czechu do nas!” — wołali najbardziej umiarkowani. „Chcemy prądu nie zarządu” — piszczwały kadrówki poprzebierane za prządki. „Szwendała, kawał wała” — wyli spontaniczni manifestanci w służbowych ortalionach. „Dla Czesława będzie śliczne wielkie krzesło elektryczne” — deklamował zdrowy rdzeń awangardy.

— Może ja lepiej zamknę okno — powiedziała Jagusia Szwendałowa wchodząc z termosem pełnym kawy do współpracowników męża. Ten oderwał lornetkę od oczu.

— Chcecie zobaczyć, co się kryje za plecami klasy robotniczej? Redaktor Gąsiorek chciał. I rzeczywiście już za chwilę w tylnych szeregach demonstrantów wypatrzył charakterystyczną postać Fredzia Słodzika, wypróbowanego obrońcy klasy robotniczej.

— Z rozważą ale ostro, towarzysze — zachęcał zgromadzonych — Bój to będzie przedostatni!

— I ja... ja... jak idzie ppanie Fredziu? — Z przymy śniegu wyjrzał ukryty tam dotąd redaktor Adamik — Prze... przewidziałem, że ppo trzech miesiącach Dyspozytor znajdzie się w niedyspozycji. Jeszcze papapare godzin a ppadnie!

— Ale jak ich tu utrzymać jeszcze parę godzin — westchnął Słodzik — Już trzeci raz kwitują delegacje, biorą zwrot kosztów podróży, rozłakowe ze swą bazą, plus dodatek za pracę na świeżym powietrzu, a każdy chce do domu.

— Coś pppasywny ten aaaktyw. A co z waszą młodzieżą?

— Wyemigrowała, jak wasza! — odciął Słowik... — Uwaga — Tu zwrócił się do kolejnej grupy zmieniającej najbardziej wykrzyczanych — Hasło nr 8.

„Jeśli nie chcesz losu Gierka, na pożarcie rzuć Balcerka” — huknęło ze siedem gardeł...

— Widzi pan mamy paru czterdziestoletnich Małolatów z Międzypowiatówki Masochistycznej i Alternatywnej Pomarrańczy. Próbuje się też rozruszać maoistów, ale strasznie ich mao... — nostalgicznie komentował pan Fredzio — Ech, gdybyśmy my w ich wieku mieli taki temperrament, to byśmy palili komitety zamiast w nich siedzieć. Z drugiej strony, każdy gdzieś siedział. Jeden u Mostowskich, drrrugi u Namiestnikowskich.

— A pan w biu... biurze! — przyciął redaktor „Żurnala Plebiscytowego”:

— A cóż to było za biurro? Polityczne sprawy to myśmy poznawali z Wolnej Europy... Ejże — przerwał — coś się dzieje nadprrogramowego. Nie mam tego ani w podpunkcie scenariusza pt. „Pokojowa Demonstracja” ani w wariancie „Obywatelskie zamieszki”!

Rzeczywiście, z grupki młodzieży, zgromadzonej pod transparentem „Olewać wszystko” na pryzmie śniegu wyskoczyła drobna postać.

— Obywatele — krzyknęła na wpół dziecinnie — Nie marnujmy naszej energii, za którą każą tak sporo płacić. Za hutnicze piece — dolać tym co za piecem. Za górnicze szyby — wybić im szyby.

Michaś Adamik szybko wyjął notatnik. Zapowiadał się bombowy numer. Nie miał najmniejszych trudności w rozpoznaniu dziewczynki, której sam był ojcem chrzestnym. Najpierw wymyślił tytuł „Niedaleko pada opornik od elektrowni!”

Po przeciwnej stronie płotu pani Jagusia była przerażona.

— O co chodzi tym ludziom, Czesiu? — zwróciła się do męża — Przecież dopiero co cię wybrali.

— Akurat ci nie — sprostował Gąsiorek — Ci chcieli tego Typińskiego z Kolumbii, co jeździł po kraju ze swoją heroiną.

— Obawiam się, że wszystkiemu winien jest ten lapsus — rzekł Cyrkiel.

— Lapsus, a jak na imię? — ożywił się Szwendala.

— W wywiadzie w radio powiedział pan, że obniży o 100% opłaty za światło: I ludzie potraktowali to poważnie.

— Ja tak powiedziałem? A kto mi napisał ten tekst? — oczy Dyspozytora zdawały się miotać pioruny — Gąsiorek?!

— Ośmielę się zauważyć, że szef omyłkowo zjadł jedną linijkę — rzekł kancelista. — W tekście było, że w związku z planowaną o 300% podwyżką cen energii, pan zamierza zredukować ją o 100%

i po takim dictum naród miał łatwiej przełknąć pozostające 200%.

— Że naród to przełknie, całkiem możliwe — zgodził się Szwendala — ale żebym ja zjadł linijkę?

Brzęk szkła i hurgot czegoś po podłodze przerwały rozmowę.

— Padnij! — krzyknął inż. Cyrkiel, który w Dyspozytorni zawiadywał Bezpieczeństwem i Higieną. (Pracy)

— Bomba, Skud, Patriot? — gorączkowo zastanawiał się Gąsiorek polecając duszę Bogu, a interes bratu.

— Piguła i tyle — zaśmiał się Szwendala, który znał swój naród jak zły grosz i wiedział na co go stać. Śmiało wziął pocisk do ręki. Rozwinął papier. Współpracownikom wyłazającym spod mebli ukazała się kanapka.

— Kawior z szynką — zauważył fachowo rzecznik Drży-Cimski. Pani Jagusia spąsowiała.

— Ależ to drugie śniadanie Aurory. Tylko ona nie jada u nas polędwicy. Boże, moje dziecko w takim towarzystwie!

— Ma cela dziewczyna — zaśmiał się Szwendala.

— I pan mówi to tak spokojnie? Córka Dyspozytora, anarchistką... — obruszył się Gąsiorek.

— I bardzo dobrze — pohamował go pan Czesław — dzieci powinny buntować się przeciw rodzicom. Szczególnie w demokracji.

— Dlaczego w demokracji? — zainteresował się Drży-Cimski.

— Bo w niedemokracji władzę przekazuje się dziedzicznie. Po dynastii. A w demokracji, poza Koreą Północną, rządy zwykle przejmuje opozycja.

— I dlatego pańska córka jest w opozycji? — ucieszył się Gąsiorek — Bardzo przezerne! Tylko, że dzisiaj pączkuje tyle partii, że naprawdę trudno przewidzieć do której się zapisać.

— A po co ja mam tyle dzieci, co? — zaśmiał się pan Czesio — a właściwie to ile ja ich mam, Jagusiu?

— Jedenaścioro — westchnęła pani Jagusia.

— Tylko? — zdziwił się Szwendala i jakby tłumacząco zwrócił się do współpracowników — Ciągłe człowiek nie ma czasu dla rodziny. Ciągłe robota na górze, robota na górze. A tu jeszcze dół głowę podnosi... Na szczęście demonstracja już się skończyła. Zajechały autokary z napisem „Wycieczka” i uwiozły dziarskich manifestantów, a to na 30-te piętro Pałacu Kultury, a to do teatru „Syrena”, a to do Hotelu Marriott, aby obejrzyć z bliska świat, któremu wydali wojnę, aż do ostatniej kropli czerwonej farby.

Klan Szwendatów miał w ZSYP–ie ponad 100 odcinków, pierwszych kilkanaście doczekało się edycji książkowej, bywał drukowany w „Magazynie Rodzinnym” i w „Szpilkach”, póki te ostatecznie nie padły ofiarą gospodarki rynkowej i prasy kobiecej. W ZSYP–ie stał się bodaj najważniejszą pozycją, grupując wokół siebie aktorski trzon — obok Andrzeja, Jurka i Joli Zykun (pani Jagusia), w roli córeczki Aurory pojawiła się Ewa Złotowska, co jakiś czas zapraszałem Mariana Opanię, nieco później dołączył mąż Ewy, Marek Frąckowiak...

Jeśli idzie o moje wiersze, stały punkt kończący ZSYP, zauważyłem, że w pierwszym półroczu przeważały utwory o tematyce zoologicznej. Czy to coś oznaczało? A może jakiś wielki pomysł wisiał w powietrzu, czekając aż się skropi?

Bezsenny susel

Snem przykładnym śpi już żyraf młoda parka,

słoń, tapiry i kajmany z Huang–ho,

śpi dyrektor, obok jego sekretarka,

jednym słowem całe nasze piękne Zoo.

Śpi pantera, o rodzinnym śniąc Nepalu,

kuropatwa wraz z małpiatką niskopienną,

sowa, która się natarła luminalu.

Tylko jeden susel cierpi na bezsenności

Boi się spać, bo we śnie,

śni mu się zaraz KGB,

śniąc krótkie wiosny długie zimy... —

(Susel pochodzi z Ukrainy)

Śni mu się pionier, dziarski malec,

na żywca mu topiący smalec,

oraz sekretarz, tępą mrówa...

Więc susel nie śpi, susel czuwa.

Obok chrapią pogrążeni w śnie dziecinnym:

stary niedźwiedź i albatros — zwiastun burz,

zasnął waleń i przyjaciel jego pingwin,

z fretko — nutrią zgodnie sennie śmierdzi tchórz.

Śpią zwierzęta z pięciu różnych kontynentów,

ufnie” smacznie, mają przecież karmy tyle.

Żadnych obcych się nie boją elementów,

żeby wejść tu — trzeba przecież kupić bilet.

A susel nic, bo dobrze wie,

że ledwie zaśnie, skończy się

ten sen na jawie i zgodnie trzasną

i przebudowa i cała głośność’

Jak będzie trzeba odnajdą go,

i w wolnym kraju, i w wolnym ZOO.

Śni mu się znowu szlaban na Bugu,

kopany kanał, orany ugór,

hałas masówek, strzały przed świtem

i konfiskata skór przez komitet...

Choć to daleko i w drzwiach zasuwa,

susel trwa słupka, nie śpi i czuwa...

Krótki kurs — inwestor potencjalny

Obywatelu! A właściwie halo, sir! To do Ciebie mówię, Potencjalny Inwestorze Zachodni! Dziś chciałem poruszyć temat uprzedzeń, które jak rafy, lub roboty drogowe, wystają z naszego traktu ku dobrobytowi. Uprzedzeń tyle kłopotliwych co urojonych! Weźmy przykład pierwszy z brzegu. Osławiony temat telefonu. Powiada się, że kapitalista (taki jak ty, you!) na sam widok polskiej budki telefonicznej połyka własną kartę kredytową i jęczy „Kierunek zajęty, kierunek zajęty”. A przecież dowodzi to głębokiego niezrozumienia przezeń polskich realiów. Bo po co kapitaliście u nas telefon? Kapitalista przyjeżdża zarabiać, a nie rozmawiać. Czynne telefony w firmie puściłyby go niezwłocznie z torbami. Cały personel zaczęłby dzwonić na koszt szefa, łamiąc ewentualne blokady i korumpując dozorców, bo społeczeństwo jest u nas zdolne. Telefon można nadto podsłuchać, a posłanica najwyżej przesłuchać, co choć jest interesujące, w dobie rozszalałej praworządności do łatwych rzeczy nie należy. Poza tym, zgodnie z przysłowiem, że wiadomości złe rozchodzą się najszybciej — telefon może okazać się niebezpieczny. Drożeje na ten przykład baryłka ropy albo umiera wujek kapitalisty — dzwoni telefon i zmartwienie. Natomiast zanim posłaniec przez wszystkie granice do nas doczłapie — baryłka może stanąć, a wujek zostawić duży spadek — i kłopotu nie ma. Nie zaprzeczam — z telefonu można korzystać w krajach patologicznej uczciwości, ale jak wyobrazić sobie jakieś interesy u nas — nie patrząc w oczy partnera i nie licząc mu palców? Co, sir?

I dlatego nie marudź i nie wyszukuj urojonych przeszkód, że telefony, granice, marne drogi i zbójcy przy drodze. Idź na Wschód, młody przedsiębiorco! Oczywiście, najlepiej pieszo.

Między nami chomikami

Chomik i chamek w jednej stali norze,

Chamek na górze, a chomik na dole,

Chomik spokojny nikomu wadził nikomu,

Chamek odgrywał kierowniczą rolę.

Co biedny chomik uciulał, wyprosił

Zimowy zapas zbierał całe lato,

Chamek brutalnie zabierał, wynosił,

Dręcząc domiarem, albo konfiskatą.

Trwonił, sąsiadom w niedźwiedzi pysk wytykał,

Twierdząc, że działa dla dobra chomika.

*Znosił to chomik, aż wreszcie jak huknie,
Jak pokojową zrobi rewolucję!
Już suwerenem zostaje mieszkanka!...
Z litości jeno ostawiając chamka.
Lecz gdy odnawia, szamoce się w chaszczach,
Chamek nie ginie, chamek się uwłaszcza.
Dawny doktryner z „Kapitałem” we łbie,
Wywalon drzwiami, wraca poprzez giełdę.
Znów się napycha, rozpiera, bogaci,
Szlachetny, chomik jak płacił, tak płaci.
Zaś morał bajki? Wyznam bez radości,
Nie ma morału, gdy brak moralności...
Ps. Niech zoologów nie rusza naganka,
że w całym świecie zwierząt brak gatunku chamka.
Boć świat nasz obfituje w różne fenomena:
Jest ponoć przyśpieszenie, choć brak przyśpieszenia,
Lub — przyznają mózgowcy, robotnicy, chłopi
Choć komunizm utopia, to ilu wciąż topi!*

Jedną z najlepiej zapamiętanych przeze mnie też Jacka Fedorowicza z lat siedemdziesiątych była zasada o „czasie wielokrotnie sprzedanym” — Jeżeli już piszesz tekst do Radia (za grosze) — mówił Mistrz, to możesz go przecież sprzedać w prasie, wykorzystać w telewizji, przerobić na estradę, umieścić w książce, a potem z powrotem zaadaptować do radia. Zapewne w perfekcji nigdy Jacka nie dogonię, ale w wypadku szopek, postępowałem dokładnie wedle jego wskazań. Z najlepszych tekstów radiowych i numerów posprawdzanych na estradzie sfastrygowałem kolejną telewizyjną. **SZOPKA W JAJKU** na Wielkanoc. Szopkę ludową, pełną tradycji takich, jak świąteczny stół, śmigus dyngus, oraz pisanki — czytanki, z których wykluwali się politycy. Inwokacja głosiła:

*Zacznijmy rzecz ab ovo, nasz naród jak kura,
Na pozór rozgdakana, głupia i ponura,
Lecz znieść może niejedno i nie da się zgnębić.
Rozbijmy tę skorupkę. Zajrzyjmy do głębi!*

Do prowadzącej pary Zaorski — Kryszak dołączyła Jola Zykun... Pojawiali się też nowi bohaterowie. Galerię otwierał premier, Jan Krzysztof Bielecki. Szukając aktora, który mógłby imitować jego nieco szemrany, „warszawski” sposób mówienia, przypomniałem sobie kolegę z chałturniczych objazdów, Piotrka Pręgowskiego, szerzej znanego jako Kraszan — Tajlandczyk z serialu „Zmiennicy”. Nie pomyliłem się w obsadzie, podrobił premiera, o którym wiedzieliśmy jedynie, że liberał i amator futbolu, tak udatnie, że sam Lech by go nie odróżnił.

JAN KRZYSZTOF BIELECKI

(na melodię „Taksówkarza warszawskiego”):

*Nikt właściwie mnie nie znał, bo skąd,
Nawet Lechu z Drzycimskim mnie mylił,
Lecz musiałem utworzyć ten rząd,
Kiedy inni po prostu skrewili.
Krótki kontrakt, brak chętnych i sił,
Moc ryzyka, niewielki zaś szpan,
Na boisku libero jam był,
Teraz jako libero grać mam.
Choć podania są marne,
Całe pole jest karne,
Co rusz strzały w spojenie poprzeczki,
Choć komuna wciąż kasa,*

Nie przeraża mnie kontra.

Bo ja jestem Jan premier Bielecki!

Po Bieleckim z kolejnego jaja wykuwał się następca Kuronia w Ministerstwie Pracy — **MICHAŁ BONI**, śpiewający na melodie „Tylko koni żal”

Dziś prawdziwych związkowców już nie ma,

Przycichł Słowik i Gwiazdy zgasł blask,

Chociaż pełen Belweder i Senat,

Niby wielu, a mało nas tak.

Kto dziś walczy nocą dniem,

W gabinetach URM —

Tylko Boni, tylko Boni, tylko Boni, tylko Boni M!

Pozostały, w formie reliktu po rządzie Mazowieckiego, minister **SKUBISZEWSKI** nucił o czymś, co do niedawna graniczyło z cudem, czyli o naszych szansach przystąpienia do Paktu Północnoatlantyckiego. Usprawiedliwiały go euforyczne nastroje po sukcesie „Pustynnej Burzy” Busha — Ojca.

To było jak w westernie! Kasowa premiera,

Kiedy generał Schwartzkopf grał Schwarzeneggera!

Tak więc Skubi kłaniając się Wujowi Samowi („Wuj to jest nasz ostatni!”) mógł śmiało zachrypieć na motywach piosenki „Lato czeka”:

Już za parę dni, koniec łaski,

Czas pakować sprzęt oraz maski,

Pożegnania kilka słów — praszczaj Wania, bywaj zdrów

Rozwiązuje się — Układ Warszawski.

Za to NATO, NATO czeka

Wielka rzeka, pełna mleka,

NATO, NATO liczy czas

a tam ciągle nie ma nas.

NATO, NATO, bij się za nas,

Gdy wypowie wojnę Ghana.

Przecież wszędzie dość masz baz,

NATO, NATO przyjmij nas.

NATO daj nam broń do ręki

Nauczymy cię wojenki,

Gdyby chciał ci krzywdę zrobić szejk

Ruszy dobry wojak Szwejk.

W tym nastroju na finał obowiązkowo musieliśmy z Majewskim zaadaptować utwór „Glory, Glory Alleluja!” pieśń, którą za moich czasów śpiewało się ze świeckimi słowami „Tralalalalala, w sercu radość się rozpala!”

W ten wielkanocny czas odłóżmy oręż słów.

Nastrój rodzinny dziś niech zapanuje znów.

Prosty... Okrągły... Niech nas łączy każdy stół,

Nawet bez duchownych stuł.

Raz pod stołem, raz na stole,

Tak bywało od pokoleń,

Choć dzieliło bitwy pole.

Niech dziś łączy blatu gładź.

Przecież nas uczono w szkole

zgoda gra największą rolę”

Więc miast strzelać sobie gola

Czas do jednej bramki grać.

BIELECKI

— Glory, glory, trza mieć czują,

aby wybrać Lech czy Bujak

BALCEROWICZ

— Prędzej mi wyrośnie tuja,

Niż mnie wciągną do tych gier!

SKUBISZEWSKI

— Czy z Galicji, czy też z Kujaw,

Każdy kocha Sama — Wuja.

GORBACZOW

— Nawet ciut zazdrozczę mu ja

i przyznaję, że grał fair.

DANUSIA

— Glory, glory... Ach kto tu jadł?

KURON

— Musiał to być kawał psują.

GEREMEK

— Wylał zupę? Za to dwója.

MAZOWIECKI

— *Kto tu specem jest od plam?*

WAŁĘSA

— *Czasem myślę, kto mnie buja?*

DANUSIA

— *Daj mi spokój! Alleluja!*

WSZYSCY

— *Wesołego alleluja*

Tego dziś życzymy wam!!!!

*

Krótki kurs — równanie z dwoma wiadomymi

Dlaczego ludzie interesu nie mają czasu? Bo mają pieniądze. Jest to najprostsze równanie kapitalistyczne, które można przekształcić w definicję — pieniądze są odwrotnie proporcjonalne do czasu i sprawności urzędu podatkowego. Zauważmy, kto ma najwięcej, czasu i może sobie siedzieć na ulicy? Żebrak. Bo jest biedny i nie ma pieniędzy. A kto ma go najmniej — wzięty artysta, polityk, biznesmen. Podstawowym problemem jest tu oczywiście — wymiana. Choć wiemy, że czas to pieniądz — jaki kantor może nam to wymienić? Nasz własny łeb. Człowiek przedsiębiorczy, nawet zamknięty w szafie przez ukochaną z powodu nagłego powrotu jej męża, będzie sobie coś kombinował i wykombinuje choćby wieszak, a nieprzedsiębiorczy nic. Bo nigdy się tam nie znajdzie. Taki widząc nawet pieniądze leżące na ulicy, się nie schyli, bo a nuż fałszywe, albo nie zabrał ze sobą portfela, albo w ogóle mu się nie chce. Oczywiście dla człowieka przedsiębiorczego też są jakieś granice. Pilnie zamieniając czas na pieniądze, musi uważać, aby ilość raptownie nie przeszła mu w nową jakość i pieniądze nie zamieniły mu się w czas stracony. Co przydarza się każdemu nieuczciwemu i pechowemu, któremu po złapaniu i osądzeniu, niedawna fortuna zamienia się w bardzo dużo czasu.

Dwa razy ptak

Raz do domu chirurga (wysokie poddasze)

przyszedł z pilną wizyta egzotyczny ptaszek.

W dziobie przyniósł kopertę, medyk wziął ją z ulgą

a ptak rzekł:

— Pan się trudni plastyczna chirurgią?

— I owszem.

— A więc proszę według tego wzoru,

ująć mi parę kilo, a dodać kolorów.

Stępić dziób, zmienić kształty lotek i ogona,

skrócić nogi, zarazem pamiętać o szponach.

Na koniec uciąć piórka sterczące troszeczkę

formując je w gustowną czerwoną czapeczkę.

I proszę o dyskrecję,

nie trzeba hałasu,

że ktoś się dostosować pragnie do tych czasów.

Lekarz wprawny — kompletu obietnic dotrzymał.

Ptak w śpiew — Byłem sekretarz, a jestem kardynał

Lecz chirurg na odchodnym rzekł:

— Jest jedna bieda.

— Jaka?

— Tego zabiegu odwrócić się nie da.

Krótki Kurs Sekretarka i Komputer

Bardzo wielu początkujących kapitalistów zapytuje mnie, od czego zacząć urządzenie biura? Od komputera czy od sekretarki. Odpowiadam — są różne szkoły. Z komputerem co prawda jest nowocześniej, z sekretarką za to przyjemniej. Zależy zresztą do której należą generacji. Najlepsze sekretarki to dwudziestki, zwłaszcza z dobrym oprzyrządowaniem. Na komputerach się nie znam. Na sekretarkach trochę. Ale w obydwu wypadkach można się posłużyć instrukcją obsługi:

Po pierwsze, sekretarkę należy trzymać krótko. Góra rok! Po drugie — trzeba zdecydować się na priorytet — na czym zależy nam bardziej, na firmie, czy sekretarce?

Po trzecie — podczas okresu próbnego należy dokładnie sprawdzić kwalifikacje.

Po czwarte — nie wolno dać sobie wejść na głowę. Chyba, że lubimy tę pozycję.

Z kolei, nabywając komputer, też potrzebujemy sekretarki, która by go obsługiwała. Oczywiście moglibyśmy obsługiwać się sami. Ale gdybyśmy to umieli, nie robilibyśmy interesów tu, tylko w Pensylwanii. Oczywiście sekretarka też może nie umieć. Zwłaszcza ładna. Ale można ją nauczyć. Zaczynając od zadań w miarę prostych: „Jacuś miał 4 komputery, 3 dokupił, dwa się zepsuły, 5 ukradli, a jeden stróż wyniósł do domu. Ile Jacuś ma komputerów?”. Marna kandydatka na sekretarkę w tym momencie mówi — „Minus jeden”. Ale to wie każdy głupi. Dobra sekretarka, wzywa stróża i każe mu oddać brakujący sprzęt i bilans jest na zero. Świetna natomiast, siada nam na kolanach szepcząc: „Prawdziwy komputer to jest dopiero z pana, panie dyrektorze!”

Tymczasem również w sprawach zagranicznych pojawił się jakiś konkretny postęp, zniesiono wizy do większości państw europejskich. I to był rzeczywisty wymiar wolności! Dla niektórych za granicą, szokujący.

Idą Polacy

Na brzegiem Renu, Padu, Tamizy

słychać — Polakom zniesiono wizy!

I wkrótce cały naród tu zjedzie

a z nim zapewne białe niedźwiedzie.

Idą Polacy, drzyj Europo,

wkrótce cię czeka słowiański potop!

Strach mąci w głowach mafii z Sycylii

— Idą Polacy, koniec idylli!”

A kieszonkowcom strach kiszki skręca

— Tutto perduto, gdy konkurencja...!

Rotszyld nie może w pracy jeść macy

— Idą Polacy! Idą Polacy!

Murzyn z Hindusem gwarzy cockneyem.

— Jak przejdą kanał, ja z Anglii wieje!

Dziwki z Pigallu dostają kolki:

— Idą Polacy. Co gorsza Polki!

Trzęsie się giełda, postrach się szerzy,

blednie policja, wojsko, bankierzy.

Chwieje się peso, a szyling twierdzi

że osobiście groszem nie śmierdzi.

Frank wypytuje koronę szwedzką

Co złotówkowe daje sąsiedztwo?

Lir cicho brzęczy: w razie awarii

proszę o azyl w bratniej Szwajcarii

Dolar śni wersję zdarzeń koszmarną —

mogą mnie nie brać nawet na czarno!

I tylko marki nie chcą być płaksy

*

Ramy zakreślone przed niniejszą pracą powodują stałą konieczność wyboru.

Decydując się na opisywanie „Kabaretu Nadredaktora” koncentruję się rzecz jasna na działaniach estradowych. Z produkcji radiowych i telewizyjnych wybieram to, co można uznać za szeroko pojętą satyrę. Podobnie ograniczam wątki autobiograficzne, odkładając pisanie pamiętników na później. Często można więc odnieść wrażenie, że cała moja twórcza aktywność w owym niezapomnianym 1991 roku ograniczała się w tym wyłącznie do ZSYP-ów, szopek i estrady. Nic mylniejszego — tydzień w tydzień powstawały kolejne „Baśnie na Bezsenność”, z których w niedługim czasie wyklął się tom opowiadań pod tym samym tytułem. W prasie, na łamach krakowskiego „Czasu” prowadziłem cykl „Czas na kabaret”, pierwszą przymiarkę do estradowych wspomnień. Obszernie cytowałem tam kabaretowe teksty. W odróżnieniu od niniejszej publikacji — nie tylko własne. Jako felietonista, po zniknięciu „Ładu” i „Tygodnika Demokratycznego”, znalazłem sobie kącik na łamach tygodnika „Centrum”, organu nowej formacji braci Kaczyńskich, która, liczyłem, mogła stać się rzeczywistym centrum polskiej prawicy. Kiedyś nawet powiedziałem Jarosławowi Kaczyńskiemu, że powinien zostać takim polskim prawicowym Mitterandem, który jak wiadomo z mgławicy lewicowych grup ulepił potężny blok, z przerwami rządzący Francją parę dekad. Niestety u nas nawet Centrum musiało rozpaść się na zwaśnione gminy. Zostało mi po nim tylko trochę felietonów.

Którędy do Centrum

Można bez większego ryzyka powiedzieć, że kraj nasz upodabnia się do kasyna w Monte Carlo. Na każdym kroku można spotkać ludzi ogarniętych myślą o wygranej. Zmyślenia nic nie wynika i jest potrzebna również technika. Połowa społeczeństwa w ogóle nie interesuje się polityką, a trzy czwarte potencjalnych wyborców nie jest w stanie zrozumieć programowych niuansów. Aż 90% obywateli ma za złe tym co rządzą, tym co rządzą i tym co będą rządzić. Politykom wydaje się że władza, to racja + demokracja — przejechał się na tym Mazowiecki. Wydaje się im również, że wybory wygrywa ten co je organizuje. Nie w Polsce! Wątpiących odsyłam do towarzysza Czarzastego, który przed 4 czerwca 89 martwił się, że „Solidarność” za bardzo przegra.

Tymczasem wygrywa się emocjami nie racjami — Przekonujący idiota ma większe szansę niż niekomunikatywny mędrak. Obawiam się więc że najbliższe wybory będą raczej wyborami miss niż konkursem na programy. Inny problem jak, kiedy tylu mówi to samo, ładnie się odróżnić? W krajach Trzeciego Świata istnieje sprawdzona praktyka znakowania list wyborczych z

symbolami zwierzątek. Może powinniśmy pójść tym tropem.

I tak, partie „X” Tymińskiego mógłby symbolizować kanadyjski bóbr skrzyżowany z peruwiańskim kondorem, SDRP — Biały niedźwiedź, ale w rogatywce. Liberałom proponuje skrzętnego chomika KPN-owi — orła, ale w wersji kieszonkowej, powiedzmy orlika. Unii Demokratycznej pasuje Żółw (ale na rolkach) PSL-owi Kret — boć przywiązany do ziemi i ślepy na argumenty. A ZCHN-owi — Baranek (tyle, że drapieżny)

Porozumienie Centrum prekursorsko wyprzedziwszy inne partie wybrało na swe godło sowę. Symbol mądrości i przenikliwość. Niestety przy wszystkich zaletach sowa posiada pewne mankamenty. Aktywna w ciemności, przesypia dnie. I zawsze jest możliwe, że prześpi swój najważniejszy dzień!

Ależ ta zoologia łąziła mi wtedy po głowie! I po co? Z marzeń o zostaniu dyrektorem Ogrodu Zoologicznego zrezygnowałem w wieku 11 lat. Tymczasem dookoła pojawiały się forpoczty nowych zjawisk (dla dorosłych) i należało je mimo wszystko odnotować.

Co tak świeci?

Czy to świeci w studni gwiazdka,

Czy kosmiczny prom ląduje,

Błyska marszałkowska laska,

Lub oczami świeca szuje.

Niedopalek PRL-u?

Może odprysk grubej kreski,

Czy światełko — te z tunelu,

Co je dojrzał Jaruzelski?

Jak kościelna sygnaturka

nowa parta lśni na starcie?

Może przykład Marka Jurka?

Lub elektryk zrobił zwarcie?

Może z piekła nomenklatur

Potępiona wieje dusza.

Iskry krzesze prokurator

Na łysinach i na uszach?

Zgadnąć ciągle jest nie łatwo,

Choć wyraźnie zapalone.

Wprawdzie to czerwone światło,

Ale wstęp jest za zielone.

Mkną ciekawscy, same chłopcy,

Sprawdzić szybko, przy okazji,

Czy to poblask Europy,

Czy też błędny ogień Azji?

A tymczasem niespodzianka,

I zdarzenie przełomowe.

Świeci się czerwona lampka

Burdel jest na Czerniakowie!

Od Jałty do Magdalenki

(obszerne fragmenty, całość ukazała się w 1991 roku w osobnej publikacji)

Kolejną, trzecią szopkę telewizyjną przygotowałem (tym razem sam) na 22 lipca 1991. Postanowiłem uczcić to święto, w momencie kiedy właśnie traciło swą dwuznaczną odświętność, stając się dla wszystkich (za wyjątkiem nielicznych urodzonych 22 lipca, jak ja), zwykłą kartką w kalendarzu. Zresztą zamieszanie panowało wtedy duże i jedne kalendarze ukazały się z czerwoną kartką drugie nie. Zastanawiam się przy okazji czemu „Święto Wedla” (jak je niekiedy nazywano na cześć warszawskiej fabryki słodczy w minionym okresie właśnie „Zakładami 22 lipca” ochrzczonej) padło tak bezboleśnie, a Pierwszy Maja ciągle się trzyma. Może dlatego, że przypadało w wakacje, kiedy ludzie i tak nie pracują? W każdym razie wspólnie z kolegami uznałem, że jest to świetna okazja, aby rozliczyć się z PRL-em (przynajmniej w kabarecie!) a równocześnie z tymi szopkami, które zajmowały się jedynie dosładzaniem systemu. Czasem jakiś artysta lub wiceminister dostał w nich przyjacielskiego prztyczka ...

Jako że trwał sezon wakacyjny postanowiłem zlokalizować widowisko w grajdole. Tamże Zykun, Kryszak i Zaorski wykonywali **PROLOG** na melodie „Chałupy welcome to”

Chociaż pora dosyć dziwna, nasza szopa znów wzywa

w tych wczasowych dniach.

Aby uczcić „dzień Wedla”, nie potrzeba nam mebla,

bo wystarczy piach.

Jest pęd owczy narodu, do cyklicznych obchodów,

a tu nagły szok,

choć przez wieki połowę było święto lipcowe —

dzisiaj nie ma go!

Do szopki zatem goń,

czy jesteś stary koń,

czyś małolatem, czyś jubilatem

w historii zerknij toń (...)

Po piosence konferansjerzy rozpoczynali dialog.

— *Jak zacząć?*

— *Od początku.*

— *Historię o gwałcie?*

— *Wprawdzie poród był w Chełmie.*

— *Lecz poczęcie w Jalcie.*

Potem jako „Starsi Panowie” śpiewała cała **WIELKA TRÓJKA — STALIN, ROOSEVELT i CHURCHILL:**

Jeszcze kręci się nasz globus w krwawych walkach

a tu plaża, a tu komfort, czyli Jalta.

Jeszcze zapach z pól bitewnych niesie wiatr,

a tu dzielą nam na nowo stary świat.

Starsi Panowie, Starsi Panowie, Starsi Panowie Trzej.

Jeden z Londynu, drugi z Kremlinu, a trzeci z USA.

Każdy myśli, lawirując w zręcznych słowach,

jak we dwójkę by trzeciego wykantować,

i choć duet ma oglądę, wdzięk i szlif

to wygranym musi zostać trzeci z nich.

Straszni panowie, straszni panowie, straszni panowie trzej.

ROOSEVELT:

Jam z demokratów.

CHURCHILL:

Jam wróg dyktatur

STALIN:

A ja troszeczku mniej...

W estradowej wersji tej szopki wykonywanej, co ciekawe, prawie wyłącznie podczas występów zagranicznych, pucołowaty Jędrus grał Churchilla, chudy Juruś — Roosevelta, a Maniś (Opania) z doprawionymi wąsami — Stalina.

Ja komentowałem całość jako konferansjer:

I tak się zaczęła nowa dziejów era

Że dwójka grała w durnia, a trzeci w pokera.

Zaraz pojawiała się postać nowa kreowana przez Jolunię, witana śpiewem na melodię. „Jeszcze jeden Mazur dzisiaj”

Dziwna jest tradycja cała

pod zbyt grubą kreską,

Od tej Wandy, co nie chciała,

aż po Wasilewską.

Lecz gdy jej dziękować chcemy

za zbrodnie, wywózki,

Wanda leży w obcej ziemi

bo woląta Ruskich!

WASILEWSKA (mel. „Jarzębina Czerwona”)

Kiedy w kraju każdy, wciąż o Andersie śni

kilkoro odważnych — działało ile sił.

Każdy z nas był gotów utworzyć taki rząd,

aby Związek Patriotów w Radziecki Związek wprzędz!

Ach ty Armio Czerwona,

ty możesz władzę nam dać.

Ach ty Armio Czerwona,

bądź dla nas niczym mać!

Ach ty Armio Czerwona,

firmowej farby nam daj,

a my w twoich ramionach

zamalujemy kraj...! (W pysk!) (...)

STALIN (rozmarzając się)

— Ech, taki Napoleon miał panią Wawelską

A ja durak, nie współżył nawet z Wasilewską.

WASILEWSKA

— Zawsze od futerału ważniejsza jest klinga.

KONFERANSJER

— Płyń, płyń (z) Oka, cieśniną Berlinga.

W telewizyjnym programie roiło się nie tylko od kalamburów, również nie brakło odwołań ikonograficznych. Oto, jak na historycznej fotografii, stał facet w czapce, z workiem na plecach, przed tekstem manifestu PKWN.

AGITATOR

— Jak się panu podoba przyszłości makieta?

FACET

— *Bardzo!*

AGITATOR

— *Pan komunista?*

FACET

— *Nie, analfabeta!*

Nowa rzeczywistość wkraczała w takt pieśni z epoki. Śpiewali więc intelektualiści i pomnikowi wieszczowie na melodię „Warszawo, ty moja Warszawo”

Wiadomo z tradycji dziejowej,

Że marzył i Popiel, i Piast,

O Polsce jak nasza Ludowej,

Co z Rusią na stałe w umowie.

Szkicował ją węglem Sienkiewicz,

Plebanom wrywać chciał Rej.

Czterdzieści i cztery, do ery start tej

Przewidział konfident Mickiewicz.

Kopernik przestawił firmament,

A Chopin etiudę jej dał.

Choć „Ogniem i mieczem” przegrane

Nam służy i „Popiół i diament” ...

Choć trzeba zasady przekreślać,

Już partii dostarcza swych dzieł

Liberał i endeck i wieszcz z PPS

W odpowiedzi padał komentarz w rytm sygnału popularnego serialu „Wojna domowa”

— *Hańba domowa,*

Od wyzwolenia trwa,

Hańba dla pióra, hańba dla słowa,

W imię przetrwania to elity gra.

Jak święta krowa,

Nasz pierworodny grzech,

Co dzień od nowa,

Hańba domowa,

Hańba pokoleń trzech.

Ponurą tonację którą owiane były lata pięćdziesiąte, rozjaśniał epizod z noworodkami. Po zapowiedzi:

Chociaż nie było przeszkód dla wszechwładnej mafii,

Naród szukał pociechy głównie w demografii.

I zamiast oczekiwać by Winkelried ożył,

Naród nasz przeczekując pokątnie się mnożył.

Pojawiały się kukły dzisiejszych prominentów zawinięte w beciki i śpiewały na mel. „Nie spoczniemy”

(...) Na trudny przyszło przyjść nam świat,

pełen kłamstwa i pułapek, pełen wad.

Kim będziemy, jak dojdziemy do dziewięćdziesiątych lat?

Jaki długi i zasługi przyjdzie spłacać w formie rat?

Kim będzie, jeszcze mały dziś —

WAŁĘSA

— Leś z Popowa?

MIODOWICZ

— Fredź z Krakowa?

BIELECKI

— Z Gdańska Krzyś?

KACZYŃSCY

— Mały Jacek, mały Placek

MICHNIK

— Mały Adaś Mi... mi... mi... miś

Co już umie, ssać komunę,

Lecz niedługo zacznie gryźć.

Póki co symbolem czasów pozostawała jednak więzienna cela. Nucił więc klawisz z Rakowieckiej, zaglądając przez wizjer — naszą wersję ówczesnego hitu „Małe mieszkanko na Mariensztacie”

KLAWISZ

— Maleńka cela na Mokotowie,

tutaj się kończą niestuszne sny.

Dziedzic, fabrykant, były Akowiec,

Chłop i robotnik

WIĘŹNIOWIE:

Po prostu my!

WIĘZIEŃ 1:

Jest autentyczny kryminalista,

który kapusiom powiedział nie!

WIĘZIEŃ 2:

I przedwojenny jest komunista.

RAZEM:

Wszystko za sprawą służb UB.

Grzmią za oknami pieśni masowe,

To maszeruje pułk KB W.

Maleńka cela na Mokotowie.

KŁAWISZ:

A gdzie jest wolność tam, czy tu?

Do dyskusji włączali się przywódcy:

CYRANKIEWICZ:

To był tylko margines, w kraju nastrój świetny

BIERUT:

Cały naród budował nasz plan sześćoletni.

SOKORSKI:

Rozkwitała kultura.

BIERUT:

I nomenklatura.

ROKOSSOWSKI:

A ja służbę pełniłem w dwóch różnych mundurach

co przyrosły do siebie jak do czołgu klapa,

Nie trzeba być aktorem, by zagrać Polaka.

Po czym na nutę superprzeboju „Cicha woda” zaciągał po wschodniemu:

— *Rokossowski trzyma straż,*

Niby obcy, ale nasz... .

Zaś dzieciątko **MIODOWICZ** śpiewało „Piosenkę o Nowej Hucie”

O hucie to stara piosenka,

O starej to hucie są słowa,

Niańczyłem ją w swoich rękach,

By była kominem Krakowa.

Przepadła piosenka masowa,

Lecz huta wciąż dymi i dymi,

Bo chociaż „Lenin” splajtował,

Nie może splajtować „Sędzimir”!

Jednak już wkrótce na ulicach Poznania klasa robotnicza pokazała — swój prawdziwy stosunek do narzuconego systemu, a władza ludowa ustami premiera Cyrankiewicza groziła swemu hegemonowi obcinaniem rąk. Oczywiście na melodię „Miliony rąk”

CYRANKIEWICZ

— (...) *A jeśli błąd roznieci swąd,*

Obcinać każę ręce!

ROBOTNICZY

— *Lecz kiedy wkrąg miliony rąk,*

To raczej trudno będzie.

A potem był Październik, powrót Gomułki do władzy, wiec na Placu Defilad. O wydarzeniach tych śpiewał Kryszak, doskonale parodiując Niemena, w tuwimowskim przeboju „Mimozami jesień się zaczyna”

Kolorami jesień się obleka,

gdy nie straszny się wydaje mróz ze wschodu.

To ty, to ty jesteś ten sekretarz,

który zdobyć zaufanie miał narodu!

Od twych obietnic pachniało na plenum,

pustoszały krwawe cokoły,

z tą nadzieją polskiej jesieni

wstępowały do partii anioły.

Choć ze ściany ginęły Węgry,

wierzyliśmy w Polski Październik,

wypaczenia skończone i błędy,

nie chcą ufać tylko małowierni...

W nastroju euforii, ale i niepokoju, komentowali wydarzenia studenci i robotnicy — Warszawiacy.

— *Te godziny nadziei*

— *I dzwonów na trwogę.*

— *Czy bratnie czołgi weszły już na polską drogę?*

— *Czy powróci znów dawnych klęsk tragiczny schemat?*

— *Sam marszałek zapewnia:*

ROKOSSOWSKI:

Ruchów armii nie ma.

— *I oświadczają różne prominentne głowy:*

CYRANKIEWICZ:

Nie zejdziemy już z linii reform i odnowy!

— *Już robotnik i student staje jednym murem.*

— *A w Warszawie ląduje Chruszczow. Z Polibiurem.*

Nie odmówiłem sobie przyjemności i kazałem Nikicie zaśpiewać na melodię „Świniorzyska”, słynnego przeboju „Mazowsza”. Nie chodziło oczywiście o obrazę głowy ościennego państwa, raczej o nawiązanie do słynnej fotografii, przedstawiającej pierwszego sekretarza wśród dorodnych tuczników w kołchozie, podpisanej — „Towarzysz Nikita Siergiejewicz Chruszczow, trzeci z lewej”.

Wykonując ten numer w Stanach i Kanadzie Opania wywoływał szal owacji. W Polsce zainteresowanie historią osłabło do tego stopnia, że raczyliśmy widownię wyłącznie szopkami współczesnymi

CHRUSZCZOW

— *Gdy ludek w Polszy*

oj zaczął, oj zaczął prostować karki,

to się zjawilem, a ze mną, a ze mną, a ze mną tanki.

One tu mogą wyrównać wszystko!

Tak wam powiada sekretarzysko (bis)

Lecz drogi Wiesio zapewniał, zapewniał

ze swej mównicy,

że mnie tak kocha, jak jego, jak jego, dwaj poprzednicy,

GOMUŁKA

— *I znów za gębę weźmie was bystro*

z sekretarzyskiem, sekretarzysko...

No i nastąpiła, jak śpiewali **CYRANKIEWICZ**, **SOKORSKI**, **MOCZAR** na melodię przedwojennej piosenki „Cała Warszawa” — nowa era:

Era Wiesława — Siermiężny prosty byt,

Nadziei wielkich brak!

Era Wiesława — Z kościołem czasem zgrzyt

gdy tysiąclecia szlak.

Era Wiesława — Afery mięsa, skór,

krajowy szyk, radziecki wzór

Ni sabaka to ni wydra,

na kształt świdra płynie czas

Era Wiesława i ciemnych mas!

NARRATOR

— *Im dłużej, tym gorzej rządziła ta spółka*

Coraz słabiej też widział realia Gomułka.

A od gmachów partyjnych do domu bez kantów

Coraz głośniej rozbrzmiewał chórek partyzantów.

Tu, w takt „Hymnu Gwardii Ludowej”, pojawiali się partyzanci — kombatanci, zbrojne ramię generała Mieczysława Moczara, specjaliści od gazrurki i inwigilacji.

CHÓR

— *My ze spalonych akt, my z utajnionych służb*

wzywa nas czyn, z Mietkiem jak w dym

idziemy ile sił.

MOCZAR:

Więc zaostrz walki ton i w syjonistę mierz .

Nastał nasz czas, pod brodę pas,

grzmi partyzancki śpiew.

Zaraz w żywym planie rozgrywał się rodzajowy dialog

KONFERANSJER

— *Skomentował te czasy pewien cadyk stary:*

ŻYD

— *Skończyły się już schody, zaczęły moczary.*

W scenach z wydarzeń Marca 68 występowały współczesne lalki Kuronia i Michnika w czapkach

studenckich. Inscenizowaliśmy też protesty w obronie zdjętych „Dziadów”, pojawiał się przebierający nogami (do władzy) Gierek, a Mazowiecki zgłaszał słynną interpelację koła „Znak” w Sejmie („Gdy w ogromnym Sejmie maleńki Znak...”). Sekwencję kończył obrazek pod rozkładem jazdy na dworcu Warszawa Gdańska

Całkiem nieźle udała się ta prowokacja.

Skończyły się protesty, trwała emigracja...

Wyjeżdżają jednostki i całe rodziny.

EMIGRANT

— Pan do Wiednia? Ja także do Jerozolimy.

W przeglądzie wydarzeń nie zabrakło inwazji „bratnich państwa” na Czechosłowację, gdzie po raz pierwszy dawał głos **JARUZELSKI**

Raz dwa lewa, raz dwa lewa,

Idzie sobie żołnierz z doktryną Breżniewa...

(Doktryną o ograniczonej suwerenności państw Układu Warszawskiego). Dalej przytaczałem w rymowanej wersji anegdotę sprzed lat:

Jest taka opowiadka o bratnim narodzie,

O liderach — Dubczeku, Czerniku, Svobodzie,

Że starczyła jedynie pomoc z naszej strony

Aby się ułożył taki słuszny schemat:

Dubczek oczerniony, Czernik wydupczony.

A Svoboda? Svoboda?

A Svobody nie ma!

Stracone lata i szansę opiewał odchodzący **GOMUŁKA** z towarzyszeniem chóru. (Jak to się wówczas mówiło „i Chórrr z nim!”). Motywu dostarczył przebój Igi Cembrzyńskiej „Mówiłam żartem”

Obiecałem polską drogę — nie poszłem.

Obiecałem wam z kościołem zgodę — nie doszłem.

Obiecałem będzie lepiej — jest podle.

Obiecałem suwerenność — nie mogłem!

Obiecałem zapamiętać — nie wszystko ...

(Bardzo łatwo stracić pamięć — nad Wisłą),

Obiecałem demokrację — nie chciałem,

Obiecałem, że nic nie dam — nie dałem!

Wyście chcieli tutaj „Dziadka”

a ja jestem tylko dziad.

No więc brzmiała moja gadka,

przez czternaście szarych lat.

Stały powrót do schematów,

znów studentów leją w pysk,

tu pogonić literatów

tam biskupów zrugać list.

Po reformach ani śladu,

znów podnosi łeb SB.

A ja gadu, gadu, gadu

A stoczniowiec krzyknął

STOCZNIOWIEC

— *Nie!*

Do stoczniowców dołączał reszta klasy robotniczej i niósł się śpiew na melodię śląskiego „Karlika”

— *Edziku, Edziku*

co przyniesiesz w koszyku

Edziku, Edziku — co z koszyka dasz?

GIEREK odpowiadał ochoczo na mel. „Daj”, pięknej piosenka Adasia Kreczmara, śpiewanej ongiś przez Jerzego Połomskiego:

Dam wam zamek i dworzec,

w sklepach towarów dam masę,

serial dobry wieczorem,

i Łazienkowską dam Trasę.

Fiata, co mało pali,

paszporty — szansę dla wielu,

słowem taki socjalizm

wicie o ludzkim portfelu.

Zbuduję — w Gdańsku port drugi

i hutę cud — Katowice...

OBYWATELE

— *Nam przyjdzie spłacać długi*

całe zasrane życie.

Motywy przewodnim całej szopki był stary, nieco zapomniany przebój „A my się całujemy”. Całowali się w latach pięćdziesiątych weseli proletariusze, potem Gomułka z Chruszczowem, a jeszcze bujniej rozwinął tę sztukę Edward G. i Leonid B.

BREŻNIEW

— Chociaż czas integracji, przecież, sprawa znana,

że istnieją wkrąg różne szkoły całowania:

Husak — uścisk żelazny i dość suche wargi,

Żiwkow — wiecznie spocony, lecz bez cienia skargi.

Ceaucescu — to kokiet, udaje obrazę.

Fidel — jakby chciał połknąć mnie za jednym razem.

Gierek — jak przemysłowiec pachniał „Przemysławką”,

Kim Ir Sen mi na plecach wyklepywał brawko,

Kadar — ostry, jak gulasz, bez względu na porę

I Honecker, ten zawsze mi się pchał z jęzorem.

Lecz nikt z nich by perwersji takich nie wymyślił,

Jakie mi wyrabiali eurokomuniści.

Zachodni dekadenci, „hospody pomyłuj”.

Przywykli do całusów podchodzić od tyłu.

Dekadę sukcesu” znaczyły takie wydarzenia, jak wprowadzenie poprawek do konstytucji, zawierających przewodnią rolę partii i dozgonną miłość do ZSRR, co komentowało społeczeństwo:

Po co nam w konstytucji jakakolwiek zmiana,

Przecież stara nie była wcale używana?

Potem dochodziło do podwyżki cen, która wywołała robotnicze protesty w Radomiu i Ursusie i rejteradę władzy. Śpiewał **JAROSZEWICZ** na nutę „Wakacji z Blondynką”

To była podwyżka, po kiego zgłosiłem ją? ...

A karcił go dobrotliwie towarzysz **EDWARD** (była taka pieśń „Ech Piotr, ech Piotr”):

Ech Piotr, ech Piotr, ty odszczekać musisz,

Ech Piotr, Ech Piotr, naród nas udusi.

W Radomiu bunt, w Ursusie ekscesy.

Czy taki tłum, przestraszą procesy?

Ech Piotr, ty łotr, ty woń Ty stworzyłeś KOR.

Rosnącą od czasów procesów radomskich aktywność opozycji punktowałem fraszką:

Na nic służby dwupłciowe, zapisy cenzorskie,

Gdy w narodzie już krąży pieśń „KORze coś Polskę...”

A na dobitkę któregoś październikowego dnia, w apartamencie Pierwszego Sekretarza dzwonił telefon:

JAROSZEWICZ:

Edwardzie jest nieszczęście,

klęska naszych planów!

GIEREK:

A cóż tam?

JAROSZEWICZ:

Biały dymek widać z Watykanu.

GIEREK:

Ależ się rozzuchwała konkurencji klika

najpierw palą Dom Dziecka, a potem Watykan!?

(nawiązanie do głośnych tajemniczych pożarów w Warszawie)

JAROSZEWICZ:

Papież Polak, Wojtyła! Ty mnie Edek słuchasz?

To straszne!

GIEREK:

Fakt, wolałbym w tej roli Babiucha! Rozumiecie...

(Babiuch, to zapomniany krótkoterminowy następca Jaroszewicza, ówczesne przydomki „Edek krótki”, „Premier portable”). Póki co zadowoleni z siebie **GIEREK** i **JAROSZEWICZ** intonowali śpiew na nutę „Ukochanego kraju”.

Wszystko tobie ukochana władzo

dziś nam sprzyja nawet sam Pan Bóg,

szybki kredyt na Berlieta dadzą,

przymknie oko bankier na nasz dług .

*Forsą sypie Fiat, Ferguson, Grundig,
Brandt odwiedzi, Carter i d'Estaigne,
i już cudnie tutaj jak w Rumunii,
choć kto zgadnie, czym to skończy się?*

CHÓR OBYWATELI:

*Zrujnowany kraj, zdewastowany kraj,
zaczadzone i miasta, i wioski,
okłamany kraj, wyrolowany kraj
przez cwaniaków z Warszawy i z Moskwy.*

GIEREK i JAROSZEWICZ

*— Nam nie straszny kryzys nadprodukcji,
lokaut, bessa, kiedy w ręku ster,
są poprawki świetne w konstytucji,
by na zawsze być z ZSRR.*

Nam nie straszna wrednych KOR—ów zmowa.

Druga Polska — serc i myśli cel.

Bo gdy nawet skończy się Ludowa,

Coś zostanie dla nas z PRL:

CHÓR:

Uwłaszczony kraj, rozszabrowany kraj

Zagarnięte zakłady i lady!

Rozkradziony kraj, przehandlowany kraj

Przez sterników kolejnej dekady.

Zeszmacyony kraj, skorumpowany kraj,

Chociaż ciągle szczęśliwa elita.

Zdeprawowany kraj i zniechęcony kraj.

Choć Marks umarł, im został „Kapitał”...

(Inna sprawa, że wiele przewidziałem, ale na to, że obywatele będą samorzutnie Gierkowi pomniki budować, nie wpadłem.) Tymczasem w szopce pojawiała się nowa scena. Facet, ten sam od manifestu PKWN, stał pod murem stoczni Gdańskiej, czytając 21 postulatów.

FACET

— Tyle tych postulatów, że jest nad czym radzić.

WAŁĘSA

— Ja mam jeszcze ten jeden,

niech mnie pan podsadzi.

FACET

— Ten rekord odnotuje Reuter, TASS, La Prensa,

Że podskoczył robotnik, zeskoczył Wałęsa.

Tę część spektaklu sumowała pieśń zbiorowa Robotników, Dysydentów i Decydentów. Muzykę pożyczyłem o znanego przeboju Wojtka Młynarskiego „W co się bawić”:

Od Stoczni Gdańskiej do Warszawy,

wielkie powtarza się wołanie —

Że czas by wziąć się do naprawy,

tego co rozregulowane.

Myśli profesor i kadrowa

Dumają różne ciała walne.

Lecz jakże mamy zreformować

to co jest nieformalne?

Co naprawić, co naprawić?

Gdy mechanikom problem jest dość znany,

że w wehikule, co ma nazwę PRL-u

właściwie wszystko się nadaje do wymiany.

Co naprawić, co naprawić?

Gdy nie wystarczy znów szofera łeb poświęcić.

Nawet wał główny stracił władzę nad napędem

A kierownicą już się całkiem nie da kręcić.

Niedobrze jest, gdy przeciek czujesz

Prądnicą iskrzy, ale wcale nie ładuje.

Lecz trudno zjechać z linii partii, choć czas nagli

Bo wszystkie koła już nam rozkradli!

Co naprawić, co naprawić?

By złomowania perspektywie złej się ulec?

JARUZELSKI (w ciemnych okularach, na tle flagi):

Na szczęście jeszcze bezpieczniki wciąż są z nami

i chyba ręczny da zaciągnąć się hamulec?

Tymczasem do znanego nam już Faceta podchodził **ZOMOWIEC**.

ZOMOWIEC

— *Co tam macie w plecaku?*

FACET

— *Ale pan ciekawy,*

Ręczę słowem, że wszystko z wyjątkiem buławy.

Tu w szopce pojawiały się zdjęcia dokumentalne ze stanu wojennego i szła parafraza znanej pieśni powstańczej „Deszcz, jesienny deszcz”

Stan wojenny, stan, w pół przerwana pieśń,

po więzieniach, internatach lepsza Polski część...

Śnieg, na śniegi krew, smutny pieśni ton,

rozpędzeni, zagubieni, pośród stada wron...

Szybko jednak nastrój odmieniała grupa wesołych konspiratorów ze starymi okupacyjnymi kupletami:

Siekiera, motyka, jak wiadomo

ustawili wszędzie ZOMO.

Siekiera, motyka, burza, grad

bo tak kazał Wielki Brat.

Siekiera, motyka, szajka zgrana

krzyczy: spisek to Reagana!

A tu każde dziecko wie,

to robota KGB...

Zdechł telefon, co tu kryć,

czerwoni nam nie dają żyć.

Telewizor, już od rana

pokazuje łeb Urbana.

Siekiera, motyka, pałki dwie,

zima wasza, wiosna nie!

A potem, na melodię „Marszu Mokotowa” szły sceny z tajnej drukarni:

Nie grają nam kałasznikowy,

Nam skoty i czołgi nie warczą,

Drukarka, powielacz białkowy,

Za oręż jedyny wystarczą.

Niech słowo z podziemia przenika

Nad ziemie zgnębną i marną

Niech zjawi się w trakcie dziennika,

Ten sygnał — „To my Solidarność!”

Dalej było naprawdę z górki:

Kiedy już generałom całkiem zrzędła mina,

Przestała funkcjonować hierarchii drabina.

Kiedy pełny upadek w obozie się zaczął,

Gdy w fotelu Stalina już zasiadł Gorbaczow

Kiedy Zachód powiedział, że nie da ni marki,

Gdy na nowo wokół protesty i strajki

Kiedy dziura w kieszeni i buble na rynku

Próbowano rozstrzygnąć ten bój w pojedynku.

(na mel. „Umówiłem się z nią m dziewiątą”)

MIODOWICZ:

Umówiłem się z nim w telewizji,

by go skończyć w parę słów

WAŁĘSA:

Cud, wpuścili mnie tu bez rewizji,

czy powtórzy się to znów?

MIODOWICZ:

Jedno zdanie

WAŁĘSA:

I kontra!

MIODOWICZ:

Rekontra!

WAŁĘSA:

Zaraz widać kto tu mistrz,

bo już Alfred na twarzy się mieni,

czuje, że siły swoje przecenił.

MIODOWICZ:

Umówiłem się z nim w telewizji,

Po cholere nie wiem sam?

Na przewodnią melodię dnia wyborów 4 czerwca wybrałem „Czerwone maki”. Zbyt pompatyczne? Nawet dziś uważam, że nie powinniśmy wstydzic się naszych sukcesów. Mamy ich tak mało. Śpiewał **CHÓR SOLIDARNOŚCI**:

*Czy widzisz korupcje na szczycie,
rozsypkę idei i kadr!*

KURON:

*Musicie, musicie, musicie
wstać z kolan i podnieść swój kark.*

CHÓR:

*I poszli i rosły im serca,
deszcz kartek, ołówków też tłum*

KACZYŃSCY:

*A było to w czwartym dniu czerwca,
na urny wyruszył ten szturm.*

CHÓR:

*Czerwonej partii czas wreszcie przeminął
wystarczyło ich skreślić na krzyż,
to udało się miastom i gminom,
bo od strachu silniejsza jest myśl.*

MAZOWIECKI:

*Czy uderzy do głowy jak wino,
upojenie zwycięstwem czy lęk*

CHÓR:

Czerwonej partii czas wreszcie przeminął

lecz kto przewidzi, co teraz zacznie się?

Tu drużyna „Solidarności” padała sobie w objęcia śpiewając

A my się całujemy

bez żalów i bez tremy,

katolik, liberał z niedawnym lewakiem,

całujemy pod OKaPem!

Zastanawiając się, kto mógłby z boku ocenić sytuację powstała po upadku PRL-u, zdecydowałem się na byłego Prezesa Radiokomitetu, nawróconego komunistę, zasłużonego erotomana i po trosze grafomana — **WŁODZIMIERZA SOKORSKIEGO**

Jako prezes, minister, siła tutaj przeżył

Chociaż wciąż praktykował, lecz nie bardzo wierzył!

Za lajtmotyw dałem mu melodię z jego młodości „Na prawo most, na lewo most” Niestety, zrezygnowałem z pierwszej wersji piosenki „Kiedy rano jadę osiemnastkę”, koledzy uznali, że byłoby to otwarte nawoływanie do pedofilii.

Kiedy rano wstaję z osiemnastką,

koleżanką wnuczki mej,

patrzę jak kochany ustrój trzasnął,

ale dziwi stosunek mnie jej —

Choć jest demokracja, otwarty ma świat,

zapału w niej nie ma, zachwytu też brak.

Na prawo zwis, na lewo zwis,

w apatii wszystko płynie,

a z młodych warg, wciąż potok skarg,

że Balcerowicz winien.

Choć kantory zielenią migają

i Rumuni z Ruskami się pchają;

co chwila strajk, choć tyle szans;

w tej Polsce, najmilszym z państw.

Tu wracał refren ponownie „A my się całujemy”, tym razem jako ponura ironia. Ukazywaliśmy fotografie z powyborczych parkanów, pozrywane plakaty, powyłupywane oczy, dorysowane detale, z których emanowało narastające zacierzenie i nienawiść. Zza płotu dolatywały odgłosy sprzeczki, potem bójki. To szarzy przedstawiciele społeczeństwa licytowali się, kto położył więcej zasług dla powstania Trzeciej Najjaśniejszej.

— I w rodzinnym piekielku odczuwamy dumę...

— Bo przecież razem, wspólnie, myśmy te komunę...

— Setką metod.

— Tysiącem wybiegów...

— I kantów.

— Już czterdzieści milionów prawie kombatantów.

— Chwali się ten, co zręby umacniał ze stali:

ROBOL

— Tak je kurde robiłem, by łatwo rozwalić,

— Nawet ten co z ekranu pluł przesadnie długo

SPIKER W MUNDURZE

— *Przecież każdy mógł pojąć aluzję zbyt grubą.*

— *A sprawcy wojennego stanu...?*

RAKOWSKI

— *Dość ironii,*

Myśmy chcieli dopomóc w systemu agonii

— *Więc gdy każdy wolności był tak wiernym sługą*

Dlaczego szła tu do nas tak cholernie długo?

Na **FINAŁ** wybrałem „Zdobyczym krokiem” Dunajewskiego, starą, dobrą, stalinowską pieśń z filmu „Świat się śmieje”, sprawiającą, że dłonie widzów same składały się do oklasków.

Na koniec będzie piosenka wesola.

Niech ośmieszony nie czuje się zły

gdy kombatanctwo szaleje dokoła

Przyjemnie wspomnieć, że tam byliśmy my!

To myśmy brali talony i premie,

chyżo pędzili, bez skreśleń, do urn,

bez nas nie mogły by trwać akademie,

ani pochody zakładów oraz biur.

W naszych szeregach lawirant i cwaniak,

karierowiczów, pochlebców też ścisk,

taki był system, że każdy w nim kłamał,

lub twardo trzymał na kłódkę niemy pysk,

Tak wszyscy noszą systemu pieczętki,

*i każdy przełknął trucizny choć kęs,
bo choć zdarzały się chlubne wyjątki,
to potwierdzają reguły tylko sens!*

Polskie zoo

Zaraz po emisji pierwszej szopki zaprosił nas na rozmowę prezes Radiokomitetu Marian Terlecki i zaczął namawiać na stały program satyryczny, komentujący naszą rzeczywistość, który mógłby ukazywać się z większą częstotliwością.

— Jak często? — pytaliśmy.

— Na przykład co tydzień.

— Wykluczone — szopka co tydzień, to niemożliwe technicznie.

— A co miesiąc?

Stanęło na programie raz na kwartał i jego efektem były dwie kolejne szopki. „W jajku” i „W grajdole”.

Jednak w lipcu 1991 Terlecki zaprosił nas ponownie na 9 piętro na Woronicza.

Tym razem nasz opór nie był już tak stanowczy. Półroczne doświadczenie „Klanu Szwendaków” dowodziło, że tematów nie zabraknie, mieliśmy też grupę aktorów doskonale umiejących parodiować głosy. Lider lalkarzy, współpracujących przy szopkach, Marek Chodaczyński zaproponował nowe lalki, z miękkiej gąbki przypominające bohaterów „Muppet Show”. Lalki otwierające usta, a więc były bardziej żywe niż nieruchawe kukły. Pozostawała kwestia formuły. Przenieść na ekran Szwendaków? Jakoś jednak nie uśmiechała mi się telewizyjna wersja Centralnej Dyspozytorni Mocy. Nie przypadła nam też do gustu wersja ostrych, wręcz obrzydliwych karykatur, jak w angielskim programie o „Gadających Głowach”. Zastanawiałem się, czy nie dałoby się użyć konwencji baśni, pozwalającej na sympatyczniejsze i trochę odrealnione potraktowanie polityków. Prezes dał na czas do namysłu. Jednak w windzie, którą wracaliśmy na nagranie ZSYP-u, gdzie miałem właśnie wygłosić kolejny wierszyk z cyklu „Swojskie ZOO” Kryszak zapytał:

— A zwierzęta? Czy nasi politycy nie mogliby by być zwierzętami?

Zaorski bez słowa zatrzymał windę i wcisnął dziewiątkę. Byliśmy gotowi!

W parę dni potem, u mnie w domu spotkała się cała grupa inicjatywna. Poza naszą trójką pojawił się Janek Purzycki, Janusz Zaorski, reżyser, brat Andrzeja i jego żona Viola Furmaniuk, mająca zająć się produkcją przedsięwzięcia. Start „Polskiego ZOO” przewidywaliśmy na wrzesień — projektami plastycznymi miał się zająć Jerzy Kalina (nasz współpracownik z „Czarnego kabaretu”), scenografią Tania Kwiatkowska, muzyką niezawodny Włodzimierz Korcz, na kierownika produkcji Viola zaproponowała Krysię Bystrosz z telewizyjnej Jedyńki. Ja miałem pisać, a Andrzej i Jurek grać i współreżyserować. Nie wszystkie sprawy formalne zostały do końca dogadane, pół roku później dowiedzieliśmy się, że jesteśmy de facto pracownikami pani Zaorskiej, bez udziału w zyskach itp.

Na tym spotkaniu wytypowaliśmy też pierwsze lalki — ostami raz dyskutowaliśmy o tym kolektywnie, później były to już wyłącznie moje propozycje konsultowane z plastykiem. Wałęsa miał być, to oczywiste, Lwem, Kuroń — Hipopotamem (tylko przez krótki czas rozważany był Goryl — moim zdaniem w odróżnieniu od Hipka miał antypatyczne konotacje), Mazowiecki — Żółwiem, dla Skubiszewskiego zaproponowałem postać Bobra; przesądziły charakterystyczne zęby i ogon jak kłapy surduta, natomiast dla premiera Bieleckiego — Rysia, polskie, sympatyczne zwierzątko. Viola domagała się jeszcze obecności Pingwina jako Glempa, ale odmówiłem. Nie przewidywałem w mym zwierzyńcu ani postaci Papieża ani Prymasa. (Poza tym jeśli już, bardziej pasowałby mu słoń afrykański czy charakteryzujący się ogromnymi uszami lisek pustynny — fenek!)

Po paru dniach Kalina przyniósł pierwsze projekty, jednak zajęty mnóstwem innych prac: kościoły, ołtarze, pomniki, wkrótce wycofał się ze współpracy. Hiobowa wieść dopadła mnie za granicą. Z telefonami przy uchu rozpoczęliśmy nerwową łapankę. Andrzej Zaorski zaproponował Grzegorza Szumowskiego, doskonałego karykaturzystę, ten jednak wymówił się nieumiejętnością rysowania zwierząt i zarekomendował swego kolegę, sąsiada, i w dodatku eks — leśnika Jacka Frankowskiego. Ów zaraz twórczo przystąpił do dzieła. Świetny fizjonomista skontrolował moją propozycję dotyczącą Geremka.

— Lis nie pasuje — rzekł — to powinno być coś bardziej rogatego, z brodą.

— Koziół?

— Jak najbardziej.

Zwolniony Lis przypadł ostatecznie Michnikowi. I już po paru tygodniach, nie mogłem sobie wyobrazić, żeby mogło być inaczej. Pozostał jeszcze jeden problem, lalkowy kabaret, pionierski w Polsce, miał swoich poprzedników w świecie. Viola chciał dostarczyć nam taśmy z obcymi programami, np. francuskim „Babette Show”. Odmówiłem, nie chciałem się zasugerować. Jeśli odnosić się, to do la Fontaine’a i Ezopa! I dobrze zrobiłem — Francuzi poszli w kierunku prostej parodii politycznych audycji telewizyjnych. Mnie marzyło się stworzenie „niby świata” stanowiącego wszechstronną karykaturę naszej rzeczywistości. Stąd od razu wiedziałem, że znaczną część tekstów zostawię dla aktorów żywego planu — choć jeszcze nie odkryłem w pełni talentów moich kolegów do przebiórek. Zwłaszcza Andrzej odnalazł swoją drugą naturę, z upodobaniem grywając starsze panie. Później bywało, że osaczony przez wielbicieli musiał wysłuchiwać: „Panie Andrzejk, pan tak przypomina moją teściową!”

Tymczasem nadciągał sierpień, który dla nabrania sił przed czekającymi wyzwaniem zamierzałem spędzić z moimi dziećmi w podróży po zachodniej Europie. Zostawiłem jeszcze dla Włodka Korcza „rybki” piosenki początkowej i końcowej. „Rybka” polega na tym, że pisze się co ślina na język przyniesie, z pewnym pomysłem rozłożenia akcentów, układem fraz, a dopiero gdy powstanie melodia tworzy się tekst właściwy. Nakreśliłem więc na kolanie sygnał i finał. W pierwotnym pomysle pewne zwrotki miały być wymieniane zgodnie z potrzebami sytuacji, a refreny stałe. Po paru dniach zadzwoniłem do Korcza i poprosiłem o muzykę, chcąc przystąpić do pisania tekstu.

— Jakiego tekstu? — Obruszył się Włodek — Nic lepszego w życiu nie wymyślisz.

— Przecież to tylko stek głupot.

— I o to chodzi.

No i przez 134 odcinki cała Polska śledząc lub nieśledząc napisy końcowe miała słuchać:

Finał ZOO

Minął tydzień w menażerii,

Idzie nowy, a my z nim,

Wśród dewiacji i hysterii,

Śmiech potrzebny jest jak klin.

Skojarzenia to przekleństwo,

Więc możemy dziś dać głowę,

— Jakiegolwiek podobieństwo,

Było czysto przypadkowe.

Wszystkie łosie mają w nosie,

Żubr popłakał się jak bóbr,

Z dzika właśnie wyszło prosię,

Chór padalców w roli kobr.

Piszczy w trawie, lub brzmi w trzcinnie,

Sieją burze, albo mak,

Wydarzenia i opinie,

A czasami nawet fakt.

Akt? Takt? Brak? Smak? Hak?

Oj tak...

Miały to być piękne wakacje. Naszym dwunastoletnim BMW pojechaliśmy do Szwajcarii, mając w planie wypady do Włoch, Francji. Bazę jak zwykle stanowił dom mojej siostry w Bazylei. Pierwszy tydzień spędziliśmy nad chłodnym Lago Maggiore, drugi na wybrzeżu liguryjskim w małej skalistej zatoczce, następnie, przed francuską częścią wyprawy zrobiliśmy krótki wypad w Alpy. I tam w pięknym Grindelwaldzie u stóp Eigeru dopadła nas informacja o puczu w Moskwie, o izolowaniu Gorbaczowa...

Następne dni spędziłem z uchem przy radiu, jednym okiem kontrolując obraz telewizyjny. Spod niemieckiej mowy wychwytywałem rosyjskie tło, porównywałem z łapanymi z trudem, w nocy polskim stacjami. Lęki przed komunistyczną recydywą trwały krótko, ale obrazy zrewoltowanej Moskwy i Jelcyna na czołgu na zawsze pozostaną w mej pamięci. Z myślą o ZSYP–ie zanotowałem swe impresje w formie wierszyka:

Bolesna strata

*Zawsze dumałem, jak to będzie,
Gdy się pewnego dnia obudzę,
Za oknem niesłychanie pięknie,
A dookoła inni ludzie.
Inne poczucie obowiązku,
Inne kawały, czystsze niebo —
Bo nie ma Związku, nie ma Związku,
Bo nie ma Związku Radzieckiego.
W opowiadaniach science fiction
Traktując cel, jako zabawę,
Szukałem środków, zdarzeń, przyczyn
Mogących zmienić mrzonkę w jawę.
By nigdy niedźwiedź na postronku,*

Nie wiódł w maliny nas, gęsiego...

I nie ma Związku, nie ma Związku,

Nie ma już Związku Radzieckiego!

Fakt. Z dnia na dzień brak już molocha,

Nie grozi pomoc. (Nie daj Boże!)

Nie musisz sojusznika kochać,

Lecz także zwalać, gdy jest gorzej.

Że krowa mleko ma zbyt chude,

Bo ją sowiecki żołdat doi,

Że miasta obrastają brudem,

Gdyż za tym kałasznikow stoi...

Że ktoś nam każdą myśl uziemia,

I iść nie daje na całego...

A tu niestety Związku nie ma.

Tak w gruncie rzeczy przydatnego.

Oczywiście wskutek dramatycznych wydarzeń zaplanowana letnia włączęga zmieniła się w lato z radiem. Dzieciom pozostał miejski basen i przydomowy ogródek, mnie kibicowanie „przyjaciołom Moskałom”. Inna sprawa, miałem już dość wypoczynku, chciałem jak najszybciej znaleźć się w kraju. Z telefonów Violi wynikało, że wszystko jest na dobrej drodze, a pierwszy odcinek, jeszcze nawet nie wymyślony ma ukazać się w sobotę 8 września.

Przedsięwzięcie rodziło się na wariackich papierach, telewizja trzymała je w głębokiej tajemnicy, ja osobiście marzyłem, żeby program mógł pojawić się jak diabeł z pudełka, przerywając wieczorne wiadomości. Konspiracja nie przeszkodziła „Gazecie Wyborczej” w przeddzień premiery skrytykować widowiska na zapas, dobierając się do finansowych kulis programu.

Ja sam do ostatniej chwili przeżywałem prawdziwe dylematy. Pisać wierszem czy prozą? Ostatecznie zdecydowałem się na prozę, ale dla świętego spokoju postanowiłem kawałeczek spróbować wierszem... Wreszcie odbyło się nagranie dźwiękowe. Lalki ciągle były nie gotowe, rzeźbiarz Andrzej Grygołowicz pokazał jedynie nie pomalowanego Hipopotama. Resztę kończył na

planie. Nagrania poszły w miarę sprawnie. Potem Zaorski z Kryszakiem montowali do białego rana. O świcie, w sobotę, zadzwonili do mnie strasząc. „No niestety... nie udało się” Po chwili grozy Andrzej wybuchnął śmiechem, mówiąc, że jest o key, ja jednak pełen obaw pojechałem na Woronicza na przegląd. Byłem tak spięty, że nie potrafiłem ocenić, czy wyszło dobrze, czy tak sobie. Premiera na antenie odbyła się, kiedy wyruszyliśmy na koncerty. Dopiero zaglądając do kalendarza przypomniałem sobie, że poza wszystkim był to rok niezwykle ożywionej, choć głównie weekendowej działalności koncertowej. Z „Polską szopką całoroczną”, zagraliśmy około 300 spektakli. Najdziwniejsze, że nie odbijało się to ani na ZSYP-ach, ani na publikacjach prasowych, starczało mi nawet czasu aby z napisanych tekstów robić książkowe antologie. Jak dawałem radę? Musiałem! Nie obejrzałem więc premiery ZOO na żywo. Na szczęście rodzina nagrała na video. Zresztą w niedzielę rano chodziły powtórki.

Polskie ZOO — prolog

— śpiewany był przez grupę wokalną zebraną przez Korcza, z Alicją Majewska, Anią Pietrzak i nieodżałowanym Andrzejem Zauchą. W późniejszych programach męskie partie wykonywali Ryszard Rynkowski i Zbigniew Wodecki:

*Gdy nie ma krat, przymusu brak
dozorcy też nawiali
zmienia się ZOO, we wspólny dom,
gdzie wolność i plu... ralizm.
Lecz gdy dokładnie spojrzysz wkoło,
mina ci zrzędzie mocno bo
niewydolne, chociaż wolne Polskie ZOO
wybieg płaski, grząska fosa,
polskie... Co?*

Część wymienna, w pierwszym odcinku ilustrowana była demonstracjami ulicznymi w Polsce, wystąpieniem posłanki Ziółkowskiej, oraz filmowymi doniesieniami z Moskwy po puczu i brzmiała:

*Demonstracje i protesty kwitną w kółko,
To renciści, to rolnicy, to kobiety,
Z niejednego posła wyszło niezłe Ziółko
Rząd się chwieje, ale prosi o dekrety.
U sąsiadów też zwycięża demokracja,
Chociaż Dziadek Mróz znów sięgnąć chciał po władzę
Malczyk Jelcyn bardzo urósł po wakacjach,
Za to Gorbi stracił wiele na swej wadze!*

*Ale ogólnie jest wesoło,
ja rzekłbym nawet „charaszo”
odwiedzacie więc światowcy nasze ZOO
usta milczą, ryba śpiewa,
polskie — No!*

ODCINEK PIERWSZY rozgrywał się na śniadaniu u króla Lwa. Tandem Zaorski i Kryszak występował tam w wielofunkcyjnych rolach, kucharzy, ochroniarzy, dziennikarzy...

KUCHARZ PIERWSZY

— *Śniadania w Zoo, jak wiadomo
są zwykle ceremonią skromną.*

KUCHARZ DRUGI

— *Gdzie w gronie paru miłych druhów
Więcej o sprawie niż o brzuchu
Myśli się...*

KUCHARZ PIERWSZY

— *Zwłaszcza gdy brak mięsa.*

KUCHARZ DRUGI

— *I tak zwykł jadać*

WAŁĘSA

— *Lew Chałesa.*

Był to pierwszy i ostatni odcinek w którym Król Lew występował pod nazwiskiem, po raz ostatni też kreował go Waldek Ochnia, od następnego odcinka rolę tę niepodzielnie przejął Zaor. Na śniadaniu zjawiały się pierwsze postacie. Premier Ryś...

RYŚ

— *Wzywaleś mnie więc wpadam, rysią...*

LEW

— *Z propozycjami czy z dymisją?*

Bo jeśli chcą cię zdjąć ze stołka

I myślą, że się zacznie polka,

To nie pozwolę! Ruchem pióra,

Rozwiąże ten Zwierzęcy Churał (...)

Zaraz też wkraczał szef klubu OKP, Geremek („Co ma w Churale status nowy, szefa Kopytno-Postępowych”)

KOZIOŁ

(...) — *O co tu chodzi? Idę w gości*

Z instynktem odpowiedzialności.

Wszystko się wali, czas się kończy,

Tak poprę Rysia...

LEW

— By go utracić (...)

Zatem, zapraszam do śniadanka,

Dziś nieobecna ma bog — Danką

Więc stół ciut skromniej zastawiony

I kelnerują

OCHRONIARZE PRZEBRANI ZA KELNERKI

— Dwaj z ochrony.

RYS

— A co z małżonką, źle się czuje?

LEW

— Skądże, potomstwo me pilnuje,

Nim moje lwiątko wystrzałowe,

Rozbija jakiś wóz...

KOZIOL

— Lub rower! (ogląda menu)

Cóż w karcie, dużo niespodzianek?

LEW

— Nie, wszystko świeżo dziś zebrane.

RYS

— Zebrane? Król się przejeździł?

LEW

— *Mówiem, zebrane wprost z ulicy.*

Dziś demonstracja krzykiem mody

A każda rzuca ziemiopłody.

DZIENNIKARZ 1

— *Piekarzy tłumek miota bułki*

DEMONSTRANCI

— *Chcemy powrotu tu Gomułki!*

DZIENNIKARZ 2

— *Rolnik zawiesił się na hasła*

CHŁOP (idąc po kostkach masła)

— *za Gierka szło się jak po maśle! (...)*

LEW

— *I tak powstało menu...*

KOZIOŁ

— *Marne*

ŻYD

— *Ni to kosherne.*

ŻOŁNIERZ

— *Ni koszarne!*

Nim jednak dochodziło do konsumpcji, wpadał minister Skubiszewski

BÓBR

— *Przepraszam bardzo za spóźnienie,*

lecz byłem właśnie w RFN—nie

w Pradze i w Hadze, w Kopenhadze,

więcej i szybciej nie poradzę...

KOZIOL

*— Bo trzeba było, proszę wygi
najpierw do Wilna i do Rygi.*

LEW

— Czy coś niedobrze, panie Bobrze?

BÓBR

— Spokój na Bugu jest i Odrze...

CELNIK 1

— Ma informacje nazbyt ładną

CELNIK 2

— Za Odrą biją

CELNIK 1

— Za Bugiem kradną... (...)

LEW

— Wróćmy do świata!

BÓBR (upuszcza talerzyk)

— Dzięki Bogu

*ten pucz w sąsiednim zoologu
skończył się, mimo stu pułapek,
rozbiciem krat, otwarciem klatek.*

RUSKI 1 (handlujący przed ZOO)

— Świat wstrzymał oddech

RUSKI 2

— *A tu nic.*

RUSKI 1

— *Bo miał być pucz*

RUSKI 2

— *A wyszedł pić! (...)*

BÓBR

— *A swoją drogą boli głowa,
tak stan wojenny sfuszerować,
tak się przysłużyć własnej mafii.*

GAWRON (pojawiając się)

To było tam. Polak potrafi!

DZIENNIKARZ 1

— *Któż to, przeszłości mara zła?*

DZIENNIKARZ 2

— *Nie, bliski ekspert króla Lwa.*

LEW

— *Dobrzy doradcy to dziś grunt.*

GAWRON (przedstawiając się)

Generał Gawron — spec od junt.

KOZIOŁ

— *To może przynieść komplikacje.*

GAWRON

— *Idą do góry moje akcje.*

I zewsząd pytań jest nie mało,

jak zrobić pucz, by się udało

by miał proces, emigracji,

żyć z renty „ojca demokracji”?

Oświadczenie Gawrona — Jaruzelskiego wywoływało liczne polemiki i pytania typu, co Miller z towarzyszami robił na Krymie u Janajewa. Riposta jest krótka:

To były, słyszycie wy z prawicy

wczasy pod gruszą...

SZLACHCIC SARMATA

— W Targowicy!

W międzyczasie odzywał się telefon od **NIEDŹWIEDZIA** (Jelcyna), który **LEW**, po udzieleniu paru dobrych rad, kończył słowami:

Tu wzniosę hasło, cny sąsiedzie —

Niech żyje Niedźwiedź. Lecz u siebie!

W finale wpelzał zdyszany **ŻÓŁW** (Mazowiecki), co wywołało zaskoczenie stołowników:

RYŚ

— Żółw na śniadaniu, w drugiej turce?

LEW

— Ogłosić chcem kres walk na górze.

Żółw druh, kombatant, kompan fajny.

BÓBR

— *Co dziś nam radzi?*

ŻÓŁW (niezmiernie wolno)

— *Przyśpieszajmy!*

*

Pierwszy odcinek wywołał entuzjastyczne reakcje publiczności. Gorzej było z krytyką. Prasa przyjęła nas chłodno. „Gazeta Wyborcza” choć półgębkiem pochwaliła za Żółwia i Bobra, zgañiła za Lwa, a przede wszystkim wytknęła brak na śniadaniu szarej eminencji Belwederu — Mieczysława Wachowskiego. Przyjęliśmy tę uwagę z pokorą, chociaż nie wiedzieliśmy w ogóle, że ktoś taki istnieje. Jednak krytyka pomogła i już wkrótce Kryszak wcielił się w postać Starszego Wybiegowego. Inne gazety były jeszcze ostrzejsze w ocenach, „NIE” (nie czytam, ale doniesiono mi) pisało o „orgii grafomanii” Kryszaka i Zaorskiego, a co ciekawe autora nie wymieniło. Dołożyła mi za to „Gazeta Krakowska”, „Rzeczpospolita” i „Polityka”. Inaczej było na prawicy. „Express” porównał nas nawet z świętej pamięci „Kabaretem Starszych Panów”. Na szczęście zarzuty wykluczały się nawzajem, gdy jedni uważali program za nieśmieszny, inni za zbyt śmieszny. Pociuszające było, że w miarę rozkręcania się programu, krytyka słabła. Przeciwnicy nie mogli nic poradzić na lawinowo rosnącą popularność. Zresztą co inteligentniejsi szybko zauważyli, że nie uprawiamy krwawej satyry partyjnej na rzecz określonych sił, a staramy się bawić stworzoną „nierzeczywistością” Owszem postrzegano nas jako „pro prezydenckich” ale w granicach przyzwoitości.

W drugim odcinku pt. „**SILNA WŁADZA**” pojawiły się nowe postacie.

Kuroń — **HIPOPOTAM**, zapowiadany przez ogrodowego hydraulika:

(...) Ale najczęściej jest odwiedzana,

Sadzawka pana Hipopotama,

Gdzie śpi lokator z potężnym głosem,

Z pudełkiem fajek, oraz termosem.

Oraz Bracia Kaczyńscy — **CHOMIKI**. Cała trójka bardzo szybko stała się najulubieńszymi kukiełkami, zwłaszcza dla dzieci. O ile w pierwszym odcinku zapożyczyłem frazę głównie z „Kwiatów Polskich” o tyle w drugim liderzy Przymierza Chomików (PC) przekornie recytowali frazę wziętą z Majakowskiego.

Gadajcie Europejczycy,

Mowa wiadomo to guma!

My wiemy, w waszych bajorach

Skryła się krypto komuna.

Niech nas elita wyśmiewa,

Przyszłość ma brat i ja.

Gdy oni ruszą: lewa, lewa,

My poruszymy lwa!

Odcinek wypełniała relacja z wizyty Lwa u południowego sąsiada **ŚWISTAKA GAWŁA** (Havla):

LEW (Relacjonował z samolotu)

— *Gadałem z Gawłem jak brat z bratem.*

KOZIOŁ (z przekąsem)

— *Jak to literat z literatem.*

LEW

— *Mawiają wedle stawu grobla,*

Gawel obraził się za Nobla

I parę moich cierpkich słówek,

Choć przecież znany wszystkim fakt.

On spłodził stos jednoaktówek

Ja wielki historyczny akt. (...)

Wkrótce na dworze, jakiś czas później zacząłem używać terminu „Belwybieg” pojawiał się Ryś, który właśnie wrócił z wizyty u Bizona (Busha) i zaniepokojony dopytywał się o Lwa, który po wylądowaniu w Warszawie nie dotarł do ZOO.

RYS

— Dajcie kierowcę, tego łamagie.

CHOMIKI

— Gdzieś zawiózł szefa?

KIEROWCA (ale jeszcze nie Wachowski)

— *Gdzie chciał.*

GŁOS LWA

— na Pragę!

*

Trzeci odcinek „**DZIURA W BUDŻECIE**” napisałem rytmem mickiewiczowskiej „Alpuhary”. Nie mam pojęcia dlaczego właśnie ten odcinek, w którym pojawiły się kolejne postacie **SZAKAL** (Cimoszewicz), **SZKAPA** (Balcerowicz) i **TRUTEŃ** (Miodowicz), trafił do wypisów szkolnych w klasach maturalnych, co zoile z „Gazety Wyborczej” mieli autorom książki za złe.

KSIĘGOWA 1

— *Niebo zanosi się na burzowo,*

KSIĘGOWA 2

— *W dyrekcji aura ponura*

KSIĘGOWA 1

— *Projekt budżetu wisi nad głową*

KSIĘGOWA 2

— *Ale w budżecie jest dziura*

KSIĘGOWA 1

— *Broni się jeszcze zwierz osiwiaty* —

RYS

— *Ryś, co w naprawę wciąż wierzy,*

Churał niespiesznie pichci uchwały...

CHOMIKI

— *Aż na lwie grzywa się jeży.*

LEW (oglądając płachtę z dziurą w środku)

— *Co to jest?*

CHOMIKI

— *Temat godny obdukcji...*

LEW

— *Flaga Rumunii po rewolucji?*

RYS

— *Nie, oto obraz naszych funduszy.*

BÓBR (wyglądając przez dziurę)

— *Na taki widok i bóbr się wzruszy.*

Ale milcz serce, bo już od wtorku,

muszę w zwierzyńcu być w Nowym Yorku (...)

SPRAWOZDAWCZYMI PARLAMENTARNA

— *Na biednym Rysiu*

już cierpnie skóra,

czując powagę zadania.

Pęta mu łapy zwierzęcy Churał,

a równocześnie pogania. (...)

SZAKAL

(za mównicą)

— *Wielki Churale, ogląda świat*

jak ta gromadka wyrodków

niszczy owoce czterdziestu lat,

niebywałego dorobku.

Kręgowce — wołam — na waszym progu,

gdy demagogia się szerzy,

dla dobra zwierząt i zoologu,

jam gotów w rynek uwierzyć!

Gdy historyczna chwila trwa dzisiaj

i dzwonek dzwięczy ostatni.

Uczyńmy jedno — wywalmy Rysia,

reszta się sama załatwi! (brawa)

Zresztą niech Rysiek trwa na urzędzie

jeśli się swojej Szkapy pozbędzie.

BEZROBOTNY 1

— *O kim tak dudni, że aż drżą liście?*

BEZROBOTNY 2

— *O koniu, twardym monetaryście,
co nas wykopał z za biur i biurek*

BEZROBOTNY 1

— *Walnął popiwkiem.*

BEZROBOTNY 2

— *Zakręcił kurek (...)*

Na moment pojawia się **SZKAPA** (Balcerowicz) komplementowany przez **RYSIA**, „Choć prawie każdy żywi doń anse, ten konik ciągnie nasze finanse” i zaraz odzywa się **TRUTEŃ MIODNY** (szef HopZZtu)

— *To granda! Zgroza nas wszystkich trzepie,
ten ogród sływał miodem i mlekiem.
Dziś gdy Ryś z Kucem trzymają za ster,
ja jeden walczę o wspólny plasterr...*

SPRAWOZDAWCA

— *Ssaki zasługi cenić umieją*

SPRAWOZDAWCZYNI

— *Więc kiedy Trutnia poznali*

SZAKAL

— *Szakał go liznął,*

GAWRON

— *Inni z kolei, jak towarzysza witali. (...)*

ŻÓŁW

— *Więc co ze sprawą tego budżetu?*

RYS

— *Nie chciano przyznać praw do dekretów,
wiec pytam grzecznie kamarylę,
komu ucinać?*

SZKAPA

— *I po ile?*

CHOMIKI

— *Sądzimy z bratem, że trzeba prędko
urzącić hienom, skunksom i sępom,
kolaborantom z dawnym zarządem.
Sam Zarząd szybko stawić przed sądem!*

SZAKAL

— *Co za niesmaczne głosy z prawicy!
Czy to chomicy, czy bolszewicy?*

KOZIOŁ

— *Brzydka się tutaj kroi zabawa,
a trzeba tworzyć Zoolog prawa!
W którym są tylko proste alejki...*

CHOMIKI

— *To prawo chroni sroki złodziejki!
Puszcza z torbami biedne kangury,
kryjąc kukułki z nomenklatury! (Koń się śmieje)*

AFERZYSTA

— *Afer dziś tyle co nowych partii*

KOMBINATOR (odbijając butelkę)

— *Alkoholowa*

AFERZYSTA 1

— *No i ta Art... (razem) — Bi!*

CHOMIK

— *Małych się depce, a wielkich chroni.*

GAWRON

— *Nie jest mym krewnym prezes Gawronik! (...)*

RYŚ (dzwoniąc nożycami)

— *Lecz gdzie ciąć budżet, kto radzić skory?*

SZAKAL

— *Byle nie biednym, słabym...*

ŻÓŁW

(wzdychając)

— *I chorym.*

TRUTEŃ

— *Karmiącym matkom!*

BÓBR

— *Kadrze!*

HIPEK

— *Maleństwom!*

KOZIOŁ

— *Starym uczonym.*

CHOMIKI

— *Młodym małżeństwom.*

SZAKAL

— *Żądam w imieniu dzierżawców fermy*

ceł zaporowych dla mięsożernych!

TRUTEŃ

— *Roślinożerni też się nie dadzą,*

gdy przyjdzie pora porradzą z władza...

W trakcie coraz zapalczywszego wyrywania sobie projektu budżetu płachta w końcu pękała we wszystkich kierunkach.

BÓBR

— *O Matko słodka!*

SZKAPA

— *Puścily szwy.*

RYŚ

— *Coście zrobili?*

SZAKAL, TRUTEŃ

— *To wy!*

KOZIOŁ, HIPEK, ŻÓŁW

— *To wy! (...)*

ŻÓŁW

— *Może do wyższych mocy wystąpić?*

CHOMIKI

— *Westchnąć do naszej wielkiej patronki.*

HIPEK

— *Ona ocali od zła i świństwa*

KOZIOL

— *Patronka z klapy.*

GAWRON (wychylając się)

— *Któż nią?*

LEW (pokazując swoją klapę)

— *Gucwińska!*

Żarcik na temat popularnej dyrektorki Wrocławskiego ZOO (kto przypuszczał, że sama wejdzie kiedyś do Churułu z ramienia SLD), był dość ryzykowny. Ataków za szarganie świętości doświadczyło np. „Wprost” publikując „Madonnę w masce przeciwigazowej”. Jednak po latach krążyła w ludzie dużo mocniejsza anegdota, jak to Wałęsa, po przegranych wyborach prezydenckich wydychał do swej Patronki — *No to co Matko Boska, klapa?*

*

Odcinek Czwarty zatytułowany był **WALI SIĘ** i nawiązywał wersyfikacją do paru popularnych wierszyków Brzechwy. **RYSIA** męczyły w nim koszmarnie zwidy, wyobrażał sobie że jest Neronem pytającym — „Quo vadis, Ursus?” podczas gdy w żywym planie widać było jak półnagi olbrzym walczył z ciągnikiem.

TRUTEŃ

— Ten zarząd wkrótce już się obali

RYS (sennie)

— *Pali się, pali się, pali się, pali...*

Po raz pierwszy na plan wkraczała, żona Lwa — Myszką, i Lis, naczelny „Gazetki Wyborowej”, którego całe towarzystwo charakteryzowało następująco:

CHOMIKI

— *O większego trudno Lisa,*

Ponad Lisa Żurnalisa.

HIPEK

— *Mistrz aluzji.*

TRUTENŃ

— *Paradoksów.*

BÓBR

— *On nie wali prosto z mostu.*

KOZIOL

— *Lecz potrafi z wielką wprawą*

Skręcić w lewo, mówiąc:

LIS

— *w ppprawo!*

MYSZ (do Lwa)

— *Kiedyś w czasach dość zamierzchłych*

Byłeś jemu ojcem Chrzestnym.

LEW

— *Lecz gdy pękła nasza paczka, jam bez prasy...*

LIS

— *Ja bez znaczka.*

CHOMIKI

— *Po coś poszedł w lewa stronę*

Bruderszafty pił z Gawronem?

OBSERWATOR

— *A fakt przecież to znaczący*

Skoro Gawron nie pijący...

W trakcie rozwijania „Gazetki” wypadł z niej **KONDOR** — Stan Tymiński, pragnący wypromować przed wyborami swoją partię X.

KONDOR

— *Raz pewien kondor do kraju zmierzał,*

Patrzy w Gąbinie zwalona wieża.

EMERYCI

— *Program radiowy już ledwie kapie.*

Warszawy nawet w Kłaju nie złapiesz...

KONDOR

— *Patryjotyczna weń furia wzbiera,*

Peru, Kanada — jedna cholera,

Trzeba ojczyźnie pomóc w kryzysie.

Gdy tu wali się, wali się, wali się (...)

Okazywało się bowiem, że z powodu unieważnienia paru list z „martwymi duszami” szansę Stana są niewielkie i zamierza skorzystać na tym lewica.

SZAKAL

— *Unieważnienie tej piątej listy,*

Czyste bezprawie, fakt oczywisty.

Wiec klientelo zdeklarowana,

Gdy brak kondora — zagłosuj na nas. (...)

KONDOR

— *Niechaj się śmieje ssacza bohema,*

Niech sobie myśli że mnie już nie ma.

Zaśnij spokojnie obywatelu,

Jeszcze obudzisz się w PRL-u!

Cóż dodać, prognoza była trafna, choć o pół kadencji za wczesna.

*

Tygodniowy rytm emisji wytworzył pewną stałą praktyką twórczą. Zazwyczaj już od piątku każdego tygodnia gromadziłem pomysły, które we wtorkowe przedpołudnie przybierały formę scenariusza. Potem konsultowałem się z kolegami. Role redaktora najczęściej spełniał Zaor, wymuszając klarowność tekstu i tępiąc wszelki niejasności. „Czytam tekst z pozycji kretyna i jeśli ja go zrozumieć, inni też mają szansę” — tłumaczył. Środę wypełniały nagrania muzyczne, czwartek był dniem pracy w studio, zaś piątek, a czasem noc z czwartku na piątek pochłaniał montaż. Trudno kusić się o pełny wybór tekstów z ZOO. Tom spuchłby do rozmiarów książki telefonicznej. Nadto po latach wiele spraw i postaci się zmarginalizowało, inne zostały zapomniane. Kogo obchodziłyby gry i zabawy w ramach Trójkąta Wyszehrackiego, które stanowił wiodący temat odcinka **UCZTA U ZWIERZYŃKA**. Straciło na znaczenie również sporo krajowych postaci, jak choćby debiutujące w tym odcinku — **MUCHA** czyli arcyliberał Korwin–Mikke i **NOSOROŻEC** czyli Giertych–ojciec, kukielka bardzo rzadko używana. Gdyby dziś wznowić ZOO, a lalka nie przepadła gdzieś w garażu Violi Zaorskiej, może dałoby się upudrować ją na syna?

NOSOROŻEC

(nie wpuszczany na salony, wołał od drzwi):

Krzyczeć, krzyczeć mi wypada,

Gdy wkrąg narodowa zdrada.

W historycznej trwa scenerii,

Orgia jakiejś masonerii...

Sabat przechrztów i cyklistów

Ateistów, żurnalistów,

Co spiskowe knują gry,

Lecz czuwamy szczęście my!

Przekreślimy te oferty.

OCHRONIARZ

— Pan kto?

NOSOROŻEC

— Znany znawca gier tych (...)

Pełne prawa się należą,

Dla rodzimych polskich zwierząt! (..)

Protestuję wielkim głosem,

Jako Polak...

ŻYD

— Z takim nosem?

Odcinek kończyła konferencja prasowa Lwa:

LEW

— *Powiem szczerze i pokrótce*

W ZOO Kraka wielki sukces.

Krety sypcie nowy kopiec

Już jesteśmy w Europie!

BÓBR

— *Choć nadzieja jest zwodnicza*

I przedwczesna to idylla...

Rys — Bo Europa, niewdzięcznica,

Na nasz widok daje dylla!

*

7 października przestąpiliśmy po raz pierwszy progi Belwederu. Inspiratorem spotkania z Wałęsą był Jacek Frankowski, który już wcześniej współpracował z rzecznikiem prezydenta, Andrzejem Drzycimskim. W spotkaniu obok naszej wiodącej trójki, brali jeszcze udział plastycy (z lalkami) i Viola Zaorska. Początkowo honory domu pełniła Myszka — pani Danuta, której usiłowałem wytłumaczyć, że pomysł postaci Myszy, która rządzi Lwem, jest dla niej jak najbardziej korzystny, później z pewnym ociąganiem zjawił się sam Lew. Po latach dowiedziałem się, że trochę obawiał się naszych ostrych języków, ale Drzycimski przekonał go, by nie zlekceważył artystów. Wałęsa nie próbował niczego nam sugerować, wręcz przeciwnie, uważał, że wolna satyra w wolnym kraju nie powinna nikogo oszczędzać „A co ja wam będę mówił, to wy jesteście fachowcy” — rzekł. Prosił też, żeby w wypadku jakichkolwiek nacisków zwracać się wprost do niego. „Moi ludzie — wskazał na Drzycimskiego i Wachowskiego — są do waszej dyspozycji i jak wam będą potrzebne jakieś informacje, czy coś, dzwońcie!”

Potem znalazł się czas dla fotografa — Wałęsa z Lwem, pani Danuta z Myszką, Kryszak z Wachowskim. Wymieniliśmy się też książkami. Ja przekazałem prezydentowi właśnie wydaną szopkę „Od Jałty do Magdaleny”, on nam swoje oficjalne biografie. Następnie Wachowski oprowadził nas po Belwederze. „Demon” zrobił na mnie zaskakująco dobre wrażenie. Uprzejmy, dowcipny, wydawał się człowiekiem ze sporym dystansem do samego siebie i swojej funkcji. Zwłaszcza, kiedy stanął w swoim gabinecie przed wielką mapą Polski i rzekł: „Stąd się, kurde, rządzi tym biednym krajem”. Nie przyszło mi do głowy, że mógł to mówić na poważnie. W każdym razie Kryszak miał gotową postać do ZOO.

Odcinek przedwyborczy pt. **SHOW W PLENERZE** nawiązywał formalnie do Tuwimowskiego "Balu w operze". Pokuszę się o zacytowanie fragmentów, bez rozbijania na postacie.

Dzisiaj wielki show w plenerze,

Przyszły głosel lub szczekator,

Kokietuje elektorat.

Szakał chętnie wianek bierze,

O swej cnocie mówiąc. „Szczерze!”

W głowach informacji zator.

Nikt już nie wie co wybierze.

Obietnice menażerskie —

Będą renty, będą pensje!

Słowa pienia się i wrą.

Tutaj mędrzec. A tam głąb.

Propozycji całe mrowie.

Są na płotach, są i w rowie.

Kapie ślinka kandydacka:

„Głosów, głosów daj co łaska.

A my już ci zrobim rząd!”

Wielki konkurs trwa piękności,

liberalny...

I tu objawiał się po raz pierwszy Krogulec, lider KPN-u Leszek Moczulski

KROGULEC

— ... Narodowy!

Okres mamy przełomowy.

Czas dla ptaków czystopalcych,

Nieskażonych przez zaszłości,

Takich co umieją walczyć.

Co jak życiodajny tlen.

Dajcie jzłos na CaPNU!

Po latach przyznaje ze skruchą, że w ZOO potraktowałem Moczulskiego zbyt jednostronnie, jako uosobienie narodowej tromtadracji i populizmu. Dużo później odkryłem w nim znakomitego historyka, poznałem człowieka o ogromnej wiedzy, dużej przenikliwości (czego dowodem profetyczna „Rewolucja bez rewolucji”) choć nie zawsze najszcześniejszych posunięć. Obok Krogulca do piątego odcinka wprowadziłem również lidera ZCHN-u — Mecenasa Wiesława Chrzanowskiego — **ŁOSIA**

Łoś kurator się przechadza,

Bogobojnie żując chrzan.

ŁOŚ

— *Tu potrzebna nowa władza,*

Przełom jest potrzebny nam!

W szkole ciągle zła proporcja

Miast rachunków damy psalm.

NOWORODKI

— *Wiwat dziatki, precz aborcja!*

ŁOŚ

— *Naturalnie wybierz sam.*

Lecz powinna nawet stulbia

znać zasadę głosowania.

Ryś? — Na rysia. Żółw? — Na żółwia

A katolik tylko na nas. (...)

I znów przytaczam kawałek wiersza bez podziału na role.

Każdy, zoologu sługa,

Na wyborcę plakat mruga (...)

Będzie mądrzej, bogobojniej, będzie zdrowiej!

Ruszył zaciąg ochotników izby nowej.

Churał panowie! Churał panowie! Churał panowie! (...)

Podczas następującej zgodnie z tuwimowskim pierwowzorem wyliczanki ulegały metamorfozie nazwy ulic np. ulicy Mikołaja Kopernika w ulicę Świętego Mikołaja...

Przez ulice Baranów, rondo Kapucynek,

Targ Węży, plac Jaszczurczy, Podwale Gnid, rynek,

Zaulek Serc Zajęczych i przez Most Padalców,

Aleją Białych Orłów, Ssaków, Animalsów.

Przez pola, co niczyje, bez manifestacji,

Płyną sobie pomyje w sosie demokracji.

Na rogatkach przystanęły, chlupot zamilkł,

Bo się właśnie rozminęły z nadziejami ... (...)

Zaniepokojona MYSZKA zwracała się do męża

— *Kiedy każdy gra o swoje,*

Ja się o wyniki boje.

LEW (poufnie uchylał swego credo)

— *Jeśli Churał będzie w proszku,*

Wzrośnie rola lwa... po troszku.

Nie rokowało to najlepiej zoologicznej koegzystencji.

*

Dzień głosowania, ze względu na obowiązującą ciszę uczciliśmy odcinkiem **ANI SŁOWA O WYBORACH** — całe zoologiczne towarzystwo zgromadziło się w kasynie, grając w ruletkę. W okrzykach krupierów *Pasjonująca mechaniczna, ruleta cud zoologiczna* pobrzękiwały odniesienia do „Kto się odważy jeszcze raz?” Pojawiały się dość oczywiste konstatacje *A perspektywy raczej marne, wygra czerwone albo czarne*. Wygrali wszyscy. W efekcie głosowania miał się wyłonić najbardziej wielobarwny, niesforny i nieprzewidywalny parlament „Trzeciej Najśmieszniejszej”. Mnogość prawic, nadspodziewanie silna lewica, partie ludowe, wreszcie Polska Partia Przyjaciół Piwa, cóż za gigantyczne żerowisko dla satyryków. Do wyłonionego zestawu posłów i senatorów tak mocno przyłgnęła wymyślona przeze mnie etykieta, że kiedy po paru latach niektórzy z naszych bohaterów zjednoczeni w AWS — ie ponownie znaleźli się w sejmie, skomentował to Sawka, rysownik z „Wprost” — „Polskie ZOO wróciło!”

Na razie nasz program zyskiwał coraz większą oglądalność, zwierzaki stawały się znakami rozpoznawczymi polityków, partyjnymi maskotkami. Zabierali na jego temat głos również sami główni zainteresowani. Tadeusz Mazowiecki miał pretensję, że nie jest aż taki wolny jak jego gadzie alter ego. Wzięliśmy to sobie do serca. I w kasynie odbywał się następujący dialog.

CHOMIKI

— *Co tak okrąża ten nasz stół?*

LIS

— *To nie ruletka.*

RYS

— *To jest Żółw!*

ŻÓŁW (wirując)

— *Robię już sto czterdziestą turę,*

Aby pokazać swa naturę,

Szydercom tej autorskiej spółki,

Że Żółw jest szybszy od ich kulki!

Przy tworzeniu następnego odcinka sporym utrudnieniem okazał nasz wyjazd do USA, program na „za tydzień” trzeba było nagrać w dzień wyborów nie znając wyników. Ostatnich korekt tekstu dokonywałem w noc przedwyborczą dyktując Andrzejowi poprawki przez telefon. Zresztą nie pomyliłem się zbyt w prognozach. Trafnie przewidziałem wynik lewicy, nie doceniałem Krogulca (KPN) i Łosia (ZChN), a przeceniłem Żółwia. Jednak Unia Wolności dopiero rozpoczynała swój łagodny zjazd w sondażach. Gorzej było z kalkulacjami powyborczymi, sadiłem, że Wałęsa, mając parlament bardziej prawy niż lewy wykorzysta ten fakt dla przyśpieszenia, przyjmie rolę ponadpartyjnego arbitra, zaś głównym rozgrywającym stanie się ulokowane po środku sceny, czy raczej boiska Porozumienie Centrum. Nie znałem destrukcyjnych cech Wałęsy, nie wiedziałem ani o tłącym się podskórnie konflikcie z ambitnymi Bliźniakami, ani o wielu tendencjach odśrodkowych i konfliktach personalnych rozsądających polską prawicę.

Na razie zwierzątka w miarę zgodnie śpiewały:

Jedziemy do góry

Zasadę zabawną, zna Koziół, Lis, Gawron

I wszystkie zwierzątka w gromadzie:

Stać trochę nad tłumem, zachować gatunek,

A jeśli się uda i władze.

Pomogą nam rogi, pomogą pazury,

By stanąć nareszcie gdzieś kołkiem.

Jedziemy do góry jedziemy do góry...

A jeśli ta góra jest dołkiem.

Tu następowała sekwencja plenerowych dokrętek, nasze kukielki buszowały w mieście, wspinały się na pomniki, a Chomiki szarpały za wąsy lwy przed Pałacem Namiestnikowskim. Przy okazji nasz impresario pan Jankowski omal nie przejechał jakiejś zagapionej staruszki. Scenkom towarzyszył śpiew:

Jedziemy do góry — LEW — Lśni słońce zza chmury

Jedziemy do góry — ŁOŚ (przy kolumnie Zygmunta) — Podsadzi mnie który?

Jedziemy do góry — KOZIOŁ — Troszeczkę kultury!

Jedziemy do góry — ŻÓŁW — Wylażąc ze skóry.

Jedziemy do góry — SZAKAL — Gdzie moje figury

Jedziemy do góry — HIPEK (z zupą) — Spróbuje ktoś lury?

Jedziemy do góry — LIS — Wysiadłem z tej fury!

Jedziemy do góry — LEW (o Chomikach) — Gdzie włożą te ciury?

Niech widzi stolica, jak wie dzie ulica —

Zjazd, Boleść, Okólnik, Niecała...

Ojczyzna w terminie, otrzyma zwierzyniec

W kształcie jakim wybrała!

*

Występy w USA — Chicago, Detroit, Milwaukee stanowiły jedno pasmo sukcesów. Ku naszemu zdumieniu dzięki kasetom video ZOO już chwyciło za oceanem. I mimo że występowaliśmy z programem „Polska Szopka Całoroczna” sprzedawano nas właśnie pod tym nowym tytułem. Towarzyszył nam Bóbr — lalka Skubiszewskiego, z którą zrobiliśmy parę dokrętek. Nie wiem czy tej czy raczej następnej wyprawie „Polskiego ZOO” towarzyszył zabawny epizod. Podczas załatwiania wiz Immigration Office wstrzymał nasz wyjazd zwracając się z zapytaniem, że i owszem dokumenty personelu są w porządku, ale co ze szczepieniami zwierząt? Polonii podobała się szczególnie historyczna część szopki, a we współczesnej, pieśń śpiewana przez Andrzeja parodiującego nowego szefa MON, admirała Kołodziejczyka na melodię „Serca w plecaku”:

*Wojsko drogą maszeruje,
Już nie słudzy obcej mafii,
Żadne zbiry, żadne szuje,
Lecz swojaki z tej parafii.
Idzie wojsko z Częstochowy,
Poprzez Kalisz poprzez Łomżę,
Idzie z duchem narodowym,
Na panterki wdziało komże...*

*

Odcinek dziewiąty **UKŁADANKA** rozgrywał się wśród powyborczych rozrad i przymiarek, w Belwybiegu —

... A tam już czeka sztab gotowy

Przecedzać ochotników szereg

WACHOWSKI (grany przez Kryszaka)

— *Pan Miecio*

— *Starszy wybiegowy*

SZOP (Drzycimski)

— *I Szop Pracznik od przepierek*

Wprowadzenie na plan świty Lecha stanowiło pierwszy efekt naszej belwederskiej wizyty. Z czasem do tria dołączyć miał jeszcze **KSIĄDZ** kreowany dynamicznie przez Andrzeja, tak, że czasem bardziej przypominał spowiednika Cybulę, a czasem prałata Jankowskiego. W ZOO pojawił się też **GORYL** — lider Partii Przyjaciół Piwa, Janusz Rewiński.

MYSZKA

— *A ten jak wcisnął się tutaj, gwałtem?*

SZOP

— *Jak to artysta.*

MYSZKA

— *Czyli?*

GORYL

— *Na małpę!*

Na zakończenie programu Lew przedstawiał różne koncepcje nowego rządu (w terminologii ZOO „Zarządu”).

LEW

(...) — *Jak stworzyć Zarząd na miarę marzeń?*

SZOP

— *W pierwszej koncepcji Król jest cesarzem.*

W koncepcji drugiej...

LEW

— *Też mam gotową!*

SZOP

— *Jest naraz królem oraz królowa.*

W koncepcji trzeciej, dość nieprzeciętnej

Jest królem oraz własnym regentem.

RYS

— *A gdzie ta czwarta, co będzie gdyby...?*

LEW

— *Koncepcja czwarta — jadę na ryby.*

WYBIEGOWY (po wyjściu gości)

— *Ale się zdziwi cała ferajna.*

SZOP

— *Jest jeszcze piąta koncepcja.*

LEW

— *Tajna!*

Przetargi i przepierki wypełniły także następny odcinek pt: **GRY I ZABAWY TOWARZYSKIE** . Zadebiutował w nim lider liberałów **KACZOR PLUSK** (Donald Tusk), no i **DZIK** — Aleksander Kwaśniewski — przyszłościowy przywódca Lewokopytnych...

SZOP

— *Zwierz to duży, młody łebski.*

MYSZKA

— *Ale uśmiech ma skwaśniewski.*

(Bo właśnie wybuchła sprawa moskiewskich pieniędzy — pożyczki KPZR dla PZPR). Partyjne pertraktacje przeciągnęły się również na spotkanie jedenaste, poświęcone otwarciu Zwierzęcego Churału. Zainspirowany Słowackim pisałem:

Cztery tygodnie przeszły od tej pory,

gdy się odbyły tu zoowybory (...)

WYBIEGOWY

— *I tylko Lew nasz nie zadowolony*

SZOP

— *Jak każdy ojciec.*

LEW

— *„OJCIEC WYŁONIONYCH!”*

Posiedzenie Churału, podobnie jak w rzeczywistym sejmie wypełniały starcia i pyskówki. Chyba wówczas Leszek Moczulski rozszyfrował skrót PZPR jako Płatni Zdrajcy Pachołki Rosji. U nas jako KROGULEC prawil:

Kto ten zoolog zaprzedał ongi

Białym niedźwiedzom? Wpuszczał przeciągi.

I jeszcze cały zwierzyniec drażnił,

Mówiąc że jest to „przeciąg przyjaźni”?

DZIK (tłumacząc się)

— *Ja jeszcze wtedy siedziałem w kojcu.*

KROGULEC

— *Syn musi płacić za grzechy ojców!*

SZAKAL

— *Gdy tak sięgamy w przeszłość koszmarną,*

Wyście przegrali bitwę pod Warną...

W finale Łoś otrzymał funkcję Mieszkańca i stosowną laskę, a po niepowodzeniu desygnowanego na „prezesa” Kozła, Wybiegowy dostał misję prowadzenia rozmów sondażowych, w sprawie powołania Zarządu, czym wzbudził dziką furję Chomików. Wkrótce dojdzie do ostatecznego zerwania braci Kaczyńskich z Belwederem. Gwoździem do trumny będzie niewybredny żart Wałęsy. Zapraszając braci na rozmowy miał się wyrazić: „Jeden może przyjść z żoną, a drugi z mężem!”. I nawet blackout antyreklamowy — Łoś (Chrzanowski) reklamował szampon „Łoś and go” nie rozjaśnił zachmurzonego nieba nad zwierzyńcem.

Jednak prywatnie wspominam ten okres bardzo ciepło. Po alkoholowej wpadce Terleckiego, podobno ktoś mu się przysłużył donosząc do drogówki, Janusz Zaorski został Prezesem Radiokomiteu, a Janek Purzycki jego vice. Rzeczoną sprawą zajęła się w gabinecie Wachowskiego. Podobno układ miał być odwrotny, ale Jankowi na prezesurze specjalnie nie zależało, a Januszowi bardzo, więc Mietek przestawił przygotowane już nominacje. Podobno o ostatecznej decyzji Lecha zdecydowała nieokiełznana czupryna Purzyckiego. „Dość mi jednego Misiąga” — miał powiedzieć Wałęsa. Na bankiecie z okazji nominacji, u Janusza i Violi w Starej Miłosnej Wachowski przeszedł z wszystkimi na ty, sypał anegdotkami, i rzecz interesująca, trzeźwiał w miarę picia. Niezwykle przyjacielski, miał chyba do artystów spory respekt. Wkrótce potem na moich imieninach ochotniczo, w fartuszkach pomagał w kuchni, pograł z każdym chętnym w ping-ponga, a w grudniu został świadkiem na ślubie Kryszaka... Nawiasem mówiąc Jerzy poznał swoją późniejszą żonę właśnie w dniu moich imienin. Agnieszka nazywała się de domo Kryszak. Jurek nie odmówił sobie okazji do kawału i przyprowadziwszy ją do mnie na przyjęcie, kazał pokazać jej dowód mówiąc — „Przed chwilą wzięliśmy ślub”. Dwa miesiące potem słowo stało się ciałem.

*

Pod koniec roku zaczynałem mieć trochę dość polityki. Zoo trwało już trzeci miesiąc, „Klan Szwendalów” prawie rok. Ile można było żartować na temat dreptania w kółko, przepychanek i epitetów. Karierę robiło właśnie powiedzonko o „spoconych mężczyznach goniących za władzą.” Kolejny miesiąc nie mieliśmy rządu. W programie postanowiłem skorzystać ze znanej pasji Lwa do krzyżówek i szarad, pokazując próby kolejnych układanek w rozdrobnionym Churale, kipiącym od

spotkań partyjnych trójek czwórek piątek.

LEW

— *Gdy w ZOO PięćTrójSzóstka goni w TrzyPięć Osiem,*

ten zostanie zwycięzcom, którego poproszem...

Audycja przedświąteczna kończyła się podrzuceniem królowi paczki pod choinkę. Po raz pierwszy nagraliśmy końcówkę odcinka w dwóch wersjach, z rozwiązaniem — Jest premier! — i bez rozwiązania. Wygrała ta pierwsza.

CHOMIKI (przy paczce)

— *Tnijmy bracie!*

KROGULEC

— *Co w środku?*

BÓBR

— *Koala jak malwa.*

ŁOŚ

— *Co to za niespodzianka?*

KOALA

— *I dla kogo?*

LEW

— Dla lwa.

Pomysł, że mecenas Jan Olszewski będzie miśmiem Koalą — pasował i z wyglądu, i z charakteru — wymyśliłem dużo wcześniej, jednak kukielkę trzeba było robić w ostatniej chwili. Akurat Jacek Frankowski poróżnił się z naszą producentką i zrezygnował z współpracy. Musiał go w trybie

awaryjnym zastąpić dotychczasowy rzeźbiarz lalek — Andrzej Grygołowicz. Zastępstwo to trwało aż do końca naszej telewizyjnej zabawy.

Sekspert

Jak wspominałem, zmęczony nieco komentowaniem bieżących wydarzeń, postanowiłem wprowadzić do ZSYP-u nową apolityczną pozycję. Jeśli nie polityka, no to może seks?

Z myślą o Marianie Opani wymyśliłem postać Seksperta. Dałem mu życiorys partyjnego lektora, który na fali zmian zostaje prelegentem od spraw seksu, co w warunkach obowiązywania wartości chrześcijańskich, oczywiście w żaden sposób mu nie wychodzi. Sam bohater przedstawiał się następująco:

Nikt nie rodzi się sekspertem. Zanim zdecydowałem się dzielić się swym bogatym doświadczeniem, przez wiele lat uczyłem się sam.

Głównie na błędach.

Oprócz samokształcenia ukończyłem trzyletnie Studium Marksizmu i Erotyzmu w Technikum dla lektorów i katechetów przy Komitecie Powiatowym w Mławie, z wynikiem celującym. Następnie przebywałem na rocznym Seminarium w Akademii Ateizmu im. Feliksa Dzierżyńskiego w Magadanie. A uzupełniłem swoją wiedzę na miesięcznym kursie seksuologów praktyków na plaży w Santiago de Cuba. Pracę magisterską napisałem na temat „Kak skazał towarzyszc Stalin — Boga niet”, doktorską „Moralność przy uprawie kukurydzy”, a habilitacyjną poświęciłem zagadnieniu „Środki masowego przekazu jako najdostępniejszy środek antykoncepcyjny”. Były to jednak wszystko błędy. Potem przyszło nawrócenie. Moją drogą do Damaszku okazały się schody Komitetu Wojewódzkiego w dniu, kiedy nasza Partia przeszła do historii. A ja na zasilek, wynosząc biust Lenina. Na najwyższym stopniu potknąłem się, wywinąłem podwójną śrubę Auerbacha, i upuściłem popiersie. Biust pękł. Mój światopogląd też. Od tej pory interesowały mnie całkiem inne biusty. Przypadkiem ulicą przechodził znajomy kościelny. Wypowiadałem mu się. Udzielił mi próbnego rozgrzeszenia. Potem w ramach pokuty poszliśmy na piwo. Tam znaleźliśmy wspólny język. Wkrótce wspólną partię. Toteż jeśli dziś podejmuję się doradzać grzesznikom, cnotliwym, nieśmiałym lub leniwym, mówię to jako jeden z 99,9 procent dobrych katolików Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Monologi z tego cyklu ukazywały się w ZSYP-ie przez całe lata. Weszły do estradowego repertuaru Mariana, zebrałem je w „Książeczce bez nabożeństwa” wreszcie stały się podstawą „Poradni pozamał — żeńskiej”, emitowanej w telewizyjnej Dwójce. W niniejszej publikacji proponuję te wykłady jako przerywniki odpoczynek od nieustannie goniącego za aktualnością ZOO.

Moment poznania potrafi zdeterminować życie płci obojga, choć nie oznacza to, że ci którzy zawarli znajomość w windzie skazani są wyłącznie na poruszanie się góra — dół, a zapoznani w kościele na dożywotnie wspólne śpiewanie godzinek.

Co prawda na zgniłym Zachodzie wchodzą w modę coraz częściej kontakty z nieznajomymi, ale dla uczciwego, słowiańskiego katolika taka procedura to jedynie wstyd, grzech i AIDS! Jak więc zawierać znajomości?

Odpowiedzialnie! W dawnych czasach miejscem zapoznawania był salon, ale dziś kogo stać na salony? (Ci co je mają, to akurat nie są ludzie z towarzystwa). Obecnie salonem jest ulica. A jak się należy zachować na ulicy? O szczegółach, powiem szczerze, mówi więcej Kodeks Drogowy niż towarzyski.

Szczerść, jednak nie oznacza, że można podejść do byle pięknej nieznajomej i powiedzieć: „Jestem biednym półinteligentem bez perspektyw, ale chciałbym odbyć z panią stosunek płciowy!” O nie! Tego nie należy mówić nigdy, choćby nawet, przypadkowo się tak myślało. Uczucia wymagają działań subtelnych i środków pośrednich. Wybierając się na poszukiwanie Matki swoich przyszłych dzieci (żaden prawdziwy katolik nie wypuszcza się do miasta w innym celu), zaopatrujemy się na przykład w tuzin chusteczek jednorazowych. Zapobiegliwi kupują nawet dwa tuziny. Choć można być nietuzinkowym i kupić od razu cały karton. Następnie wypatrujemy wspomnianych już pięknych nieznajomych. Stanąwszy przy wybranej wypuszczamy zniecka chusteczkę mówiąc „Pardon, zdaje się, że coś pani wypadło.” Przy aktualnych cenach chusteczek 80 procent nieznajomych przyznaje się do zguby, a 20 procent pyta, czy nie znaleźliśmy również rajstop? Trudno o lepszy początek konwersacji!

Tylko uwaga na pomyłki! We współczesnym świecie tzw. drugorzędne cechy płciowe mają tendencję do zanikania. Kierując się jedynie strojem, fryzurą, kolczykiem w uchu lub kółkiem w nosie jako elementem rozpoznawczym, nie będziemy w stanie precyzyjnie określić, z którą płcią mamy do czynienia. Jak więc możemy zawsze, bez pudła, rozróżnić chłopczyka od dziewczynki?

Metoda pierwsza — wystawy. Wiadomo, że mężczyźni częściej grupują się przed sklepami z bronią, sprzętem elektronicznym czy filatelistycznymi. Kobiety zaś preferują witryny z ciuchami lub akcesoriami gospodarstwa domowego. Choć stuprocentowej pewności nie ma. Można też, z pewnej odległości, zawołać do odwróconej plecami szczupłej, samotnej, długowłosej: „Halo, proszę pana!” Nie obróci się — znaczy kobieta. Tylko czasami, głuchoniemy hipis.

Metoda najlepsza jest zarazem najprostszą. Należy zaprosić na popołudniowy spacerkę szalową babkę w mini. Trasę zaś wytyczyć przez centrum miasta: główny park, deptak itp. Po reakcjach przechodniów na naszą towarzyszkę zorientujemy się w ich płciach, bardzo precyzyjnie. Inna sprawa, że mając pod ręką takie bóstwo po co poszukiwać innych kontaktów? Kwestię jak zawrzeć znajomość z ową panią potrzebą na wabia pozostawiam indywidualnej inicjatywie. No i jak mówią alkoholicy — „Szczęść w barze!”

Sekspert — Problem zadzierzgnięcia

Trudniej jest zadzierzgnąć właściwą znajomość niż pętlę — twierdził pewien kat, któremu na co dzień zwykły trząść się ręce i nogi. Rzeczywiście, kulturalne zawieranie znajomości jest sztuką trudną i wymagającą finezji. Tym bardziej, że dobremu katolikowi nie ośmieliłbym się polecić żadnego z istniejących poradników — od Owidiuszowej „Ars amandi” po Wisłocką i jej dopływy. Pozostają zatem moje nieśmiałe sugestie. Zacznijmy od paru popularnych metod.

Metoda gastronomiczna

Powiedzmy, że w wytwornym lokalu przyuważyliśmy piękną nieznajomą. Samotną i czemuś smutną. Gestem światowca przywołujemy kelnera i opłaciwszy go sownie prosimy, aby udał się do obiektu naszego zainteresowania z następującym tekstem: „Temu panu, Szanowna Pani, bardzo przypomina matkę!” Ten wzruszający sposób zazwyczaj skutkuje, chociaż zdarzają się odpowiedzi:

„To zapytaj koleś tego facia, ile bierze jego matka?”

Metoda tramwajowo — autobusowa (vel ogólnokomunikacyjna)

Sposób wymaga ogólnego treningu, nadto posiadania siatki nylonowej o dużych oczkach, którą to, niby przypadkiem, zahaczamy piękną nieznajomą. W trakcie rozsupływania przechodzimy do bliższej konfidencji, która nierzadko kończy się ślubnym kobiercem lub na innej otomanie. Tu uwaga. Przygotowując narzędzie połowu, nie należy przedobrzyć. Pewien mój adept chciał posłużyć się pułapką na rzepy, po czym szczepił się z całym tramwajem, tak, że później pasażerów musiał operacyjnie rozszczepiać lekarz.

Metoda na pieska

Miła i bezpretensjonalna. Należy tylko mieć czworonoga o ujmującej aparycji i w określonych porach wyprowadzać go na tereny, gdzie inne pieski zwykły finalizować swoją przemianę materii. Myślę tu o piaskownicach, boiskach przyosiedlowych czy trotuarach publicznych. Tam niezawodnie napotkamy inne pieski. Z właścicielkami. Pieski nawiązują bliższe kontakty, my również. Tyle że subtelniej. Nie ma co od razu podnosić nóżki czy usiłować obwąchiwać koleżanki kynolożki. I na to przyjdzie czas. Póki co spotykamy się. Systematycznie. Mamy wiele wspólnych tematów, których dostarczają obróżki, kagańce, liszaje i egzemy naszych ulubieńców. Aż wreszcie nadchodzi dzień, gdy nasza suczka ma cieczkę. Wówczas obserwując (dyskretnie!) gimnastykę naszych pupilów

możemy pozwolić sobie na komentarz: „Im to dobrze!” Co w sposób elegancki sugeruje, że i my mamy zamiary uczciwe i poważne.

Jak jednak postępować, gdy przypadkiem nasze pieski są tej samej płci. Nie lubią się od pierwszego wejrzenia i warczą na siebie. Czy należy uśpić naszego przyjaciela i postarać się o innego? Ależ nie. Wystarczy tylko dać się pogryźć przez pieska partnerki. Seria bolesnych zastrzyków i pielęgnacja naszych ran otworzy w sercu właścicielki gryzącego bydlaka niebywałe wręcz pokłady kobiecości. Natomiast, co robić z drugim pieskiem po zawarciu znajomości może wam powiedzieć każdy koncesjonowany hycel. Dwóch psów przecież w domu trzymać nie będziecie. „Najważniejsze jednak żeby się dopasować” — jak stwierdził jeź krótkowidz zalecający się do kaktusa.

*

Sekspert — Wolna konkurencja

Powiedzmy sobie otwarcie — rynek uczuć nie jest rynkiem zrównoważonym. Popyt ze strony mężczyzn gotowych założyć podstawową komórkę (lub przynajmniej wynająć ją na godzinę) przewyższa podaż odpowiednich kandydatek. Zresztą w utajonej formie wolna konkurencja erotyczna istniała również w feudalizmie i w socjalizmie. Nawet w systemach, w których kupowało się żony, zawsze ktoś mógł przelicytować naszą ofertę. Dobry rynek dla amanta istniał naprawdę tylko w czasie wojen na dalekim zapleczu frontu, gdy on sam był we wsi jedynym mężczyzną. Co zresztą nigdy nie trwało to długo. Dziś, gdy zaatakował nas drapieżny kapitalizm sytuacja stała się drastycznie trudna. Fakt, że jesteśmy uczciwym katolikiem, na państwowej posadzie, w matrymonialnym pokerze jest słabą kartą, w porównaniu do możliwości naszych konkurentów, którzy mają hurtownie z ręki, lub BMW z kradzieży. Jak okazać się lepszym? Żadna sztuka wygrać mając pieniądze Baksika, twarz Suzina czy możliwości Wa — chowskiego. Ale jak zwyciężyć nie mając tych atutów? Każdy bluff ma krótkie nogi. Że wóz pożyczylimy od kolegi taksówkarza, a banknot studolarowy, którym przypalaliśmy ukochanej papierosa jest teatralnym falsyfikatem, bardzo szybko wyjdzie na jaw. Poza tym wobec matki twoich przyszłych dzieci byłyby to sposoby niegodne. Toteż przy wolnej konkurencji jedyną metodą może być szybka orientacja. Należy „rwać” z marszu. Pierwszego dnia, gdy przychodzi nowa pracownica, zanim zauważą ją koledzy. W pierwszej godzinie wycieczki. Podczas zatrzymania windy między piętrami. Czynnikiem zaskoczenia sprawia, że białogłowa głupieje i zanim wróci jej rozum okopujemy teren (najlepiej pościelą) i stawiamy własne chorągiewki. Potencjalnym konkurentom mówimy — Won. To moje! Zaklepane!

Mankamentem metody sprinterskiej jest duże ryzyko pomyłki. Nie zawsze mamy czas na dokładne obejrzenie kandydatki, nie mówiąc już o zbadaniu ukrytych wad i zalet. Może więc okazać się, że w pośpiechu zdobyliśmy nie tę, którą akurat chcieliśmy. Ale do takiego wniosku i tak dochodzą wszyscy, zwykle przez wpływem siedmiu tłustych lat małżeństwa.

*

W dziesięciolecie 13 grudnia w ZOO odbył się wieczór wspomnień, zorganizowany przez lewicę. Wystąpił na nim Zaor ucharakteryzowany na Konopnicką.

KONOPNICKA

— *A jak Gawron szedł na wojnę,*

Za nim szły oddziały zbrojne

I za ruble i za złote,

Lecz pancerne, czołgiem, skotem.

DZIK

— *Z kotem?*

GAWRON

— *Janusz pisze w lot!*

KRYSZAK (ucharakteryzowany na Przymanowskiego)

— *Czterej pancerni i skot.*

Chyba po tym odcinku zadzwonił do mnie sam Przymanowski, dziękując za przypomnienie jego osoby. Rozmawiało mi się głupio. Nie mogłem zapomnieć wystąpienia pułkownika w sejmie stanu wojennego gdy naigrawał się z opozycji. Zresztą już w młodości wyczuwałem fałsz w ociekającym dydaktyką i przyjaźnią polsko–radziecką serialu.

GAWRON

— *Dziś wspomnienie tamtej akcji,*

Można zbyć na licytacji.

REDAKTOR

— *Jeśli ktoś się znajdzie głupi,*

Aby te pamiątki kupić:

Tu rozpoczynała się aukcja nawiązująca do podobnych imprez, odbywających się w tym czasie, gdzie niedawni idole podziemia wystawiali pod młotek swoje legitymacje, lub przepraszali za Solidarność. A co oferował Gawron i jego ludzie?

Okulary historyczne,

Kalesony strategiczne,

Podkoszulek — podpułkownik,

Muszka... obok niej celownik.

Szal tajniak, kabel wtyki

I rzecznika nauszniaki...

Ostatnie przed nowym rokiem odcinki Polskiego ZOO przebiegały pod znakiem porządków przedsięwziętych, i kolejnych prób formowania rządu irp.

Mówił LEW

— *Lecz na razie się nie pali,*

Poczekajmy czy Koali,

Wyjdzie jakaś koalicja.

WYBIEGOWY

— *A jak nie?*

LEW

— *Nie mówię nic ja.*

Odnotowaliśmy rozpad oficjalny rozpad ZSRR. I powołanie Wspólnoty Niepodległych Państw.

BÓBR

— *Ale kotłuje się dziś w sąsiedztwie* —

W puszczy spotkała się białowieskiej,

Trójka niedźwiedzi... Wiedli rozmowy,

By stworzyć nowy park narodowy.

Równy i wolny sojusz zwierzyńców.

I żeby śmieszniej z siedzibą w Mińsku.

ŁOŚ

— *To opatrności sprawa niebieskiej.*

ŻÓŁW

— *Mińsk Mazowiecki?*

KOALA

— *Raczej Olszewski (...)*

W grudniu zadebiutował w ZOO również **BYCZEK** z PSL-owską koniczynką w pysku (Waldemar Pawlak). Zabawne, ale bardzo długo, nie potrafiliśmy go właściwie przedstawić, może dlatego, że rzadko się odzywał. Mówił u nas jak chłop z „Samych swoich”. Dopiero pół roku jego drewniany, monotoniczny głos podchwycił Pręgowski, i naraz okazało się, że jest to postać wręcz idealna do parodiowania.

Program świąteczny utrzymany był w tonacji życzeń i zażaleń. Niektóre z nich były ciekawe i prorocze. **DZIK** (Kwaśniewski) życzył **KROGULCOWI** (Moczulskiemu)

— *Ja życzę panu, panie Krogulec,*

Byś sam nie musiał swym prawom ulec.

A już po pół roku lider KPN — u znalazł się na liście Macierewicza.

ŁOŚ (Chrzanowski) apelował do Wyższej Instancji

— A ja się zwracam z jedną modlitwą,

Aby odzyskał naród dziewictwo,

Które mu zabrał wraży Azjata.

My zaś wniesiemy cnoty dla świata.

Jako kraj dzielny i nieśmiertelny.

KSIĄDZ (zaniepokojony)

— Ślub z Europą?

ŁOŚ

— Ale kościelny! (...)

MYSZKA

— Jaka idea jest dzisiaj z nami?

SZOP

— Ssaki są braćmi.

LEW

— A co z siostrami?

*

Roku 1991 wyjątkowo nie został zakończony szopką. Tych mieliśmy dosyć. Zamiast niej

przygotowałem dłuższe, sylwestrowe wydanie ZOO. Mogliśmy sobie na to pozwolić. Między świętami a Nowym Rokiem poszedł oszczędnościowy odcinek **ŚCINKI**, zawierający najzabawniejsze sypki i pomyłki, zarejestrowane podczas nagrań. Niektórzy słuchacze uważali, że był to najlepszy odcinek. Moim zdaniem najlepsza była właśnie **POLSKA SZKOŁA TAŃCA** — Sylwestrowy pastisz „Wesela” Wyspiańskiego. Pełen refleksji, literackich skojarzeń, a momentami, mimo iż grany przez lalki, wstrząsający.

Program rozpoczynała grupa podróżnych, brnąca w ośnieżonym plenerze:

— *Zamieć nerwy nam rozstraja.*

Mróz przenika. Wieje wiatr.

— *Szczęściem nasza chata z krają...*

— *Chyba z tego jest kraj rad?*

— *Hen tam w Jugosławii wojna,*

pękło też Imperium Zła.

Gdzież enklawa jest spokojna?

— *Mnie się zdaje, że to ta.*

— *Tyle powstań, zrywów, tąpnięć,*

zmarnowanych łez i szans...?

— *Najpewniejszy lej po bombie,*

gdy się chronić chcesz w zły czas.

— *Słyszysz śpiewy?*

— *Tańczą, brawo!*

Lecz jak dotrzeć mamy tam?

CHOCHOŁ

— *Prosto, prosto, potem w prawo*

i sam wessie was ten tan.

PODRÓŻNY

— *Chochół chwali tan chocholi?*

CHOCHOŁ

— *Chochół? Nie, ja alkoholik.*

Polska szkoła tańca

(muz. Wł. Korcz)

*Dziwny to bal, dziwny to tan
nikt nie wie co się dzieje,
gra orkiestr dziesięć, a na parkiecie
wyłącznie wodzireje.*

*Tu stary walc, tam nowszy swing,
kujawiak spod Lubrańca —
pluralistyczny śliczny styl
to polska szkoła tańca.*

*Wytworny pan, chce szukać dam,
co mogą dodać wdzięku,
lecz pań deficyt, w tej świetlicy,
więc bawmy się po ciemku!*

*Po serii wód, pyskówek wbród
nie podchodź bez kagańca —
pluralistyczny śliczny styl
to polska szkoła tańca.*

Tu parę gal, tam bruderszaft

Do szabel? Bez problemów!

Chocholim krokiem Europę,

gonimy — po swojemu.

Dwa kroki w przód, trzy kroki w tył

a na sąsiada lanca

pluralistyczny śliczny styl —

to polska szkoła tańca.

WODZIREJ

— Jak Sylwester to sylwester

DYRYGENT

— Już batutę wziął maester.

CHOMIKI

— Już tańczą w okamgnieniu

BÓBR i KOALA

— Już wirują w uniesieniu.

KELNER

— Dziwne wiodą w tym łamańce.

BABCIA KLOZETOWA

— Nie dziwota, same samce.

HIPOPOTAM

— Różne tańce dzisiaj w modzie.

BÓBR

— Preferencji wbród w narodzie.

LIS

— *Przechodzony!*

CHOMIKI (czepiając się klamki)

— *Podsadzany!*

RYŚ (do Kaczora)

— *Swojski...*

KACZOR (do Rysia)

— *I sponsorowany*

GORYL

— *Mandryl*

ZIOMEK OPOLSKI

— *Volkstrott!*

BIAŁORUSINKA

— *Triepak bystry.*

SZOP

— *Jest polonez!*

WYBIEGOWY (z butelką do Lwa)

— *Oraz whisky!*

DZIK (w kącie z Szakalem)

— *Lew się boi w ZOO ruchu*

SZAKAL

— *Lew chciałby nas na łańcuchu!*

DZIK

— *Ale my się będziem rwali.*

SZAKAL

— *Z takich jak my wszak był Szarik!*

DZIK

— *Dobrze z nami mogą mieć.*

KOZIOŁ (wskazując resztę towarzystwa)

— *Ale oni nie chcą chcieć!*

ŻÓŁW (w innym kącie)

— *Twarda sprawa polityka.*

KROGULEC

— *Oj zdałby się pasztet z dzika.*

MYSIKRÓLIK

(Krzysztof Król)

— *Teściu robi, z galanterią.*

ŻÓŁW (do Krogulca)

— *Mówi drwiąco?*

KROGULEC

— *Całkiem serio!*

TRUTEŃ (dolatując do Towarzyszy)

— *Nie chcą kurrde*

z nami tańczyć!

SZAKAL

— *Bo to głównie ministranci*

Co im do nas, co im do nas...?

TRUTEŃ

(plując)

— *Nawet wódka ich jest chrzczona!*

DZIK

— *Na rozgrzewkę wkrótce macie*

małą orgie na Rozbracie.

Żeński aktyw plus kieliszek...

SZAKAL

— *No to kupą, towarzysze!*

MOTYL (Gabriel Janowski w innym kącie do Byczka)

— *Co to było przyjacielu,*

u kolegów twych w hotelu?

Można wysłać oknem damę,

lecz z szóstego... Niestychane.

BYCZEK

— *Czas dla plotek nieszczególny,*

pokój kumpla był, klucz wspólny,

w środku nastrój kulturalny,

o taryfach minimalnych

rozprawiano...

MOTYL

— *Ale potem..?*

PANIENKA

(lećąc)

— *Strzeżcie się otwartych okien!*

W innym miejscu, zza ściany:

JEKI KOBIECE

— *Dosyć, dosyć, starczy, starczy!*

BÓBR

— *Cóż to?*

SZKAPA

— *Program gospodarczy*

naciągają ekspresowo

by wyglądał stary nowo.

ŻYD (przy wejściu, do Nosoroźca)

— *Mam pytanie bom jest*

w kropce, czemu nie ma Żyda w szopce?

NOSOROŻEC

— *Nie znasz głębi tej ohydy,*

tam są przecież same Żydy.

A kto większy trzyma fason

To w dodatku sado — mason!

ŻYD

— *Żarty!*

NOSOROŻEC

— *Mam tu osiem tomów*

protokółów Mędrców Sjonu.

ŻYD

— *Ale wszyscy?*

NOSOROŻEC

— *Dość obłudy!*

ŻYD

— *Nawet król?*

NOSOROŻEC

— *Przeć to Lew Judy!*

(widać Lwa z tarczą Dawida)

ŻYD

— *Nawet Łoś?...*

NOSOROŻEC

— *Gdzież tu nowina,*

pejsy w rogi swe upina

(Łoś w mycce)

Ach wziął rodak by winchester...

ŻYD (cofając się na widok dubeltówki)

— *Jak Sylwester to Sylwester.*

ŁOŚ (na innym planie do Koali)

— *Czołem!*

KOALA

— *Czołem!*

ŁOŚ

— *Siemasz.*

KOALA

— *Siemasz.*

Ja mecenas, ty mecenas...

ŁOŚ

— *W sądzie miałem awanturkę...*

KOALA

— *Proces?*

ŁOŚ

— *Tak Madonny z Biurkiem.*

(fotomontaż: gwiazda Madonna siedzi na Biurku. Nawiązanie do afery z okładką „Wprost” gdzie zrobiono fotomontaż Matki Boskiej z Markiem Jurkiem)

Biurko skarży gwiazdy cycki

o kształt antykatolicki.

O obrazę uczuć Biurka...

KOALA

— *To precedens!*

ŁOŚ

— *Będzie furtką,*

by pogonić trochę kpiarzy.

Libertynizm im się marzy.

Przez nich może zoothuszcza

nas oglądać w krzywych lustrach!

LEW (wchodząc z obstawą)

— *Dajcie spokój, niech się śmieją*
wtedy lepiej zrozumieją,
Polskie ZOO tu, nie obce...

WYBIEGOWY

— *My kręgowce, wy kręgowce.*

LEW

— *Nie ma co się dzisiaj bić.*
Trzeba siadać, wódkę pić!

SZOP

— *Proszę wszystkich, taka pora,*
że wpuścimy i Kondora.

KONDOR

— *Zwierz ptakowi nie dorówna,*
nie polecą Kondor w ... krzaki,
bo wyśmieją go zwierzaki.
A on ptak nie byle jaki.

KOZIOŁ (do Koali)

— *W moją życzliwość niech pan wierzy,*
trzeba na bok wziąć złudzenia,
szybko bazę swą poszerzyć,
wziąć fachowców od rządu.
Czemu nie chce pan w przymierzu...?

KOALA (wskazując Chomiki)

— *Bracia cisną!*

KOZIOŁ

— *To ich zezuj.*

CHOMIK 1 (z kawałkiem transparentu PRZE...)

— *Czy to w dobrą*

idzie stronę?

CHOMIK 2 (z kawałkiem transparentu ..ŁOM)

— *Miał być przelom*

jest ułomek!

CHOMIK 1

— *Wydudkali nas braciszku!*

HIPPOPOTAM

— *Może jeszcze po kieliszku?*

Aż zdudni nam rubasznie

CHOMIKI

— *Serce?*

HIPPOPOTAM

— *A to ZOO właśnie.*

ŁOŚ (tańcząc z Byczkiem)

— *Mają nutą jest kantyczka...*

WYBIEGOWY (do Szopa)

— *Szybko wziął za rogi Byczka.*

BYCZEK

— *Chłop potęgą jest i basta!*

ŁOŚ

— *Lecz nam trzeba Chjeno–Piasta!*

SZOP

— *Nadzwyczajne to przyjęcie!*

KROGULEC (woła do MYSIKRÓLIKA)

— *Biały mazur!*

WYBIEGOWY

— *Teścia z zięciem?*

SZOP

— *Jak rodzina to rodzina.*

KROGULEC (w kapeluszu Napoleońskim)

— *Choć na razie Berezyna,*

wykiwano nas wszak tego,

lecz nadejdzie znów Marengo,

Jena, Ulm...

MYSIKRÓLIK

— *Góra do września,*

Zarząd padnie, proszę Teścia.

Padł w czerwcu!

MUCHA (do Księdza)

— *Tak, to musi się zawalić?*

KSIĄDZ

— *Czemu?*

MUCHA

— *Zarząd się skoalił.*

I ma program wręcz niezdrowy —

dla prawicy lewicowy,

prawicowy dla lewicy...

KSIĄDZ (żegnając się)

— *Fakt, to przecież olszewicy!*

RYS (dochodząc)

— *Mogli przeciw ostwić mnie ster...*

WYBIEGOWY

(porywając w tany Księdza)

— *Jak Sylwester, to Sylwester!*

GORYL (z boczku)

— *Jakaż piękna to idylla,*

narodowy tan.

BYCZEK

— *Nie ma pary dla Gorylla?*

GORYL

— *Potańcuję sam.*

Ale myślę, w taką porę,

gdy rok wpada w uwiąd starczy,

Można by zaprosić florę

Sama fauna nie wystarczy.

BYCZEK

— Kogo?

GORYL

— Choćby i chochoła,

co w śnieżycy tkwi.

KOALA (podchodząc)

— Czemu nie, otwórzmy drzwi.

Wszyscy tańczą, gra orkiestra...

BYCZEK

— Przyńdź chochole na sylwestra.

LIS (za nim Stańczyk, ucharakteryzowany na Piotra Wierzbickiego, wówczas naczelnego dziennika „Nowy Świat”)

LIS

— Ktoś tu za mną idzie w ślad...

STAŃCZYK

— Ktoś mi po odciskach stąpa.

Widzę wszędy wielka pompa!

LIS

— Pan z gazety „Nowy Świat”?

Widzę staroświecki styl,

ultrakatolicki dryl...

STAŃCZYK

— *Ja twą pozę ponad stan.*

Znam zanadto dobrze znam.

LIS

— *Zacz kto?*

STAŃCZYK

— *Błazen.*

LIS

— *A więc wciąż,*

romantyczna alegoria

STAŃCZYK

— *Pan pragmatyk, to ja wiem.*

LIS

— *Tutaj tworzy się historia.*

Europa nie zaścianek

salve bracie.

STAŃCZYK (wskazując samochód)

— *Sursum forda!*

LIS

— *Poniewczasie wchodzisz w grę.*

Nie trza patrzeć nam do tyłu,

tam dość krzywdy, brudu pyłu,

trza z młodymi naprzód iść.

W nowoczesność wkroczyć dziś.

*Najważniejsze wybaczenie,
zrozumienie, wybaczenie...*

(Na przenikaniu widać całuski Lisa z Gawronem)

STAŃCZYK

*— Asan jako spowiedź czyni
ekspiacyję cudzych grzeszków.
A pamiętasz jak przy Lewku
siedziałeś u królewskich stóp?
A z wami był cały kraj.
I w czerwcu nastał nam maj.
I wszystko było naj, naj...
Najczystsze i najłatwiejsze
I śpiewy biegły na wietrze.
Zaś dziś?*

LIS

*— Fatum gdzieś nas zwodzi
Ciemnogrodu duch,
od rozumu nas odwodzi,
zamiast mózgu brzuch.
Coś przepadło coś uciekło...*

ŻÓŁW (w kotle)

— Narodowe chlupie piekło.

STAŃCZYK

— „*Dziady*” to czy „*Pan Tadeusz*”

LIS

— *Skąd mam przykład wziąć?*

STAŃCZYK (dając mu chochlę z kotła)

— *Masz tu żółwi kaduceusz,*

mąć nim w głowach mąć!

(tuman mgły)

LIS (budząc się)

Ktoś tu był, ja chyba śnie...

(widać cień wielkich uszu na ścianie)

Myszka Miki? Boże „NIEEEE!”

*

ŁOŚ (Przybijając krzyż na „Kapitał”)

— *W Europie już nie krąży*

widmo braci Marx.

CZERWONE WIDMO

— *Ale jeśli dobrze spojrzysz,*

ciągle siedzi w was. (...)

KROGULEC (w innym zakątku)

— *Zmęczoną złożę gdzieś skroń.*

Rycerz — Daj dłoń

KROGULEC

— *Ktoś ty?*

RYCERZ

— *Daj dłoń!*

ja ją uczynię mocarną,

jak pod Cecorą, pod Warną...

KROGULEC

— *Ależ to były klęski*

RYCERZ

— *Ale ty wyjdiesz zwycięski*

Ty zoologu opoka,

od Klaja do Władywostoka.

Potrzebny jest wielki czyn.

MYSIKRÓLIK

(wchodząc)

— *A może, teściu, klin?*

KROGULEC

— *Coś zrobił? Spłoszyłeś męża*

co mówił mi jak zwyciężać.

Jak ruszyć palcem po stepie,

tyś spłoszył!!!

MYSIKRÓLIK

— *Może i lepiej.*

CHÓR KRUKÓW (atakujących Dzika i Szakala)

— *Hej towarzyszu F. Rakowski*

nie żałuj grosika nie żałuj.

Pocałuj się z nami, pocałuj.

Nie zwlekaj, nie czekaj, pomału,

dług to jak czyn zetempowski...

DZIK

— *Pod zły adres sztab moskiewski*

zwraca się...

SZAKAL

— *My to nie tamci,*

zaprzedańcy figuranci.

F. RAKOWSKI (wymieniając się walizką z generałem KGB)

— *Jak umowa to umowa*

nasza sprawa słuszna sprawa.

W taką noc od Sylwestrowa

Przeszedł szmal do Mieczysława.

(Widać kartki kalendarza: 31. — Sylwestra, zmienia się w 1. — Mieczysława)

DZIK

— *Teczka, szatan, KGB*

dawne czasy, sprawy złe.

SZAKAL

— *My są nowi, my są czyści,*

patryjoci, socjaliści...

DZIERŻYŃSKI (odrzucając strój kruka)

— *Słuchaj no młodzik i drugi*

Dziś to wy harde junaki,

lecz trochę wcześniej, wy sługi

i nadgorliwe pętaki.

SZAKAL

— *Myśmy wszystko zapomnieli.*

DZIK

— *Myśmy w duchu przecierpieli.*

SZAKAL

— *Nam już wszystko darowane.*

DZIERŻYŃSKI (do Szakala)

— *A twój ojciec, co z naganem...?*

Kłamstwa, zbrodnie, loch SB...?

DZIK

— *Znikaj Feluś! Nie chcę cię!*

*

BYCZEK (otwierając okno)

— *Coś zrobiło się gorąco.*

UPIÓR

— *Przyjacielu, przyjacielu!*

BYCZEK

— *Ktoś ty?*

UPIÓR

— *To ja, ja twój sponsor.*

Innych za mną kroczy wielu.

BYCZEK

— *Rety! Upiór w tym budynku!*

UPIÓR

— *Upiór, lecz z wolnego rynku.*

Przyjdą ze mną konkurenty..

BYCZEK

— *Bądź przeklęty, bądź przeklęty!*

UPIÓR

— *Tanie mięso, masło, drób!*

BYCZEK

— *To ja trup. Chłop polski — trup!*

UPIÓR

— *Z koncernem Kruppa i Schella,*

Thompsona, Sanyo, Maxwella

wkroczy tutaj wielki świat,

dotrze i do waszych chat.

Wykarczuje PRL...

BYCZEK

— *Tyś jest Szela!*

UPIÓR (zrzuca sukmanę, na koszulce symbol Shella)

— *Tylko Shell.*

Trzeba zacząć tu od wody,

umyć gęby i zagrody.

Miast się konkurencji bać

konkurować...

BYCZEK

— *O żesz mać! (mdleje)*

*

CHOMIK 1

— *Dalej bracie, popatrz śmiało*

CHOMIK 2

— *Coś ci chyba się zwidziało.*

CHOMIK 1

— *idą drzewa jak w Makbecie*

CHOMIK 2

— *Było nie pić!*

KOALA (dochodząc)

— *Nie pijecie?*

A ja ciągle słyszę ton,

co mi dziwnie w uchu brzmi

CHOCHOŁ

(nuci)

— „*Miałeś mieć przełomu rząd...*”

CHOMIKI

— *Chętnie pomożemy ci! (...)*

CHOCHOŁ

— *Nie słyszycie pieje kur!*

CHOMIKI

— *Dalej bracia na przełomy!*

KOALA

— *Czeka nas niechęci mur,
czeka mnie problemów wór...*

CHOCHOŁ (nuci)

— „*Miałeś mieć przełomu rząd,
ostał ci się zestaw dziur*”. (...)

*

WERNYHORA (potykając się o Szakala)

— *Czołem panie Włodzimierzu.*

SZAKAL

— *Pomówimy o przymierzu?*

WERNYHORA

— *Ja nie do was, ja do Lwa*

SZAKAL

— *Lew odpocząć chciał w alkierzu.*

LEW (wychodząc w koszuli)

— *Słucham otom ja*

WERNYHORA

— *Czołem bije królu nisko*

i przywiozłem...

LEW

— *Złoty róg.*

WERNYHORA

— *Na nim wygrasz własną przyszłość*

LEW

— *Wielki cud!*

WERNYHORA

— *Tak wielki cud!*

LEW

— *Więc przekazuj!*

SZAKAL (na stronie)

— *Dziad się waha*

LEW

— *Dawaj już, Lew nie ma stracha*

SZAKAL

— *Sam jest jak tabaka w rogu...*

LEW

— *Dobrze mi ostatnio szło*

Wokół granic nie ma wrogów

i choć w kasie widać dno

z silną władzą i w przymierzu

wydzwigniemy wnet ZOO!

WERNYHORA

— *Szakał ukrył się w alkierzu.*

LEW

— *Lew gotowy olać go.*

Mów, zgromadzić trzeba zwierza

kosy kuć, proroku złoty?

WERNYHORA

— *Trzeba zrywu, nie oręża,*

by zagonić do roboty.

I za gębę wziąć hałastrę,

i za dupsko jeśli trza.

LEW

— *Myśli ciasne ale własne,*

ta koncepcja nie jest zła.

WERNYHORA

— *Nadszedł przecież kres niewoli*

Tańczyć w koło zgubny gus,

kończcie państwo tan chocholi!

CHOCHOŁ

— *A co ze mną, renta, ZUS?*

WERNYHORA

— *Słoma zgnije, krzew na eksport,
czeka przecież Trzeci Świat*

LEW

— *Popiliśmy jak trzech wieszczów!*

WYBIEGOWY (do Księdza)

— *Jakiż jutro będzie kac!*

Rok 1992

Rok 1992 zaczynaliśmy w nastrojach entuzjastycznych. Krajem rządził upragniony „rząd przełomu” premiera Olszewskiego (nie mieliśmy pojęcia, jak szybko się przełamie), ZOO znajdowało się u szczytu powodzenia. Zewsząd sypały się nagrody: telewizyjny „Wiktor” „Złoty metronom”, „Złota Szpilka”. Pamiętam jak na wręczenie do redakcji nieistniejących dziś „Szpilek” przy placu Trzech Krzyży zawitał premier Bielecki, ale ponieważ wkrótce pojawił się tam Urban, uciekliśmy jak zmyci. Przy okazji tej imprezy dobrałem zwierzęce alter ega dla ekipy twórców, a Frankowski to narysował — Kryszak był nerwowym długowłosym chartem afgańskim, Zaorski puciołowatym, uśmiechniętym zajęcem, Jacek Frankowski — sam siebie widział jako osła — czyżby z powodu łatwego zerwania z ZOO, rzeźbiarz Grygołowicz był pracowitym szczurkiem. Ja zarezerwowałem dla siebie postać borsuka (*Łagodny i domowy, pełen wyobraźni, więc NIE PLUĆ nań, NIE KARMIC, a zwłaszcza NIE DRAŻNIC!*)

Udzielaliśmy dziesiątek wywiadów rozrywały nas programy publicystyczne. Krzysztof Turowski poświęcił mi specjalnie wydanie „Godziny Szczerości”, gdzie oprócz maglujących mnie redaktorek Janiny Paradowskiej i Anny Semkowicz pojawili się życzliwi mi ludzie z różnych etapów mojego życia — Arnold Mostowicz, u którego debiutowałem w „Szpilekach”, profesor Henryk Samsonowicz, mój ulubiony wykładowca i doradca podczas studenckich rozterek, Jan Pietrzak, Marian Opania...

W cieniu ZOO prawie niepostrzeżenie strzeliła setka ZSYP-owi, w którym, przy ustabilizowanym składzie ciągnąłem dalej dotychczasowe cykle — „Klan Szwendałów” „Poradnię pozamałżeńską” i naturalnie wierszyki.

Jeśli idzie o nasz zwierzyniec, wyznam, iż ogromnie ciężko jest mi dziś wybierać fragmenty warte utrwalenia. Jak rozdzielać sprawy ważne od doraźnych? Przypominać sobie ówczesne konteksty? Pewnym ułatwieniem są numery krakowskiego „Czasu” w których, na bieżąco publikowałem „Streszczenia poprzedniego odcinka”.

Początek roku ubiegał pod znakiem kredytu zaufania dla nowego rządu. Ciepło przyjęliśmy Koalę. Prztyczki obrywało raczej społeczeństwo.

Żalili się emeryci

— *Wyduszą wszystkie nasze grosiki,*

Izby skarbowe, te Janosiki.

Poobdzierają wnet nas na raty.

JANOSIK (w zarękwkach z liczydłami)

— *Hej łupmy biednych, Dajmy bogatym!*

Z życzliwością powitaliśmy nowego szefa MSW Antoniego Macierewicza (nota bene mego kolegę ze studiów) któremu przeznaczyłem rolę **WYŻŁA**. Sądziłem, że skoncentruje się na łapaniu coraz bardziej rozzuchwalonych przestępców, chociaż... Już w pierwszym odcinku dochodzi do znamienego dialogu:

LIS (znad „Gazetki”)

— *A propos teczek, rad bym szalenie,*

Wiedzieć, czy będzie ich ujawnienie?

Mnie osobiście pomysł ten razi.

WYŻEŁ (ze szczęknięciem)

— *W Niemczech otwarto archiwa STASI!*

NIEMIEC I

— *Wybacz mi Rudi, już pewnie wiesz,*

Że cię śledziłem.

NIEMIEC II

— *Ja ciebie też.*

Antylustracyjne stanowisko Lisa popierał naturalnie Koziół (Geremek) —

To jest otwarcie z Pandorą puszki,

Gdy każdy zacznie sprawdzać opuszki,

Odciski racic, kopie raportów,

Sparaliżuje prace resortu...

Swoją opinią na temat bieżącej sytuacji wkładaliśmy też w usta anonimowego obywatela telefonującego do Belwybiegu:

NIEZNAJOMY

— *Przepraszam cię za podejrzenia,*

Za niewytrwałość, za apatię,

Za skoki w bok i za zwątpienia,

Za klótnie i za rezygnację.

Za ponaglenia i niestałość,

Nadmiar ambicji, brak umiaru,

Za gorączkowość, za zuchwałość...

LEW (przerywając)

— *Halo, kto mówi, kto tam?*

MYSZKA

— *Naród?*

LEW

— Nie, jakiś facet zaprawiony,

Co chciał dodzwonić się do żony.

*

Mimo ogólnego przeświadczenia, że posuwamy się do przodu, w szczegółach obraz ojczyzny nie rysował się wesoło. Jednemu ze styczniowych odcinków nadałem tytuł **RAZ NA STRAJKOWO** kreśląc karykaturę zoologu przy pomocy wyliczanki:

*Murarz się oflaguje, rolnik wzniesie zaporę,
górnik stanie przed świtem, pogotowie wieczorem,
kucharz będzie głodować, tor kolejarz odetnie,
energetyk wyłączy, bo po ciemku jest świetnie,
prokurator wypuści, pan policjant nie złapie,
kanar za szmal przepuści pasażera na gapę.
Będą lecieć na pusto, tak godziny jak dniówki,
przerwie pracę nadajnik, ksiądz zawiesi pochówki,
zaś na Wiejskiej w Warszawie, mimo sporów partyjnych —
Sejm ogłosi strajk włoski, Senat okupacyjny...
A gdy padną skądś słowa „Why?” powiemy „Dlatego
że już wolno strajkować, nasz zachodni kolego.”*

W innym odcinku zatytułowanym **KULEJDOSKOP**, gdyż jak twierdził Lew wszystko ciągle kuleje, głównym tematem były wzrastające nastroje ksenofobiczne.

Cieszył się **NOSOROŻEC**

— A w Zgorzelcu, a w Zgorzelcu,

Nasi wreszcie bija Niemców!

Weselili się łysogłowi — Zamiąch jest jak wszyscy diabli...

Na co odpowiadał **SUSEŁ** (ówczesny marszałek Senatu) *Skin przepadnij, skin przepadnij!*

Równocześnie nasilały się podziały wewnętrzne w Wielkim Churale. Skłócone ze Lwem Chomiki usiłowały poszerzać koalicję rządową o partię Żółwia, ale Koala nie chciał o tym słyszeć. Mimo presji czasu do zapowiadanego przyspieszenia nie dochodziło. Za to mnożyły się złe proroctwa:

*W Bydgoszczy jedna Czarna Wróżka,
którą związkowcy przygadali,
przepowiedziała nam do uszka:
Sto dni zostało dla Koali...*

I sprawdziło się! Medyczna diagnoza zwierzyńca też nie wypadła najlepiej —

*Widać wkrąg na własne oczy
moc mikrobów ZOO toczy:
krętek kłamstwa, wiecznie głodny,
pstry lasecznik demagogii,
bakcyl afer bardzo przykry,
i ambicji prątek zwykły.
Kto go zwalczy? Prawda sama?
Prawda dziś przedawkowana!*

Tym bardziej, że zbyt naga prawda nie mogła liczyć na poparcie prawicy. W Churale Łoś protestował akurat przeciwko wyborom „Miss biustu”.

*Obrzydliwość, rzecz wiadoma,
Ładny biust to biust Platona,
Sokratesa lub Petrarki...
Nie grejppfruty sekretarki!*

Natomiast KROGULEC (Moczulski) niezmordowanie atakował lewokopytnych.

PZPR — co znaczy, to sprawa wiadoma?

Paskudnych Zwierzaków Paka Rozparzona,

budząc namiętne protesty Szakala i Dzika. A Lew...

A Lew spokojnie śledząc ta drakę

Robi reklamę firmie OTAKE.

— Patrzcie i cieszcie się moi mili:

o take ZOO żeśmy walczyli!

*

Sekspert — Płaszczyzna porozumienia

Powiedział mi kiedyś hodowca delfinów, że łatwiej porozumieć się ze zwierzęciem niż kobietą. I miał rację. Ileż tragedii wynikało z prostych błędów interpretacyjnych. Sam pamiętam, dwakroć bez powodu oberwałem w zęby od niewiasty, z którą umówiłem się, aby wspólnie porozmawiać o teorii mnogości. Po raz pierwszy stało się to, gdy heroicznie usiłowałem złapać groźną tarantulę, która wpełzła jej za dekolt; a drugi i ostatni, gdy wskutek roztargnienia rozerwałem jej rajstopy będąc absolutnie przekonany, że rozluźniam swój krawat. Niestety, podejrzliwość jest drugą naturą kobiety. Kiedy w piękny majowy dzień proponujemy jej spacer do lasu na grzyby, przytacza śmieszny w istocie argument, że wiosną nie ma grzybów. A huba to co? Gdy proponujemy wspólną kąpiel, dopatruje się w tej energooszczędnej inicjatywie czegoś więcej niż ograniczenia zużycia ciepłej wody. Gdy podczas kolacji wyciągamy z teczki pół litra, demonstracyjnie odstawia kieliszek, wietrząc w tej propozycji Bóg wie jaką pułapkę. Przy okazji wyznam, że jestem wielkim przeciwnikiem alkoholu. Sama nazwa tak mną wstrząsa, że natychmiast sięgam po popitkę! Alkohol degeneruje wolę i duszę, niszczy całe społeczeństwa, że wymienię Sarmatów i Etrusków, choć podobno były imperia, które upadły z powodu braku zagrychy.

A co oznacza zestaw wieczorowo–delegacyjny — kobieta plus alkohol? Wydawałoby się, że są to dwa grzechy główne. Ale tylko gdybyśmy zamierzali je sumować, natomiast jeśli w głowie mam mnożenie?... Już w podstawówce uczono nas, że dwa minusy dają w efekcie plus. A z matematyką nawet fundamentalista nie wygra. Dlatego nie mogę odrzucić w ciemno ani randki,

ani tym bardziej koktajlu — kobieta, dwa razy alkohol, plus plasterek cytryny... Tym bardziej że alkohol może skłonić niedostępne bóstwo, surowe jak kodeks karny, do wyznania już po ćwierci kieliszka: „ — Och, upiłeś mnie. Zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje? Czuję, że narobię jakichś głupstw? Gdzie tu się można wykąpać?”

Niestety najpierw trzeba wypić, a kobieta, jeśli nas podejrzewa, nie wypije, a przeważnie podejrzewa, ponieważ jest kobietą. Nic bardziej nie drażni dobrego katolika niż okazywanie mu braku zaufania. Przykłady?

Wspomniana abstynencja, gdy jesteśmy we dwoje — podczas bibki w barze bez oporu wypła ćwiartkę drogiego likieru pod ostrzygi. Albo przychodzenie na spotkanie z przyzwoitką. W dodatku w spodniach! (Patrz praca Samuela Lewisa juniora — „Jeansy jako czynnik ograniczania przyrostu naturalnego w Nowej Zelandii”. Wellington, 1992 r.). Sam zetknąłem się z przypadkiem trzydziestodziewięcioletniej dziewczyny noszącej majtki z azbestu wzmocnione zamkiem szyfrowym o nieznanym mi kombinacji. I jak nie płakać, kiedy zaprosiwszy obiekt strzelistych uczuć do pomieszczenia, w którym nie ma krzesel, a jedynie sofy i materace, na wszelkie propozycje zajęcia pozycji bardziej horyzontalnej, słyszmy od obiektu — postoję. Z taką postawą należy walczyć. Trzeba jasno powiedzieć dziewczynie, że organizator spotkania jest człowiekiem rozsądnym, odpowiedzialnym, ergo, cokolwiek uczyni, będzie mądre, słuszne i sprawiedliwe, nawet jeśli momentami wyglądałoby na coś absolutnie przeciwnego.

Przy odrobieniu dobrej woli, w podmokłym lesie, nawet chusteczka do nosa może posłużyć za płaszczyznę porozumienia.

Sekspert — Nieśmiałość i jej następstwa

Ponieważ nikt z wielkich teologów — erotologów nie wytyczył dokładnej linii granicznej pomiędzy nieśmiałością a skromnością, możemy domniemywać, że przebiega ona gdzieś w pobliżu pasa. Przy czym, o ile skromność jest cnotą, to wrodzona nieśmiałość może stać się przekleństwem. Co gorsza u mężczyzn subtelnych bywa ona często brana za dowód zarozumiałstwa, przez co nieśmiały staje się jeszcze mniej śmiały, a u kobiet...? Znałem panienkę (panienkę? cielę po prostu!), która była tak nieśmiała, że w towarzystwie mężczyzny nie potrafiła wykrztusić z siebie nawet jednego, krótkiego słowa — nie. Z tego powodu wykorzystywano ją niemiłosiernie. W efekcie przylgnęła do niej (bezpodstawnie) opinia lafiryndy. Bywa też nieśmiałość skierowana w odwrotną stronę. Pamiętam ceremonię ślubną, podczas której, aby oblubienica wykrztusiła wreszcie sakramentalne „Tak”, drużbowie musieli używać lewarka do samochodu. Zresztą po co daleko szukać, sam jako dziecko byłem tak wstydlivy, że nawet rodzice przez parę dobrych lat uważali mnie za dziewczynkę. Tak często rumieniłem się, że w przedszkolu, podczas świąt państwowych koledzy wywieszali mnie za okno w charakterze sztandaru. Ale co z tego, że byłem jak diament bez skazy. I zmazy nocnej? Kiedy pokus miałem co niemiara. Juibona, gdy ukończyłem dziesięć lat, poczęła mnie nagabywać podczas kąpieli, abym również i ja umył jej plecy — co spełniałem z prostoduszną

pokorą, nawet wówczas, kiedy twierdziła, że ma plecy także z przodu. Na szczęście rewolucja społeczna wylała bonę razem z kąpielą. Pojawiły się natomiast koleżanki. Jedna z nich, do dziś pamiętam, Elżbietka, proponowała mi parokrotnie zabawę w doktora. Początkowo kategorycznie odmawiałem, twierdząc, że aby bawić się w doktora należy mieć dyplom, ale Elżbietka odpowiadała, że ona jako córka salowej, wcale go nie potrzebuje. Atoli za każdym razem, kiedy zabawa miała rozpocząć się, interweniowała Opatrzność. A to w sypialni urwał się żyrandol, a to z lasu naszedł na nas gajowy, a to suwak w spodniach mi się zaciął, a szarpiąca go z desperacją Elżbietka straciła trzy zęby. Nie dziw, że do dzisiaj nie wiem na czym owa zabawa w doktora polega? W mojej placówce urządziłem nawet na ten temat konkurs, obiecując jako nagrody dla autorów najciekawszych wypowiedzi: włosiennicę, dyscyplinę ćwiczebną i kilka talonów na odpust zupełny. Niestety wmieszała się Izba Lekarska i musiałem konkurs anulować. Ponieważ nieśmiali również rosna i ja rosłem, a pokusy wraz ze mną. Nie macie pojęcia, jak przeerotyzowany jest świat, gdy patrzy się na niego niewinnymi oczami małolata: na trawniku pieski, za oknami motylki, tuż obok sąsiedzi, zachowujący się tak, jakby nie wiedzieli, że i drzwi mają dziurki, a za pomocą lusterka na kij wysuniętego przed balkon można doskonale peryskopować sąsiednie mieszkanie. A ile zagrożeń niosła komunistyczna szkoła koedukacyjna? Raz omal nie utopiłem się w damskiej sławojce, pragnąc, w celu naukowym, obejrzeć swoją wychowawczynię od podstaw. Innego dnia niemal nie zmielił mnie wywietrznik, przez który chciałem zajrzeć pod żeńskie prysznicze.

Sam nie wiem, co by się ze mną stało, gdyby nie aniołek–strożek, w postaci krostowatego wychowawcy, który czuwał bym nocami trzymał ręce na kołdrze, nakazywał zaszywanie kieszeni w spodniach, a na koniec zapisał mnie do organizacji harcerskiej. Dopiero po latach dowiedziałem się, że był to tak zwany aniołek — patriota, słuszny seksualnie niezależnie od stroju. Zapewne dzięki temu widują go w pierwszych rzędach awangardy sejmowej (raz nawet podobno pozwolono mu nieść teczkę za Macierewiczem). Śmiałość przyszła z wiekiem. I nawet pamiętam ten moment. Przemawiałem z trybuny, przede mną morze głów, sztandarów i transparentów — „Syjoniści do Syjamu, Studenci do pałki!” Grzmiałem jak Katon (nie pomnę Młodszy czy Starszy), gdy naraz poczułem, że wewnątrz mównicy jest ktoś. Ciepły, rezolutny, pracowity, ktoś kto nie odrywa mi guzików a delikatnie rozpina... Ogarnęła mnie euforia. Jeśli dobrze pamiętam, wysłałem towarzyszy syjonistów już nie na Madagaskar, a wręcz na Antarktydę. A gdy w którymś momencie załamał mi się głos i padłem twarzą między paprotki, audytorium ogarnął szał. Żądano, aby natychmiast wprowadzić mnie do Biura Politycznego! Gdy śpiewano mi Międzynarodówkę dyskretnie zajrzałem pod pulpit. Było tam pusto! Nawet Departament Kadr nie potrafił powiedzieć, czy ktoś w trakcie manifestacji przeczołgał się pod stołem prezydialnym. I jakiej był płci? Pozostaje faktem, że od tego dnia nie boję się już niczego.

Niestety nie każdy ma takie szczęście i wrodzoną nieśmiałość musi sam przezwyciężać. Jak? Ćwicząc, ćwicząc, ćwicząc! Możemy zacząć od wygłaszania komplementów do wyciszonego, aby nie przeszkadzał, telewizora. A więc prawimy dusery Niewolnicy Izaurze, żartujemy z Marylin Monroe, robimy propozycje Chmurce i redaktor Torbickiej. Wykuwamy teksty śpiewająco, czerpiąc wzór z jąkałów, którzy wprawdzie zacinają cię podczas mówienia, ale potrafią wszystko bezbłędnie wyśpiewać. I dopiero później próbujemy swego krasomówstwa na ludziach. Asekuranci zaczynają od żony i gosposi; odważniejsi od razu puszczają się na szerokie wody. Nie należy jedynie pomylić kolejności tekstów i zaczynać rozmowy z piękną nieznaną

na publicznym przyjęciu od ostatniego punktu scenariusza: „A teraz bez krzyku i bólu, idziemy lulu, damulu.”

Że wytrwałość popłaca, przypomina mi się przygoda jednego z moich znajomych. Zobaczywszy raz w okienku Nastusię Kinsky ruszył wypróbować tekst, który kuł poprzedniego dnia przy Bardotce.

— Jest pani szalową kobitą — rzucił.

W tym momencie na twarzy aktorki pojawił się uśmiech.

— Słowo honoru, mój typ!

Mógłby przysiąc, że gwiazda mrugnęła.

— Lubię takie seksowne kobitki i jak chcesz mogę ci pokazać, jaki bywam milutki.

— Wspaniale, pokazuj! — padła odpowiedź.

W tym momencie mój znajomy zorientował się, że okienko nie jest telewizorem tylko lufcikiem na balkonie zbiorczym, na którym właśnie rozwieszała pranie młoda pasierbica sąsiada. Co było dalej, wrodzona skromność nie pozwalała mi opowiedzieć. Zresztą i tak nikt by nie uwierzył.

*

Minął styczeń przyszedł luty, po nim marzec. W Zoologu czas nie stał w miejscu. Tytuły odcinków mówiły same za siebie: **BĘDZIE GORZEJ, PROWIZORKA NA STAŁE, WRÓŻBY I STRACHY**. Marzec i 25 odcinek powitała piosenka **BIDY MARCOWE** Lew dostarczał kolejnych powiedzonek do skarbnicy narodowych mądrości typu *Jestem za a nawet przeciw* i obiecywał puścić aferzystów w skarpetkach. Aferę Universalu i jego szefa Przywieczerskiego komentowaliśmy kalamburem *Podwieczerski przy mikrofonie*, aresztowanie bankiera Bogatina wierszykiem:

„Plajta banku — chleb powszedni,

był Bogatin będzie Biednin”

Natomiast ucieczkę Bagsika do Izraela upamiętniała scenka

ŚCIGAJĄCY KOMANDOSI

— *To jest bardzo cwany wyga*

Jego styl to:

BAGSIK NA NARTACH

— *Szalom gigant!*

Nie dziw, że co jakiś czas rozgoryczony król Lew odgrażał się:

Znów mnie korci, niech to diabli

Płot przeskoczyć!...

WYBIEGOWY (Wachowski)

— *Płot ukradli!*

Tymczasem w gazetce ściennej Lewokopytnych, o mylącej nazwie „Ambona Ludu” pojawiła się wizja przyszłego zarządu po obaleniu Koali.

Gawron prezesem, Żółw będzie wice,

Kozłu przydzielili się zagranicę,

Hipek, rencistów znowu brat lata

Szakał — Kultura, a Dzik oświata...

Nie podejrzewałem wówczas, że ambicje Lewokopytnych mogą iść o wiele, wiele dalej, zresztą potencjalny architekt przyszłego układu LIS na pytanie:

Obiecująca gwiazd konstelacja?

Odpowiadał, wyjątkowo bez zająknięcia:

Nie komentuję, to prowokacja!

Zresztą w owym głównym zmartwieniu Lisa i jego kolegów było kontrowanie posunięć, czy raczej słów Lwa:

*Gdy dyktatorskie wdroży tendencje,
dokręci śrubę, zdławi krytykę,
przecież powiedział, że śrubokrętem,
Zwykł częściej władać niżli językiem*

Tymczasem władca zoologu ciągle usiłował rozgrywać mecz bilardu, na zasadzie „Lew kontra reszta świata”. Grał więc, raz wspierając się na prawej, to znów lewej nodze, to za, to przeciw Koali. W międzyczasie został zatopiony **PANCERNIK** w berciku (czyli Jan Parys, krótkotrwały cywilny szef Ministerstwa Obrony). Zwierzaki zaś tak komentowały owego karambola:

SUSEŁ

*— Wszystko pięknie wszelako stwierdzić muszę z bólem,
Że w grze tej uczestniczą wciąż te same kule.*

ŻÓŁW

— Dawniej gładko toczone, dziś rysy, siniaki.

WYBIEGOWY

— Bo zużyły się wszystkie jak nasze zderzaki.

SUSEŁ

— *I co teraz gdy zbrakło rezerw pośród zwierza.*

LEW (na masce samochodu)

— *Mogie chociaż nie muszem,*

sam być jako zderzak!

Klimat pogłębiającej się paranoi podkreślała piosenka przygotowana na pierwszego kwietnia, która z czasem stała się hymnem estradowej edycji Polskiego ZOO

Prima aprilis song

(muz. Włodzimierz Korcz)

Liberał, endek, patriota
mędrzec, półgłówek, ćwierćidiota,
codziennie bardzo się kłopotą,
czym nowym dzisiaj ich zaskoczą?
Emeryt się ubawi setnie,
gdy mu zasilek się obetnie.
Chciałeś podskoczyć wzwyż troszeczkę,
już się wyciąga twoją teczkę.
Ale najzabawniejsza rzecz —
prawo, co będzie działać wstecz.
Do reszty zgłupiał stary świat,
co chwila stress, co moment szok —
prima aprilis przecież trwa

*w naszej ojczyźnie cały rok.
Rządowy żart, sejmowy szpas,
happening w Belwederze,
lecz wszystko nic, ponury widz,
nikogo śmiech nie bierze!
Już nas nie cieszy żart sąsiedzki,
że Związek rozpadł się Radziecki.
A skutkiem zjednoczenia Niemców
, ciągle pogromy cudzoziemców.
Partie się dzielą, sejm się bawi,
lewi na prawo, w lewo prawi...
I patrzy ostupiały kraj —
czy to serio czy dla jaj?
Jedna różnica tylko jest
niestety nie wesola
że żartów tych, przeważnie złych,
nikt jutro nie odwoła.*

Na przekór tezie o prima aprilisie trwającym okrągły rok, tego dnia pozwoliliśmy sobie na wydanie specjalne „Polskiego ZOO”, a w nim przedubbingowaliśmy głosy. Lew mówił głosikami Chomików, Wybiegowy głosem Księdza, Kondor — Myszka, a Dzik — Wyżłem. Nie wiem czy wielu widzów zauważyło tę subtelną zamianę? Zresztą potem wszystko wróciło do normy.

A skoro o pierwszych kwietniach mowa, dwa lata wcześniej wziąłem udział w pierwszym i jak na razie ostatnim żarcie primaaprilisowym, z sobą w roli głównej — Drawicz udostępnił swój gabinet, w którym Andrzej Zaorski przeprowadzał wywiad ze mną jako z nowym Prezesem Radiokomitetu. Można powiedzieć, że chyba wiedziałem gdzie dzwoni, ale niekoniecznie, w którym kościele. Dwa lata później jako szeregowy nadredaktor bywałem (z rzadka) w tym samym gabinecie, w którym inny Zaorski (Janusz) był prezesem.

*

Sekspert — Na pokuszenie

Pokusa niejedno ma imię. Dla alkoholika to dobrze zamrożona i lekko odkręcona butelka. Taki ośnieżony wulkan na stole, bliźniutko, w zasięgu ręki. Dla nałogowego palacza, bez pieniędzy — to kawałek nie dopalonego peta, skręcony w popielniczkę jak grzesznik na skraju piekła. A dla dobrego katolika?

Rude włosy, rozsypane na poduszce, niewinna twarz oblana pąsem wstydu, a jednocześnie pożądania, drobne paluszki powalane atramentem, a już śmiało i precyzyjne... Apage satanas! Hokus od pokus! W zbitkach językowych spotykamy często wyrażenie — **pokusa nieodparta!**

Trudno o większy nonsens. Każdej pokusie można się oprzeć, gdy jest o co. Najlepiej o własne fundamentalne zasady, podparte hartem ducha. Oczywiście nie zawsze się to udaje, dlatego twierdzę, że do pokus można mieć w zasadzie dwa podejścia — **pasywne i ofensywne.**

Pasywne zalecam wszystkim niepewnym własnej silnej woli. Mówiąc wprost, ludzie słabi powinni unikać okazji, która — jak wiadomo czyni grzesznika. Dla was, moralni cherlacy, powinna być zakazana praca w szkolnictwie średnim (dla pewności również w podstawowym). Odradzałbym zatrudnianie się w charakterze nocnego portiera, w hotelu dla pielęgniarek lub żeńskim akademiku. Inna rzecz, że i chłopięca bursa kryje różne zagrożenia. Niewskazane są też jako miejsce zamieszkania duże ośrodki przemysłu lekkiego i precyzyjnego, gdzie dominuje płeć niewieścia. Człowiek o miękkim morale powinien prowadzić życie skoszarowane: jednostka wojskowa, hufiec pracy, klasztor (męski!), kamieniołom... Można też wybrać się na bezludną wyspę, gdzie nie ma kóz, skryć się w pustelni lub wybrać na długi lot orbitalny w kosmos. Natomiast tacy twardziele jak ja, muszą zawsze decydować się na działania ofensywne. To znaczy nie rejterować przed pokusami! Wychodzić im śmiało na przeciw. Z podniesioną głową. Mierzyć się ze złem w jego matecznikach, iść do pracy w show biznesie, gastronomii, hotelarstwie, zostać nocnym taksówkarzem, instruktorem nauki jazdy, damskim fryzjerem, ginekologiem lub krawcem. I śmiało wkroczyć w grzędawisko pokus.

Zresztą po cóż wybierać sytuacje aż tak ekstremalne. Wystarczy, że jako dyrektor zatrudnimy młodą sekretarkę. Pozornie nie ma nic w tym złego — popieranie młodzieży w dobie szalejącego bezrobocia to bardzo dobry uczynek. Ale analizujemy dalej. Sekretarka, hojnie wyposażona przez naturę (nadal nie ma nic w tym złego, ponieważ natura, a tym bardziej Opatrzność nie powinna być sknerą), ubiera się z upodobaniem w mini spódniczki, opięte kombinezony, prześwitujące bluzeczki, lubi wypinać biuścik i kręcić pupką, wręcz zapraszając do klepnięcia. I ciągle nie ma w tym nic złego, albowiem taka sekretarka korzystnie wpływa na naszych kontrahentów, nie mówiąc o nas samych, jej szefie, któremu nagle chce się żyć.

Ale pojawia się problem. I rośnie. Mimo niewzruszonych zasad moralnych nie jesteśmy ślepi. Mamy poczucie piękna, kochamy bliźnich, często bywamy samotni, nic więc dziwnego, że czasem po godzinach przyjdzie nam na myśl... Żle? Dobrze! Przecież jeśli tylko myśl, to nadał nie ma w tym nic złego.

Coś jednak trzeba zrobić. Ludzie nas obserwują, dziewczyna zaczyna się dziwnie uśmiechać. Jakie są wyjścia? Zwolnić sekretarkę pod pozorem, że nie zna języków, nie umie pisać na maszynie i nawet herbata się jej przypala? — to byłoby nieludzkie. Kazać jej inaczej się ubierać? Byłoby to pogwałceniem prawa człowieka do decydowania o sobie. Nie reagować? Opancerzyć się? Wbić zęby w akta, a ręce w kieszenie...? Pozostaje rozwiązanie ofensywne. Obnażyć problem, postawić kwestię i zagłębić się w temacie. Jeśli sekretarka nie zrozumie miary naszego poświęcenia, należy dyskretnie ją przekonać. Przez dofinansowanie, obietnicę wspólnej wycieczki do Paryża lub delikatną zapowiedź nadchodzącej restrukturyzacji. Zaczynając bój z pokusą wiemy, że jeśli jej ulegniemy, to nawet Anioł Stróż przyzna, iż ulegliśmy w walce. Człowiek z natury jest ułomny, a pokusa była zbyt wielka, jak na jednego obywatela, więc trzeba było ją przerobić we dwoje. A po wszystkim, jak po rozgrywce na ringu, macie czy bieżni, oprócz wyrzutów sumienia pozostaje świadomość męskiej, twardej gry z pokusą. Toczonej fair play. Przez nas: fair–play–boya!

Odcinek Wielkanocny ZOO tradycyjnie zawierał mniej bieżącej polityki. Pojawiały się za to postacie zagraniczne — **BIAŁY NIEDŹWIEDŹ** — Jelcyn i **MORS REŃSKI** (Kohl), a świąteczna piosenka traktowała o sprawach śmigusowo — dyngusowe.

Wielkie lanie

(muzyka, jak we wszystkich piosenkach ZOO — Korcz)

Leją, leją wodę, smutno lub radośnie,

z niewielką nadzieją, że cosik wyrośnie.

O nowych aferach ciurka z prawa, z lewa.

Zalać trza robaka, bo krew nas zalewa! (...)

Zimny prysznic potrzebny od zaraz,

rząd już czeka, Belweder i Sejm,

chętnych wielu się o to postara,

A niechętnych narodzie sam zdej.

By nie uszło na sucho,

uwłaszczonym komuchom,

farbowanym szynszylom i nutriom,

by oczyścić przedpole,

cenny każdy wodolej,

potop suche zapewni nam jutro!

Płynie Polska płynie, od można do można.

Poświęcenie w gminie, bo władza pobożna.

W szkole też kropidła dzieci smak docenią.

Jedni chcą bez mydła wejść... Inni się pienią!

O potrzebie wsparcia wielkie gardłowanie.

Brak wielkiego żarcia, będzie wielkie lanie.

Zimny prysznic potrzebny od zaraz,

dla pieniaczy, dla głupków, dla szuj,

zanim zbierze pod kotłem się para,

aby w gwizdek bez sensu znów pójść.

By nie zgubić rozsądku,

gdy umysły we wrzątku,

a parlament podobny do ringu,

bierzmy kubły i ścierki,

własne robić przepierki,

Po nas choćby i śmigus, i dyngus.

Po świętach sprawy w ZOO przedstawiały się coraz gorzej, zarząd Koali nie mógł zapewnić sobie stabilnej większości w Churale, który coraz bardziej przypominał niezestrojoną orkiestrę.

ANKIETER

— *Co jest grane, gdy w orkiestrze każdy gra solówkę?*

KOALA

— *Ja gram nokturn*

CHOMIKI

— *My póteczkę*

BYCZEK

— *A ja trójpolówkę.*

ŻÓŁW

— *Z Polonezem chęci szczerze...*

RYŚ

— *Tu potrzebny bigiel.*

HIPEK

— *Ja bym wolał habanerę.*

DZIK

(na stronie)

— *tak dopomóż Fidel... (..)*

KOALA (kłaniając się)

Pierwsze skrzypce.

CHOMIKI

— *Niezbyt stroją,*

BÓBR

— *Flet mi góry nie wyciąga.*

WYŻEŁ

— *Perkusisty się nie boją.*

SUSEŁ

— *Kozi róg miał być, jest trąba. (...)*

Ankieter — A nagłośnienie, jeśli potrzaska?

LEW

— *Skończę z przewodem, wrócę do gniazdka.*

Natomiast ówczesne oficjalne oceny nastrojów społecznych kwitowałem dwuwierszem:

Kiedy nogi w lodzie a głowa we wrzątku,

Gdy wyciągnąć średnią — klimacik w porządku.

Sekspert — Uroki instytucjonalizacji

Wraz z rozwojem mojej działalności seksperckiej niezbędne stało się powołanie biura. Listy od kursantek zbyt często wpadały w ręce żony, a przekazy pocztowe podejmowały dzieci... Wynająłem więc mały lokalik na zapleczu biblioteki. I natychmiast stanąłem przed dylematem: od czego zacząć meblowanie — od komputera czy sekretarki? Na szczęście w ramach doksztalcania sam ucześniezałem na kursy. Kursy prowadził brat Stefan (cztery lata temu towarzysz Stefan), biznesmen pełną gębą, o byczym karku, olimpijskim brzuchu i grubych krótkich paluchach.

Kiedy go zobaczyłem w Biznes Klubie zrozumiałem, dlaczego zachodni kapitaliści wolą rozmawiać z przedstawicielami byłej nomenklatury. Przede wszystkim ze względów optycznych. Jak wygląda u nas przedstawiciel nowej warstwy rządzącej? Chudy, nerwowy, broda, wąsy, przetłuszczone włosy i okulary — czy tak może prezentować się człowiek sukcesu? Co innego „**nomenklaturzaur**”. Z każdej fałdy tłuszczu wyziera powodzenie, a twarz stanowi legitymację standardu życiowego, na jaki mogą sobie pozwolić chyba tylko krezusi z Wall Street. Chodziłem na

te kursy gdzieś z rok — majątku nie zdobyłem, zresztą w którymś momencie towarzysz Stefan przysnął z kasą, księgową wsadzili, a cięć poszedł pracować do UOP — u. Wiedza jednak pozostała. Niestety! Pierwszy tydzień z sekretarką postawił moją placówkę na skraju ruiny finansowej. Czy macie pojęcie ile kosztuje liberia i bielizna służbowa? Toteż przez jakiś czas musiałem zadowoląć się ręcznym kalkulatorem, który sam obsługiwałem niestety sam.

*

Konieczność cotygodniowego tworzenia ZOO stawiała mnie wobec stałego poszukiwania pomysłów formalnych. O merytoryczne dbali za nas politycy. Tymczasem żarty literackie, możliwe do odebrania przynajmniej przez publiczność inteligencką, z wolna wyczerpały się. Ratowałem się stawiając mych bohaterów w zabawnych sytuacjach, których najczęściej dostarczały gry i zabawy. W odcinku **MIĘDZYSWIĘCIE** pokazywałem różne sposoby obchodzenia świąt majowych, które stawały się z wolna specyfiką Trzeciej Najśmieszniejszej. Podczas kiedy jedni zajmowali się pochodami lub kontrpochodami, Lew ze switą tradycyjnie wypoczywał na rybach.

KSIĄDZ

— *Bierze, bierze!*

MYSZKA

— *To ryba?*

WYBIEGOWY

— *Poznaje te plecki,*

To jest ukochany Żółw nasz, Mazowiecki.

LEW

— *Wspaniały by zeszyć stronnictwa rozdarte.*

SZOP (Drzycimski)

— *Skorupa stanowi wyborny naparstek.*

ŻÓŁW

— *Dobro ZOO cenię i nie ma co kryć,*

Że moją dewizą jest „szyć, aby szyć!”

Wynik połowu uradował wielu kibiców Lwa, zaniepokoił natomiast nieco Wybiegowego.

WYBIEGOWY

— *Czy wybór spinacza nie za bardzo prędko?*

Wodzu?

LEW

— *Cichaj Mnietek, mam i inne wędki!*

Wszyscy setnie ubawili się tym dictum. Stosunkowo najmniej śmiał się Żółw.

*

Czytelnik niniejszej pracy mógłby zauważyć, że w tej części dość mało zamieszczam pozycji ze ZSYP-u. Dla równowagi więc, wybieram jeden z ówczesnych wierszyków.

Opinia publiczna

Na różne sposoby, jest ich coraz więcej,

opinie publiczną badają agencje.

Potem ogłaszają procenty i wnioski

I wiemy już, co myśli społeczeństwo Polski.

Niestety nie napawa wynik optymizmem,

*mimo, że ankieterzy bardzo się starali —
choć wszyscy są ogólnie za kapitalizmem,
lecz w szczegółach się marzy realny socjalizm.
Prawie każdy respondent podkreśla z ochotą,
nie tracąc z lic rumieńca, ani z ust uśmiechu,
że za Zjednoczona jest on Europa,
lecz bez Niemców, Żydów, Cyganów i Czechów. (...)
Polska schizofrenia wygląda niewinnie,
zwłaszcza gdy się spojrzy przez sito ankiety.
Wiec może by tak przestać badać tę opinie,
Bo widać, że chora, a zacząć ją leczyć!*

*

Współzycie (Wykład przeznaczony wyłącznie dla obywateli mających czynne prawo wyborcze).

Bywają takie momenty, kiedy jesteśmy w sytuacji strusia na parkiecie. Nie da rady schować głowy w klepkę, trzeba wymówić to słowo, na myśl o którym usta prawdziwego katolika bieleją jak brzuch gołębicy. Tym słowem niestety jest współzycie!

Współzycie! — Dreszcz obrzydzenia, który wywołuje we mnie wspomniany wyraz, przywodzi mi na myśl okrutne czasy mej młodości, gdy musiałem uczyć się współzycia w Socjalistycznej Wspólnocie Narodów, co utrwaliło we mnie odruch warunkowy, powodujący nerwowy dygot, i automatyczne sprawdzanie portfela. Współzycie! — Podobno istnieją popularne synonimy tego określenia, ale na szczęście ich nie znam. Pozostańmy zatem przy wyrazie twardym jak świeżo wykrochmalone prześcieradło i wonnym jak dezodorant Fa. Są takie chwile, gdy człowiek cnotliwy, nieśmiały, a nawet leniwy musi pozwolić sobie na chwilę zapomnienia. Kiedy? Gdy go przyciśnie chuć? Nigdy! Tylko wówczas, gdy w grę wchodzi jego męski honor i reputacja.

Wyobraźmy sobie, że w naszej garsonierze, którą wynajęliśmy wyłącznie w celu głośnego czytania angielskiej poezji metafizycznej, za którą nasza żona nie przepada, a pies wyje na sam widok okładki, zupełnie przypadkowo odwiedza nas piękna nieznajoma. Powiedzmy, że w tej garsonierze ktoś (listonosz albo kominiarz) pozostawił odrobinę eliksiru życia i kawałek afrodyzjaku, w postaci pół litra czystej i ćwiartki salcesonu. Spożywamy to wspólnie z ową, wybaczenie za dosadne określenie — kobietą. I co robić? Program w telewizji jest marny, a tom metafizyków ukradła sprzątaczką. A jeśli jeszcze wspomniana dama osuwa się na kanapkę lub materac i mówi: chodź! Nie pójść? To znaczy dać dziewczynie do zrozumienia, że nie zniżymy się do jej poziomu. Uciec? Honor nie pozwala. Uczciwie powiedzieć, że jesteśmy żonaci? Przecież zwykła solidarność sprzeciwia się pozostawieniu człowieka innej płci bez pomocy. Co więc robi w takiej sytuacji dobry katolik? Niestety, postępuje jak każdy mężczyzna (nawet bezwyznaniowiec). Tyle że po ciemku i w ubraniu.

Opisana sytuacja miewa także gorszy wariant. Zdarza się bowiem (i to wcale nierzadko), że istnieją warunki jak w opisanym epizodzie, natomiast piękna nieznajoma zaczyna się wahać. Może nie dowierza naszym intencjom, choć te są czyste jak wódeczka na stole. Może nachodzą ją skrupuły na temat zbawienia duszy? A może przypomniała sobie, że na rogu w kawiarni czeka na nią niejaki Ziutek, wprawdzie półinteligent i biedak, ale ma tę przewagę nad nami, że się pragnie z nią ożenić? W każdym razie scenariusz zostaje zakłócony. Piękna nieznajoma zaczyna wykazywać karygodny brak ochoty na zostanie matką naszych ewentualnych dzieci. Nie pomaga perswazja: — Na co właściwie czekamy?

Ani logika — W końcu skoro zdecydowałaś się tu przyjść, nie udawaj niewiniątka.

Również groźba — Wiesz, że gdyby wszyscy postępowali tak jak ty, ludzkość by wymarła.

Oczywiście moglibyśmy zaproponować jej jakąś pożyczkę lub rajstopy, ale wówczas stracilibyśmy szacunek dla siebie (nie mówiąc już o pieniądzach). Próbuje więc innych argumentów — Wiesz kochanie, że ja nic od ciebie nie chcę, za wyjątkiem jednego, drobnego dowodu...

— Osobistego?

— Nie, miłości! Trzeba przecież mieć jakieś zasady. Skoro postanowiliśmy powiedzieć A, nie możemy zatrzymać się przy A. Cóż by inni na to powiedzieli?

— Jacy inni? — panienska rozgląda się czujnie.

— Choćby nasz Anioł Stróż. Był przygotowany na najgorsze. Jeśli teraz nic się nie wydarzy, gotów pomyśleć, że traktujemy go niepoważnie. A jak zobaczy (zresztą gwarantuję, że nie będzie podglądał) mały, miły dowód miłości, zrozumie, że grzech jest efektem uczucia, a nie odwrotnie.

Istnieje spora szansa, że po tej argumentacji kobieta zgłupieje i zapomni się. Jeśli jednak i to nie skutkuje, a panienska nadal będzie odmawiać okazania dowodu, udzielimy jej upomnienia. Ostatecznym środkiem jest kara dyscyplinarna, w postaci wyrzucenia za drzwi, w dżdżystą noc, bez pieniędzy na taksówkę. A czasem i bez garderoby. Nikim bardziej nie brzydzi się uczciwy

człowiek jak prowokatorką. Z kimś takim współżyć nie będzie!!!

*

Nie jest wielkim odkryciem stwierdzenie, że o wiele łatwiej jest święcić nam, Polakom, rocznice swych klęsk niż zwycięstw. Dotyczy to również historii najnowszej. Czwarty czerwca, rocznica zwycięskich wyborów 1989 roku mógłby być taką datą, niestety przysłała ją inny 4 VI, który dla potrzeb ZOO nazwałem **NOCĄ GRUBYCH TECZEK**.

Kryzys wisiał powietrzu od początku rządu Olszewskiego, ale zaostriął się maksymalnie w ciągu maja. Po latach można powiedzieć, że konsolidacji różnych sił niechętnych „przełomowi”, towarzyszyła olbrzymia nieporadność, niezręczność, wreszcie głupota ekipy rządzącej. Nie bez powodu w odcinku **OJ PLAMA, PLAMA** sięgałem do poetyki dość paskudnego utworu Gałczyńskiego „Podróż do Ciemnogrodu”:

— *Gdzie tolerancja?*

— *Stacja nie znana.*

— *Czy to jest magiel?*

— *Tak, proszę pana!*

Nowa wojna na górze tym razem oznaczała naprawdę walkę wszystkich ze wszystkimi. Prawica walczyła, z lewica i ze sobą, Chomiki próbowały mediacji z Unią, raz wspierały Koalę to znów odstępowały go. A większość zwierzyńca tradycyjnie wojowała z Lwem. Do czego to zmierzało?

Jedno z ówczesnych starć opisałem w **REDUCIE PARYSA**. Pancernik (Jan Parys zawieszony szef MON-u) recytował:

Nam strzelać zakazano w zbyt dostojne ciało,

więc trzymam twarz na kłódkę, choć tak by się chciało,

na Belwybieg wypuścić moje komitety,

pogonić Szopa Pracza i Księdza:

KSIĄDZ

— *Oj rety! (...)*

SZOP

— *Już rusza do ataku pismacza hołota,*

„Nowy Świat” z euforią oskarżenia miota.

Grzmi „Gazetka Wybiorcza” i „Trybunka” błyska

Czy szykuje się jakaś komunia Paryska?

PANCERNIK

— *Nie, nie trzeba nam wcale króla abdykacji.*

Zmieniają się tylko prawa, królewscy doradcy.

Skończą kompetencyjne spory i afery.

A król będzie panować, przypinać ordery... (...)

LEW

— *Lud wyrzekł słowo stań się, lud i zgiń wyrzeczcie,*

Lud wie, że ja mu lepsze jutro zabezpieczę (...)

WYBIEGOWY

— *Więc mimo komitetów ku jego obronie.*

Ten „Pancernik Paryskin” bez strzału zatonie!

Tymczasem Zarząd ZOO rozwijał ofensywę. Jednym z jej elementów była wedle mego określenia, dezaoryzacja telesupła (Janusza Zaorskiego zmienił Zbigniew Romaszewski. Ów wybitny ongiś działacz KOR-u w pierwszej kolejności pozbawił ZOO niedzielnych powtórzeń. Wprawdzie wkrótce Zaorek powrócił na stanowisko, ale powtórki już nie).

Kolejny konflikt wynikł z powodu wycieczki Lwa do Moskiewskiej Menażerii. Mimo że efektem wyprawy miało być ostateczne wycofanie ruskich strażników z naszego zoologu, przeciwnicy Króla kontestowali donośnie:

KROGULEC (Moczulski)

— *Wystarczy dobrze popatrzeć w akta!*

Liberum veto na taki traktat!

WYŻEŁ

— *Jeżeli mamy być sojusznicy,*

Niech Bielcyn przyjdzie we włosiennicy”

BÓBR

— *A jeśli wypad nasz do sąsiada,*

Będzie pomyślny?

ZARZĄD

— *Krzyknijemy zdrada!*

Pierwszego czerwca podczas obchodów DNIA SZCZENIAKA los gabinetu wydawał się być przesądzony. Śpiewał chórek dziecięcych zwierzaków:

*(...) Historia dała prezent radosny —
drugie dzieciństwo świeżo dorosłych,
tłumaczy dzisiaj, jak tylko umie,
„Starość się także musi wyszumieć!”
Niepodległości już roczek trzeci,
ale dorośli ciągle jak dzieci,
krzyż, chorągiewka, mandat i piwko —
czerep rubaszny pod rogatywką...
Prawa dziecka to nasz styl.*

Wiec allons enfant... (Terrible!)

*Co rusz choroby trapią dziecinkę,
przeszła czerwonkę, przechodzi świnkę.*

Lecz przerażenie niech nas nie skręca,

Bo to choroba tylko dziecięca.

Choć czasem łapie lekarzy groza:

miała być świnka, a jest skleroza.

Groza, skleroza, kryj się w kąt.

Kto się nie schowa robi rząd.

Groza, skleroza raz, dwa, trzy,

jutro premierem będziesz ty!

No i wykrakaliśmy! Kropli która przelała przysłowiowy kielich dostarczyła Mucha (Korwin–Mikke) zgłaszając projekt natychmiastowej lustracji elit politycznych, którą Churał błyskawicznie przegłosował. O ile jednak można szantażować zamkniętą teczką, otwarcie zbyt wielu naraz przypomina wyrwanie zawleczek z kilku granatów równocześnie. Tym bardziej gdy w polu rażenia znalazł się i Król Lew i mieszalek Łoś (ociec duchowy Wyźła), a nawet Krogulec — Konfederata!

Po latach w recenzji książki Moczulskiego „Lustracja” pisałem w „Gazecie Polskiej”:

Początkowo uważałem weryfikację ludzi polityki za rzecz w wolnym kraju naturalną i wierzyłem w szybkie samooczyszczenie się elit, oraz w to, że służby państwa oszczędzą nam babrania się w paskudztwie, sprawnie wykluczając tych, którzy zawiedli, lub dając im do zrozumienia, żeby poszukali sobie innych obszarów aktywności niż polityka. W roku 1992 emocjonalnie byłem przeciw akcji Macierewicza, długo nie przyjmując do wiadomości, że wśród ludzi których ceniłem i szanowałem, mogą kryć się tajni współpracownicy i płatni agenci. (Inna sprawa, że parę miesięcy przed 4 czerwca napisałem słuhowisko, w którym główny inicjator podobnej akcji okazał się pierwszym z podejrzanych — tyle, że to miała być zabawna political fiction) Czas zweryfikował moje poglądy. Choć nadal nie uważam, żeby frontalny atak na najważniejsze osoby w państwie był dobrą metodą uruchomienia procesu weryfikacyjnego, przeciwnie pomógł on jego wrogom, uznałem lustracje za niezbędną. Kibicowałem wysiłkom towarzyszącym powołaniu Sądu Lustracyjnego, brzydziły mnie różne podłe ataki na Strzembosza czy sędziego Nizieńskiego. A dziś — będąc ZA, uważam

równocześnie, że mamy do czynienia z akcją potrzebną, ale od samego początku kaleką. Nie poprzedzoną przez niezbędną dekomunizację. Jak można osądzać współpracowników reżimu, często wrobionych, lub złamanych szantażem (np. na jednej szali kłaść np. Jurczyka i Maleszkę) nie zaczynając od góry. Miał rację Leszek Moczulski — polityk, proponując w Sejmie w imieniu KPN-u uznanie PRL i jego aktów za nieważne od samego początku, a organizacji typu UB czy SB za zbrodnicze. Mielibyśmy jasną sytuację prawną. Po osądzeniu głównych dysponentów, następnie ich wykonawców i podwykonawców, z najaktywniejszymi pracownikami frontu ideologicznego włącznie, moglibyśmy spokojnie rozważyć problem win ich tajnych współpracowników, lub tych którzy zdecydowali się podjąć grę ze służbami, z góry przegraną, mając jeden cel nadrzędny — Niepodległość. A dowożeni z miejsc odosobnienia byli funkcjonariusze inaczej zapewne składali by swe zeznania — po spaleniu akt — główny dowód za, lub przeciw winie podejrzanych.

Pamiętny wieczór ma wielu bardów i kronikarzy, w końcu krótkoterminowy rzecznik Koali był poetą dyplomowanym. Jedni zapamiętali obraz „Wodzusia” zaśmiewającego się w loży, inni mecenas — premiera, przemawiającego równocześnie na dwóch kanałach telewizyjnych. Przekonany, że mowa oskarżycielsko — obrończa odwróci niekorzystny bieg wydarzeń, **KOALA** grzmiał, parafrazując Broniewskiego:

*Kiedy zechcą popełnić błąd
i obalić swój własny zarząd!
Oczy mydląc dwuznaczną grą,
o powrocie na szczyty marząc
i spróbują nas patriotów
, łupnąć vetem lub jakimś wotum,
ty rzuć wreszcie zbędny takt,
niech wróg drwi, sięgnij do akt.
Trzeba krwi!*

Przeciwnicy lustracji skonsolidowali się tymczasem wokół HIPKA:

*Był w ojczyźnie nie jeden typ,
co się złamał, potknął lub sprzedał,
Ale po co gruchotać mit!
Czy przybędzie z tych igrzysk chleba?
Nikt nie broni sprzedajnych dziwek,
lecz czy prawda jest prosta jak drut?
Czy z tych kłamstw niejasności, fałszywek,
wzejdzie cud?*

Mówił LEW

*— Ministrancie teczek i akt
Nie fałszywa w tym oku troska?*

WYŻEŁ

*— Będzie czystość, cnota i ład,
Historii rozkaz...*

Pracując nad owym odcinkiem nie znaleźliśmy oczywiście zakończenia kryzysu. Nie wiedzieliśmy kto jest na liście agentów, stąd wśród popleczników Koali wystąpił jeszcze (o wstydzie!) Łoś i Krogulec. Jeśli dobrze pamiętam nagraliśmy parę zakończeń programu. Z Belwederskich przecieków wiedziałem o prawdopodobnej nominacji Byczka na premiera. W ostatniej chwili udało się więc domontować pointę odcinka.

LEW

*— Tym co na lepsze jutro wciąż liczą,
Mogę powiedzieć, że będzie byczo.*

W następnym epizodzie zatytułowanym **CZAS BYKA** uporządkowałem opis zdarzeń w rytmie tuwimowskiej „Lokomotywy”

Stała przed nami alternatywa.

Ciężka, tragiczna i obrzydliwa.

Po prostu krzywa!

Choć projekt dała swawolna Mucha,

Wyżel ochoczo sprawę rozdmuchał!

Buch jak gorąco, puff, jak nęcąco,

Uff, jak śmierdząco.

Gdy stary Zarząd już ledwie zipał,

Wyżel pojemnik teczek rozsypał (...)

W nich pomówienia, fałsze i gafy,

ucho od śledzia, szyja żyrafy,

garb od wielbłąda i strusia jajca,

Starczy by nawet Lwu krzyknąć: Zdrajca! (...)

Mieszalek już kończył, opróżnić chciał salę,

A tam w telesuple dawali Koalę:

„Rodacy, jest cacy, a będzie pomyślniej,

Gdy dacie Koali dokończyć swa misję...”

Lecz Churał przyśpiesza zabawę w ogródku:

„Nie róbmy obstrukcji, głosujmy do skutku!”

„Co będzie to będzie” — szalona to gra.

„Obalić Koalę!” „Kto przeciw, kto za?!”

Gdzieś prężą się akta, czekając na gwizd,

By swych przeciwników uchwycić za pysk.

Mogliby to zrobić z największą ochotą.

„A jak, a jak to?”

„Tak to, to, tak to, to”

Nie ukrywam, w tamtym czasie kibicowałem Wałęsie. Wiedziałem o jego chwilowym załamaniu psychicznym, a także, ile wysiłku kosztowało Wachowskiego i Drzycimskiego skłonienie go, by pojawił się w Sejmie. Czy powodował nim lęk czy poczucie odpowiedzialności? Nie wiem. Następnego dnia — przejmowanie władzy przez Pawlaka i odwoływanie prezesa Romaszewskiego, obserwowałem od strony Belwederu, sącząc u Mietka słynny „mazut”, czyli mieszaninę whisky z colą. Jako niewyżyty historyk miałem niepowtarzalną sytuację oglądać jak tworzy się historia... Czy może kończy? Wówczas jeszcze łudziłem się, że Wałęsa z młodym Pawlakiem wykorzystają koniunkturę, wprowadzą model prezydencko — gabinetowy, wspólnie dokonają niezbędnych reform, bez oszołomskiego zaciętrzewienia, nie dopuszczą do umocnienia lewej nogi... Emocjonalnie zaś, chyba po raz ostatni sekundowałem Kuroniowi pisząc do ZSYP-u

Akces

Człowiek słucha, kojarzy i łza w oku się kręci:

wszystko w Polsce zrobili bezpieczeństwa agenci.

Przedsiębiorczy kapusie, z przebiegłością koszmarną,

KOR stworzyli i ROPCiO, KPN, Solidarność...

Za dolary i marki, ruble, jeny, złotówki,

szli do więzień, w pysk brali, urządzali głodówki.

Zagrzewali do walki nieświadome gry tłumy

I rozbili, przypadkiem nasz realny komunizm.

Z inspiracji KGB plan uknuli zdradziecki,

który cel miał wiadomy — zniszczyć Związek Radziecki.

*Spiskowali, motali, aby mieć rząd dusz i ster
kraju. Czysty Mecenas był i jego Minister.
Wiec gdy małość dziś skrzeczy, ta myśl targa człowiekiem.
— Skoro wszyscy ubecy, ja też chcę być ubekiem.*

Myliłem się. Ale kto się wtedy nie mylił? Gdzie należało szukać prawdy? Czasami tylko zdarzały się mi przebłyski, jak w piosence pochodzącej z tamtych dni.

Polskie numery

(muz. Wł. Korcz)

*W naszym dziejowym zoo–lotku
bywały passy dobre, złe.
Pomimo biadań naszych przodków
i „szóstki” przytrafiały się!
Czasem poeta nam wygarnął,
gdy naród zbyt się rozswawolił,
że decyduje solidarność,
a nie końcówka banderoli.
Lecz słowa wieszczą są, jak deszcz,
więc cóż na puszczy mógł grzmieć wieszcz?
40 i 4, 40 i 4 —
Historia robiła nam różne numery.
Istnieją już o tym rozprawy i teksty:
Był cud w 18, jak również w 20.*

39 — ty to Adolf i spółka

56 — wiemy, powraca Gomułka

60 i 8 Moczary i Kępy

a w osiemdziesiątym komunizm się stępił.

40 i 4, 40 i 4 —

Panowie, obstawmy na przyszłość numery!

Kto może w tej porze, nie czeka, lecz gra,

loteria, histeria, mizeria maja!

I znów mamy chęć na gierki,

— stawka wysoka, nam w to graj!

Pogramy w piegi, lub w numerki!

I tak zapłaci za to kraj.

Widzowie patrzą zdziwieni

na graczy, którzy jak we śnie,

mając wygraną już w kieszeni,

va banque rzucają zwidy swe!

Już wszelki autorytet zdechł

cóż nam praojce: Krak, Piast, Lech!

40 i 4, 40 i 4 —

Dziś sobie będziemy wykręcać numery!

Możemy się wspólnie, tumanić, przestraszać;

— Trzynastka jest moja!

— A czwórka jest nasza!

— Poczucie wspólnoty na haku powieśmy

papiery do ręki, nawzajem się skreślmy.

Najlepiej zaś działać na chybił i trafił

Kto przegra zarzuci, że sprawka to mafii.

40 i 4, 40 i 4 —

Jak długo czarować nas będą bajery?

Hej, zagraj narodzie co będzie, los da.

Loteria, koteria, mizeria maja!

Dla odpoczynku od polityki znów porcja frywolnego **Seksperta**

Trudne pytania — Proste odpowiedzi (I)

W każdej rodzinie zdarzają się chwile, kiedy chłopczyk albo dziewczynka zaczynają zadawać pytania. Rodzice często nie wiedzą, jak maja odpowiadać, a przecież nie można od razu lać dziecka po pysku, gdy się samemu nie wie. „Co ma zrobić dobry katolik, gdyby przypadkiem, po pijanemu, wszedł do sex shopu”? Co robić w takiej sytuacji? Pisać oczywiście do mnie, waszego pocieszyciela i powiernika. Specjalisty od hormonów i mormonów (co w pewnych sytuacjach wychodzi na to samo). Zakres mojej wiedzy jest tak obszerny, że potrafię znaleźć odpowiedź tak dla zakompleksionego rencisty, jak i rozwyrzonego trzylatka. Możecie być pewni, że nie zastosuję uników w rodzaju — dziecko pyta: „Co Adam i Ewa robili w Raju nocą?”, rodzic zaś odpowiada: „A odrobiłeś już rachunki, gówniarzu?”. O, nie! Jako ekspert dyplomowany odpowiadam wyczerpująco i zawsze zgodnie z prawdą.

Przeanalizujmy zatem sytuację A. — Pijany katolik przez pomyłkę wchodzi do sex shopu. Co ma zrobić? Ktoś podpowiada: powinien zdemolować lokal, spróbować sprowadzić ze złej drogi sprzedawczynię lub przynajmniej zamknąć oczy. Po trzykroć nie! Niech robi co chce: rozgląda się, zostaje, wychodzi... Albowiem, jeśli jest naprawdę dobrym katolikiem, to widoczne akcesoria czy wydawnictwa z niczym mu się nie skojarzą. Nieprawdaż?

Na pytanie B, to o Adamie i Ewie, też mamy parę odpowiedzi. Podchwytliwą — „A czy w Raju w ogóle była noc?” Dziecko przeciętne w tym momencie zacina się i możemy spokojnie zmienić temat. Jednak bystry milusiński już po chwili zauważa: „To co, raj był na biegunie i trwał tam non stop dzień polarny?” Wtedy nie pozostaje nam nic innego jak tylko szczerowość: „Co robili Adam i Ewa w nocy w raju? — Nocowali?”

Przy okazji parę odpowiedzi na listy.

„Kochany Poradniku — pisze do mnie niewiasta podpisująca się Niewolnica Zmysłów z Trzeciej Zmiany. — Trudności życiowe sprawiły, że pracuję w nocnym lokalu jako striptizerka. Mam wprowadzić na tę okoliczność dispensę od proboszcza, ale co mam robić, gdy po każdym pokazie, podczas przechodzenia nago ze sceny na zaplecze, rzuca się na mnie właściciel i wykorzystuje haniebnie? Zaznaczam, że czyni to samo z moimi koleżankami!”

Droga Niewolnico, jedynym rozwiązaniem, jakie się nasuwa jest program pod tytułem „Antystriptiz”. To znaczy wchodzi pani już *rozebrana* i ubiera się na scenie w takt muzyki, po czym zwiewa. A co do wykorzystywania koleżanek przez kapitalistę? Jedyna droga to założenie związku zawodowego. Na przykład pod nazwą „Rozbieralność”. Napisało do mnie również dziecko. Konkretnie chłopiec imieniem Kamil: „Czy możesz, mi poradzić? Mamusia i tatuś poddali się ostatnio zmianie pici. I teraz, jedno jest mężczyzną, a drugie kobietą. Jak do nich mówić? Do taty mam? Zaznaczam, że podobno sam pochodzę z próbówki.”

— Radziłbym mówić „tato” do lekarza. Na zakończenie odkrytka od Pustelnicy z Groty Łokietka. „Drogi przyjacielu! Od roku przebywam w jaskini, zamurowana przez, zazdrosnego męża. Jestem tu samiuteńka, jeśli nie liczyć małej myszki. Spędzam czas wyłącznie na medytacji. Ale od paru tygodni mam pewność, że jestem w ciąży. Co robić?”

Zapytać myszkę, czy nie jest przypadkiem szczurem? Albo Łokietkiem?

*

Wydarzenia, których szczytowym paroksyzmem była „Noc grubych teczek” pogłębiła dyskomfort „autora z własnym tekstem”. Jednomyślna publiczność z przed lat, dzięki której nawet estradowemu pingwinowi wyrastały skrzydełka, znikła już dawno. Z roku na rok rósł elektora oparty na PRL-owskich sentymentach. Wojna na górze przełamała „naszą” stronę, teraz wszere i wzdłuż pękał obóz prawicy, już wcześniej skłócony z Lechem. Miało to praktyczne skutki dla kabaretu. Żart przestawał być uniwersalny, satyryk stawał się nolens volens politykiem, chyba, że zataiwszy swoje poglądy stroił się w togę bezstronnego prześmiewcy. Osobiście nigdy nie przybierałem takiej pozy. Człowiek bez poglądów jest dla mnie dwuznaczny lub kabotyński. A dowcipkowanie w rodzaju, że wszystko to jedno wielkie szambo, zaś cyniczny polityk z lewa wart jest naiwnego polityka z prawa, nie odpowiadało ani moim poglądom, ani prawdzie. Jednak w publiczności, szczególnie tej młodszej narastało znużenie tematyką polityczną. Ludzie realizowali się w biznesie lub korzystali z tysięcy (i jeden) możliwości, jakie przynosił wolny rynek. Analizowanie i przejmowanie się imponderabiliami wychodziło z mody.

Właśnie podczas tych wakacji podjąłem decyzję wycofania się z estrady. Stopniowo! Powodów było parę. Występowanie w kabarecie przestało mi dostarczać przyjemności, każdy ostrzejszy żart powodował narażenie się jakiejś części publiczności. Poza tym już nie musiałem. Za odcinki ZOO

płacono mi całkiem godziwie. Natomiast życie w hotelach lub coraz częstsze nocne drzemanie w busiku prowadzonym przez Jacka Jankowskiego wywoływało we mnie uczucie bezsensownie traconego czasu. Skończyłem czterdzieści pięć lat, za dużo by zrezygnować z ambicji: czekały nie napisane powieści, sztuki, za mało, żeby zadowolić się kabaretowym rentierstwem. Zobowiązując się występować w imprezach bardziej prestiżowych, jak np. Festiwal w Opolu, zostawiłem zespół (Zygun, Kryszak, Zaorski, Domagała) z pełnym portfelem zamówień. Wprawdzie przeżywający szczyt popularności Jurek Kryszak wystartował równocześnie ze swoim recitalem, ale sadiłem, że w szeroko pojętym interesie wszystkich będzie zachowanie zwartości na każdym polu eksploatacji — radio, telewizja, estrada. I jakiś czas interes toczył się bez zgrzytów.

Nawiasem mówiąc w ZOO też odbył się festiwal **O POLE 92**. Wygrał w nim Byczek, w koncercie „Debiuty”. Z kronikarskiego obowiązku przytaczam ważniejsze z ówczesnych przebojów sezonu: Wyżeł zaprezentował „*Dawnych teczek czar*” Koala, z zespołem „Ryczące Czterdziestki” — „*Miś narodowi nie skłamię*”, Koziół „*Me z każdej męki będzie chleb*”, Hipek „*Po co nam to było*”, a chór meneli wykonał suitę na trzy butelki i sześć ogórków „*Wybijmy za błędy tych co są na górze!*” Nie czekając na koniec rządu Pawlaka, zmienionego przez Suchocką (Lamę) ogłosiliśmy w ZOO wakacyjną przerwę, (jeśli dobrze pamiętam poszły jeszcze dwa odcinki zmontowanych piosenek) mając nadzieję, że po wakacjach będzie śmieszniej. Lecz nie straszniej.

*

Dytyramb o strachu

*Gdy inni o odwadze piszą, sławią dumę,
ja wierszem chce strachowi wystawić monument.
Bo jest twórczy — tu fakty podam, ku rozwadze:
Ze strachu przed narodem komuch oddał władze,
„Solidarność” nam wybrał nasz lęk przed komuna,
a Lech Staną zwyciężył naszych strachów sumą.
Ze zgrozy przed teczkami Sejm działał rozumnie.
Z obawy przed Wałęsą ZChN wszedł w Unię.
Ze strachu w kraju ciągle jest ubaw po pachy...
Bo w końcu nasze motto brzmi: Strachy na Lachy!*

Sekspert również udał się na wczasy, tyle, że jak zwykle preferował wypoczynek czynny.

Sekspert — Wakacje i sumienie

Rok w rok, gdzieś na początku czerwca, a jak rok jest suchy to już w maju, ogłaszam stan podwyższonej gotowości. Nie ja jeden. Trwa ostry alert w jednostkach straży pożarnej i wśród ratowników słono i słodkowodnych. Więc co się dziwić nam, moralistom! Kto lepiej od nas wie, co grozi podczas wakacji. Z roku na rok powiększa się agresja kostiumów topless (lub nawet dupless). A bikini? Cóż może zasłonić skrawek materiału wąski jak atol przy atomowym biuście? I co się dzieje? Wszędzie na dobrego katolika czyhają pokusy grożącą przerwaniem trzeciego stopnia. Jak się ich ustrzec? Nie jechać na wakacje? Spacerować z zawiązanymi oczami? A natrętna woń olejków do opalania na jedynie pobieżnie umyтым ciałku..? Wspomniałem wprawdzie, że pokusy są dla nas potrzebne, jako narzędzie doskonalenia cnót i charakterów. Ale jak długo można chodzić na wciągniętym brzuchu, z rumieńcami do wewnątrz? Poza tym, zagrożenia bywają różne. Stosunkowo niewielkie wyzwania moralne stały na bezludnej wyspie przed Robinsonem, gdzie tylko Piętaszek and koza... Porównajmy to z dramatyczną sytuacją nauczyciela biologii, w żeńskiej klasie maturalnej, który bez drżenia ręki musi narysować swoim podopiecznym organy płciowe królika. Trudniej Eskimosowi odróżnić swoją małżonkę od fokii, niż Pigmejowi zamieszkującemu tereny, gdzie kobiety nie mają nawet gęsiej skórki zalecać, by się do nich nie zalecał.

I właśnie wakacje zmieniają nas, z zimnokrwistego Lapończyka w rozpalonego Hotentota. Gdzie nie rzucisz okiem nieprzebrane bogactwa naturalne. Nawet dla fachowca nie do przerobienia. Maksymalny grzesznik, porównujący swoje osiągnięcia z ogromem możliwości, przyznać musi, że jest to procencik w granicach błędu statystycznego.

Ale wróćmy do walki z pokusami. Naprawdę skuteczna metoda — to przegrywanie bitwy celem wygrania wojny. Szachiści nazwaliby to **gambitem erotycznym**. Aby poskromić oczopląs, ślinotok i grzeszne myśli należy już pierwszego dnia turnusu nawiązać stabilny flirt z osobą poważną, doświadczoną i możliwie bogobojną. To oczywiście grzech. Ale mniejszy. Po co bowiem są wakacje? Do wypoczynku. A jak realizujemy wypoczynek? Przez zmianę dotychczasowego trybu życia. Nikt więc nie neguje potrzeby wyjazdu mieszczuchów na wieś, chłopów do miasta, Górali nad morze, a Kaszubów w Tatry. Oczywiście w czasach realnego socjalizmu wypoczynek nie mógł być pełny — poza pejzażem za oknem, w Zakładowym Ośrodku Wczasowym spotykałeś się jak w pracy z tym samym dyrektorem, jego sekretarką, kadrową itp. To się na szczęście zmienia. Ale nie wolno się nam zatrzymywać w połowie drogi. Przecież, gdy chodzi o rzeczywistą odnowę psychiczną i fizyczną, trudno o większy absurd niż wyjazd z własną żoną. Jej i nasze zdrowie wymaga zmiany! Pozwólmy kobiecie odpocząć od nas. My też zatęsknimy, a powakacyjne poczucie winy sprawi, że będziemy dla siebie lepsi.

Natomiast stabilna przyjaciółka z turnusu już zadba, żeby nie latały nam oczy, byśmy prowadzili regularny tryb życia: śniadanie, obiad, podwieczorek i grzeczne noce bez szaleństw i popijaw.

Lekarze zalecają czynny wypoczynek. My moralisci — **uczynny**. Jak powiada klasyka — „Czyń bliźniej co tobie miłe!” A grzech? Moim zdaniem tak, jak na okres długiej podróży czy działań wojennych można uchylać posty, tak na wakacje należy się nam czasowe zawieszenie cyrografów małżeńskich — po prostu **dyspens**a. To, co w ciągu roku jest śmiertelnym występkiem, w lecie musi się mieścić w kategorii: sport, turystyka i rekreacja; zwłaszcza że hasło „w górę serca” o wiele łatwiej realizować, kiedy nie nosi się stanika.

*

Sekspert — W każdym sporcie dziewczyna

Czy jest coś bardziej odrażającego niż seks dla sportu? Można zrozumieć fatalne zauroczenie, towarzyski przymus, albo nieodpartą pokusę. Takie rzeczy się zdarzają i jestem przekonany, że na Sądzie Ostatecznym Mecen

As Anioł Stróż będzie nas bronił słowami: „Nasz klient miał w momencie dokonywania czynu zachwianą zdolność kontrolowania swojego postępowania”. Ale łajdaczyć się tylko po to, aby trafić do Księgi Rekordów niejakiego Guinnessa, którego samo nazwisko demaskuje, że to Żyd, mason, protestant i alkoholik? Skąd wiem, że alkoholik? Kto pił piwo marki Guinness — ten wie. Przez długi czas naiwnie myślałem, że seks dla sportu w ogóle nie istnieje. Oczy otworzył mi pewien Ratownik z Rewala (w dalszej części pogadanki nazywany Ratownikiem). Na pierwszy rzut oka odrażający podrywacz. Wyobraźcie sobie nieogolonego, łysiejącego kurdupła, z krzywym uśmiechem i szramą na policzku. Do nielicznych aktywów trzeba mu było zaliczyć kabriolet na podwoziu malucha koloru podnieconego łososia, przyczepę campingową i znajomości w dyskotecce — zblatowany bramkarz, zaprzyjaźniony barman i dyskretna babcia klozetowa. Poza tym był to facet nieprzyzwoicie pewny siebie i choć podsłuchując jego rozmowy z małolatami dochodziłem do wniosku, że jest głupszy od krzeselka, na którym siadywał, dziewczynom najwyraźniej odpowiadało takie wyszczekane krzeselko. Być może natura nie lubi zbyt dużej różnicy potencjałów. Któregoś poranka udało mi się nawiązać z nim znajomość. Była jedenasta rano. Wracalem z kościoła. On leżał na leżaku i regenerował siły. Noc musiała go wycieńczyć, był bowiem zielony, ale obecność chlorofilu w skórze powinna zapewne przyspieszyć asymilację. Wokół ani dziewczyny — wiadomo, że panienki w wieku nas interesującym nie zwykły wstawać przed południem. Podrywacza suszyło, a w nocy ktoś opróżnił mu lodówkę do dna. Więc kiedy zaproponowałem mu puszkę „Guinnessa” ustosunkował się do propozycji pozytywnie. W zamian podzielił się ze mną swoją bogatą wiedzą zawodową.

— Widzisz koleś, jest wiele dyscyplin podrywaczych — chrypiał. — Są więc **sztangiści** — ci zwykli obliczać swój przerób w kilogramach żywej wagi. Konkurencja składa się z trzech faz — rwania (towaru), wyciskania (łez) i odrzutu (zużytej partnerki). Osobiście nie mam nic

przeciwno sztangistom, nie cierpię tylko podgrupy **ciężarowców**, którzy uprawiają sport bez zabezpieczenia i odzieży ochronnej. Jeszcze bardziej cenię **wędkarzy**, sam lubię, kiedy rybka łapie haczyk. Potem już zawsze ten sam kołowrotek. Stosunkowo często spotykam też **cyklistów**. To tacy szpanerscy gadacze, którzy lubią być w kółeczku niezłych szprych. No i są **zapaśnicy**. Ratownik — zapaśnik — to jest moja konkurencja.

— Czy to tacy, co robią zapasy na przyszłość? — zapytałem. Roześmiał się.

— Nazywamy się zapaśnicy, ponieważ bez ceregieli łapiemy panienkę za... nazwijmy rzecz po staropolsku, zapaskę. Zapaśnik nigdy nie ma za dużo czasu, natomiast nosi z sobą lekką trzciniową matę, na którą już po krótkiej rozmowie rzuca zawodniczkę. Aby za bardzo jej nie przestraszyć, uspokaja panienkę metodą usta — usta, potem masażem pobudza system krążenia. Jeśli dziewczyna uznaje się za pokonaną powinna trzykrotnie klasnąć ręką o matę, od tego momentu należy brać się za następną.

— Za następną? To przepraszam takie zawody nie odbywają się raz w sezonie?

Popatrzył na mnie jak na wariata.

— W zeszłym sezonie wyłowiłem z tłumu trzysta dwadzieścia cztery plażowiczki. Daje to całkiem niezły wynik — 0,34 partnerki na godzinę. To nie uwzględnia faktu, że cały czas miałem wiatr prosto w oczy, oraz że byłem zatrudniony na trzy czwarte etatu.

Wyjąłem kalkulator. Tylko machnął ręką.

— Daruj pan sobie, klub uwzględnił mój tegoroczny wynik: Co czternaście minut i dwadzieścia trzy sekundy, w ciągu każdej nocy. Mam szansę na rekord Europy, tym bardziej że zdyskwalifikowano zeszłorocznego medalistę, boya hotelowego z Barcelony, Sancho Martineza, który jakoby zaliczył dziewięćdziesiąt osiem panienek w ciągu doby, ale jury d'appel stwierdziło, że dokonał tego czynu do spółki z braćmi bliźniakami, szwagrem i czwórką sędziów.

Westchnąłem głęboko. Zauważył to.

— A może chce mnie pan zastąpić wieczorem? Mam ochotę pójść raz na film, a nie do kina.

— Ja?

— A co się pan tak dziwi? Towar nieprzerobiony się zastoi.

— Ale jak mógłbym...?

— Zrobię panu wejście w dyskotecę. Powiem, że jest pan reżyserem filmowym.

— Ale nie jestem.

— Ale mógłby pan być. Rozpuścimy wici, że organizuje pan dla panienek w mojej przyczepie

próbne zdjęcia. Majtek!

Przeleciałem w myślach swoich dwadzieścia pięć lat małżeństwa i odezwał się w mózgu robak pokusy, że nareszcie warto byłoby „przelecieć” coś innego. Moje wejście do klubu, nie powiem, wzbudziło pewne ożywienie. Zaraz przyplątała się długonoga Lolita. Postawiłem jej drinka. Wypiła. Realizując ściśle polecenia Ratownika wziąłem ją za rękę i pociągnąłem w stronę przyczepy. Nie oponowała. Do licha, czyżby było to aż tak proste? Aliści im bardziej posuwałem się w głąb przyczepy, tym większe ogarniały mnie skrupuły. Zagadnąłem coś o Słowackim — panienka nic. Weszliśmy do środka. Zdjęła bluzeczkę, spódniczkę i składając je starannie, położyła na taboreciku.

Nie wytrzymałem.

— Pani jest zachwycająca i taka młoda, toteż muszę uprzedzić, że nie jestem reżyserem filmowym, a jedynie dobrym katolikiem na urlopie...

Nie wiedziałem, że lolity tak biją. Jak to mówił Słowacki: „Duchowi memu dała w pysk i poszła”, a ja zapisałem w mych memuarach: „Jeżeli prawda musi zwyciężać, to dlaczego do cholery, wybiera sobie zwycięstwa pyrrusowe”.

*

Wakacje 1992 spędziłem na rodzinnej włości w Francji. W Chamonix wjechaliśmy kolejką na Mont Blanc du Midi, świeżo po lekturze „Pachnidła” Siiskinda odwiedziłem Grasse, gdzie rzeczywiście nawet mury pachną olejkiem różanym, potem było parę dni spędzonych na Lazurowym wybrzeżu, skąd wzdłuż Loary pośpieszyliśmy ku Dijon i Paryżowi, zatrzymując się o zmierzchu w zrujnowanym opactwie Cluny i przezywając niezwykłą dobę w Sanktuarium w Taizé. (Po latach umieszczę tam znaczną część mojej powieści „Rekonkwista”). Camping w Fontainebleu stanowił świetny punkt wypadowy do zwiedzania Paryża. Co dzień dojeżdżaliśmy samochodem do bramy Orleańskiej, a dalej metrem, w miasto. Dla Mateusza i Julii była to doskonała lekcja historii, dla mnie ładowanie akumulatorów.

Wbrew obawom, po wakacjach ZOO wróciło na antenę. Pojawiły się nowe lalki obok **LAMY** (Suchockiej), wyciągniętej, jak królik z kapelusza przez prestigitatora Kozła — nowymi pyskami w menażerii byli **OGAR MILCZEK** (Milczanowski) i **TYGRYS** od spraw Obrony (Onyszkiewicz), z nieodłączny rowerkiem. Pojawił się też antagonistą władzy **ŻUBR**, czyli lider mazowieckiej „Solidarności” Maciej Jankowski, znany mi osobiście z czasów „Stodoły”, gdzie — w latach siedemdziesiątych był bramkarzem. O nowym rządzie udziernianym z Unii Wolności i ZChN-u, przy milczącej aprobacie SLD dosadnie był się wyraził **LEW**:

*Na razie zszyto pod mom obroną,
Ogień etosu z wodą święconą. (...)
Niemniej garnitur ciągle dziurawy,
Są dwie kieszenie formatu worka,
Jedna nogawka i trzy rękawy.
Wręcz babski fason — bo brak rozporka*

Na wybiegu pojawiła się też po raz pierwszy **ZOOBRONA**. Lepper jednak nie zasługiwał moim zdaniem na osobną lalkę, tym bardziej, że świetnie parodiował go „w żywym planie” Zaorski. Atmosferę tamtych dni oddawała, jedna z, moim zdaniem, lepszych piosenek, jakie wyszły mi w spółce z Korczem.

Było minęło

*Lista bajek jest szeroka
lecz tak już w dziejach bywa,
że gdy szewc zabije smoka,
wnet historia się urywa.
I nie informuje dzieło,
jak żył dalej król, szewc, lud
Było minęło, było minęło, było minęło
— I kaput!
Lecz ciąg dalszy jest w zapiskach
król oddaje stanowisko
solidarność ludu pryska*

i się robi dziwnie ślisko.

— Mnie zawdzięcza kraj ten przełom!

— Woła ciura, herold, paś.

Było minęło, było minęło, było minęło

— Stara baśń!

Nie przebiegły cztery roki,

a już gadki brzmią pokrętne:

— Ten gad swoje miał uroki!

— A szewc smoka był agentem!

I nie jeden kameleon

chciałby szewca miejsce brać.

Było minęło, było minęło, było minęło

— Kurza nać!

Siarki zapach czuć w powietrzu,

jak baśń długa i szeroka.

Coraz więcej dzielnych szewców,

Zwłaszcza, kiedy nie ma smoka

Cóż, zwycięzcy się wymknęło:

— „Każdy z was być może lwem”

Było minęło, było minęło,

było minęło Happy end!

Stąd praktyka u piszących,

zwłaszcza dla odbiorców młodych,

*że należy bajkę skończyć
zanim się rozpoczną schody.
Nim idei zgaśnie neon,
a mit znajdzie się na dnie.
Było minęło, było minęło,
było minęło Albo nie...*

Sekspert — Diabeł z rozkładówki

Stosunkowo niedawno, na podwieczorku autorskim, jedna ze słuchaczek zapytała mnie: Co uważam za największe zło współczesnych czasów? Odpowiedziałem bez wahania — **pornografię!**

Tak, tak dzieciętki. Pornografia to szatan wcielony w taśmę BASF, czy też papier z gatunku Kodak kolor. Każdy, kto trzymał coś takiego w ręku (mnie zdarzało się dotykać tych świństw wyłącznie służbowo, podczas prac Komisji Parlamentarnej do Spraw Wartości Chrześcijańskich) wie, że jest to narkotyk niszczący charakter człowieka, jak również jego naturalne podniecenie. Pardon! Chciałem powiedzieć — otoczenie. I nie chodzi tu o łatwe wywoływanie na żądanie obrzydliwego podniecenia. W końcu różne rzeczy ludzi podniecają. Mój kolega zwykł trzymać w biurku rajstopy sekretarki, innemu wystarczał pospolity biurowy dziurkacz. Nie mówię również o indywidualnych wypadkach porażenia pornograficznego — Pewnemu maturzyście z Grodziska uschła ręka, pies jednej obywatelce zjadł „Playboya” i się wściekł, a płoża dziewczica z Kolbuszowej, po przypadkowym obejrzeniu kasety porno, powiła parzystokopytne dziecko z twarzą Urbana. Pornografia niszczy człowieka przede wszystkim przez zniechęcenie. Kto, naoglądawszy się setek rozkładówkowych lafirynd o silikonowych piersiach i pośladkach, prosto od krawca, spojrzy jeszcze na swoją starą żonę?! A kompleksy? Jest w Nowym Jorku Turek, nazywany przez znawców pięćdziesiątką piątką (i to mierzoną w calach). Jeden mój uczeń, gdy się o tym dowiedział, wpadł w apatię, a inna uczennica wyjechała do Nowego Jorku. Mimo mojej natychmiastowej interwencji wspomniany uczeń już się nie pozbierał — nie wychodzi z domu, w toalecie gasi światło i telefonuje do fabryk tworzyw sztucznych. Ruina człowieka!

A czym grozi pornografia, jako zły przykład do naśladowania, doświadczył mój sąsiad, który raz pokazał takie video żonie. Skłoniony do przerobienia kursu „Kamasutra w weekend” o mało nie umarł. Musiałem mu wystawić zaświadczenie, że powyżej trzech razy, w ciągu jednej nocy, z własną żoną jest szkodliwe. Pornomaniak raz trącony paskudnym hobby jest jak narkoman na głodzie. Stale oglądałby tylko substytuty, tracąc kontakt ze światem realnym. I już nie polecą na

piękne ręce Matki Polki dźwigającej siaty z bazaru, czy spracowane uda traktorzystki. Wyobraźnia karmiona tą „gumą do żucia dla oczu” karłowacieje, obniżają się wyniki w pracy zawodowej, a potomstwa jak nie ma, tak nie ma. Czy jest z tego jakieś wyjście? — Zamknięcie porno-shopów i przydzielenie koncesji na czasopisma wydawane wyłącznie na papierze pakowym, bez fotografii, to najwyżej pierwszy krok. Nałogowiec pozbawiony świńskich widoczków sam je narysuje — byle gdzie i byle czym. Naprawdę skuteczne jest tylko działanie klin — klinem. Jeśli nie ma sposobu na oderwanie obywatela od pornografii, należy namówić go na zasadzie mniejszego zła, żeby został dziwkarzem. A jak leczyć dobrych katolików z dziwkarstwa, opowiem w jednym z następnych wykładów.

*

Sekspert — Bez dyskryminacji

Zawstydziła mnie ostatnio Wierna (mężowi) Czytelniczka z Raciąża, zarzucająca mi dyskryminację kobiet. Mnie? Trudno o bardziej krzywdzące stwierdzenie. Ja kobiety kocham, cenię i szanuję. O wiele bardziej niż na to zasługują. Dopuszczam nawet równouprawnienie, choć z oczywistymi ograniczeniami. Mężczyzna powinien mieć kategoryczny zakaz wstępu do kuchni, a kobieta choć może mieć prawa wyborcze, to musi zawsze głosować tak jak mąż. (Słyszałem raz podczas kazania — katolik ma głosować na katolika, Żyd na Żyda, a żona na męża!).

Jako zdeklarowany demokrata, nie mam nic przeciw, aby w małżeństwie aprobować pozycji „na jeźdźca”, chociaż zalecałbym trudniejszą, ale przyzwoitszą postawę „na Amazonkę”. A jednak czytelniczka, zarzuciła mi w swoim liście, że wszystkie moje wykłady adresuję do mężczyzn.

„Przecież — pisze Raciążanka — kobieta jest zawsze stroną słabszą.” Słabszą? Uwierzyłbym, gdybym nie widział, jak moja kuzynka potrafi unieść męża za uszy, okładając go przy tym rzemieniem tak, że biedaczyna aż piszczy.

Ale dobrze, poprawię się. Dziś coś dla was, Drogie Panie. Na pierwszy ogień — **Jak odpowiadać na nieprzyzwoite propozycje?**

Wątpliwość rodzi się już na wstępie. Która propozycja jest przyzwoita, a która nie? Wampir z Wienerwaldu zwabiał swoje ofiary do ustronnego kościółka, obiecując wspólne modlitwy. Natomiast pewna świątobliwa Tajka z Bangkoku zachowała cnotę, pracując sześć lat w domu publicznym (jako księgowa). Jak więc na pierwszy rzut oka odróżnić dobrego katolika od cynicznego uwodziciela? Jak zorientować się, czy za propozycją obejrzenia kolekcji znaczków pocztowych kryje się trzęsawisko chuci, czy nudny wieczór przebierania między ząbkowanymi a ciętymi?

Życie nauczyło Was, Drogie Siostry, czujności. Hasła — garsoniera, praca po godzinach, wspólny weekend czy zwrot „właśnie wyjechała moja żona” włączają w waszym moralnym komputerze program „czujność”, co zazwyczaj mężczyznom psuje zabawę, a was wpędza w staropanieństwo.

Są dwie szkoły wczesnego rozpoznawania. Pierwsza opiera się na słynnej kobiecej intuicji. Należy absolutnie bezkontekstowo ocenić nagabywacza. Jeśli mężczyzna się podoba — ma czyste zamiary; brzydzi — uwodziciel! Sęk w tym, że intuicja lubi, za podszeptem Lucyfera, wprowadzać Was w błąd. Dlatego szkoła druga zaleca metodę prób i błędów. Spotykając się z samczą propozycją nie odrzucacie jej, lecz testujecie. Kto się boi, może wzorem ostrożnego alpinisty zawczasu przygotować sobie asekurację. A zatem na spotkanie w garsonierze zabieracie koleżankę, przed biurem, gdzie zamierzacie pracować z szefem po godzinach, spaceruje wasz starszy brat. A głęboko, za dekoltem „czuwa” pojemnik gazowy napełniony wodą święconą.

Tyle że asekuracja ma spora wadę. Mężczyznę wrażliwego (takiego jak na przykład ja) bardzo łatwo zrazić. Poza tym, może się zdarzyć, że po wizycie w garsonierze wychodzicie, a koleżanka przyzwoitka (czy raczej nieprzyzwoitka) zostaje. Brat przed biurem zamiast pilnować Waszej godności, wynajmuje przechodniom — erotomanom lornetkę i pozwala nas podglądać, a pojemnik z wodą wpada w ręce niedoszłego kandydata na męża, który się nią ochładza i zamiast Was napastować, odmawia litanie.

Dodatkowym kłopotem w odróżnianiu uczciwego obywatela od bezecnego podrywacza jest fakt, że mężczyźni też potrafią udawać. Nie jesteście w tej sprawie, Drogie Panie, bez winy. W literaturze i filmie roi się od dowodów na to, że wolicie zimnych drani, ognistych brutali i chamowatych osiłków, od wrażliwych, i odpowiedzialnych obywateli na stanowisku. Wbrew zaleceniom H. Sienkiewicza większość z Was będzie w głębi serca przedkładała seks z Bohunem i Azją niż pożycie ze Skrzetuskim i Europą.

Ze wstydem przyznaję, że ja sam, którego moralność nie może budzić niczyjej wątpliwości, musiałem wielokroć podszywać się pod obrzydliwego uwodziciela, maskować swoje cnoty i zalety, aby nie zostać odpalony już przy pierwszym podejściu. Najlepiej jeśli to, że jesteśmy dobrym katolikiem wychodzi na jaw dopiero po ślubie. Tu uwaga dla pań, które nie trzymają parametrów urody na poziomie Joanny Pacuły i dodatkowo wypadły z limitu wieku. Nie wybrzydzajcie zanadto w czasie przebierania. Wystarczy, jeśli w bilansie wstępnej oceny mężczyzny plusy zrównoważą się z minusami. Łapcie okazję i trzymajcie, ponieważ może się nie powtórzyć (przynajmniej w tym kwartale).

Przy okazji przypomniła mi się trzecia (obok intuicji i prób) szkoła rozpoznawania **Właściwych Kandydatów**. Jest nią **Wywiad Środowiskowy**. Należy sprawdzić zawczasu, czy ewentualny Ojciec Waszych Dzieci kocha swoją matkę (byleby nie za bardzo!), nie pije (częściej niż raz dziennie) i czy oddaje się praktykom (religijnym)? Oczywiście na bezrybiu można polecieć i na skończonego ateusza. Tak, nie przesłyszaliście się. Ponieważ większość mężczyzn jest leniwa, perspektywa dobrej kuchni, wygodnego mieszkania i wysokiego konta na książeczkę może usidlić nawet seksualnego kłusownika, a z wiecznie polującego drapieżcy uczynić zwierzę domowe. Kobieta ma naprawdę ogromne możliwości wychowawcze. W jaki

sposób? Najlepiej przez ograniczanie obowiązków małżeńskich, tłumienie grzesznych zachcianek, nie podkreślanie swojej urody, tycie, zrzędlivość i małoduszność. Ręczę, że najgorszy nawet ogier, już po paru latach małżeństwa, zrezygnuje z molestowania Was w dzień i w nocy, a zacznie traktować jak siostrę. Zakonną. A jeśli macie już dzieci, dom, status mężatki i podwójne nazwisko w dowodzie osobistym, możecie uznać się za niewiastę szczęśliwą i nie dyskryminowaną przez los.

A więc podsumowując — jak odpowiadać na nieprzyzwoite propozycje? Przyzwoicie. Ale odpowiadać.

*

Początek jesiennych rozgrywek politycznych skwitowałem w ZOO kolejną piosenką z muzyką Korcza.

Graj obywatelu

Znów rusza nasza ekstraklasa,

jesiennej tury czas.

Znów towarzystwo się rozhasa,

mimo apatii mas.

Sypią się karne, faule brzydkie,

co chwila aut lub róg.

Jest taki nastrój nad boiskiem,

że nawet swój to wróg!

Graj, graj, obywatelu,

na ligę polska graj,

Wprawdzie kibiców niezbyt wielu,

lecz dość na maty kraj.

Zwłaszcza, że to dla twego dobra,

te wszystkie kanty w grze,

bo chociaż bramka jest okrągła,

to piłek więcej niżli dwie. (...)

Dość często spotykaliśmy się w tamtym czasie z zarzutem dworskości? Odpierałem go twierdzą, że dworskość oznacza lojalność, więcej, służebność wobec dworu, ktokolwiek go zajmuje. To prawda, ciągle pozostawaliśmy pod urokiem Wałęsy. (Może za mało go znaliśmy) Dyskutowałem godzinami z Andrzejem Drzycimskim, jak historyk z historykiem, wysłuchiwałem anegdot i plotek towarzyskich od Wachowskiego. Nie znaczyło to jednak, że gotowi byliśmy bezkrytycznymi popierać politykę Belwederu, gdyby taka nawet była. Zdawało się nam, że Wałęsa i wspierany przezeń rząd Suchockiej stanowią wysepki stabilizacji na wzburzonym morzu populizmów, pełnym raf demagogii i oszalałych bałwanów... (bez nazwisk!) Wspólnie z kolegami wierzyliśmy, czy raczej chcieliśmy wierzyć, że Lech ma w zanadrzu, jakaś receptę na Polskę — silną prezydenturę, rządzenie dekretami, choćby za cenę falandyzacji prawa. Życzyliśmy mu jak najlepiej. Na co dzień i od święta. Napisałem nawet wiersz, który Wiola Zaorska zaniosiła prezydentowi z okazji imienin, czy urodzin, zakończony zwrotką:

Jak najmniej napięć, spięć i iskrzeń,

W obwodzie co od Tatr po Bałtyk,

Takie życzenia najprawdziwsze

Składają dziś Lwu — jego małpy.

Przykre, ale nasze sympatie podzielało coraz mniej Polaków. Ówczesny obraz nastrojów rewindykacyjnych utrwaliłem w piosence, która szybko weszła do repertuaru naszego kabaretu:

Quo vadis klaso?

(muz. Włodzimierz Korcz)

— *Co tak dudni? Co tak huczy?*

— *Co tak człapie w chaszcach?*

— *Kogo niesie w słotną jesień,*

od miasta do miasta?

Zacisnąwszy mocno pasa,

z desperacją na obliczach,

idzie klasa, pierwsza klasa,

klasa robotnicza!

— *Nam nie szumi las szturmówek*

— *Władza nie popiera*

— *Przyjdzie prosić na przednówek*

o łaskę bankiera

— *Oni tyją, a my w biedzie,*

Czas przywołać by Illicza!

— *Dokąd idziesz? Dokąd leziesz?*

Klaso robotnicza?

Coraz więcej bezrobocia.

A miała być bajka!

Po muzeach dziś styropian.

— *Nie wygrasz na strajkach*

— *Wleźli tu na naszych plecach*

— *Z dawna znany to obyczaj*

Dokąd dąży, gdzie pośpiesza

klasa robotnicza?

— *Już nie kocha nas artysta...*

— *Gdzież są o nas sztuki?*

— *Pan poeta wykorzystał,*

a następnie rzucił

— *Ale przyszłość będzie naszą!*

Wyczytalim to z adresu

— *Dokąd idziesz pierwsza klaso?*

— *Do szkoły! (Biznesu!)*

*

Sekspert — Dyscypliny kobiece

Wstyd powiedzieć, ale oprócz seksu sportowego mężczyzn pełni się, może nawet jeszcze częściej, seks sportowy kobiet! Zgroza! Starożytnym Grekom to się w głowie nie mieściło. I może dlatego te pedały wyginęły. Przez parę lat, które upłynęły od spotkania z Ratownikiem z Rewala studiowałem ten ponury, feministyczny temat, pogłębiałem go, drażyłem, obracałem wieloaspektowo i niestety, jak dobra gospodyni musi spróbować mieszanej zupy, tak ja też musiałem degustować.

Odkryłem przeogromne bogactwo dyscyplin — poczynając od tak tradycyjnych, jak skok o **erotyczne, bieg bez przeszkód**, po ozdobę imprez zimowych „**bajery**”. Nadto wraz z agresywnym kapitałem pojawiły się konkurencje nowe, już w samej nazwie wstrętne, jak choćby wielobój nowoczesny składający się z trzech etapów — **dressing, petting i leasing**. Tfu! A gry małoobsadowe w rodzaju, **jazda figurowa na trawie**, parami. Czy drużynowe, np. **golf** polegający na tym, że grupa bachantek łapie samotnego mężczyznę, narzuca mu golf na głowę... Najokrutniejsza a zarazem ulubiona gra prowokaterek to **koszykówka** — rozpalić faceta i dać mu kosza.

Jest i **odwrotna strona motelu** — równouprawnienie dokonuje straszliwych spustoszeń i dziś nawet najspokojniejszy obywatel może zostać napadnięty przez wczasową uwodzicielkę. Moim obowiązkiem jest was przestrzec, koledzy. Uciec nie dacie rady, ale możecie być przynajmniej przygotowani. Psychiczenie. Na wszelki wypadek podaję portret pamięciowy takiej osobnicy:

Po pierwsze — wygląd nie taki, jaki byśmy sobie wymarzyli. Po drugie, rekwizyt (notesik).

Kobieta podrywaczka ma go zawsze przy sobie, nawet jeśli nie nosi torebki. Po co? Gdzieś musi uwiecznić swoje zdobycze, czyli nas, żeby później pochwalić się przed koleżankami. Po trzecie — perfidia. Właśnie perfidia jest główną cechą różniącą niewiasty od mężczyzn. My nie ukrywamy swoich zainteresowań, uczuć czy sportowych namiętności. Kobieta nigdy nie jest aż tak precyzyjna i uczciwa. Najbardziej odrażająca podrywaczka potrafi tak zaaranżować sytuację, aby propozycja pogłębienia znajomości wyszła od jej ofiary; ergo żeby grzech spadł nie na nią, a na nas. I to nie tylko grzech, również odpowiedzialność i koszty. Co gorsza, gdy już damy się złapać i zaangażujemy emocjonalnie, kobieta najczęściej wykręca się sianem. I bólem głowy.

W swojej bogatej karierze eksperymentatora raz tylko otrzymałem propozycję wprost. Stałem właśnie w hallu hotelowym, czekając na znajomego Araba, z którym miałem przeprowadzić dyskusję na temat poligamii, kiedy zostałem nagabnięty przez niewiastę: „Czy mógłby pan zaprowadzić mnie do pokoju?”

Serce zabiło mi radośniej, tak że zaofiarowałem się, iż również zaniosę walizki. Ochłonałem dopiero po drodze. Okazało się, że walizki ważyły ponad 50 kilo, a autorka propozycji miała też ponad pięćdziesiątkę, była prawie ślepa, a mnie wzięła za boya hotelowego. Po przybyciu do numeru, nie tylko nie poleciła, abym spożył z nią kolację, ale nawet nie dała napiwku, rzucając tylko „Bóg zapłać” (Miłe, ale niewymienialne w żadnym kantorze). Któż więc może się dziwić, że kiedy słyszę hasło: ulubiona męska dyscyplina dla kobiet — odpowiadam rzemienna, na koziej nóżce!!!

*

Sekspert — Trudne pytania — proste odpowiedzi (II)

Korespondencja z kursantami jest obowiązkiem tyle zaszczytnym, co niebezpiecznym. Obok pytań, życzeń, zażaleń, zdarzają się również propozycje. Papier jest cierpliwy, ja nie zawsze. Napisała do mnie Dziewica z miejscowości Łapy (Swoją drogą jakim cudem uchwalała się Dziewica w Łapach?), z propozycją zapłodnienia in vitro i przy okazji poprosiła o moją fotografię. Po co foto skoro ma być in vitro. Odmówiłem.

Zwrócił się do mnie „Żonaty z Ostrołęki” prosząc mnie o samopomoc chłopską, ponieważ sam nie wyrabia. Odesłałem go do miejscowych ciał charytatywnych.

Codziennie pocztą dostaję dziesiątki próśb, abym został Ojcem Chrzestnym, co jest niestety dowodem na to, że istnieje u nas rosnące zapotrzebowanie na mafię.

Zwróciła się do mnie również „Zrozapczona z Przeworska”, cytując: „Jadąc zatłoczonym pociągiem osobowym z Przemyśla do Świnoujścia zwrócił moją uwagę pasażer znajdujący się bezpośrednio za mną. Ponieważ wiało od niedomkniętego okna, rycersko podzielił się ze mną swoim płaszczem. Był wspaniały i ciepły (podobnie jak płaszcz). Niestety opuścił mnie gdzieś

w okolicy Krzyża. Wiem, że miał na imię Marcin. Obiecał zatelefonować do mnie, do Przeworska, ale nie zadzwonił. Jestem w rozpacz. Tylko Pan może mi pomóc! Posyłam zdjęcie. Oczywiście nie Marcina. W osobowym był taki tłok, że nie mogłam nawet odwrócić się i mu przyjrzeć, ale jestem pewna, że mój dwuletni Jacuś jest bardzo podobny do tatusia. Z pobożnym westchnieniem. Zrozpaczona.”

Droga Zrozpaczona! I na co ty liczysz? Wszak nie każdy nieznajomy, który podzieli się płaszczem, to od razu Święty Marcin. Trzeba było się zastanawiać wcześniej, przed kim stoisz. Przecież mężczyzna, podróżujący pociągiem osobowym z pewnością nie jest zamożnym biznesmenem ani posłem, a już na pewno świętym. Więcej odpowiedzialności w wybieraniu sobie ojców dla dzieci! Człowiek, nawiązujący równie łatwo znajomość z kobietami w środkach komunikacji publicznej z pewnością nie jest dżentelmenem. Nadto, jeśli dotychczas nie zatelefonował, to po moim apelu nie zrobi tego tym bardziej. Poza tym nie można sądzić o kimś, że jest odpowiednim partnerem tylko po fakcie, że zmierza prosto do Krzyża. Na przyszłość radziłbym nawiązywać kontakty w biznes klasie samolotów SAS, Delta lub British Airways, po uprzednim poznaniu imienia, nazwiska, grupy krwi i numeru konta mężczyzny (przy krajowcach nie zapominać o PESEL-u). Zapobiega to późniejszym bolesnym rozczarowaniom. Przy okazji, zdjęcie nie jest żadnym dowodem. Uderzające podobieństwo Jacusia do mnie jest zupełnie przypadkowe. Jeśli chodzi o trasę Przemyśl — Świnoujście, nie stałem nawet koło toru!

*

Powyższy incydent skłania mnie do zajęcia się innym tematem powtarzającym się w korespondencji. Brzmi on „**Bocian a sprawa dziecka**”. Na krzywe uśmiechy ateuszy podłego autoramentu odpowiadam — tak zwana nauka nie dała jeszcze na wszystko jednoznacznych werdyktów. A odpowiedź na pytanie, skąd się biorą dzieci? — Z miłości do bociana, wcale nie jest pedagogicznym unikiem.

Nie da się przecież zaprzeczyć, że przyrost naturalny w krajach, które bociana wytepiły jest zerowy (albo i gorzej). Natomiast tam, gdzie tych sympatycznych długonogich Kajtków jest w bród liczba noworodków trzyma się górnej strefy stanów wysokich — Rumunia, Albania, do niedawna Polska, Białoruś, a nawet Egipt, gdzie bociany zimują... I co na to kpiarze i niedowiarkowie?

Przy okazji zbiorcza odpowiedź na wiele listów (od Ojca Wesołej Trzynastki, od Sióstr Skrytek z Koluszek, od „zakochanej w Marku Jurku” i wielu innych) z pytaniami: Co sądzę o środkach antykoncepcyjnych? Nic nie sądzę, albowiem znam je tylko ze słyszenia i się nimi brzydzę. Cóż oznacza bowiem sam termin — **antykoncepcja**? Działanie przeciwko koncepcji, czyli przeciw myśleniu nad konsekwencjami swoich czynów. Dlatego, w sytuacjach wyższej konieczności polecałbym ludowe metody antykoncepcyjne, polegające na ogłuszaniu się przez walenie głową o ścianę, lub spożywaniu nadmiernej ilości napojów wysokowych. Gwarantuje to że:

a. Nic nie będziemy mogli zrobić.

b. Jeśli nawet coś zrobimy, nie będziemy o tym pamiętać.

c. Towarzyszająca nam w czasie libacji partnerka, na trzeźwo nigdy nas nie rozpozna i nie zaskoczy alimentami.

Ostatni list w powyższej sprawie. Grupa młodzieży ze Szkoły Podstawowej w Ząbkach (filia w Mordach) im. Dziewicy Orleańskiej (dawniej Emilii Plater) zapytuje mnie, czy na obóz harcerski lepiej — brać gumki czy sprężynki?

Nie znam się na robieniu wecków, ale jeśli chodzi o walory rozrywkowe to można wziąć jedno i drugie, drodzy druhowie. Traktując zestaw łącznie, bez większego trudu będziecie mogli sporządzić doskonałą procę, którą przy celnym oku da się ustrzelić nawet bociana!

*

Jesienią do mojej menażerii zawitały kolejne zwierzaki — najpierw **KUMAK POLNY** czyli Aleksander Hall, wybitny ideolog prawicy, a w jakiś czas później **KOZIOROŻEC** (Jan Maria Rokita), chociaż wszyscy mówili o nim dosadniej — Diabełek.

Arogancka bestia, na osiem łap kuta

Dwojga imion Adam i Ewa Boruta

Był to kłopotliwy wyjątek w zoologicznej regule, który jednak rozwiązałem, odważnie zaliczając diabła do parzystokopytnych. W ZOO robił się tłok. Niektórzy uważali, że mnogość postaci szkodzi potoczności dramaturgii. Jednak nowe problemy powodowały konieczność wprowadzania nowych zwierzaków. Rozgrywki między starymi opisaliśmy po wielokroć. Tu parę słów o zasadzie doboru — obok postaci trafiających do programu niejako z urzędu, na przykład kolejni premierzy, kierowałem się zasada reprezentatywności — skoro z ZChN-u miałem już Łosia i Wyżła, Niesiołowski (**NIETOPERZ**) długo czekał na zaistnienie w menażerii. Bywało również, że jakaś postać straciła na znaczeniu — Jaruzelski, Miodowicz, Tymiński, ale przy prezentowaniu niektórych spaw w ZOO okazywała się jeszcze użyteczną. Ważna była poza tym wyrazistość, kilka postaci ważnych ale bezbarwnych nie zmieściło się w stawce. Decydowała również charakterystyczność głosów — np. falset Halla czy francuskie „r” u Rokity.

Czym żyliśmy tamtej jesieni? Z krajów ościennych dochodziły wieści o sukcesach partii postkomunistycznych. W Rumunii, na Litwie i Łotwie prawica była w defensywie. Toteż cieszyło się bractwo Dzika i Szakala:

Górą nasi, góra nasi, idą czasy lewicowe,

Już zdobyta Ostra Brama, pora więc na Częstochowę...

Nie dziw również, że z tej okazji Generał Gawron zapalał świece przed zapomnianym konterfektem Lenina

GAWRON

*— O ty, który czuwałś nad moim wiernym ludem,
gdyś na Żmudzi do władzy znów powrócił cudem,
spraw, aby twe idee zmartwychwstały u nas.*

OGAR (jako śledczy)

*— Hej, obywatel Gawron,
proszę przed Trybunał!*

Sądzenie generałów należało jednak do bardzo pobożnych życzeń. W sondażach (kto patriota, kto zdrajca?) generał otrzymywał wielokrotnie więcej głosów niż pułkownik Kukliński. (Dla potrzeb ZOO przemianowaliśmy na Kuklinowskiego, z „Potopu”), który w przededniu „stanu oblężenia” wraz z planami puczu przeszedł do obozu wroga — obecnego przyjaciela, a dziś w wolnej ojczyźnie ciągle nie mógł doczekać się rehabilitacji. Pokutowała powszechna opinia:

Że Gawron patriota, który działał sporo

W jednym ciele — Kościuszko, Traugutt... i Suworow!

Mimo to zwolennicy „Kuklinowskiego” pod wodzą Pancernika wypiechcili zaproszenie do pułkownika:

(...) By poparł siły zdrowe w walce z wrażą zgraja...

PANCERNIK

— Hej, panie pułkowniku, słyszysz, larum grają,

Znowu w lewo zakręcać chce Rzeczpospolita

A ty się nie zrywasz, za szablę nie chwytasz? ...

KROGULEC

— Już wkrótce się okaże, kto był farbowańcem.

WYŻEL

— Moi ludzie już wężą po Starej Łubiance,

Znaleźli „Teczkę Zero” w niej Lenina tekst:

„Przepraszam towarzysze, Pan Bóg jednak jest!”

Mimo to szansę „Kuklinowskiego” na powrót do kraju ciągle były niewielkie. Lew pozostawał co najmniej obojętny. Dowodząc swych zasługi oficer mówił: —

Babinicz tylko jedną wysadził armatę!

Co LIS kwitował ironicznie

— U nas dobry bohater, to martwy bohater!

Sam na łamach swej „Gazetki” pracował usilnie nad zasypywaniem podziałów, znajdując wsparcie części lewokopytnych, gotowych podłączyć się pod nową zootradycję tak, że...

Wkrótce się pogubi niegdysiejszy mit.

DZIK

— *Giedroyc z nami!*

SZAKAL

— *Szymczycha (naczelnny „Trybuny”)*

do Maison Lafitte.

Były to oczywiście żarty dość elitarne. Podobnie jak scenka opisująca licytację majątku po spółce „Żart TRI” (Art. „B”) i protesty jej właścicieli zbiegłych do Ziemi Obiecanej. Wśród arcydzieł idących pod młotek znalazły się: „Gawroniki nad łanem zboża” I — van Gogha „Grobelny Agamemnona” i „Dama z Bagsikiem”. Jeśli idzie o szerokie rzesze społeczeństwa panował pogłębiający się zamęt w głowach. W ciągu trzech sezonów wolna telewizja nie zdołała odkłamać (a może i nie bardzo chciała) poprzednich 37 lat, gdzie obok Starszych Panów grasowali „Czterej Pancerni” z Klossem, a ton nadawali — Kąkol, Loranc, Falska, Samitowski i Urban. Toteż nie powinny dziwić wyniki plebiscytu publiczności na najlepsze dzieło TVP — bezkonkurencyjne okazały się „Stawka większa niż życie” oraz „Czterej pancerni i pies”. Wskutek czego pisałem:

Autorzy takiego popędu dostali,

że piszą z zapalem ciąg dalszy seriali.

Całkiem po nowemu, wyciągnąwszy wnioski,

tworzy owinięty w Safian P. Rzymanowski.

Już się pojawiła korekta nieznaczna —

odkryto, że „Rudy” był w dywizji Mączka.

A polską załogą, co wzorem nad wzory,

Szkot przywiódł Mac Gustlik i szofer Gregory.

Przez góry Italii, przez łąki Normandii,

biegł z nimi nie Szarik, Ale Cherry — jamnik.

Final zaś najlepsze przypomni nam rauty —

Spotkają się z Klossem na ruinach Jałty.

Kloss (niby z Abwehry) w istocie bez przerwy

służył ochotniczo w Intelligence Service.

KLOSS

— Więc gdyśmy komuchów pogonili bosu,

mogłem rzec: (aresztując Stalina) „Nie ze mną te numery Soso!”

Mimo konsternacji werdyktem opinii publicznej fetowaliśmy czterdziestolecie polskiej telewizji, dworując sobie z ZChN-u, protestującego przeciw emisji „Emanuelle”. Wyobrażaliśmy też sobie, jak będzie wyglądał podział eteru pomiędzy telewizję publiczną, a powstające właśnie media komercyjne.

Bo prawdziwa zabawa i śmieszna, i straszna,

Zacznie się, kiedy będą rozdzielać te pasma.

Tu szczyptę dla lewicy, tam dla katolików,

Łyk miłośnikom piwa, kęs dla „olszewików”

Pół minuty rzecznika, pięć minut dla dworu,

Kwadransik dla rolników, rok dla szczekatorów.

To szaleństwo? Więc pomysł poddaję niewielki,

A gdyby porozlewać tak eter w butelki?

I każdemu dać trochę, po równo, na własność.

Tak by każdy kręgowiec mógł spokojnie zasnąć.

Do głowy nie przychodziło nam, że już niedługo media komercyjne wpadną w ręce tych, którzy traktować je będą jak dochodową produkcję frytek, czy kalesonów, a publiczne przypadną pogrobowcom starych wypróbowanych funkcjonariuszy frontu ideologicznego. Cieszyliśmy się też przejściem z systemu SECAM na światowy PAL a zwłaszcza perspektywami telewizji satelitarnej, dzięki której nasze program dotrą do najdalszych zakamarków świata... Z wyjątkiem Azji.

SPIKER

— *Starczy dobra Antena, tylko Azji żal.*

AZJA TUHAJBEJOWICZ

— *Czemu?*

WACHMISTRZ LUŚNIA

— *Trzeba będzie was znowu naciągnąć na PAL!*

Sam jubileusz uczciłem piosenką do muzyki Korcza

Najkrótsza historia telewizji

W czasach, kiedy kamień ledwie był gładzony

po jaskiniach artystycznych życie biegło,

choć mamut był wspaniale odtworzony,

trudno było przenieść obraz na odległość

— *„Ach jak ciężko, choćbyś siłą*

dysponował misia grizzly!”

Przecież nie było, przecież nie było,

przecież nie było telewizji!

W Babilonie (anegdota głosi stara),

w czasie orgii, gdy chlał dwór, ochrona, harem,

pojawiło się, ku zgrozie Baltazara

tajemnicze hasło:

„Mane, Tekel, Fares!”

Strach zabawę ściął na sali.

Mdlały baby i mężczyźni.

No bo nie znali, no bo nie znali,

no bo nie znali telewizji.

Kiedy Rzymian ideowy kryzys męczył,

aż sam Neron był strwożony niesłuchanie,

rzekł Tygellin, szef rzymskich służb wewnętrznych:

— „Zrób igrzyska:

światło, dźwięk i chrześcijaństwo!

Niech zobaczy lud, że władza

to jest sprawcza moc decyzji:

wszak nie posiadasz, wszak nie posiadasz

wszak nie posiadasz telewizji”.

Średniowiecze, smród, zabobon i ciemnota.

Ówdzie wojna, tu szarańcza, tam zaraza.

Rycerz siedział, klepał biedę, czasem chłopca.

A z rozrywek mógł najwyżej się rozmnażać.

Człek człękowi mówił:

— *Szwagrze!*

(Bez zbytecznej hipokryzji!)

No bo a jakże, no bo a jakże,

skoro nie było telewizji.

Gdy w Normandii zapachniało rychłą klęską,

a niekiedy już się śniła Norymberga,

nawet Wehrmacht stracił dawny blichtr i męstwo

i nadzieję złożył w teczkę — Stauffenberga.

Goebbels wciąż ozorem mielił:

„Cóż tam strata stu dywizji

gdybyśmy mieli, gdybyśmy mieli

choć jeden program telewizji!”

No i mamy! — Czytelnictwo książek ginie,

towarzystwo życie dawno przeminęło,

miasto zmienia w kulturalną się pustynię,

nawet seksu nie uświadczysz bez video.

Już nie wyobrażasz sobie,

od Kanady do Kirgizji

na cóż dziś mógłby wybrzydzać człowiek

gdyby nie było — telewizji?

*

Sekspert — Blaski i nędze pożycia małżeńskiego

Powiedzmy, udało się. Trafił Tristan na Izoldę, Winicjusz na Ligię, a Kmicic na kolubrynę. Zawarliśmy znajomość z piękną nieznajomą. Po krótkim okresie przedwstępnym zaprowadziliśmy ją do garsoniery, a następnie do ołtarza. (Nie, przepraszam! Jako dobry katolik postąpiliśmy odwrotnie!) W każdym razie mamy, to co mamy. Bardzo szybko przekonaliśmy się, że życie przerosło nasze oczekiwania. Zawarliśmy związek z jeszcze lepszą katoliczką niż my sami. Co to oznacza? To co oznacza. Nasza małżonka pewnych rzeczy po prostu nie lubi, toleruje je najwyżej raz na rok, celem prokreacji. Normalny grzesznik, powiem więcej łajdus, nie przejąłby się tym zbytnio, przeciwnie uznał, że jest to doskonałe usprawiedliwienie do podjęcia podwójnego życia. Ale co mamy począć my, dobrzy, cnotliwi, nieśmiali? Wbijamy głowę w mur? Wykluczone, za ścianą mieszka sąsiadka, która (wiemy to przypadkowo zaglądając przez dziurkę od klucza) lubi spać nago i bez przykrycia. Próbuujemy więc codziennie uwodzić własną żonę? Niegodne honoru samca!

Apelujemy do jej poczucia obowiązku: „Dawaj co mi się należy”... Niektórzy próbują brać na litość i żebrzą, bezpośrednio po zakończeniu „Koła Fortuny”:

— „I mnie się należy jakaś nagroda, cały dzień byłem greczny, zakupy zrobiłem, dzieci wykapałem, karnisz przybiłem, obiad zjadłem, zęby mam umyte...”

Żenujące! Nie tędy droga! Wobec dobrej katoliczki argumenty muszą być zgodne z jej systemem wartości. Uzbrajamy się więc w cierpliwość i udając oziębłość rozpoczynamy dyskusję.

— Kochanie, czy nie martwi cię, że nie masz się z czego spowiadać? — Gdy dojrzymy na jej twarzy cień zainteresowania brniemy dalej. — Jak się nie ma grzechów, to nie ma za co żałować! — I wreszcie wyciągamy argument nie do odparcia. — Czasem potrzebna jest odrobina umartwienia. Jak wiesz, ja tego też nie znoszę, ale trzeba troszeczkę pocierpieć. Wstrzemięźliwość to dla nas obojga nagroda. Mógłbym się wprawdzie biczować, ale jestem masochistą i sprawiałbym tym sobie przyjemność. Chodź, zrobimy sobie jakąś małą przykrość!

Jeśli nawet to nie pomoże, znaczy, że nasza żona tylko udaje dobrą katoliczkę i ma kogoś na boku. Od tego momentu możemy, a nawet musimy, rozglądać się za jakimś innym obiektem, z którym można by co jakiś czas po pokutować!

Skoro o pokucie mowa, to jednym ze słabiej rozpoznanych zjawisk jest bicie mężów przez żony. W odróżnieniu od sytuacji odwrotnej, na której temat istnieje olbrzymia literatura i mnóstwo powiedzonek („kobiety nie bij nawet kwiatem, a zwłaszcza kaktusem”) przemoc domowa wobec mężczyzn wymyka się z pola widzenia statystyków i teoretyków wiktymologii. A powszechnie wiadomo, że prawie każdy samiec bywa maltretowany przez żonę jeśli nie fizycznie, to psychicznie, jeśli nie płciowo, to finansowo. Tylko, że prawdziwy mężczyzna jest ambitny i nigdy się nie skarży. Nie jest to jedyna różnica między płciami. Faceci potrafią bić z fantazją i rzadko na trzeźwo, zaś damskie bicie jest pozbawione finezji, a zarazem litości. Każdy kto oberwał po głowie damską szpilką, naszyjnikiem z koralami czy mokrą szmatą zna ogrom bólu i upokorzenia. I co ma wtedy robić dobry katolik? Nadstawić lewą nerkę, gdy oberwał w prawą? Oczywiście, można oddać. Ale ci, którzy umieją to robić nie wymagają mojej pomocy, a najwyżej sędziów liniowych, którzy określają, kto zwyciężył, na punkty czy przez nokaut? Ostrzeżenie, **nie drażnić złej żony** też się na wiele nie zdaje. Jeśli baba lubi bić, to możesz chodzić na paluszkach, a i tak dostaniesz manto za źle obcięte paznokcie!

Jedyna nadzieja w profilaktyce. Już na początku znajomości powinniśmy dobrze się zastanowić i porównać swe siły z partnerką. Odradzam mariaż wagi koguciej z super ciężką! To jednak nie wystarczy. Narzeczona piórkowa, ale zadziorna, też bywa niebezpieczna. Dobrze więc oprócz ważenia i mierzenia bicepsów zrobić przed ślubem parę testów. Na przykład sprowokować kłótnię i wystawić się na cios. Nie bije poniżej pasa? — Nadaje się. Zna aikido? — Odpada! Można też prosić zaprzyjaźnionych chuliganów o symulowany napad podczas spaceru w parku. Jeśli zostaniecie skatowani oboje — można się żenić, ale jeśli chuliganów zabierze karetka reanimacyjna? Uwaga!

Niestety każdy jest mądry dopiero po ślubie. Co robić, gdy już się ma żonę kulomiotkę, a samemu ledwie 54 kilo, zwiotczące mięśnie, udaremniający ucieczkę brzuch i płaskostopie? Jedyne co zostaje, to autosugestia. Należy wmówić sobie, że to lubimy. Poza tym kobieca przekora może

sprawić cuda. Baba, gdy uświadomi sobie, że lanie to jest to, co mężowie lubią najbardziej, może odrzucić te praktyki i zacząć sprawiać nam kłopoty swoją czułością, oddaniem, a czasem występować z propozycją: „Zenek, a może byś tak mnie zdzielił w gębę!”

*

W odcinkach pochodzących z ostatnich miesięcy 1992 roku częściej niż przedtem pojawiała się tematyka zagraniczna. W Parku Yellowstone dotychczasowy władca, **INDYK** (nie nagrała się kukielka Busha, nie nagrała, a na „Dablju” musiałyby czekać dwie kadencje!) został zastąpiony przez **BIZONA** (Billy Clintona).

Myślał indyk o niedzieli, a w sobotę go wycięli.

Brzmiał nasz komentarz. Tymczasem w krajowym ZOO opinie publiczną bulwersowały „Szatańskie immunitety” Anastazji R która zgłębiała życie erotyczne Churału, od przodu i tyłu. (Kreujący ją Andrzej Zaorski wspiął się na wyżyny seksu i charakteryzacji). Nie wiadomo, na ile aferka była prowokacją z kręgów „Nie”, mającą skompromitować prawice, na ile brzydkim wykwittem na ciele młodej demokracji? W końcu do klientów fałszywej arystokratki należeli, wedle jej słów i Olek K. (mocny tylko w gębie) i Leszek M. (prawdziwy mężczyzna):

(...) Demon seksu nie wybierał,

ANASTAZJA

— *Krypto komuch czy liberał,*

Populista czy oszołom,

U mnie sprawdzał się na goło.

Afera wybuchła w zdecydowanie złym momencie dla prawicy, szermującej coraz silniej „wartościami chrześcijańskimi”, zagrożonymi przez pornografię. Ryczał z bólu (po) ranny **ŁOŚ**:

Czy nie pora powołać drogie chrześcijany

jakiegoś „Indeksiku Dziełek Zakazanych”?

Tylko, cóż tam umieścić poza „Kapitałem”?

„Lady Chatterley”, damę co współżyła z drwalem,

„Skiroławki” zniekackie — kto wierzy da wsparcie,

dalej „Ostatnie tango”, oraz „Wielkie żarcie”.

„Dzieje grzechu”, „Popioły” czas zabrać ze szkół.

A z ekranów stolicy film „Łosiem i pół”.

Nieszczęściem polskie prawicy było to, że przeważnie mając racje, nie potrafiła tych racji dobrze sprzedać, bardzo łatwo nadziewając się na kontrę wytrawnego przeciwnika. Co gorsza nie potrafiła odróżniać przyjaciół od wrogów. W opinii wielu jej prominentów nasze ZOO było libertyńskie i lewicowe, a błahe i raczej sympatyczne żarty z Księdza Cybuli postrzegano jako kpiny z Episkopatu. Po latach wielu zmieniło zdanie, a Stefan Niesiołowski nie kryje swojej sympatii do Nadredaktora, wtedy jednak, czytając niepoehlebne uwagi, choćby J. M. Jackowskiego w „Bitwie o Polskę”, bywało nam po prostu przykro. Widać na pstrym koniu jeździ nie tylko łaska ludu.

Łaska ludu

Łaska ludu — wielka sztuka

mieć publiczny głos i twarz.

Walczysz, o mur głową stukasz,

mózg się wstrząsa, ale masz —

odznaczenia i uśmiechy,

forsę, splendor pół na pół...

Aż tu nagle wśród uciechy,

czujesz — „Lecę mordą w dół!”

Łaska ludu na pstrej szkapie jeździ;

wczoraj idol, dziś upadły bóg.

Nie ma wzięcia mistrz estrady, król poezji,

kiedy całe społeczeństwo ściska głód.

Łaska ludu na pstrej jeździ szkapie,

przed godziną uwielbienie mas,

teraz brawek i z grzeczności nie podłapiesz,

choć jesteśmy to de facto nie ma nas.

Były hasła co porwały

miliard rak i miliard nóg,

potem trochę wypłowiwały,

gdy się zgubił druh i wróg.

Kończą w tyglu przetopieni

w bezimienny, tępy spiż,

maładiec — dzieciątko Lenin

i żelazny czarny krzyż. (...)

Byli tacy, których nosił

tłum, śpiewając „sto, lat sto” ...,

oraz ci o których głosi

fama, że wcielone zło.

Lecz się zmienia koniunktura,

z innej strony wichur dmie,

wiec gdy ci wołają hurra,

to pamiętaj o tym, że:

*Łaska ludu na pstrym koniu pędzi,
co nie musi wcale czarnym koniem być,
za aplauzem kryje mnóstwo się niechęci,
pod zachwytem, zwykła zawiść, własny wstyd.*

Łaska ludu na pstrym pędzi koniu...

Puścić wodze, kardynalny błąd

i to różnić mądrych ma od oszołomów,

że wie mądry, kiedy trzeba z konia zsiąść

Bo jest problem, kiedy kończą się oklaski:

czy skorzysta lud z prawa (pstrej) łaski?

*

Sekspert — Raj zrad

Czy jest coś gorszego, bardziej godnego potępienia niż zdradzanie własnej żony? Jest, zdradzanie przez **własną żonę!** Zdradzający mężczyzna plugawi jedynie swe ciało, kobieta duszę! Zdradzający mężczyzna może czynić to, aby upewnić się, że jego żona jest najlepsza — bez skali porównawczej nie może tego właściwie docenić! Żona, gdy zdradza, czyni to z istoty swojej natury.

Czy można uniknąć tego rodzaju niebezpieczeństw? Można, uwiązując małżonkę w domu, z licznym potomstwem, dokarmiając ją nad miarę. Gdy osiągnie trzecie stadium puszystości, nie polecą na nią nawet inkasent z gazowni. Wszak kobiecie nie da się od ręki cofnąć licznika (lat i kilogramów). Również, kiedy chcemy mieć luksusowe zwierzątko na pokaz, też nie musimy bać się zdrady. Po prostu żeniąc się z finalistką Miss Polski możemy mieć pewność, że byliśmy, jesteśmy, lub będziemy zdradzani. Godząc się z tym, możemy szukać jedynie okoliczności pozytywnych:

1. Żona zdradza cię z najlepszym przyjacielem, z którym już za młodu dzieliliście nawet orzeszek na połowę.
2. Żona zdradzając cię z twoim szefem promuje twoją karierę.

3. Żona zdradzając cię z podwładnymi przybliży swoją osobę załodze.

4. Żona jest prawdomówna i wprawdzie przyprawia ci rogi, ale wyznaje każdy grzech ze szczegółami; niektórych to nawet podnieca.

5. Żona puszcza się za pieniądze i dzięki temu wasz standard życia podnosi się szybciej niż pensje w czterech głównych działach gospodarki.

Toteż dbając o własne nerwy, należy konsekwentnie udawać idiotę, przymykać oczy na oczywiste dowody niewierności, ponieważ kłótnia nic nie pomoże, a z biciem też może być różnie, na przykład przyjdzie kochanek i spuści nam łomot!...

Założmy jednak, że mamy (bo mamy) żonę średnią, statystyczną, nie za ładną, nie za brzydką, nie fanatyczkę małżeńską, ale i nie kokietkę. Taką, co może miałaby ochotę trochę się zabawić, ale zarazem odczuwa skrupuły. No cóż, wystarczy tylko zachować czujność i utrzymywać połowicę w delikatnej niepewności. Niech czuje, że jeżeli nie skoczy w bok to także my nie wykonamy tego, gdyż byłoby głupio się na tym boku spotkać.

Co jednak zrobić, kiedy na przykład nadarza się korzystny kontrakt w odległym kraju, a wzięcie z sobą połowicy byłoby czystą rozrzutnością? Mieszkanie można wynająć, kanarka oddać w dobre ręce, psa uśpić, a kota wyrzucić za okno (i tak spadnie, na cztery łapy). Ale co z żoną? Jak na razie nie ma „schroniska dla bezdomnych żon” (nawet nierasowych). Zostawić samopas? Na takie ryzyko dobry mąż nie może sobie pozwolić. Kiedyś zafundowałbyś żonie pas cnoty, czy antyterrorystyczne rajstopy. Dziś ogólny upadek rzemiosła i obyczajów na to nie pozwala. Opieka rodziny? A co może upilnować stetryczała matka, złośliwa teściowa czy wuj erotoman? W dodatku cała jej rodzina serdecznie cię nie cierpi i tylko marzy, aby twoja żona zakończyła ten nieszczęśliwy epizod i znalazła sobie kogoś odpowiedniego. Znałem kiedyś nieszczęśnika, który przez parę lat utrzymywał pokój między narodami, a po powrocie do domu zastał trójkę całkiem nowych dzieci: czarne, żółte i rude.

— A skąd to się wzięło? — wybuchnął.

— Z miłości i telepatii — powiedziała beczelnie żona. — Cały czas byłam z tobą myślami. Czy byłeś w Kinszasie, Tokio czy Tel Avivie...

— Ale ja nigdy nie byłem w Tel Avivie!!!

— Nic nie szkodzi, delegacja z Tel Avivu była tutaj.

Tu widać, że jedynym wyjściem pozostaje godny zaufania przyjaciel. Niestety, prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, której nie jeden zbyt ufny obywatel w ten sposób sobie napytał. Stracić za jednym zamachem żonę, przyjaciela, mieszkanie i wiarę w sprawiedliwość — to zbyt wysoka cena zagranicznych saksów. Toteż jedynym naprawdę pewnym sposobem jest przyjaciel homoseksualista. Przyjemny, nienatrętny, inteligentny, a żoną niezainteresowany. Gdzie takiego go znaleźć? „Szukajcie, a znajdziecie” — mawiał pewien gej specjalista od zamków cyfrowych w rozporkach. Są przecież określone kawiarnie, związki twórcze, media,

opera i balet... Odrobina wysiłku przy zadziergnięciu znajomości, pokonanie drugorzędnych w gruncie rzeczy oporów i masz przyjaciela, z którego strony nic małżonce nie grozi. Mieszkanie jest ubezpieczone, żona zabezpieczona. Co więcej, gdyby nawet, mimo opieki, niewiasta cię zdradzała i opuściła, to po powrocie nie będziesz sam jak palec, zastaniesz w mieszkaniu wrażliwego, bliskiego ci człowieka, z którym w długie zimowe wieczory, godzinami będziesz mógł, przy czerwonym winie, rozmawiać o sztuce, literaturze i niewątpliwej niższości kobiet. Wróćmy jednak do istoty niewierności. Zdrada jest zdradą! I trudno uznać za okoliczności łagodzące, że żona jest starą jędzą, a kochanka apetyczną nimfetką. Za takie tłumaczenie ja bym rozgrzeszenia nie dał. Cóż bowiem jest istotą zdrady? Nie tyle fakt, że owe śmieszne ruchy uprawiamy z osobą nieupoważnioną — zdrada jest nawet wtedy, gdy uprawiamy sypialnią akrobatykę ze swoją ślubną, ale wyobrażamy sobie, że to ktoś inny. — Istotą zdrady jest złamanie **przysięgi wierności**...

Czy jednak ta zawsze obowiązuje? Sam pamiętam pewną sytuację. Toruń, hotel garnizonowy, w łóżku piękna, już trochę znajoma, rozpieczętowany „Cabernet” i rozrzucona garderoba... Nagle walenie do drzwi. Portierka, oficer dyżurny? Panienka wciska się w pościel, ja otwieram zasłaniając się okularami.

— Obywatelu, przecież przysięgałeś... — stojącym na progu jest mocno zagniewany Anioł Stróż. Ale od czego nasza inteligencja:

— Owszem Aniele... (Nie do ciebie mówię, ladacznico!). Rzeczywiście przysięgałem, czwartego września, dwadzieścia lat temu, ale dlaczego przysięgałem? Teść groził mordobiciem, narzeczona histeryzowała, że się utopi, dziecko poczęte zaczynało kopać, a urzędnik Stanu Cywilnego marszczył brwi... Ergo złożyłem przysięgę, pod przymusem. A jak wiadomo przysięga pod przymusem jest nieważna! Anioł, jak Anioł, przeprosił, zasalutował i oddalił się. Natomiast panienka nałożyła majtki, dała mi w gębę i wołając „A mówiłeś, że nie jesteś żonaty!” — odeszła biorąc azymut na kantynę. Nie każdy jednak ma takie szczęście. Znam wielu durniów, którzy zawierali związek w najlepszej wierze i dopiero lata skłoniły ich do przypuszczeń, że jeśli nawet żyją na najszczęśliwszym ze światów, to chyba jednak z niewłaściwą kobietą. Oczywiście dobry mąż powinien codziennie powtarzać sobie, „Tak miało być, mogłoby mi się gorzej przytrafić, mimo wszystko to wariant optymalny”. Ale człowiek miewa wątpliwości i czasami potrzebuje empirycznych dowodów, żeby się upewnić. I tak dochodzimy do zdrady pobożnej, mającej na celu nie grzeszną rozrywkę, nie zaspokojenie pozamałżeńskiego pożądanego, ale wzmocnienie dotychczasowego związku. Metody mogą tu być różne — od delegacyjnego wyskoku (wszelako takiemu czynowi brakuje znamion naukowej rzetelności), po regularny etap podwójnego życia. Oświadczamy żonie, że wzięliśmy pół etatu nocnego stróża, tymczasem nasza praca na nocnej zmianie polega na wszystkim, tylko nie pilnowaniu: nocne lokale, szaleństwa w garażu kolegi czy altance działkowej... W naukowym zapamiętaniu tracimy oczywiście forszę, zdrowie (przez nieregularną dietę), czasem nawet zęby (gdy nasza sympatia ma nerwowych kolegów), bywa że do końca życia płacimy alimenty, a w pracy zazdrośni koledzy pokazują nas sobie palcami. Ale w 99 procentach przypadków wracamy do domu w pełni przekonani, że mamy połowicę godną szacunku i najwyższego uznania.

Jednak, jak w każdym eksperymencie istnieje ryzyko. Żona mogła nie zrozumieć właściwie

sensu naszych doświadczeń, toteż zastajemy wymienione zamki w drzwiach i nasze rzeczy na schodach. Oznacza to, iż nasze doświadczenie wzbogaciło się o jeszcze jedną konkluzję — wiemy ile straciliśmy.

*

W listopadzie, gdy „Sześćdziesiątka” po raz wtóry odwiedziła Stany Zjednoczone, z przyjemnością zauważyliśmy przyrost popularności za Atlantykiem. Dzięki pewnemu opóźnieniu, z jakim docierają za „Wielką Wodę” krajowe sukcesy — gwiazdą wśród Polonii staje się artysta dopiero po pewnym czasie, za to sława trwa tam nieporównywalnie dłużej. Wielkości zgasłe już na rynku wewnętrznym, tam ciągle płoną niczym supernowe. Po za tym publiczność emigracyjna jest bardziej od krajowej aktywna, upolityczniona, a kredyt, którym obdarza swych ulubieńców, rekompensuje pewne trudności z percepcją. (Dla potrzeb widzów wydaliśmy nawet małe „Who is who” w którym przybliżaliśmy sylwetki polityków parodiowanych w naszym programie) Okazało się to niepotrzebne. Kasety z Polskim ZOO płynęły w tym czasie za ocean masowo, jak niegdyś zakazane druki w drugą stronę. Osobiście miałem inny problem. W podróży musiałem napisać kolejny odcinek. Wprost z samolotu udawaliśmy się do studia. Dziś, przebywając dość często w USA u syna Mateusza, dzień zaczynam od przeczytania „Wyborczej” w internecie. Przez satelitę można oglądać polską telewizję i słuchać krajowego radia. Zresztą niektóre rozgłosnie polonijne reemitują ZSYP. Wtedy zdobywanie świeżych wieści z kraju było nieporównywalnie trudniejsze. Na szczęście Ławrynowicz przysłał mi parę stron faxem.

Odcinek powstał, chociaż kiedy go aktualnie przeczytałem, wydał mi się zbyt błahy. Nie znalazłem w nim niczego wartego przytoczenia. (Któż pamięta o kłopotach senatora Kerna z Anastazją R, a potem z własną córką, dość podle wykorzystanych przez żurnalistów i filmowców).

Z następnego programu wyjmuje fragmencik o tym, jak samozwańczy Regent, (bodajże pan Wierzchowski) przywódca grupki monarchistów, przyznał Lwu tytuł księżęcy.

LIS

— *Przecież to niekonsekwencja.*

ŻÓŁW

— *Mnie wręcz taki gest rozczula*

HPEK

— *Absurd, dawać tytuł księcia,*

Komuś, kto ma funkcje króla? (...)

LEW

*— Już o rękę naszych córek
dynastyczny żebrze chórek.*

WYBIEGOWY

*— Oto chodzi, o to chodzi,
Karol z Dianą się rozwodzi...*

LEW

*— A szejkowie znad Zatoki
o mnie jak o teściu marzą.*

SZEJK

*— Przyślij królu córki fotki,
z plaży...*

MUZUŁMANKA

— Lecz z zakrytą twarzą!

KOZIOŁ

*— Dziwna będzie to sceneria,
nuworysze, magnateńa?*

SZOP

*— Nawet w stacji benzynowej,
tytuł mile nas polechce.*

WYBIEGOWY (jako kierowca limuzyny z herbem)

*— Nie nalewać tej różowej.
My chodzimy na niebieskiej! (...)*

LIS

— *Lecz kto będzie to przydzielać?*

Kapituła?

LEW

— *Nie ma mowy.*

*Żeby był porządek w herbach,
sprawy przejmie Wybiegowy.*

WYBIEGOWY (do Byczka)

*Chcesz barona, czy markiza,
albo inny tytuł jakiś?*

BYCZEK

— *Ile będzie to w dewizach?*

WYBIEGOWY

(oburzony)

— *Ja usługi świadczę gratis!*

Po latach, kiedy świadkowie koronni ujawniają, ile jakoby brał Wachowski za załatwianie ułaskawień bossom Pruszkowa i Wołomina, jakoś tracę ochotę do żartowania na ten temat...

Sekspert — Trzeba czasu i Atlasu

Błądzenie po omacku ma jedynie sens podczas rozbieranej prywatki. Normalnie brak należytej informacji jest powodem wielu nieszczęść i nieporozumień. Gdyby w byłej Jugosławii dopasowano mapę do ludzi, a nie próbowano dopasowywać ludzi do mapy, Chorwacja byłaby tam, gdzie Chorwaci, a Serbia gdzie Serbowie. I wszyscy mieliby pokój. Z kuchnią. Toteż zwróciłem się niedawno do Wojskowych (Bacność!) Zakładów Kartograficznych (Spocznij!) z propozycją jak najszybszego wydania „Małego Popularnego Atlasu Stref i Sfer Erognnych”.

Nie, nie prosiaczki, nie myślę o obrzydliwej, rozkładowej mapie ciała, o tych planiglobach anatomicznych, eksponujących lepiej ukrwione i unerwione siedliska chuci i rozpasania. Myślę o zbiorze **map krajoznawczych**.

W codziennej poczcie przynoszą mi dziesiątki listów od zapóźnionych i zdecydowanie **za** starych panien, dopytujących się o tereny łowieckie niewybrednych podrywaczy, o szlaki przelotów zagranicznych sponsorów czy mateczniki rojące się od bezwzględnych gwałcicieli. Niejedna dobra katoliczka z dzieckiem napoczętym rada by zrzucić odpowiedzialność na gang prokreacyjnych sadystów, ale nie wie, gdzie go szukać. Także miejsca pobytu takich zawodowców jak osławiony „ulipan” nie są odnotowywane w rubrykach towarzyskich, ani zaznaczone w bedekerze trzema listkami figowymi. Podobnie poszukiwacze „miłości sprzedajnej” owych swojskich Pigalaków, Kudammów czy Gurtli, (że popiszę się informacjami seksualisty światowca) skazani są na informacje pokątne, od przypadkowych przechodniów, czy nie zawsze bezinteresownych portierów. Atlas to by rozwiązał. A ileż pożytku mogłyby przynieść mapy odzwierciedlające stan popytu i podaży? Zagraniczne przybyszki nie musiałyby niszczyć rynku cenami (wybaczcie słowo) „duppingowymi”, gdyby wiedziały, że już po drodze mijają rozległe województwa pełne młodych, samotnych rolników, nie mających czego orać. W aneksie do atlasu pomyślałoby się też o mniejszościach erotycznych i odmiennych preferencjach. Dziś niezorientowany „gej wędrowny”, żeby mieć pewność znalezienia odpowiedniego towarzystwa, musi iść do więzienia, ponieważ do wojska (inaczej niż np. w Ameryce) przyjmuje się u nas jedynie heteroseksualnych prostaczków.

Najważniejsze jednak, że mapa mogłaby służyć takim — jak ja i wy, uczciwym obywatelom, którzy dzięki niej wiedzieliby, jakie obszary omijać, do jakich lokali nie zaglądać i przed którymi atrakcjami turystycznymi chronić młody narybek.

Publikację powinien uzupełnić wykaz parafii z kolorystycznym podziałem na te, w których rozgrzeszenie dostaje się od ręki, oraz te, w których prezerwatywy sprzedaje się wyłącznie na receptę. Miejscowego proboszcza!

W ZOO znów nastał grudzień. W tamtejszym Muzeum Wolności imienia „Dziadka”, dawniej Włodzimierza Jelenia otwarto wystawę w rocznicę wprowadzenia przez generała Gawrona „stanu oblężenia”:

Eksponatów w środku cała wielka paka:

Ciemne okulary i kozuch Bujaka,

dywan Zdrady Państwa, długi cień Reagana,

guzik Kulikowa i rechoł Urbana

W tym samym czasie Wielkim Churalem wstrząsnęła afera przyciskowa. Okazało się że część ssaków potrafi głosować wieloma kończynami naraz. Jednak wkrótce wszystko utonęło w świątecznej hibernacji. Lew z rodziną wyjechał w góry, celem zaczerpnięcia świeżego powietrza (złośliwi twierdzili, że dowożono mu je z pobliskiej Słowacji), a pozostałe w menażerii zwierzęta nuciły nostalgiczną kolędę:

I po świętach

(muz. Włodzimierz Korcz)

*Choinki wyłysiały drapak,
anielskich włosów mierzwa zmięta
odpryski bombek, brudna wata...
Cóż więcej może być po świętach?
Łeb karpia, w którym życia nie ma,
wielki butelek tłum przed zsypem
i taki klimat przejedzenia,
co jest właściwie niedosytem.*

*Święta, święta i po świętach,
znów za wielu było gości,
mało który z nas pamięta
wspólny, mocny smak radości.
Nawet wiara, ta maleńka
w mysiej norze znikła gdzieś.
Święta, święta i po świętach...
Nas też mniej o jakąś część.*

*Na samizdatach kurzu przyrost,
szarzeją klisze i wspomnienia,
komuna brata się z konspirą,
już bez większego obrzydzenia.
Zwycięzcy bardzo są zmęczeni,
skłócenii życiem i programem,
już chyba nawet zapomnieli,
czy było jakieś świętowanie?*

*Święta, święta i po świętach,
ciągle się rozwidla droga.*

*Dawny druh, to często większa
źmija od byłego wroga...*

*Zaplątani w fobiach, lękach,
toczą wszyscy własne gry.*

*Święta, święta i po świętach...
A co mamy robić my?*

Końcowy okrzyk prowadzących:

— Ludzie, czyście upadli na głowę?

Jedne święta się kończą — zaczynają nowe!

był jedynie desperacką próbą poprawienia samopoczucia. Czuliśmy, że coś dzieje się zdecydowanie nie tak z zoologiem, z Rzeczpospolitą, z narodem.

Sekspert — Naga pierś proletariuszki

Obawiam się, że moje poradnictwo straci wkrótce rację bytu. I to wcale nie z powodu, że ludzie przestaną grzeszyć. Po prostu, kto będzie chciał brać interes we własne ręce i wysilać się indywidualnie jako podrywacz dżentelmen, kto zaryzykuje podważenie domowego ogniska, kiedy nadwyżki uczuć i gotówki szybko, lekko i przyjemnie odbierze dziewczyna z Agencji Towarzyskiej? Co by się nie powiedziało o XIX wieku, to odwrotną stroną królowej Wiktorii była pani Warren i jej domek, z czerwoną latarenką. Trwała Brytania i trwały małżeństwa, ponieważ hormony znajdowały ujście w sposób naturalny. Nawet Kościół miotał gromami bardziej dla zasady niż dlatego, aby zwalczać najstarszą instytucję Świata. Ale czasy się zmieniły, napaści, protesty i pomstowania na wspomniane agencje towarzyskie płyną w takiej liczbie i zawierają tyle śliny z żółcią, że przed od — pieczętowaniem listów muszę zakładać rękawiczki, gdyż inaczej mógłbym się wściec. Najzabawniejsze jednak, że protestują wszyscy, tylko nie klienci tych bujnie rozwijających się firm. Z tej strony trwa cisza. Niezadowoleni korzystają z prawa reklamacji, wymiany dań (jeśli skonsumowało się tylko jedną trzecią nieświeżej propozycji) lub siedzą cicho. Podobno bywają firmy grające w swoistego totolotka i na przykład co dziesiąty zarażony wstydliwą chorobą otrzymuje extra usługę gratis. I bon premiiowy do specjalisty. Za to najgłośniej krzyczą ci, co nigdy nie korzystali i jak wiele wskazuje, nigdy korzystać nie będą. Trochę się im dziwię, albowiem prawie każda agencja towarzyska jest firmą czystą, cichą i spokojną. Nawet gdy praca w niej aż furczy, to się nie kurzy. Kto więc jest w czołówce napastników?

Moralści z powodów natury zasadniczej. O czymś muszą moralizować.

Zawodowi podrywacze. Przechodzenie amateerek na profesjonalizm drastycznie zawęży ich naturalne tereny łowieckie.

Skąpi erotomani (hojni są wniebowzięci).

Impotenci i kochający inaczej. Nie ich broszka!

No i **politycy.** Dlaczego? Choćby z przyczyn językowych. Jeśli działają agencje towarzyskie, to jak mogą nazywać się ich pracownice? **Agentki i towarzyszki.**

I dlatego słudzy cnoty i powściągliwości ogniem w oku i fajką w zębach wołają:

— Jako **agentkom** należy się im szybka lustracja, a jako **towarzyszkom** dekomunizacja. Zobaczmy, czy na piersiach używanych do masażu nie pozostały ślady po wpinanych tam medalach „Wzorowych komsomołek”, a ręce nie splamiły się pisaniem donosów na klientów?

Tylko jak tego dokonać? Agencje raczej nie udostępniają list swoich pracowników, te z kolei nie zgłoszą się do weryfikacji na ochotnika. Co więc powinien zrobić aktywista z Ruchu na Rzecz Powściągliwości czy działacz Partii Cnotliwych? Ano powinien wysupłać swoje rezerwy z diet poselskich i obrócić je na demaskacje. Czyli po prostu zacząć zamawiać wspomniane usługi, by

sporządzić Różową Księgę Cór Koryntu.

W tym szlachetnym przedsięwzięciu kryje się pewien szkopuł. Chcąc lustrować dogłębnie, nie można opierać się na przypuszczeniach, tylko na faktach. A nie da rady **markować akcji**. Panienki są przyzwyczajone do wielu dewiacji, ale szybko rozniosłoby się, gdyby klient zamiast do rzeczy przystępował do ustalania danych personalnych. Ale dobry dekomunizator nie skapituluje z powodu byle trudności. Wespnie się na szczyty poświęcenia i doprowadzi każdą sprawę do końca. Być może niektórzy zalustrują się na śmierć. Ale bez obawy, za nimi pójda inni. A tymczasem jakiś współczesny Delacroix pewnie już maluje nie tyle Wolność wiodącą lud na barykady, co pannę Nataszę prowadzącą średnią klasę do burdelu na kółkach.

Szopka polska 92

Była pierwszą, w której pojawiły się ludzkie lalki, zdolne do mimiki, zaprojektowane przez Grzegorza Szumowskiego. Zwiększyliśmy też liczbę prowadzących. Do Zaorskiego z Kryszakiem dołączyli Paweł Wawrzecki i Wiktor Zborowski. Pretekstu dostarczyła Rejowska Rozprawa Pana, Wójta i Plebana, którzy we współczesnych warunkach przepoczwarzyli się w Robotnika, Chłopa i Inteligenta. Prowadzący układali pasjans, a karty ożywały w formie śpiewających kukieł. Piosenki tradycyjnie pisane z Markiem Majewskim, przypominały zdarzenia i konflikty z minionego roku.

GEREMEK (na mel. „Gdybym był bogaty” ze „Skrzypka na dachu”)

Gdybym był wariatem

koalicje bym z montował z SLD i UPR.

W twarde ręce wziąłbym władzy ster,

Bo mam talent do tych gier! (...)

CHRZANOWSKI — nucił na ulubioną melodię inspektora Kojaka:

Z koalicją szedłem wzwyż,

mam już łaskę, na niej krzyż.

Jeszcze tylko dać aborcji stop

i nastanie tutaj wyż.

Ten katolicki kraj

przemienić można w raj.

Jeżeli przegnać precz,

afery, komuchów i seks. (...)

KACZYŃSCY (mel. Siedzieliśmy jak w kinie)

Siedzieliśmy jak w Adrii, za piecem w Kancelarii,

Centralne ogrzewanie lancie, dwie, dwie, dwie.

A ty nas się pozbyłeś, Wachowskim pogoniłeś,

To po co namówiłeś, na udział w grze!

Świetne samopoczucie prezentował za to wspomniany minister **WACHOWSKI**, choć atakowany (*Zarzutów jest na Mietka cała wielka pryzma, że ubek i mafioso, rajfur, Nikoś Dyzma...*) energicznie wykonywał przyśpiewkę „Furmana” z Mazowsza:

Spór lewicy trwa z prawicą,

kto dziś kręci kierownicą.

A ja mówię nad premiera,

więcej znaczy dłoń szofera (...)

MACIEREWICZ z grupą „olszewików” bronił koncepcji teczkowej na mel. z kabaretu Starszych Panów „Piosenka jest dobra na wszystko”).

MACIEREWICZ

— Dziśteczka jest dobra na wszystko,

OLSZEWSKI

— Upadek powstrzyma gdy blisko

KACZYŃSKI

— Strach w sejmie wywoła przed czystka...

MACIEREWICZ

— Gdy z listą się zjawię u bram.

Plik teczek zupełnie wystarczy

by zrobić tu cud gospodarczy.

OLSZEWSKI

— *Gdy wrogów się winą obarczy*

KACZYŃSKI

— *ich miejsce przypadnie wnet nam...*

Sam Mecenasa wykonywał solo pieśń na mel. „Czy to jest przyjaźń” Grechuty.

Stajnie Augiasza, przyszło wziąć w tej chwili,

gdy poprzednicy wszystko zabagnili.

W wojsku komuna, ustaw tok się wlecze.

Nakradł liberał? Temu nie zaprzeczę!

Zdekomunizuje się polska nacja,

Czy to jest przełom, czy kontynuacja?

Pisałem już, że w tamtym dramatycznym momencie najbliższe nam było stanowisko **KURONIA** utrwalone w szopce piosenką na melodię „ Nie wiercie piechocie” (Nota bene, o ministrze Piechocie wtedy się jeszcze nie śniło!)

Nie wiercie ciemnocie,

że sucho przez bagno udaje się przejść.

Nie wiercie głupocie,

gdy odjąć uczciwym chce sławę i cześć.

Hołocie nie wiercie,

choć często pomawia gdy naprzód się pcha.

Wy przecież nie wiecie —

kto tajniak, kto agent,

a kto był jak łza?

Dziś można oceniać tamte wydarzenia pod różnym kątem, zauważać racje obu stron, wtedy emocjonalnie byłem za pokrzywdzonymi, toteż staremu marszałkowi **CHRZANOWSKIEMU** napisałem pełen gorzkości tekst na melodię szlagieru Ordonki:

Święty Antoni, święty Antoni, teczkę zgubiłem pod miedzą,

Ach co to będzie, ach co to będzie, kiedy się w klubie dowiedzą?

(...)

Inny paskudnie pomówiony, twórca i szef KPN-u, **MOCZULSKI** nie tracił pewności siebie i występował w tradycyjnym kostiumie konfederaty z pieśnią legionową na ustach. „Hej, strzelcy wraz!”

Hej, strzelcy w las, bo z wami Leszek Śmiały

a przeciw wam, trwa postkomunny klan.

Interes mas nam każe znieść podziały,

by wielkim był i silnym Lechistan.

W przyszłych wyborach zgarnę całą pulę

nim świt zza szyn ujawni w oknach kit.

Naprzód narodzi z Królem i Moczulem

nie straszny nam już Niemiec, Rusek, Żyd!

Z kolei **WALDEMAR PAWLAK** najpierw przedstawiał się programowym tekstem na motywach piosenki Kofty i Pietrzaka „Pamiętajcie o ogrodach”

Pamiętajcie o zagrodach

przecież stamtąd wyszliście

gdy kapitał wsi ręki nie poda,

to będziecie żarli liście.

Pamiętajcie o zagrodach,

choć w nich tyle PRL-u.

Nie pomoże wam Kargul z zachodu,

tylko Pawlak z PSL-u!

Następnie komentował swe 33 dni rządów na mel. „Cienkiego Bolka” Stefka Friedmanna:

Uwierzyłem w Lecha słowo,

miałem misję mieć dziejową.

Wśród oklasków i okrzyków,

wydmuchałem „olszewików” (...)

Wrogom swym zrobiłem frajdę,

kto ja jestem — Krótki Waldek!

Wiele miejsca w szopce przypadło nowej premier Suchockiej — najpierw posłanka Kuratowska wprowadzała ją pieśnią: *Gdzie ci premierzy wspaniali tacy, orły, sokoły, etosy?* Potem sama **SUCHOCKA** przedstawiała się na melodię przeboju Danuty Rinn — „Polska Baba” zaś całą sekwencje kończył jej duet z **MAZOWIECKIM** na mel. „Czy te oczy mogą kłamać”. Na estradzie była to popisówka Joli Zykun z Kryszakiem.

Gdy wymieniają doświadczenia —

mężczyzna po przejściach,

kobieta z przyszłością.

*Choć po reżimie śladu niby nie ma,
jest problem co zrobić z upadłością?*

*On już próbował, już zna te problemy,
z roszczeniowymi strajkami,
z pogroźkami, że naród do boju...*

On zwalczał je siłą spokoju.

*Ona już wie i pozna na sobie,
że naród jej nie rozumie,
że już komuna była lepsza
i że trudno się oprzeć na tłumie.*

*Czas styropian zapomnieć,
plamy w aktach swych zatrzeć,
tylko milczeć przytomnie.*

I patrzeć.

Bo czy fakty mogą kłamać? — Chyba że...

Czy strajk można siłą złamać? — Lepiej nie!

Będzie farsa czy też dramat — gdy padnie rząd.

Pełny sukces, smutny blamaż?

Ależ skąd!

W dalszej części programu eks premier **BIELECKI** kołatał u drzwi do Europy na mel. „O Romeo, czy jesteś na dole”

Europo, czy jesteś tam w środku?

O tęsknoto, nas, państw na dorobku,

Co skoczyły w przód głowa,

W gospodarkę rynkowa...

Europo, krzyk usłysz sierotków...

Tymczasem już dawał się słyszeć śpiew LEPPERA na melodię „Wieczorów kawalerskich” Kazia Grześkowiaka:

Traktor na szosie, na widłach prosie,

Siewnik żniwiarka, brona i płot,

Nie ma spokoju dziś na E-8,

Mysz się nie przemknie, nie przejdzie skot!

Bankier, co wiezie wsad dewizowy,

ni na sygnale pożarna straż —

Nikt nie przejedzie, blokują wszak:

Ja, Szprycha z Kołka Rolniczego,

Baniak z PGR-u, Księdzów Piotr i ten, no ten...

Podczas gdy Unicy jak zwykle deliberowali o stylu i smaku, a Mazowiecki wyruszał do Bośni w charakterze Rambo, **CIMOSZEWICZ** z **OLEKSYM** śpiewali wesoło, w takt śpiewki „Wesołe jest życie staruszka”

Jeszcze kilka takich rządów,

trochę afer, strajków, sądów,

jeszcze więcej takich jaj

I znów będzie nasz ten kraj.

Wesołe jest życie koniuszka,

gdy pora dla cnoty jest zła.

Dorwiemy się wnet do garnuszka,

z okrzykiem — „Pabieda, da, da!”

Nie boimy się lustracji,

prowokacji, penetracji,

wszak dowodów przestępstw brak,

został swąd spalonych akt! (...)

Pod koniec programu poseł **NIESIOŁOWSKI** z chórem prawicy i solówkami **ANASTAZJI P.** wykonywał pieśń na mel „Tylko we Lwowie”

A kto lepiej wie, czego naród dziś chce —

Tylko posłowie,

Że cacy kalendarz, spiralka zaś be —

Poseł wam powie (...)

Czy chadek czy chłop, wie o tym UOP,

Pracuje w hotelu do rana.

Tam nie ma już spraw, kto lewy, kto praw...

W numerze nie słyhać już braw...

W przedfinale, cała scena polityczna, pod hasłem „huzia na Wałęsę”, wykonywała staropolski „Kurdesz”

Że trwa recesja i że chleb jest kiepski,

że się rozleciał już Związek Radziecki,

że kto nie robi, musi klepać bidę —

Winny, winny, winny prezydent!

Że drogie leki, że nam śmierdzi w domach,

że głupie dzieci, niekochana żona,

że nikt ze sceny nie zszedł raz ze wstydem,

Winny, winny, winny prezydent.

Że sztandar zetlał i przegniło drzewce,

że by się chciało, tylko, wciąż się nie chce,

że miast galopem wciąż idziemy stępa,

Winny, nie winny — lać prezydenta!

FINAŁ na mel. „Ale to już było” miał skłaniać do refleksji. (Pamiętam jak na opłatku w Stowarzyszeniu Pisarzy dziękował mi za niego Bogdan Tomaszewski). Z kart wielokrotnie przetasowanych w programie, konferansjerzy usiłowali zbudować wspólny dom i prawie im się udawało... Chyba był to już ostatni prawie optymistyczny szopkowy finał:

Z wielu spraw tak się łatwo drwi,

bo nie szczędzi życie tematów.

Lecz niestety to śmiech przez łzy

i potrzebna zmiana klimatu.

Choć nadziei deficyt w nas,

po horyzont same problemy,

wbrew wszystkiemu uwierzyć czas,

że do ładu jakoś dojdziemy.

Tego tu nie było,

ale jeszcze będzie.

*Czas, by wreszcie się zdarzyło,
że pójdziemy wszyscy razem po kolędzie
Byle się zatliło,
to już się rozpali.
Jeszcze robi nam się miło,
gdy będziemy z tych dzisiejszych łez się śmiali
Tego tu nie było,
ale jeszcze będzie,
choć skrywamy to jak miłość,
lecz zależy wszystkim nam na happy endzie.
Wygra moc przed siłą,
dzień z godziną czarną,
dawnym blaskiem będzie lśniło
wyświechtane dzisiaj słowo „Solidarność...”*

Rok 1993

Nic nie zapowiadało trzęsienia ziemi w menażerii. Po świątecznym wyczerpującym „strajku konsumpcyjnym” polegającym na nażeraniu się aż do granic możliwości organizmu, nastął czas karnawału i zabaw z tradycyjnym „Balem Mistrzów Sporów” na czele. Na balu tym ogłoszono wybór „Kręgowca roku”. Z urzędu została nim Lama (w radiowej rodzinie Szwendałów prezes Wilgotna). Nawiasem mówiąc przed rokiem nie znał jej nawet własny klub churałowy. W Ciągu następnych miesięcy, Lama miała zgarnąć jeszcze wiele cennych trofeów, w tym tytuł „samicy biznesu” — a Lew, obiecywał jeszcze więcej:

LEW

— *W Holly–Łódź za rok będzie, za moją namową.*

Oskar, za rolę wielką, choć drugoplanową.

W tym roku przyznawali jurorzy niestety,

Oskara wyłącznie za „zapach kobiety”.

Bal udał się, choć szwankowała strona muzyczna. W ostatniej chwili, po wpadce zespołu „Piersi”, który podpadł za występowanie z utworem „ZChN się zbliża” na sutkach (na ustach!) odwołano występ zespołu rockowego. Zrezygnowano też z wodzireja — satyryka, po tym jak w gazecie przy anonsie znanego ginekologa podano numer miejscowej kurii i dochodziło do gorszących scen.

KLIENKA

— *Czy tam u was zabiegi to kosztują drogo?*

GŁOS

— *Grożą piekłem.*

KLIENKA

— *Kto mówi, pan doktor?*

GŁOS

— *Ksiądz proboszcz.*

Odmówił prowadzenia balu również starszy Wybiegowy, po tym jak Chomiki oskarżyły go o udział w kursie dla oficerów sb. I choć Szop — Praczą radził:

— *Lekceważmy Insekty za ich pomówienie*

WYBIEGOWY coraz częściej nazywany wice-Lwem twierdził:

— *Dziś nie gnidy Belwybieg dręczą, lecz szerszenie!*

Dowodem koronnym na agenturalność Mietka miała być fotka z tego kursu. Zaraz jednak przyznał się do niej oficer policji, major Superczyński. Nazwaliśmy go dla potrzeb programu Superkaczyńskim licząc, że ilość przyznających się do fotki będzie tak wielka, że powstanie wręcz galeria zdjęć pod nazwą „Kolekcja Superkaczyńskich”. Oczywiście sprawa miała znaleźć swój finał w sądzie, który stał się w tym czasie miejscem najbardziej ożywionego życia towarzyskiego:

SĘDZIA

— *Straszy sądem Telesupeł,*

Bo Stop Kanał film mu urwał.

(Kto jeszcze pamięta Top Canal, pierwszą niezależną stację, która później nie dostała koncesji?)

SZOP

— *Anastazja, Łosia...*

ANASTAZJA

— *Muszę,*

Bo powiedział żem jest...

ŁOŚ

— *Nierządnicą.*

CHOMIKI

— *Oskarżamy dziś rzecznika, że nas wyzwalał od robactwa...*

WYŻEŁ

— *Mnie pozywa wroga klika, że ujawnił tajne akta*

Wybiegowemu marzył się proces Chomika na miarę procesu o podpalanie Reichstagu w 1933, przeciw czemu protestował sam bohater lipskiego procesu, komunista Dymitrow.

DYMITROW

— *Ja o pożar Reichstagu byłem obwiniany.*

CHOMIKI

— *Myśmy mosty spalili, za oraz przed nami.*

Ale jak dowiodły późniejsze wieloletnie procesy Urbana, nazwanego przez Ryszarda Bendera „Goebbelsem Stanu Wojennego” — wiara w rozstrzygająca moc sądowych werdyktów była niczym nieuzasadniona. Inna sprawa, że wyrok, który zapadł w 2002 roku, omal nie przeszkodził Lechowi Kaczyńskiemu w objęciu prezydentury Warszawy. W styczniu kabaret „Sześćdziesiątka” na tydzień zawitał do Kanady, ale i tym razem nie odbiło się to na produkcji tak radiowej, jak telewizyjnej. Zespół działał jak zegarek. W odcinku zatytułowanym „Szach królowi” po raz kolejny wałkowaliśmy sprawę dekretów dla Lwa (w ramach „**DEKRETYNIZACJI ZOO**”). Nadto oprócz przestróg Hipka przed PePeErem — czyli Polską Partią Emerytów i Rencistów, która właśnie pojawiła się w zwierzyńcu, odnotowaliśmy zabawny incydent. Wywołał go autentyczny kot, który pojawił się na sali obrad Churału...

... *I nadużywając swobód demokracji,*

Przebiegł nam przez ścieżkę szybkiej legislacji.

W ZOO spowodowało to zamieszanie, upadek ustawy budżetowej, powołanie podkomisji, która miała sprawdzić, czy kot nie był przypadkiem Busiem słynnym kotem bezwąsego Chomika — Jarosława, który w wyjątkowo dramatycznych momentach miał jakoby wzdychać *Tak nam dopomóż Buś!* Niektórzy twierdzili nawet, że to właśnie, ten kot a nie Chomik szedł na czele marszu na Belwybieg pod hasłami *Bolek na taczki*. W każdym razie przesądni łapali się za guziki (do głosowania) twierdząc, że kot przynieść musi rychłe nieszczęście...

*

Sekspert — Sprawiedliwość dziejowa

Pozory mylą. Bywa, że zjawisko uznamy za naganne, gdy tymczasem wypływa ono z najszlachetniejszych pobudek. Weźmy na warsztat stosunek „pan — służąca”. Do niedawna był to problem czysto akademicki — nie było panów, a służąca, jeśli nawet się znalazła, była najważniejszą osobą w domu i to ona mogła dyktować warunki. Również seksualne. Ale „wracamy do normalności” jak mawiał pewien imbecyl, kopiąc łyżeczką do kawy tunel z parku miejskiego do Zakładu Zamkniętego w Czubkach.

Zaszedłem niedawno do znajomego Smali Biznesmena (w tym czasie zrobił się już Big) i zamurowało mnie — w kuchni Gruzinka, w pokoju dziecinnym Sybiraczka, Ormianka zajęta doglądaniem interesu, Jakutka karczująca ogródek, a w salonie na „rayale” grała Ukrainka z Kijowa — po prostu Wspólnota Podległych Pań. I Small-Big-Biznes-men jako Pasza.

Sytuacja zainteresowała mnie z naukowego punktu widzenia. Kobiety były dość ponętne, zaś S-B-Biznesmen dopotąd zawsze świecił przykładem dobrego katolika.

— Ta sytuacja ma swoje plusy — poinformowała mnie jego małżonka, nalewając whisky i proponując kawior z krewetkami. — Od czasu kiedy mamy cudzoziemską służbę, Zenuś przestał spędzać noce poza domem, prawie się nie upija, spadł mu poziom cholesterolu i jest lepszy dla dzieci.

— A gdzie może być teraz? — zapytałem niepokojąc się jego przedłużającą nieobecnością.

— Proponowałabym zajrzeć do służbówki numer trzy. U Czerkieski!

— I pani mówi o tym tak normalnie? — Zdziwiłem się. Dotąd znałem panią Bożenkę jako osobę zazdrosną i małostkową

— Nie normalnie, tylko z dumą — odrzekła. — Jeśli pan sądzi, że postępowaniem mojego męża kieruje chuć, jest pan w błędzie. On to robi z patriotyzmu.

— Co takiego?

— Bierze odwet za czasy pogardy na prawnuczkiach najeźdźców, ciemiężców i fałszywych sojuszników.

Przespacerowałem się po domu, rejestrując w pamięci ślady walk i potyczek. W pakamerze znalazłem pobojuwisko poduszek jak pod Legnicą, na poddaszu Beresteczko, w łazience Cud nad Misską. Wróciłem do pani Bożeny. Zachowywała stoicki spokój:

— Widzi pan, mężczyźni w gruncie rzeczy należą do dwóch grup: Byków i Baranów, choć zodiak w gruncie rzeczy ma tu drugorzędne znaczenie. Mężczyźni Byki traktują kobiety jak rzeczy do tych rzeczy. Jeśli współżyją z nimi to tak, jakby wyświadczać im łaskę. A Barany? Niby rogate, ale niepewne, otepiałe, rozkojarzone, nawet do własnej żony piszą podanie o tygodniowy przydział pieszczot.

— A pani mąż to?...

— Byk do kwadratu! Czy pan wie, że on za każdą noc, którą spędza z personelem potrąca pracownicy z pensji. Niech wiedzą, kto tu komu robi łaskę? I kto tu jest pan!... Czasy rewolucji minęły! Wracałem zszokowany, ale muszę przyznać, pełen podziwu. I wtedy w podziemnym przejściu zaczepiła mnie jakaś potomkini Horpyny czy innego Pugaczowa.

— Pajdiosz maładiec? Tolko dwatsat dołarow... — kusiła. Uniosłem się dumą.

— Wybacz droga cudzoziemko, ale ja od kobiet nie biorę pieniędzy. Nigdy!

*

Odcinki „Polskiego ZOO” z tamtego przedwiośnia rejestrują obraz dreptaniny w miejscu, niekończących się gier pozycyjnych w czworokacie: opozycja z lewa — koalicja — Belwybieg — opozycja z prawa, w których oprócz prężenia mięśni żadna ze stron nie zyskiwała przewagi. Jako autor zdawałem sobie sprawę z jałowość takiej sytuacji i usiłowałem się podpierać pomysłami formalnym. A to proponowałem wykorzystywanie magii dla celów politycznych (np. poprzez nakłuwanie lalek szpileczkami), a to organizowaliśmy w dniu świętego Walentego (właśnie przeszczepiano na nasz grunt obchody Dnia Zakochanych) „Dzień bez kłótni”, z kiepskim zresztą wynikiem. Przy okazji Ogólnopolskiego Dyktanda — usiłowaliśmy przeprowadzić podobną zabawę w Churale, rzecz jasna pod dyktando Lwa. Przy okazji „święta pocałunków” fale oburzenia na prawicy wywołał billboard przedstawiający księdza całującego zakonnice. Z frontu walki z pornografią odezwał się **SZCZUREK**:

Przeto koncepcję mam gotową,

Pokrywać folią azbestową,

Wszystkie te świństwa o golasach...

Folia uchroni...

MENEL

— *Od adidasa?*

Większość ówczesnych odcinków wypełniały sprawy doraźne, dziś zapomniane. To jakiś nowy rekord w liczbie alkoholowych promili w krwi (*Kręgowiec potrafi!*), to znów wiadomość, że należy do nas kawałek dna Pacyfiku.

Co by nie powiedzieć radosna wieść ta,

Nareszcie będzie można odbić się od dna.

Znaczącą obniżkę stóp procentowych, zarządzoną przez panią GRONKOWIEC (Gronkiewicz Walc — osobiście poznałem ją w trakcie lotu do Kanady) skomentowała fraszka:

Kondycja biznesu jest w ogrodzie taka, Że przyjdzie te stopy gonić na bosaka.

W tym czasie nie wprowadzaliśmy już nowych zwierząt. Pojawiający się bohaterowie newsów, występowali w żywym planie, grani przeważnie przez niezwykle podatnego na charakteryzację Zaora. Jednego razu był on wicepremierem Goryszewskim (u nas Gawryszewskim), innego Ryszardem Benderem, czy mianowanym znienacka szefem Rady Telesupła — Markiewką (Markiewiczem).

Jedną z naszych ulubionych cegiełek składających się na odcinek ZOO bywał w tym czasie Teatrzyk „Czerwony Kur” (Gę, Gę!) nawiązujący do Gałczyńskiego. Prezentował on przy pomocy lapidarnych scenek współczesne sprawy w historycznych dekoracjach. Czasem przy jego pomocy poruszaliśmy nawet kwestie zagraniczne. Tej wiosny wystawiliśmy między innymi dramat

KORDIAN I HAMLET

HAMLET

— *Jako Hamlet, aktualny księżę Danii.*

LEW

— *Jako Kordian, ja lew.*

BÓBR

— *Jako stuprocentowy Poloniusz. Bóbr i już.*

WYBIEGOWY

— *Jako młodszy grabarz, starszy Wybiegowy!*

HAMLET

— *Źle się dzieje w państwie Duńskim*

LEW

— *Dania nasze vis a vis.*

BÓBR

— *Nie chcesz wejść w Maastrichtu uścisk?*

LEW

— *To wstąp tu, do NATO–bis.*

BÓBR

— *Lecz tam zbrodnia i występki.*

LEW

— *Stąd wahania i opory.*

BÓBR

— *Wysadzili World Trade Center.*

GRABARZ

(z czaszką pozując na Statuę Wolności)

— *Bardzo biedny Nowy Yorick.*

Dziś nie zaryzykowałbym podobnego żartu. Inna sprawa, że wówczas w podziemiach WTC wybuchła jedynie furgonetka z trotylem.

Przeważały jednak sprawy krajowe. Kiedy zarząd Warszawy wpadł na pomysł ściągania opłat za używanie nazwy i symboli stolicy, nasze zwierzaki postanowiły opatentować tytuł ZOO.

— *I będzie kapitał do skarbcza nam walił.*

Za poZOOry, MaZOOwsze, ZOOszczenkę. ZOOcjalizm.

Przy okazji muszę się przyznać, że jako autor „Polskiego ZOO” oprócz honorariów i sławy, specjalnie na moim wynalazku nie zarobiłem. Zyski z gadżetów i kaset, które początkowo próbowała produkować Viola Zaorska, nie trafiły do kieszeni twórców. Plan wydawania przez „Editon Spotkania” ilustrowanych zeszytów skończył się po jednym numerze. Paweł Potorocznyn z wydawnictwa „Zebra” (później mąż Grażyny Szapołowskiej i nasz konsul w Los Angeles) wpadł na doskonały pomysł opublikowania komiksów o prehistorii Polskiego ZOO. Pierwszy „Wiwat ZOO–lidarność” (opiewający lata 1981–82) został wydany w (słownie) jednym, kolorowym egzemplarzu. Na produkcję zabrakło środków, sponsorów i zainteresowania wśród dystrybutorów... Nie powiodła się również próba wyjścia w świat i marzenie o programie Global ZOO. Na „Róże w Montreux” zrobiliśmy specjalny odcinek, składający się w większości z najlepszych piosenek. Wydane zostały foldery. Doskonałego angielskiego przekładu wierszem (!) dokonała Jola Kozak i nic. Cud się nie zdarzył. Byliśmy chyba zbyt hermetyczni, zbyt lokalni, zbyt prawicowi...

Również w kraju metka polityczności programu, będąca początkowo atutem, najwyraźniej zaczynała nam szkodzić. Grad zaszczytów ustał, sami też czuliśmy pewne znużenie permanentną produkcją. Z lekką zawiścią komentowaliśmy fakt nadania Anthony Hopkinsowi tytułu szlacheckiego.

— *Zasłużył sobie na to, przecież zawodowiec.*

— *A za co mu dali?*

— *Za milczenie! (Owiec)*

Na pociechę puszczałem wodze fantazji, wyobrażają sobie nagrody dla swojskich komedianów. Zwłaszcza tych, oskarżanych o dworskość!

*Wszak można by pasować, na początek, u nas,
takich, co z Belwybiegiem mają dobre związki —*

Kryszakowi przyznać Krzyż Złotego Runa (w formie grzebienia).

No, a Zaorskiemu dać Order Podwiązki, (do sukni balowej)

Będzie to pociecha miła dla biedaczka, Gdy

za bratem, opuści Komitet na taczkach.

I wykrakałem, Janusz po reformie rozdzielającej Radio od Telewizji z końcem roku pożegnał się z prezesurą. My z ZOO, pół roku później!

Sekspert — Sprawa wielce moleściwa

Zastanawiam się nad degeneracją zgniłego Zachodu. To co się tam wyprawia, po prostu nie mieści się w głowie. Prawa dzieci ważniejsze od praw rodziców! Bić nie wolno nawet zwierząt, pedały manifestują, że chcą do armii na kierownicze stanowiska. (U nas niechby chciał jakiś „hetero” zrobić demonstrację przed Teatrem Wielkim, że musi do baletu, to by go zasiekli paseczkami od zegarków). To nie koniec, Murzyn ma w USA zawsze rację, a w Niemczech podpalanie domów tureckich jest prawie zabronione, choć jak wiadomo Turek, jako człowiek południa, lubi się podpalać, przy byle okazji. A co będzie dalej? Już widzę grupy szturmowe lesbijek blokujące spłoszonym nowożeńcom wstęp do kościoła transparentem: „Małżeństwo i rozmnażanie to przeżytek”. W swych obawach nie jestem odosobniony. Wspomnę choćby korespondencję, jaka zgromadziła się w moim biurze, na temat rozszerzania Praw Kobiety (nie mylić z prawami człowieka, czyli mężczyzny, które jak najbardziej popieram). Chodzi przede wszystkim o traktowanie normalnych męskich odruchów wobec płci przeciwnej jako tzw. molestowanie.

— To co — pisze do mnie wkurzony magazynier z Ząbek — już nie będę mógł klepnąć w dupsko własnej referentki, ani pobaraszkować z akwizytką na workach cementu?

Wbrew pozorom zaniepokojone bywają również kobiety. Dla wielu perspektywa nieszczypania przez pryncypała, to ogromne zubożenie życia wewnątrz biurowego. A co z prezentami od szefa? Co z Dniem Kobiet, który w podtekście zawierał moc urzędowego seksu? I wątpliwości — czy molestowanie zaczyna się już w momencie zaproszenia przez kierownika na działkę w celu „zrywu truskawki”, czy też dopiero od zerwania (i podarcia majtek) połączonego z wykaligrafowaniem „malinki” na szyi?

— Chcecie, żeby ludzkość wymarła — lamentuje notariusz z Radzymina — Przecież w naszym kręgu kulturowym jak nie pomolestujesz, to się nie rozmnożysz. U nas mężczyzna poluje na kobietę, a nie odwrotnie. Przy zagrożeniu molestowaniem będziemy płciowo w o wiele trudniejszej sytuacji niż podniecone jeżozwierze!

— Osobiście nie mamy nic przeciwko temu prawu — odezwali się bracia z Parzęczewa — i tak przecież nas to nie dotyczy. Jednak czy odpowiednikiem molestowania przez mężczyzn nie jest kobieca kokieteria? Jeśli chcecie zakazać mężczyznom zalotów, to najpierw rozwiążcie problem żeńskiej prowokacji. Kobieta jest tak skonstruowana (co nie znaczy, żebyśmy mieli pretensje do Autora!), że stanowi jeden wielki chodzący grzech. Zatem, jeśli ma być równość, to należy zakazać im makijażu, ondulacji, strojów zdobiących, kosmetyków. Dla każdej baby włosiennica, a najlepiej pozakrywać im twarze, jak u braci w Islamie!

— Słyszeliśmy, że na Zachodnie żona może odmówić mężowi spełniania obowiązków małżeńskich, a gdy ten mimo wszystko weźmie to, co mu się należy, będzie oskarżony o gwałt — Píše grupa chłopów z Samoobrony. — Jeśli spróbujecie coś takiego u nas, oflagujemy się i zablokujemy wszystkie wejścia do Poradni „K”.

Podzielam wiele obaw zawartych w listach. Aliści lęki, że może już teraz dotknąć nas to prawo, są mocno na wyrost. „To się u nas nie przyjmuje” — jak mawiał Miczurin szczepiąc gruszki na wściekлизnę. A jeśli nawet i tak wszystko będzie zależało od adwokata, który potrafi udowodnić, że to nie kobieta była molestowana, a mężczyzna. Na Zachodzie raz już się udało. Jedna szefowa oskarżona o wykorzystywanie erotyczne przez podwładnego, będzie mu bulić miliony (facet nie chce w naturze). Wyniku rozgrywki w sądzie nie obawiam się z innego jeszcze powodu. Mężczyźni są lepszymi adwokatami, podobnie jak są lepszymi kucharzami, fryzjerami. A gdyby musieli rodzić, to matkami byłiby też lepszymi, niż te niedomolestowane.. Na koniec krótki apel do potencjalnych podsądnych: „Najmilsi, molestujcie, ile wlezie, a może sami będziecie molestowani!”

*

Sekspert — Starość musi się wyszumieć

Napisał do mnie obywatel podpisujący się Raczkujący–Rencista...

„Jestem wstrząśnięty doniesieniami prasowymi, że w Ameryce częstotliwość pożycia małżeńskiego w wieku emerytalnym nie maleje, ale wydatnie wyrasta w porównaniu z okresem poprzednim. To wstrząsające i niewiarygodne. U nas takie „pożycie po życiu” jest nie do pomyślenia.”

Drogi R–R, wiele rzeczy możliwych w Ameryce, jest u nas nie do pomyślenia, choćby system dwupartyjny, ograniczenie prędkości na szosach do 65 mil, czy wyrzucanie prezydenta za to, że

pogmerał komuś w archiwum. Nie sędzę również, żeby to była manipulacja pism, będących amerykańskim odpowiednikiem „Żyjmy dłużej i częściej”. Jak wytłumaczyć ów amerykański fenomen? Cóż, w USA emeryci mają bardzo dużo wolnego czasu, ponieważ nie muszą dorabiać. Poza tym większość Amerykanów lubi na każdym kroku potwierdzać własną sprawność fizyczną. Wreszcie, nawet najgłupsza Amerykanka, która jeszcze parę lat wcześniej mogła się certolić, teraz wie na pewno, że nie ma na co czekać.

Zatem zamiast się oburzać, Drogi Raczkujący, należy przeszczepić te tendencje pod nasze strzechy! Dla przekonania niezdecydowanych wymienię plusy Seksu Złotego Wieku:

1. Nie zagraża mu życie poczęte.
2. Nie zgłasza przeciwwskazań Kościoł.
3. W dobie zubożenia waszej warstwy społecznej seks stanowi rozrywkę egalitarną, najłatwiej dostępną, a przede wszystkim tanią.
4. Przynosi nawet pewne oszczędności. Na świetle (młodsze pokolenie robiłoby te rzeczy przy żarówkach, starsze jest bardziej tradycyjne); na telewizji (po co się rozpraszać, a przede wszystkim porównywać babcię Ziutę z Cindy Crawford); na ogrzewaniu (jak się jest pod kołdrą, i to aktywnie, można pozwolić sobie na wyłączenie grzejnika). Właściwie do wprowadzenia tego przyjemnego obyczaju potrzeba spełnienia tylko jednego warunku. U nas niestety prawie nieosiągalnego. Trzeba dożyć do emerytury. I to we dwójkę. Natomiast czy erotyczne częste figle wydłużą wam czy skrócą dalszą egzystencję, to już indywidualna sprawa. I ryzyko. Może będzie i krócej, ale za to przyjemniej. A więc renciści, do dzieła.

Wreszcie zapachniało wiosną. Rozpoczęły się obchody Dnia Wagarowicza, które wypełniły demonstracje „ZOO–obrony”. W Churale wybuchła kolejna afera guzikowa, tym razem nie chodziło o głosowanie na parę kończyn, tylko o błędy tendencyjnej maszynierii rejestrującej głosy przeciw, jako głosy za. Łapa omsknęła się raz nawet szefowi Obrony — Tygrysowi

KSIĄDZ

— *Ma szczęście, Churał nie poligon.*

WYBIEGOWY

— *Szczęście. Ja stwierdziłbym — niestety.*

Jaki to byłby piękny widok,

odpalić w Izbę dwie rakiety.

Żarty na temat rakiet, były w tym momencie niezbyt na miejscu. Za bliską zagranicą **NIEDŹWIEDŹ** Bielcyn znalazł się w niezłych opałach. Obawiano się że może stracić władzę. Niepokoił się też **MORS REŃSKI** (Kohl)

*— Mnie dodatkowa drżączka bierze,
właśnie odkryły moje Szkopy,
w bunkrach po dawnym DDR–ze,
program podboju Europy.
Medali za zwycięstwo tłum
(Udały nieźle się mennicom),
a nawet sprzączki „GOTT MIT UNS”,
ryte gotycką cyrylica...*

W naszym ZOO Ruskich bano się jakby mniej, wyglądano za to Chińczyków, mających budować w Kosowej Woli pod Warszawą „China Town” (do dziś nie powstało). Widzieliśmy już oczyma wyobraźni.

*Dżonki, riksze, bambusy, już rozbrzmiewa gong,
„Zostać drugim Hong Kongiem” — to hasło ma styl.
Bo jeśli nawet trochę nie wyjdzie nam Hong,
Możemy zostać drugim Kongiem (Brazaville!)*

Tego roku zamiast tradycyjnego Prima Aprilisa postanowiliśmy ogłosić **DZIEŃ BEZ KŁAMSTW**. Nakazując zwierzakom mówić prawdę, niczego nie ryzykowaliśmy, świadomi, że w co jak w co, ale w prawdę nikt u nas nie uwierzy. Odcinek Wielkanocny nazwałem **BAZIE I NADBUDOWA** i przyozdobiłem go piosenką — pisanką **PRZEŚWIECONE, POŚWIĘCONE** w duchu miłego memu sercu historyzmu.

*Już Mieszko Pierwszy przed millennium,
fakt historyczny, to nie bajka,
chcąc na dziejowe wejść proscenium,
poświęcił naród, a z nim jajka.
Nie wszystko do dziś ujawnione
poświęcał się Lech, Czech i Krak...
Raz poświęcone, raz wyświecone, raz przeświecone.
Kap, kap!
Różne nasz przodek miał zachcianki.
Na wały szedł, by wyjść na wała.
Nieraz odbijał dzban, lub branki.
Częściej mu szajba odbijała.
Na zamianę z diabłem anioł kręcił,
historią, oraz każdym z nas.
Tego wyświęcić, tego poświęcić, a tych przeświecić...
Szast, prast!
Dziś, gdy jesteśmy w swoim domu,
Znów wszystko biegnie starym wzorkiem:
Początek od wielkiego dzwonu,
koniec ze zwykłym kalichlorkiem.
Chociaż przy władzy dobre chęci,
znów na igrzyska, wielki głód.
Kogo poświęcić, kogo wyświęcić, kogo przeświecić —
Wskaże lud!*

Sekspert — Lud z lodem

Nikt do tej pory nie zważył dokładnie etykiety podrywacza. Osobiście uważam, że waży ona więcej niż Order Podwiązki, Łażni i Złotego Runa razem (erotomanom nieukom tłumaczę, że zestawieniem szanownych tytułów nie sugeruję bynajmniej porno scenki zdzierania podwiązek w łazience, aby czym prędzej dobrać się do wspomnianego runa). Tak czy siak, bycie podrywaczem zobowiązuje. To nie to samo co doktorat honoris causa lub karta pływacka, które otrzymuje się bezterminowo. Aby utrzymać reputację podrywacza trzeba niestety ciągle pracować, by nie doczekać wzmianki „patrz jak ten Kozak skapcał”. Ergo, jeśli kiedykolwiek przylgnęła do nas łaska uwodziciela, należy płakać (w duchu), pokutować (w terminach ustalonych) i brnąć dalej.

Jak? Nie narzucam żadnych metod. Jedni stawiają na nowoczesność w domu i zagrodzie, korzystając z usług sklepów erotycznych i lekarzy. Inni czerpią z przebogatej tradycji ludowej. „Pewne rzeczy po prostu w nas tkwią”, rzekł koń zboczeniec, na którego najechał dyszel. Znałem wychowawcę, który na Mikołaja włożył swoim uczennicom do pończochy. Inny, nie tylko w Wigilię, nosił słomę w butach. Na Kurpiach pokazywano mi niewiastę, która na Wielkanoc malowała mężowi pisanki, co grosza nie tylko własnemu. Nie ginie też tradycja skakania w (bok) przez Ognisko Domowe, podczas Nocy Kupały. Jak twórczo wykorzystywać tradycję, pokażę na przykładzie działalności podrywacza dżentelmena w Poniedziałek Wielkanocny. Działalności owocnej, w sytuacji zgoła beznadziejnej. Oto żona i potomstwo naszego bohatera bez uprzedzenia wyjechało na Święta, on zaś po niewczasie zauważył, że nie zaplanował niczego, co mogłoby wypełnić mu czas i tapczan. Czy dopuści do sytuacji, że we wtorek w biurze, na pytanie: „No i jak było słomiany wdowcu?” Odpowie „Zamiatąłem kurze”. On, podrywacz dyplomowany! Mógłby wprowadzić koloryzować, ale brzydzi się kłamstwem. Co więc robi? Przez niedzielę myśli, w poniedziałek działa.

Oto biegnie przez miasto piękna dziewczyna. Goni ją zgraja zwyrodniałych **zboczeńców-moczeńców**. Dziewczyna jest już mokra na całym ciele, ale oni nie zaprzestają pościgu... I naraz na drodze pojawia się peugeot (w wersji skromniejszej „maluch”), a w nim on, **dżentelmen podrywacz**. Wyskakuje i własną pierś zastawia ofiarę, lekceważąc groźbę obalenia. Następnie udostępnia swój samochód. „Dokąd panią podwieźć?” — pyta. Odpowiedź znamy z góry, dziewczyna w stanie absolutnej wilgotności nie może pokazać się nigdzie. Wobec tego przyjmuje eleganckie zapraszamy do czasowo pustego mieszkania w celu wysuszenia. Propozycja zostaje przyjęta tym łatwiej, że banda wyrostków bębni w dach wozu i napełnia w hydrancie wiadra. W mieszkaniu dżentelmen częstuje zmoczoną koniakiem (w wersji skromniejszej winem owocowym), aby przyspieszyć schnięcie od środka. W tym samym przebiera się w szlafrok (w wersji skromniejszej, w pidżamę), aby też się suszyć. A potem... a potem jest jak musi być, **bardzo miło** (w wersji skromniejszej — miło).

Mylibyście się jednak bardzo drodzy kursanci sądząc, że powyższa historia jest od początku do końca improwizowana. Nikogo nie stać na długotrwałe poszukiwania. Nie ma potrzeby udzielać pomocy brzydulom i staruchom po trzydziestce. Wszystko jest zaplanowane, a zboczeńcy–moczeńcy zostali przez podrywacza wynajęci. Pojawia się naturalnie problem gratyfikacji dla bandy. Może być gotówka, ale taniej wyjdzie, jeśli jako honorarium posłuży taśma, na której kamerą video zarejestrowaliśmy proces suszenia. Jeśli suszący jest operatywny, a lekarz nie zgłosił przeciwwskazań, w ciągu jednego poniedziałku można się zmoczyć i wysuszyć wiele razy... Błagam o jedno! Dżentelmeni podrywacze, trzymajcie na wodzy własne poczucie humoru i żadnej panience z mokrą głową nie powiedzcie na zakończenie spotkania: „Uśmiechnij się, jesteś w ukrytej kamerze!”

Oczywiście święta, świętom nierówne. Po opisie sukcesów niemoralnego mężczyzny, wykorzystującego obyczaje ludowe w święta kościelne, przejdźmy do państwowych. Powiedzmy, znowu mamy emocjonalny przestój. Nic na horyzoncie, nic pod horyzontem. Wprawdzie powiada stare przysłowie niedźwiedzie, że najlepsze kochanki poznaje się w biedzie, ale dobre maniery nie pozwolą nam szukać znajomości pod pośredniakiem, zwłaszcza, że jeśli chodzi o „rynek zmysłów”, do pośredniaka trafia jedynie drugi sort.

Oczywiście kobietę swego życia można znaleźć wszędzie, należy tylko być bystrym, przystojnym i mieć najwyżej dwadzieścia pięć lat. Ale wtedy każdy głupi potrafi podrywać. Co ma jednak zrobić ślepowy, korpulentny ponad pięćdziesięciolatek? Nie poddawać się! I wykorzystywać każdą okazję. Wiem, że kiedyś było łatwiej. Znakomitym miejscem kojarzenia par był Pochód Pierwszomajowy. Wystarczyło tylko chwycić drugi trzonek transparentu i wspólnie, niosąc hasło „Młodzież z Partią” uśmiechać się niby do trybuny, a w istocie do maszerującej obok zdobyczym krokiem, współtowarzyszki manifestacji. Przed końcem defilady można było doskonale oszacować jej piękny robotniczo–chłopski profil, inteligentne nóżki i biust wskazujący na zaczątki drobnotowarowej gospodarki. A po pochodzie? Wspólne piwo, kiełbaski, nerwowe rozsypywanie krawata organizacyjnego i troskliwe odkładanie plisowanej spódniczki w krzakach, aby się nie pogniotła.

Naturalnie, jeśli ktoś ma pecha, temu i Pochód Pierwszomajowy nie pomoże. Pamiętam jeden z majów stanu powojennego, kiedy zauważyłem na ulicy dziewczynę o tajemniczym uśmiechu, właściwym młodszemu pracownikom Służby Bezpieczeństwa. Dziewczę ujęło jedno drzewce transparentu „Niech żyje Solidarność”. Chwyciłem za drugie! Niestety po rozwinięciu okazało się, że hasło brzmi: „Niech Żyje Solidarność Proletariatu Miast i Wsi Naszej Ludowej Ojczyzny z uciskanymi, ale walczącymi krajami Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej, a także Oceanii!!!” Dzielilo nas kilkadziesiąt metrów płótna, nadto moja współmanifestantka miała taki propeller, że na swoich długich nogach sunęła bez przerwy gdzieś w pierwszych rzędach Woli, a ja choć podążałem za nią z Ochotą, nie mogłem wyprzedzić zwartej bloku Pragi Południe.

A dziś? Też zdarzają się manifestacje, jednakże nie mają dawnego charakteru. Widząc raz hożą działaczkę prawicy parlamentarnej, mocującą się z wieńcem z okazji Dnia Antykomunisty, zbliżyłem się do niej szparko ze słowami:

— Koleżanko patriotko, widzę wielkie brzemię w twoich rękach, dlatego spieszę cię poinformować, że jestem ochotnikiem nosicielem... — Nie dokończyłem, na słowo **nosiciel**

aktywistka pobielała, rzuciła wianek, założyła rękawiczki, dała mi na odczepnego tysiąc złotych i uciekła do pobliskiego kościoła.

Ciężkie są wyzwania nowych czasów i związane z nimi niespodzianki. Onegdaj wybrałem się na demonstrację antypaństwową. Bilans: zbite okulary (armatka wodna nie rozróżnia wściekłych anarchistów od propaństwowych gapiów). Bez szkieł widzę marnie, ale zdołałem wpatrzeć (częściowo na wdech) niewątpliwą kobietę, parę metrów przede mną. Ruszyłem za nią. Uciekająca demonstracja przerzedzała się. Niewiasta obejrzała się kilkakrotnie, ale widocznie nie spłoszyłem jej, ponieważ wcale nie przyspieszyła kroku. I szliśmy tak, w jednym kierunku, niby przypadkowo i osobno. W pewnym momencie dookoła zrobiło się pusto. Mimo zmoczonej odzieży czułem ogarniający mnie ogień. Wiedziałem, że tylko od mojego zdecydowania zależy wykorzystanie sposobu dyngusowego... Kobieta skręciła do jakiegoś bloku. Ja za nią. Potem do mieszkania — warte podkreślenia, że nie zamknęła mi drzwi przed nosem. Postanowiłem być zuchwały, i mimo że nikt nas sobie nie przedstawił, rzuciłem nonszalancko:

— Pozwolisz kochanie, że się co nieco osuszę.

Coś bąknęła i znikła w łazience. Ja zaś błyskawicznie rozebrałem się i do wyra...

Oczekując na dalszy ciąg poczułem odrobinę niepokoju. Rozkład mieszkania, faktura pościeli coś mi przypominały. A gdy w szufladzie nocnej szafki znalazłem zapasowe okulary i założyłem je, zorientowałem się, że trafiłem do swojego mieszkania. Zmoczone z tłumy była moją ślubną. Pięknie rozpoczęty dzień miał skończyć się czymś, co od dawna uważałem za kazirodztwo. Ale nic to! Jak manifestacja to do końca. Zacisnąłem zęby i dopełniłem małżeńskiego obowiązku! Choć z moją zimną małżonką czułem się jak koktajl po proletariacku — lud z lodem!

*

Manifest śpiewany

(muzyka, jak we wszystkich piosenkach ZOO — Korcz)

Jak kraj długi i szeroki

wszystko tonie w żółci, w pianie.

Trudno jakoś mieć widoki,

gdy powszechne narzekanie

*Wzbudza to i naszą złość,
więc krzyknijmy pod prąd — dość!
Dość słuchania durnych frazesów,
dość apatii! Choć przyczyn nie mało
Ujawnijmy się — ludzie sukcesu,
wszyscy, którym coś się udało!
Ci, którzy z podziemia trafili do steru
włodarze urzędów, zdobywcy eteru!
Co knebel wypluli, zerwawszy swój kaftan,
wszak ust, raz otwartych i stula nie zatka
Dziś nasza powinność,
pociągnąć kraj wzwyż!
Na imię nam milion!
Nie siedzmy jak mysz!
Kiedy bezsens na nonsensie,
ogłupiały chodzi ludź.
A że nim gorączka trzęsie,
gada wciąż: „Komuno wróć”!
— Lecz nie wszystkich skręca głód.
My, mówimy — Nam jest good.
Stąd nasz apel do braci i synów,
zaśpiewajmy raz sobie „Niech żyjemy”
Weźmy w kupę się my — ludzie czynu.
Wszak prywatny to czyn, nie partyjny!*

*My cośmy w kieracie chodzili, a teraz
możemy się cieszyć, że skończył się kierat
My, którzy umiemy pracować na swoim
Nam przecież nie straszna, że reszta się boi.
Bo jeśli nie dzisiaj — znów stanie mur bzdur.
Nie siedźmy jak myszka Zwiewajmy jak szczur!*

Piosenka miała być antidotum na powszechnie narzekanie, na nastroje apatii społecznej wreszcie na własną depresję.

22 kwietnia umarła moja Mama. Dokładnie 45 lat wcześniej zmarł mój dziadek. Fatum? Boję się tej daty. A przecież, jak doskonale pamiętam, był to jeden z tych cudownych wiosennych dni, kipiących młodą zielenią, pełnych rozleniwiającego ciepła, nadziei. Szykowałem się na kolejne nagranie ZOO — wiedząc co zastanę. Obok spotkania z zespołem, Krysia Bystrosz tradycyjnie czekała z wypłatą. W plenerku kręcone miały byś sceny z demonstracji, więc opodał ekipa techniczna z pewnością smażyła kiełbaski...

Siedziałem przy biurku kończąc tekst na nagranie ZSYP-u. Mama parokrotnie zaglądała w biblioteki. Od pół roku, po kolejnym wylewie nie mogła mówić, ani pisać, ale dziś jestem przekonany, że chciała przekazać mi wówczas coś niezwykle ważnego. Ale nie miałem czasu... Potem zadzwoniła Sylwia, przebywająca w Polsce, pojechała samochodem na pobliski rynek i maluch jej zgasł. Wskoczyłem do wozu, miałem wtedy chyba peugeot, pojechałem na Marysin, popchnąłem, fiat zapalił... Kiedy wyjeżdżałem, mama wyszła z domu, i zaciągnęła za mną bramę. Potem pośmiała się z Joli sadzącej coś na grządce, poszła do starego domu, obrała sobie jabłko. I umarła.

Zepsuty samochód, zgrzytliwy dźwięk kółeczek bramy wleczonej po betonie, jabłko, kotki, które urodziły się w tym samym momencie w nogach jej łóżka, 22 kwietnia i las szturmówek wokół hangaru na Alei Lotników...

Nagle spadła na mnie, w 45. wiosnie życia jakaś cholerna dorosłość. Poczułem się absolutnie samotny, pozbawiony wyższej instancji, punktu odniesienia, bezgranicznej miłości matki. Definitywnie zgoliłem brodę, przestałem farbować siwiejące włosy... Pogodziłem się ze swoim wiekiem, z nieuchronnością losu... Choć nie do końca! Pamiętam w dniu pogrzebu patrzyłem z zazdrością na kruczoczarne włosy i szczupłą sylwetkę, bez śladu brzucha, mego najbliższego przyjaciela, Andrzeja Umgeltera. Wydawał się młodszy ode mnie o dobre 10 lat.

„Mój Boże — pomyślałem sobie — Przyjdzie kiedyś taki 22. Ja będę musiał odejść, a mój kumpel, nadal młody będzie podziwiał powaby kolejnych wiosen”.

Parę dni później Andrzej, dziwnie niespokojny, wspomniiał mi, że wybiera się do szpitala. Od pewnego czasu niepokoiła go powiększające się narośl na nodze. Lekarze twierdzili, że nieszkodliwa. Mój przyjaciel od pierwszej klasy, słuchacz tasiemcowych historii o alternatywnych światach, które opowiadałem mu w latach szkoły średniej, powiernik sercowych porywów, karciany partner i zacięty antagonistą w dyskusjach politycznych, zmarł rok później 4 września 1994, dokładnie w 21 rocznicę mego ślubu, na którym był świadkiem.

Ale życie szło dalej. Czekały kolejne ZSYP-y kolejne ZOO-logi.

W tamtych dniach napisałem jeszcze jedną wersję wiersza —

Czy to są czasy?

*Czy to są czasy na kabaret?
Trudno odgrzewać żarty stare,
Lepiej świętować swą bezkarność,
plując na Kościół, Solidarność.
„Dziś wierzy tylko się w mamonę.
Czarne nie lepsze niż Czerwone!”
Czy to są czasy na kabaret,
wszak konkurencja kipi gwarem.
Sejm się jak beczka śmiechu toczy,0
laski marszałka nie przeskoczysz!
Na brak pomysłów — jest pociecha,
wystarczy zacytować Lecha!
Czy to są czasy na kabaret?
Kto z nas odnajdzie w sobie parę,
by miast na innych szczyrzyć zęby,*

pośmiać się z własnej wrednej gęby?

Kto pierwszy, proszę towarzyszy?

Nikt? Póki co — minuta ciszy!

*

Sekspert — Niebezpieczny wiek

Jest taki moment w życiu mężczyzny, kiedy ku własnemu zaskoczeniu, zaczyna dokładniej przyglądać się koleżankom syna, bywa w drzwiach ustąpi miejsca swojej uczennicy, zaczyna czytać prasę młodzieżową, lub łapie się na oglądaniu „Gawędy”. Dowodzi to jednego, wchodzi w niebezpieczny wiek. „Czterdziestka — niebezpieczna dla facetów pora...” Kto to napisał? Chyba ja. Minimaliści ową smugę cienia lokują koło magicznego czterdzieści i cztery, maksymaliści przesuwają ją grubo pod sześćdziesiątkę. Są to sprawy indywidualne. Jednych szatan potrafi opętać w wieku trzydziestu pięciu lat, u innych spóźnia się na pogrzeb. Znałem osobnika, który mając osiemdziesiąt jeden lat poderwał żonę własnemu wnukowi, a ten nawet tego nie zauważył, gdyż cierpiał na sklerozę.

W każdym razie mężczyzna po czterdziestce to już nie swawolny byczek, który dopada wszystkiego co się pasie. Doskonale zdaje sobie sprawę z konsekwencji. Dlaczego więc bywa niekonsekwentny? Przypuszczam, że skłonność starszych panów do młodych dziewcząt ma związek z zasadą **przyciągania przeciwieństw** — blondyni wolą brunetki, biedne bogatych... W tym miejscu brakuje niestety sprzężenia zwrotnego. Młódki nie szaleją za mężczyznami w wieku przejrzałym (co najwyżej za ich portfelami). W efekcie jestem zasypywany listami od facetów podpisujących się „degustator lolit”, „miecz na dziewice”, „lwelas amator” czy „bosman od siusiu-majtek”. We wszystkich powtarzają się pytania: „Co robić ze swoją skłonnością? Jak zdusić pokusę w zarodku? Albo lepiej bez zarodka?” Niekiedy dostrzegam w tych wynurzeniach uczucia naprawdę głębokie i piękne, tęsknotę za miłościami niezrealizowanymi we właściwym czasie, potrzebę przeżycia ostatniej fascynacji pięćdziesięcioletniego mężczyzny, walkę z przemijaniem.

Oczywiście nie ma sytuacji beznadziejnych. Jedną z recept jest **przeczekanie**. Należy uzbroić się w cierpliwość, włościennicę, różeczkę i przeczekać niebezpieczny okres, ograniczając wszelkie grzechogenne kontakty. Przyjdzie starość i będziemy mieli pokusy za sobą. Metoda druga polega na przyspieszaniu wyjścia ze strefy zagrożonej. Zatem żadnych sportów, diet itp. Należy nawet rozbić lustro w łazience. Pogłębić wrodzoną skłonność do abnegacji, roztyć się, rozflejtuszyć. Dużą pomocą służą kiepskie papierosy, samotnicze pociąganie z butelki i towarzystwo podobnych nam osobników. W pierwszym okresie nie zmniejszy to oczywiście chęci do grzechu, ale drastycznie zredukuje możliwości.

Można też zdecydować się na metodę szczepionki. Nawiązać znajomość z dorastającą panią, nauczyć ją życia, doprowadzić do matury, dobrze wydać za męża, odfajkować ten epizod w pamiętniku, a następnie skruszony wrócić do swojej żony. Z mocnym postanowieniem poprawy. Do następnej okazji.

*

Sekspert — Instytucja

To przyszło niepostrzeżenie. Początkowo radziłem wam jak dobry wujek czy miła ciocia. Bywałem powiernikiem, konfesjonałem, poduszką do łez, lub chusteczką jednorazową. Jednak liczba listów rosła. Zatrudniłem sekretarkę. Potem drugą sekretarkę (pierwsza okazała się niewierna i mało pracowita). Zaczęły się wieczory autorskie i hotelowe konsultacje. Potem ktoś nazwał te luźne spotkania seminariami, ktoś inny poprosił o potrzebne (nie wiem w jakim celu) świadectwo odbycia kursu. W jednym z liceów wpisano mój przedmiot, obok religii, jako zajęcia nadobowiązkowe. I ani się obejrzałem, jak przyszło z Wydziału Przemysłu i Handlu zezwolenie na działalność. A z Izby Skarbowej pytanie, jaka to jest działalność? Tu się zastanowiłem. Jaka? Produkcyjna? Jak dotąd przychówek mej placówki był niewielki i nie zarejestrowany.

Handel? — Czy bezgotówkowe kupczenie informacją jest handlem? Sport i turystyka? — Mówiłem już, że brzydę się traktowaniem seksu jako sportu. A co to za turystyka, gdy wycieczki odbywają się najwyżej po trasie — od kolan do biustu. Najbliższa była mi rubryka „religie, związki wyznaniowe i stowarzyszenia kulturalne”... Według przysłanego informatora, na tej niwie najłatwiej uniknąć opłat celnych i nie płacić podatków.

A potem już poszło — dostałem gdzieś doktorat honoris causa, zostałem członkiem korespondencyjnym paru Akademii. Agencje towarzyskie ofiarują mnie i moim kursantom 33 procent zniżki. Moje dyplomy uzyskują atest zagraniczny.

Kościelny, kiedyś sprawca mojego nawrócenia, zagroził mi klątwą, toteż musiałem go przyjąć na pół etatu. I działał. W bramie, na ulicy Owidiusza róg Aretina wisi szyld: „Poradnia pozamałżeńska, trzecia klatka, suteryna (chuligani ciągle przerabiają na sutenera), pukać trzy razy, albo wchodzić bez pukania. Gwarancji nie udziela się. Ceny umowne. Zapraszamy!”

*

Sekspert — Z doświadczeń zawodowych

Prowadzenie placówki poradniczej ma sporo plusów ale i minusów. Dwukrotnie zdemolowano mi malucha, raz siłą naciągnięto na głowę prezerwatywę. Zostałem też poszczuty psem przez ogrodnika i kotem przez starą pannę. A listy?

„Co pan z tego ma? — napisała do mnie **pobożna z Opoczna** — Świadomość, że zdeprawował pan mnóstwo ludzi, ze mną włącznie. A może płaci panu Moskwa czy Tel Aviv? Uważaj pan, mam na pana oko!” Na szczęście spotykają mnie również pochwały. „Nareszcie ktoś mi zdemoralizował córkę, bo myślałam, że już mi nigdy nie dorośnie”. Albo: „Dziękuję ci „Poradniku” za radę. Wreszcie odszedłem od żony. Kolegi.”

W przesyłkach zdarzają się (choć nie za często) prezenty. Nierzadko pomysłowe. Wynalazca z Gdyni przysłał mi **frykcjometr z budzikiem**, na wypadek gdyby użytkownik zasnął w trakcie. Aptekarz z Jasła pastylkę halucynogenną, po zażyciu której można przeżyć dowolnie co, dowolnie z kim, i to nie przerywając snu. Natomiast od zielarza z Puszczy Piskiej otrzymałem uniwersalny lubczyk, który zaaplikowany w odpowiedniej dawce powoduje wybuch uczuć miłosnych u zażywającego. Niestety łatwo o wypadek. Działanie lubczyka powoduje wzmocnienie uczucia akurat do tej rzeczy, o której się myślało w momencie zażywania. Wypróbowałem specyfik na zaprzyjaźnionej rodzinie. Reakcja przerosła oczekiwania. Dziadek zjadł obraz dziadka Piłsudskiego, dziesięcioletni synek zgwałcił chomika, żona zakochała się w redaktorze Zimochu z „Panoramy” i czatuje na niego pod Telewizją. Szwagier zadurzył się we Wspólnocie Państw Niepodległych i złożył podanie o azyl, a ja... Wstyd powiedzieć. Spróbowałem mikstury tęskniąc o sekretarce, ale w ostatniej chwili pomyślałem o Was, Drodzy Słuchacze. Wkrótce potem miałem mieć spotkanie konsultacyjne. I... Za siedmiokrotne usiłowanie gwałtu dostałem dwa lata z zawieszeniem, połączone z odebraniem licencji, którą wyżebrałem z powrotem, po znajomości.

Ostatnio od obywatelki podpisanej „Strachajło” otrzymałem całe mnóstwo pytań, świadczących o jej głębokich kompleksach i niewiedzy.

— Kiedy proszą mnie o rękę mam nieprzpartą chęć dać nogę. Czy wypada?

— A dawaj pani jedno, i drugie, i trzecie!

— Czy można ubezpieczyć cnotę i za ile?

— Zakłady ubezpieczeniowe i bez tego upadają.

— Na plaży, na widok mężczyzn strasznie się rumienię. Ale tylko na twarzy.

— To chodź na plażę nudystów w masce.

— Czy można zająć w ciążę siadając na wygrzanym krześle?

— Zależy, w ile osób się siada.

— Co powiedzieć wujkowi, który zaprasza mnie samą na wczasy samochodem do Włoch.

— Sprawdzić czy wujek jest żonaty, jaki ma samochód i czy Włochy nie leżą pod Warszawą.

— Ponieważ boję się ciemności, czy mogę noc poślubną odbyć w dzień?

— Możesz!

— Co robić, kiedy ludzie mówią o mnie kretyńka?

— Zgodzić się z nimi.

— Miałabym okropną ochotę spotkać się z, panem, ale się wstydzę.

— Poradzimy i na to. Dzisiaj, 22.28, w mojej placówce.

Nigdy tego spotkania nie zapomnę. Rzuciła się na mnie już w progu, rwąc w strzępy mój służbowy szlafrok. Nazajutrz w lokalu „Niezapominajka” tańczyła nago na stole, pobiła interweniującego pastora, zdemolowała radiowóz, a gdy czyniłem jej nieśmiałe wymówki „Strachajło” stwierdziło jak gdyby nic: „Przy panu czuję się taka odważna!”

Innym razem otrzymałem od młodego małżeństwa pytanie, o dość fundamentalnym charakterze. „Jak żyć?” Odpisałem. „Najlepiej po Bożemu!” Jakiś czas później dostałem list od młodej mężatki z pretensjami.

„Szanowny Poradniku, przeczytaliśmy z mężem, zgodnie wskazówką, „Życie bogów greckich” i mąż próbował wszystkiego — przebierał się za byka, za łabędzia, spadał na mnie złotym deszczem, a ja charakteryzowałam się na drzewo bobkowe — i nie ma żadnych rezultatów. Nadal jesteśmy bezdzietni. A może chodziło pani o jakiś innych bogów?”

Zdenerwowany oczywistą durnotą poleciłem im boga Sziwę i Kamasutrę. I jakiś czas był spokój. Po roku dostałem list z podziękowaniem i zdjęcie synka. Piękny malec z sześcioma rączkami.

*

Przeglądając swoje ówczesne archiwa zauważam zniknięcie „Streszczeń Poprzednich Odcinków”, które przez półtora roku przygotowywałem dla Krakowskiego „Czasu”. Nie pamiętam jak się to odbyło, pewnie któregoś tygodnia nie zadzwonili, albo może zadzwonili, tłumacząc z zakłopotaniem, że „na razie” muszą zawiesić, ale w przyszłości jak najbardziej...

Trzecia Najśmieszniejsza w porównaniu z PRL-em jest epoką niezwyklej prasowej niestabilności. Za komuny tygodnik „Szpilki” jedynie zmieniał naczelnych: Mostowicz, Toeplitz, Filler. Za wolności,

upadały po trzykroć i mimo że w końcu kupił je taki potentat jak Marek Profus, gdy padły po raz trzeci — już się nie podniosły. Zabawne, ale przez kilkanaście lat nie udało się wypromować na dłużej żadnego satyrycznego periodyku (nie liczę „Nie”, zbiorów kawałów, czy antysemickich Bubl). Zbiór inicjatyw — „Młyn” (w który sam się zaangażowałem), „Grizzly”, „Garbus”... — to lista poległych już podczas pierwszych potyczek. Splajtowała lub zmieniła oblicze również większość czasopism z którymi współpracowałem — mam nadzieję że bez mojej winy. O wielu nie wiem nawet czy istnieją. Ciekawe, że ludzie potrzebują pism o domu, psach, kotach, rybakach, gwiazdach i horoskopach, a o teatrze, satyrze, intelektualnej rozrywce — niekoniecznie.

ZOO jednak kręciło się dalej. Raz pod tytułem **PRYSZCZYCA 93** to znów **OSTATNIE KUSZENIE KOALICJANTÓW**, kiedy to poseł Wiesiołowski (Stefan Niesiołowski występował w roli dyrygenta Niesiołowskiego) bezskutecznie usiłował zapanować nad zwaśnionym chórem centroprawicy. Zajmowaliśmy się też sprawami bardziej prozaicznymi. Ja te, których dotyczył dialog arcy-liberała Korwina-Mikkego i szefa OPZZ Miodowicza:

TRUTEŃ (pikując jak sztukas, z arkuszem podatkowym)

— *Przeprrrraszam.*

MUCHA

— *Dokąd pędzisz waść jak nastolatek?*

TRUTEŃ

— *PIT-em bliżej. Opłacić dziś muszę podatek!*

MUCHA

— *Podatki to idiotyzm. — Szansę stworzy równe,*

jedynie powszechnie płacone pogłównne.

Jednakie dla studentów i dla emerytów...

GAWRON (z dziupli)

— *PIT kształtuje świadomość.*

TRUTEŃ

— *Brrr. Emeryt*

(do emerytki przy kalendarzu)

— *Byle do PIT-u!*

Innym razem uwaga wszystkich skoncentrowała się wokół nowoodkrytej dziury ozonowej. **NOSOROŻEC** (Giertych) z sentymentem wspominał przedwojenny Obóz ZOO Narodowców (OZON):

— *Oj przydałby się nam w zwierzyńcu,*

przeciwko wpływom barbarzyńców,

Masonów, Żydów i Cyganów...

(zakładając maskę przeciw gazową) Ozonu trza!

LIS (wachlując się „Gazetą”)

— *Dla Klechistanu. (...)*

CHOMIKI (w ciemnych okularach)

— *Wiemy czyj to pomysł świński*

PANCERNIK

— *Zamysł dyktatorski!*

KOALA

— *Ściągnąć chcę wyż syberyjski*

WYŻEŁ

— *W zamian za azorski...*

Dywagacje wokół dziury trwały zwłaszcza że na ozonową nakładała się również dziura budżetowa. Pewne rozweselenie przyniosło dopiero ogłoszenie finalistów „Srebrnej mordy” (Aluzja do „Srebrnych ust” przyznawanych przez radiową Trójkę).

Wygrał Lew, który stwierdził „A co my możemy,

„Że to Słońce obraca się dokoła Ziemi”,

Poza tym Gawryszewski, co mówił z naciskiem:

„ZOO może być biedne, byle katolickie”

MUCHA

— Jam także laureatem, a zasług mych kupa,

Lecz najzłotsza myśl była, że „Zarząd rżnie głupa”

ŻÓŁW

— Do puli szołmen Owsik też się wtarabanił

LIS

— Zzza dddykcje ooraz okrzyk:

OWSIK (Owsiak)

— Kkocham was Kkkochani!

*

Sekspert — Zasady i wyjątki (które je potwierdzają)

Z podwójnym życiem jest jak z jedzeniem pestek. Jeśli raz zaczniesz, trudno ci skończyć. Następuje właściwy dla każdego nałogowca proces uzależnienia się. Nie, nie od kochanki, tę zawsze można zmienić, ale wytrawni wielowarsztatowcy wiedzą, że w trakcie podwójnego życia, dłuższego niż pół roku, powstaje **delikatna infrastruktura pozamałżeńska**. Nie myślę tylko o garsonierce, zapłaconej z góry (zawsze można do niej wpuścić rodzinę Rumunów), czy domu działkowym wynajętym od kolegi (tu może wystarczyć przypadkowe zaproszenie ognia). Ale co z ruchomościami? Ze zmianami pościeli, ręczników, czajnikiem, małą lodówką? Co z telewizorem, video, kolumną magnetofonową, kompletem kieliszków, sztuków? W domu z tym się nie zjawisz, a urządzenie licytacji w miejscu pracy też ryzykowne. Jeden mój znajomy posunął się nawet do tego, że kończąc podwójne życie opowiedział swojej małżonce o wyposażeniu mieszkania, odziedziczonego po dalekiej kuzynce. Żona nawet trochę się ucieszyła, choć zawartość kawalerki starej panny mogła ją zdziwić. Ta obfitość napoczętych butelek, pism erotycznych i elektroniki, a z damskich ciuchów jedynie szlafroki, nocne dresy, koszulki. Nie podejrzewała jednak niczego, dopóki za szufladą komódki nie znalazła pamiętnika kochanicy nr

23 b, w którym ta, ze szczegółami, opisywała nie tylko wyczyny w wykonaniu głównego podnajemcy, ale również jego kolegów z pracy i sąsiadów z klatki.

Jest to jeszcze jeden argument przeciw podwójnej egzystencji, umiejscowionej. Jeśli w okolicy są hotele i pensjonaty, a skończyły się utrudnienia z epoki realnego seksualizmu, to po co inwestować w nieruchomości? Chyba, że na naszym celowniku pojawiła się ponętna piętnastolatka, której mimo całego libertynizmu nie wpuszczą do hotelu, albo niekrępujące mieszkanie jest warunkiem, aby ślicznotka z zapadłej prowincji zdecydowała się okazać nam swoje zaufanie. Załóżmy jednak, że weszliśmy na tę grząską ścieżkę, jaką jest systematyczna niewierność, połączona z czasową zależnością od osoby trzeciej. Do okoliczności łagodzących możemy zaliczyć: **przyczyny społeczne** (kochanka grozi samobójstwem, albo znalazła się w trudnej sytuacji materialnej), lub — w przypadku silnego uczulenia na własną żonę — **wskazania lekarza**. Aliści z furtki dyspensy zdecydowanie nie mogą korzystać, ergo kontaktów pozamałżeńskich uprawiać:

1. Kawalerowie, normalni, z powodów oczywistych i Maltańscy — ze statutowych.
2. Oficerowie i myśliwi (ze względu na łatwy dostęp ich żon do broni palnej).
3. Nauczyciele, w przypadku gdy ich garsoniera znajduje się bliżej niż pięćset metrów od placówki szkolnej
4. Pastorzy i popi w parafiach liczących mniej niż dwieście dusz, w których wszyscy o sobie wszystko wiedzą.
5. A przede wszystkim **żony i Mężowie Stanu**.

Dotyczy to zwłaszcza czynnych dyplomatów. Nawet niewinnie wyglądająca panna Ceśka z baru „Lotos” może być kadrowym pracownikiem KGB, a gońcówna Alinka — Matą Hari pracującą na rzecz Ćwierć–Intelligence Service. Obie podczas „różowych baletów” potrafią wyciągnąć z nas wszystko, od rozmiarów produkcji kalesonów dla wojska przez zakłady „Wólczanki” po tekst nieprzewidywalnego wystąpienie Pana Prezydenta. A co z posłami i senatorami? Obowiązuje ich respektowanie wartości chrześcijańskich (w przypadku posłów lewicy „moralności socjalistycznej”, zatem na okres kadencji powinni te sprawy zawiesić. Choćby na kołku. Jeśli mimo wszystko grzeszą, należą do kategorii osób „podwyższonego ryzyka”. Wyjątek stanowią posłowie ugrupowań Erotycznych i Naturystycznych — dla których świntuszenie jest manifestacją ideologiczną, a każdy niemoralny wyskok jest zgodny z oczekiwaniami wyborców. Natomiast zwyczajny poseł, w trójkącie Izba — Hotel Sejmowy — Dom, powinien poruszać się w linii prostej. Nie zbaczać ze ścieżki cnoty, nie udzielać wykładów żadnym dziennikarkom (poniżej siedemdziesięciu lat), a nawet z koleżankami posłankami spotykać się przy świadkach i najlepiej w kaplicy.

Jak wiadomo miłość bywa ślepa. Zdarza się, kiedy popatrzymy dziś na jedną ze swoich dawnych sympatii, że od razu ciśnie się na usta „Gdzie ty miałeś oczy człowieku, żeby się od razu żenić?” Ale ja nie o tej ślepotcie. Konsekwencją bieżącego zaślepienia bywa, że po prostu zapominamy ostrożności. Nie dostrzegamy, czy przypadkiem podczas naszego baraszkowania na

fotelach w Starym Domu Poselskim nie błyska flesz, a z szuflady tapczanu nie dobiega cichy pomruk pracującego magnetofonu. W przypiływie namiętności zdarza się nam, że miłosne wyznania piszemy odręcznie, nierzadko na papierze firmowym i opatrujemy je własnym podpisem lub zarejestrowanym gdzie trzeba kryptonimem („Żabka”, „Kotek”, „Misiu” czy „Zapalniczka”). i jest to balansowanie na krawędzi, z której tylko krok do upadku prosto w łapy bezlitosnego szantażysty. W najmniej oczekiwanym momencie może pojawić się ktoś, mówiący o sobie „życzliwy” i zażądać pieniędzy, lub co gorsza informacji, grożąc ujawnieniem społeczeństwu naszego prawdziwego oblicza.

Jeszcze gorzej, gdy na taki pomysł wpadnie sam obiekt naszych niegdysiejszych uniesień, bezczelnie ofiarując opublikowanie pamiętnika z załącznikami. Najczęściej w zderzeniu z taką niegodziwością dobry katolik — marksista jest bezradny. Płacić nie lubi, sprzątnąć szantażysty nie potrafi. Jedyne co przychodzi mu do głowy to samobójstwo lub rezygnacja z mandatu.

I to byłby błąd! Pierwszą naszą reakcją powinien być spokój. Nie wolno reagować. Szantażysta grozi? Spoko! Szantażysta publikuje wspomnienia? Wzruszamy ramionami. Podrzuca zdjęcia żonie — a tam i garsoniera, i konkubina, i nawet gazeta z datą dziwnie pasującą do niedawnej nocnej sesji wyjazdowej. — Fotomontaż — mówimy z kamienną twarzą.

Taka postawa może nie tylko imponować, ale przede wszystkim dezorientuje szantażystę, który akurat przygotowuje nam następny „paszтет”: taśmę z fragmentami naszych wspólnych oddechów i wynurzeń. Tymczasem w telewizorze widzi, jak pouczamy z trybuny naród w temacie moralności. I ręce mu się trzęsą, a nam nie. Szantażysta dwoi się i troi. Opluskwia nas, w naiwnej nadziei, że przynajmniej damy mu w pysk lub skierujemy sprawę do sądu. Nic z tych rzeczy! Wprawdzie dookoła kłębią się plotki, ale nasze reakcje wskazują społeczeństwu, że nie ma w nich cienia prawdy. Szantażysta zaczyna sam powątpiewać w sens swojej działalności — niektórzy w takiej sytuacji idą do psychoanalityka, inni do spowiedzi. Szantażowany natomiast jest w coraz lepszej formie. A jeśli w gorszej, to powinien skonsultować się ze mną. Pamiętam, dostałem raz list następującej treści: „Wrogowie polityczni chcą mnie skompromitować, nimfomanki wymieniają moje nazwisko w swoich memuarach, telewizja filmuje, jak naciskam pięć przycisków na raz (ciekawe czym miałbym to robić), prasa brukowa wyciąga, że porzuciła mnie gosposia, szantażyści podnoszą stawkę. Co robić?” Oczywiście zaleciłem spokój. I pogodę ducha. A odpowiedź zakończyłem słowami: „Bracie, jeśli zdarzy się, że na sali, padnie wniosek pozbawienia was immunitetu, zapytajcie Wysoką Izbę spuszczać oczy — Kto tu jest bez grzechu, niech pierwszy ciśnie we mnie mandatem?”

*

Kolejnemu odcinkowi ZOO nadałem tytuł **EGZAMIN NIEDOJRZAŁOŚCI**. W kraju atmosfera znów robiła się gorąca. Wybuchwały coraz nowe ogniska strajkowe. A przed klasą polityczną stanął egzamin nieomal maturalny.

SZCZUREK (nad wypracowaniem)

— Ale tematy! Pęka głowa!

SUSEŁ (minister oświaty, Stelmachowski)

— „Żeromski — pisarz budżetowy”

SIŁACZKA (z hantlami)

— Siłaczka robi strajk głodowy...

DOKTOR

— Judym się właśnie oflagował.

HIPEK (występując z pogadanką w telewizorze)

— *Żyjemy w trudzie i mozole,*

lecz nasza przyszłość to jest wiedza

BELFER (w opasce strajkowej)

A co ten Hipek wie o szkole?

WOŻNA

— *Przez całe życie w pierdłu siedział*

W czerwcu 93 pojawiła się nowa postać w zwierzyńcu, Nietoperz (Stefan Niesiołowski, ongiś członek konspiracyjnego „Ruchu” więziony za plany wysadzenia pomnika Lenina) co przypominała scenka:

NIETOPERZ

— *Potrafię w locie skosić wrogów.*

ŻÓŁW

— *Ostry języczek, tęga mina,*

wielce narwany był za młodu

LENIN (w toalecie)

— Lubił wysadzać mnie Lenina...

(Pociąga za sznurek spłuczki, detonacja)

Następny program zdominował temat, **KTÓRĘDY DROGA?** — Przed skłóconym Churalem stawała coraz realniejsza groźba rozwiązania. Jednak mało który głośliwca lub szczekator traktował serio taką możliwość. Najwyżej z niej żartowano.

TRUTEŃ

— Warto by wzięła do serca góra,

inną możliwość, by cały Churał,

za głupie wnioski uchwały marne

od dziś dostawać mógł — punkty karne

Propozycja nawiązywała do wprowadzanych właśnie punktów karnych dla kierowców, a realizowano ją parodiując, za pomocą tabliczek, sędziowanie w jeździe figurowej:

ŁOŚ

— Jeden — za pomysł co sprzeczny z prawem,

KOZIOŁ

— Dwa — za fatalną w skutkach ustawę.

SZAKAL

— Trzy — za nagminną w Izbie absencje

BYCZEK

— Pięć, gdy głosujesz na cztery ręce

KOALA

— *Sześć, kiedy zmieniasz klub i poglądy.*

WYŻEŁ

— *Siedem — jak pragniesz przejmować rządy.*

SUSEŁ

— *Osiem — za spanie podczas komisji.*

HIPEK

— *Dziewięć gdy ręki użyjesz w scysji*

SZOP

— *Dziesięć za potwarz i Lwa obrazę...*

LEW

— *A kiedy zbierzesz tych punktów razem 21 ...*

TRUTEŃ

— *To przyjdzie porra, Aby ponownie stanąć w wyborach .*

Im bliżej wakacji atmosfera w ZOO zbliżała się do temperatury wrzenia. W odcinku **PRZECIĄGANIE LINY** (właściwie nie wiem dla czego nie nazwałem go — przeciąganiem Lamy) Lew napomynał coraz dobitniej o możliwości rozwiązania zwierzęcego parlamentu..

LEW (w hełmie i ciemnych okularach)

— *Pozostaje jedyna rzecz do ustalenia:*

GAWRON (z dziupli)

— *Czy to lina walki, czy porozumienia?!*

Tymczasem zoologiczna reprezentacja lewokopytnych otrzymała solidne wsparcie w postaci różowego Dinozaura (Józefa Oleksego). Mówił o nim **KACZOR** (*Dondd Tusk*):

Od innych czerwonych jest podobno lepszy

DINOZAUUR

— *Dlatego nazwali mnie Święty Aleksy.*

I kontynuował, zwracając się do swych ideowych braci:

Towarzysze, wybór jest wiadomy z góry,

jeśli wygra prawica zagna nas do dziury.

Tylko czy nawet prawica mogła wtedy liczyć na taką ewentualność?

*

Sekspert — Ostrożność, dyskrecja i pewność siebie

Wymienione w tytule pojęcia, to trzy filary udanego pożycia pozamałżeńskiego. Właściwie należałoby dodać jeszcze element czwarty — **umiar!** Nawet robiąc źle, należy starać się być w miarę powściągliwym. Nie należy nigdy postępować według zasady: „Hulaj dusza, jeśli piekło jest, to będę żałować za grzechy za piętnaście dwunasta”. Proporcje powinny zostać zachowane. Czas występku powinien być równoważony czasem pokuty. Grzesznicy z zasadami potrafią sobie wyznaczyć grafik upadków i wzlotów: na przykład — po południu rozpusta — kochanka, w nocy pokuta — żona... Należy tylko cały czas być czujnym. Jako niewierny mąż musimy zawsze być gotowi do odpowiedzi: „Do czego pasuje ten płaski klucz, który do niczego nie pasuje?” albo: „Dlaczego mruczysz przez sen „Sabinko, och Sabinko”, mimo że ja mam na imię Bożenka?” ewentualnie: „Czemu te czwartkowe narady przedłużają ci się zawsze do świtu?”. Czy też: „Jak to się dzieje, że twój podkoszulek pachnie „Chanel nr 5”, skoro ja używam „Antylopy”, szef w pracy „Old Spice’a”, a mamusia szarego mydła?” Nie mówiąc już: „Skąd się wzięło te dodatkowe dwieście pięćdziesiąt kilometrów na liczniku samochodu, kiedy do pracy

w obie strony masz osiem?” I wreszcie. „Co powoduje tą twoją niechęć do spełniania obowiązków małżeńskich?” **Ostrożność** wymaga zaniechania prowadzenia pamiętników, a na pewno nie przechowywania ich w domu. A jeśli już, należy pisać szyfrem, w obcym języku lub przynajmniej używać kryptonimów. I tak **kolegium** — może oznaczać randkę z Ewą (liczba punktów porządku dziennego — odbyte akty), **narada** — wypad z Sabiną za miasto, **rozmowa z radcą handlowym** — wizytę w specjalistycznej przychodni „W”. Natomiast wydatki związane z kochanką można księgować w paragrafach: kształcenie, rozrywki, działalność rekreacyjna, co nie wzbudzi niczyjego podejrzenia, a co najważniejsze nie rozminie się za bardzo z prawdą.

W wystarczającym stopniu narażamy się na gniew Opatrzności, żeby jeszcze ryzykować domową wpadkę i upokarzającym dla mężczyzny (choć w pełni zasłużonym) biciem przez żonę kapciem po głowie. **Dyskrecja** to właściwie warunek sine qua non naszej niechlubnej działalności. Zmniejsza ona ryzyko wpadki, a ponadto opinia człowieka dyskretnego, posiada magnetyczny wpływ na kobiety. Metka „kobieciarz, ale dyskretny” powoduje, że w rankingu towarzyskim szybko wyjdziemy na czołową pozycję, gdzieś między Mannem, Dańcem czy Drozda. Oczywiście nie wystarczy, gdy ktoś znajomy zobaczy cię z twoją nieślubną w miejscu publicznym, udawać, że nie znasz dziewczyny. Trzeba mieć na podorędziu jakąś prawdopodobną wersję, np. sąsiadom twojej garsoniery możesz mówić, że Beata to twoja córka; znajomym przedstawić ją jako współpracownicę, koleżankom z pracy jako sierotkę po koleźce alpiniście, nad którą roztoczyliście opiekę i asekurujecie ją (bezinteresownie!) przed brutalnościami życia. Wersji należy nauczyć się na pamięć. I nigdy nie użyć przy sąsiadach terminu „sierotka”, u przyjaciół „córka”, a w towarzystwie współpracowników — „współpracownica”... Nadto seks ukradkowy, ma pewien istotny mankament. Zachowanie faktu posiadania luksusowej utrzymanki w kompletnej tajemnicy pozbawia nas lwiej części przyjemności. Bo przed kim można się pochwalić? Przecież nie przed spowiednikiem, żoną czy koleżanką żony? Powiernik musi być nie tylko wypróbowanym przyjacielem. Stuprocentową gwarancję jego dyskrecji może zapewnić tylko „hak”. On wie o naszej „Zabce”, my znamy wszystkie harce, które on wyprawia ze swoją „Kotką” na poddaszu. Taki przyjaciel, to nie tylko zaspokojenie naszej próżności, ale w razie czego ostatnia deska ratunku. Poza tym kulturalni ludzie mogą z sobą współpracować w o wiele szerszym zakresie, od wymiany mieszkań, po wesołe zabawy w czwórkę. Przyjaciel jednak musi być człowiekiem odpowiedzialnym. Pamiętam jak jeden mój powiernik (z którym posiadaliśmy czterdziestoczworometrowe terytorium powiernicze z dwoma pięknymi tubylkami) został porażony przez nagłe wyrzuty sumienia. Któregoś wieczoru padł na kolana przed swoją żoną (przypadkowo wpadła tam i moja, pożyczyć soli) i wyznał wszystko: „Miałem kochanie — wołał — okropne grzechy. W tym tylko jedyna moja pociecha, że mój przyjaciel miał jeszcze większe!”...

Dlaczego jako trzeci filar wymieniłem **pewność siebie**? Cóż, właściwie powinienem wskazać go jako pierwszy. Bez minimum pewności siebie chirurg nie przeprowadziłby operacji, aktor nie wyszedłby na scenę, a mężczyzna, nigdy nie rozpiął spodni. Pewność siebie jest warunkiem sukcesu. Z kolei sukces jest kołem napędowym pewności. Trzeba bowiem zawsze znać swoją wartość i wykorzystywać wszystkie atuty.

Ale jak ich brak? Co ma na przykład zrobić łysy, podstarzały lowelas, aby uniknąć narażenia się na śmieszność? Cóż, może nie interesować się kobietami młodszymi od siebie o połowę,

albo w ogóle przestać się zajmować płcią odmienną. Rozumiem jednak, drogie świntuszki, że nie o taką poradę wam chodzi? — Chcielibyście mieć doświadczenie swojego wieku i ślicznego kociaka u boku, do tego podziw bliźnich, sympatię własnych dzieci i jeszcze miejscówkę do Królestwa Niebieskiego w przyszłości. Przypatruję się z rozczeniem tym wszystkim waszym zabiegom — farbowaniu włosów, podciąganiu zmarszczek. Są tacy, którzy fałszują datę urodzenia... Widzę, jak sznurujecie brzuch, wbijacie się w dżinsy i wkuwacie ulubione powiedzonka młodzieży lat dziewięćdziesiątych.

Ale to nie wystarczy. Trzeba pracować nad pewnością siebie. Najlepsze efekty daje autosugestia. Codziennie, przez parę godzin przed lustrem powtarzamy, jacy jesteśmy piękni, młodzi i doskonali. Czy to pomoże? Na pewno już po krótkim czasie zakochamy się w sobie z wzajemnością i nikt więcej do szczęścia nie będzie nam potrzebny.

*

Sekspert — Gdy jest harmonia, wszystko gra

Harmonijne prowadzenie podwójnego życia wymaga przede wszystkim trzech rzeczy: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Ale na tym sprawa się nie kończy. Potrzebne są olbrzymie zdolności aktorskie, aby udawać przed żoną, że się nie ma kochanki. Jeszcze trudniejsze jest udawanie przed kochanką, że się nie ma żony. Ludziom, którzy nie mają talentów choćby Lawrence Oliviera czy Mariana Opanii proponuję wariant umiarkowany — utrzymywanie przed kochanką, że wprawdzie mamy żonę, ale jej wcale nie używamy. Najważniejszy jednak jest dobór. Tak, drodzy bracia w grzechu, kochankę należy dobierać **pod własną żonę**, niczym rękawiczki do płaszcza albo krawat do garnituru.

Tylko idiota szuka repliki swej ślubnej. Cóż to bowiem za przyjemność wić się między dwiema brzydkimi jędzami. Dobór powinien zatem opierać się na przeciwieństwach. — Żona brzydka, kochanka ładna, albo odwrotnie (jednak taki przypadek zdarza się rzadziej niż biała wrona w stanie wojennym). I konsekwentnie: stara — młoda, choleryczka — flegmatyczka! W ten sposób odmiana przynosi mężczyźnie same korzyści — wypoczynek i nowe doświadczenia. Naturalnie pewne podobieństwa się przydają, dobrze jeśli panie mają to samo imię. Jeśli nie, trzeba posługiwać się słowną protezą w rodzaju „kochanie”, „kotku”, „myszko”... Dobrze również, gdy panie mają podobne owłosienie. Nie ma wtedy problemów z włosiem, który żona nagle wypatrzy na podkoszulku. Na okrzyk „A co to za blondyneczkę tuliłeś?”, nie trzeba wtedy kłamać: „Bawiłem się ze spanielem kolegi”.

Załatwienie, aby obie panie używały tych samych perfum pozostawiam waszej pomysłowości, kursanci. Gorzej, jeśli zapach żony przeniesiony na kochankę wywołuje w nas niemoc twórczą lub gwałtowny wzrost agresji.

Niedawno otrzymałem list z pytaniem od osobnika podpisującego się „Niedoświadczony” — Co jest mniejszym złem, podwójne życie czy rozwód?

Oj, panie „Niedoświadczony”, jest pan rzeczywiście niedoświadczony. Rozwód, łączący się z tragedią dzieci i ruiną finansową, jest zawsze większym złem. Tak się jakoś głupio się zdarza, że niszcząc dotychczasowy układ małżeński, rozwalamy również sympatyczny układ pozamałżeński. W magiczny sposób, zaraz po ślubie, kochanka okazuje się nieudolnym powieleniem swej poprzedniczki. Toteż po bardzo krótkim czasie musimy powtórzyć zabieg rozwodowy, a potem jeszcze raz i jeszcze raz... Co rozsądniejsi już za piątym razem żenią się ponownie ze swoją pierwszą żoną, w myśl założenia, że oswojone zło jest zdecydowanie lepsze od nieznanego i bardzo problematycznego dobra. Wbrew pozorom wcale nierzadka jest sytuacja, kiedy mając kolejną małżonkę, zdradzasz ją ze swoją pierwszą ślubną, która jak wiadomo i lepiej gotuje, i wie jakie lekarstwa tobie aplikować, no i jak psa w środku nocy z domu cię nie wyrzuci.

*

Pierwszy czerwca uczciliśmy odcinkiem **PARTIE DZIECIOM**. Poszczególne partie proponowały nowe wersje znanych bajek. I tak lewokopytni wystawili

Bardzo Czerwonego Kapturka

DZIK

— *Pierwszy akt bajki każdy z was przeczytał.*

GAWRON

— *Akt mógł się wydać szczęśliwy.*

SZAKAL (jako zdychający wilk)

— *Ledwie wilk biedny wyciągnął kopyta.*

LEW (jako Myśliwy)

— *Babcią się zajął myśliwy.*

BABCIA (Ojczyzna)

— *Myśliwy mocny urodą i krzepą.*

LEW

— *Niech babcia będzie spokojna,
Ma przecież wnuczkę. To robotne dziecko
będzie harować dla dwojga.*

DZIK (Jako Kapturek)

— *Przemknęły cztery lata w drugim akcie,*

LEW

— *Dla mnie ten okres, wręcz chwilka.*

BABCIA

— *Wykorzystywał tak Myśliwy babcie,
że zatęskniła do wilka.*

DZIK

— *Wnuczce z wysiłku już grozi rupturka,
kłopoty wkrąg nieustanne...*

SZAKAL (unosząc głowę)

— *A jeszcze zakaz noszenia kapturka!*

LEW

— *Bo kolor drażni sutannę!*

GAWRON (nad księgą)

— *Dlatego dziatki łączcie się w gromadki,
Nie ma beczynnje co siedzieć.*

TRUTEŃ

— *Gdy Myśliwego wygrrrrużicie z chatki... .*

SZAKAL

— *Wróci wilk,*

NIEDŹWIEDŹ (zza okienka)

— *Z białem niedźwiedziem.*

Historia sprawiła nam potężnego psikusa, rok później sam Kapturek, po urzędowej zmianie barwy — z Czerwonego na Błękitny — zajął wygrzane miejsce u boku babci.

W następnej PSL–bajce Byczkowi przypadła rola **KOPCIUSZKA**. Kiedy wybierał mak z popiołu, pojawiała się Dobra Wróżka (zagrał ją przebrany Wybiegowy).

WYBIEGOWY

— *Dalej no śmiało, wyskakuj z łóżka!*

BYCZEK

— *Pan Mietek, tutaj?*

WYBIEGOWY

— *Dziś dobra wróżka.*

Bądź pewny siebie, pędź na przyjęcie,

A tam tańcz śmiało, wyłącznie z księciem.

Baśń początkowo rozwijała się tradycyjnie:

Miesiąc i trzy dni trwały te tany,

Książę był miły i zakochany.

Ale kur zapiał, czar prysnął...

Szkoda! Pozostał tylko kapeć na schodach.

A że na dworze panował zamęt.

LAMA

— Dopasowano kapeć na Lamę.

Prawica opowiedziała baśń bliskowschodnią **PANI BOBA I 40 ROZBÓJNIKÓW**.

Poświęcono ją posłance Bobie, która rozśmieszyła salę sejmową mówiąc z trybuny „Ja jako lekarz...”. Natomiast obóz Belwybiegu zaproponował neo-**RZEPKĘ** z Lamą w roli rzepy, podtrzymywanej przez coraz dłuższy szereg zwierzaków. Niestety, w momencie próby okazywało się (proroczo), że Rzepki właściwie nikt nie podpiera.

I słowo stało się ciałem. Wielkie tąpnięcie nastąpiło już po paru dniach. LEW wykorzystał wotum nieufności złożone przeciw LAMIE przez ZOOlidarność reprezentowaną przez Alojzego Pieprzyka (Pietrzyka) i rozwiązał parlament.

Jak można łatwo przewidzieć następne spotkanie **SIEDEM MINUT, KTÓRE WSTRZĄSNĘŁY CHURALEM** otwierały sprzątaczkę, a zza płotu niosły się lamenty byłych churałmentarzystów.

W Wysokiej Izbie braw nie uświadczysz,

Gdzież boje, gdzież obrady.

Zabrali diety, zabrali faxy,

Przed bramą głoseł blady (...)

W krótkich scenkach przypomniałem przebieg dramatycznych zdarzeń:

WYBIEGOWY (Do LWA w loży)

— Pora rzec im finito! Zabawa skończona!

LEW

— Chwila moment, cytuję Pieprzyk Cicerona

PIEPRZYK

— *ZOOLIDARNOŚĆ obetnie własne pędy uschle.*

I spyta Katylinę swojego „Quo usquel?”

MYSZKA

— *Churał śmieje się klaszcze... rzecz niesamowita!*

WYBIEGOWY

— *Zawsze sympatyczniejsza na wesolo stypa.*

KROGULEC (komentując obalenia LAMY)

— *Wygrana!*

Zadziałała korzystna algebra.

CHOMIK

— *Ja myślę, czy nie warto było jednak przegrać?*

Chwila złudnego tryumfu nie trwała długo. Co przytomniejsi zaczęli zastanawiać się, co będzie dalej. Zwrócono się nawet do wróżki.

TRUTEŃ

— *Co czeka nasz ogród, dobrobyt czy bida?*

WRÓŻKA

— *Widzę, widzę jasno.*

TRUTEŃ

— *Ze co? Wróżka — Czarno widać.*

Epizod zaczynany parafrazą „W Piwnicznej Izbie” Konopnickiej, kończył się parodią innego wiersza tej poetki — „Wolny najmita”

*Wraca bez lancii, lub choć cinquecento,
Polną ścieżyną wyboistą, krętą,
gdzie rzadziej patrol, a częściej bandyta —
Wolny sejmita.*

*Jeszcze przedwczoraj obalał, stanowił:
„Nie będzie rządzić chłopami kobita!”
Dziś by pomyślał, by się zastanowił.*

*Wolny sejmita.
Już warczą bębny, „Wybrać po nowemu”!
Nowej elekcji rozsyłają wici...
A ludek twierdzi: „Winni są wszystkiemu,
Wolni sejmici”*

SZOP

— I bez Churału można rządzić dalej.

KSIĄDZ

— Lecz są oporni.

WYBIEGOWY

— Pod klucz ich i kwita!

LEW

*— Nie zrobię tego, bo by mnie wołali
„Antysejmita!!!”*

*

Jak wiadomo kłamstwo jest matką wszystkich grzechów. Osobiście brzydzę się nim bardziej niż przeterminowaną sałatką jarzynową. Bywają jednak sytuacje, kiedy mijanie się z prawdą stanowi mniejsze zło. Toteż, gdy pada pytanie „Jak kłamać?” Odpowiadam: — Tak, aby się nie wydało.

Starożytni mówili „Przyjaciel Platon, ale droższa jest prawda”. Były to jednak opinie zwyrodniałych homoseksualistów, którzy mogli sobie na to pozwolić. Wyznawanie prawdy żonie ma sens, kiedy towarzyszy mu mocne postanowienie poprawy. A jak tu obiecywać poprawę, gdy garsoniera wynajęta do grudnia, utrzymanka za dwa miesiące zdaje maturę i postanowienie „nie grzeszę od dziś” nie jest do zrealizowania”.

Jak zatem kłamać? Powiedzmy, że wracamy do domu w porze niestandardowej i żona pyta: „Gdzie byłeś?!” Co odpowiadamy? Cóż, możemy przejąć inicjatywę wrzeszcząc:” Czy ta cholerna zupa zawsze musi być przypalona?!” Albo też przedstawiamy starannie przygotowane alibi: „O 16.11 wyszedłem z biura, o 16.14 przypadkowo spotkałem na ulicy kolegę z wojska, z którym udałem się na jedną kawę do lokalu „Euforia”. Spotkanie towarzyskie zakończyliśmy nad ranem, w jego mieszkaniu, pijąc czerwone wino „Cabernet” rocznik 1975 i słuchając piosenek naszej młodości.” W podanej informacji zawarliśmy zaledwie 5 procent niedomówienia — Nie spotkaliśmy kolegi, tylko koleżankę, nie z wojska tylko z harcerstwa (mieliśmy tam kiedyś pogadankę „O teoriach i praktykach Radia Wolna Europa”). Rocznik 1975 dotyczył nie wina tylko znajomej, zaś piosenki były z jej, a nie naszej młodości. Poza tymi ani krzty kłamstwa.

Uwaga! Należy być przygotowanym na pytania pomocnicze:

— A ile ma lat?

— A ile może mieć mój kolega z wojska? Tyle co powinien!

Jeśli jednak nie potrafimy zapamiętać nawet najprostszej wersji i wiemy, że prędzej czy później „Euforia” pomyli się nam z „Niespodzianką”, a „czerwone berety” z różowymi majtkami, trzymamy się odpowiedzi wymijających.

— Gdzie byłeś?

— A jak myślisz?

— Czyja ją znam?

— Nie kontroluję twoich kontaktów, kochanie.

— Ty mnie już nie kochasz?

— A skąd ten pomysł?

— Chcesz rozwodu?

— Nie odpowiem już na żadne pytanie bez uprzedniego skontaktowania się z moim adwokatem.

Znajomy katolik — alkoholik preferuje jeszcze inną metodę. Po półdniowej niewierności, wracając do domu przyswaja w bramie pół litra. Na pytania żony reaguje ciosem w szczękę, następnie dzięki niespożytej energii odrabia obowiązki małżeńskie i zasypia, zanim padnie następne pytanie. Tym sposobem, jego związek trwa zgodnie i szczęśliwie już dwadzieścia pięć lat.

*

Sekspert — O obrotach ciał partnerskich

Czasami spotykam się z zarzutami, że moje wykłady sieją zgorszenie i namawiają do grzechu. Coś podobnego! Ja niczego nie propaguję, tylko opisuję! Czy ktoś mógłby obrazić się na Pasteura, że interesował się bakteriami? Czy na Kocha (lubi, szanuje?) To nie ja grzeszę, to wy, moje wirusy ze szkiełka pod mikroskopem. A że w mojej pracy badawczej tym szkiełkiem bywa raczej materac jugosłowiański, lub pospolita wykładzina podłogowa? Badacz żadnej metody brzydzić się nie powinien.

Ostatnio zająłem się **geometrią międzyludzką**. Pozostawiając na boku najczęstszy układ między ludźmi, jakim są dwie proste równoległe, biegnące obok siebie, od minus do plus nieskończoności, wzięłem pod lupę trójkąt, ten najtypowszy układ erotycznie — towarzyski, w którym wszyscy przyprawiają sobie rogi.

Jakie mogą być trójkąty? — Prostokątne i krzywokątne. Jako porządni grzesznicy krzywokątne odrzucamy! Mogą też być równoboczne i nierównoboczne. Jako demokraci nierównoboczne pominiemy. A jakie relacje zachodzą wewnątrz?

Układ tajny — tylko dwie osoby wiedzą o zdradzie, a trzecia żyje w błogiej nieświadomości (najlepiej gdy tą trzecią jest żona); przykłady z literatury — „Pani Bovary”, „Żabusia”...

Układ jawny — wszyscy wiedzą wszystko; przykłady — Ludwik XIV i jego kochanki, Napoleon, bohaterowie serialu „Dynastia”.

Układ tajno-jawny — zdradzana żona wie wszystko, ale dla świętego spokoju i przyzwoitości udaje, że nic nie wie (nazwisk tu nie podaję, ponieważ nie lubię donosów).

Układ jawno-tajny — wszyscy dookoła wiedzą o zdradzie z wyjątkiem żony (tak dzieje się zazwyczaj, gdy ktoś z luminarzy polityki lub artystów poślubi kurę domową).

Z wymienionych kategorii najciekawsza jest wersja jawna. Ma ona dwa warianty:

dramatyczny — ujawnienie następuje nagle, stan jawności trwa krótko, ot pomiędzy pierwszym mordobiciem a ostatnią sprawą rozwodową; i statyczny, trwający latami, w którym między bokami trójkąta możemy obserwować pełne bogactwo stanów emocjonalnych — od cichej rezygnacji, do twórczej akceptacji. Wieki minione lansowały wzorzec „żony męczennicy”, znoszącej biernie wybryki swego pana i władcy, z rzadka tylko posuwającej się do rewanzu, trucicielstwa czy pyskowania. Współczesny wysokorozwinięty trójkąt równoboczny jest idealną figurą równopartnerską. Wszyscy mają w nim swoje miejsca i obowiązki! Panuje atmosfera wzajemnego szacunku. Podczas uroczystości państwowych i kościelnych kochanka przepuszcza przodem żonę, żona zaś baczy, by nie ściągać kołdry na swoją stronę we wspólnym trójosobowym łóżku. A ile może być przyjemności z takiej trójkątnej komórki społecznej? To gruchanie żony i metresy na dwa głosy, te wspólne kolacyjki, uzupełnianie się w obowiązkach domowych, zwłaszcza jeśli kolacja została skonstruowana na zasadzie kompatybilnej. Na przykład, żona potrafi oszczędzać pieniądze — kochanka wydawać. Pierwsza świetnie gotuje i zajmuje się ogródkiem, druga wspaniale bawi gości w salonie i bryluje na bankietach. A każda zna swoje miejsce! Wie, która w grobowcu rodzinnym będzie leżała po naszej prawej, a która po lewej stronie. (Ciekawych odsyłam do grobowca Karola Marksa w Londynie).

Bardzo wiele zależy od mężczyzny, który musi być zwornikiem ładu i porządku. Jeśli ma instynkt samozachowawczy, nie pozwoli nigdy, aby baby zawarły koalicję przeciw niemu. Dlatego delikatnie musi podsycać płomynek rywalizacji i niepewności, a jednocześnie nie wolno mu wywracać ustalonych ról: kochance nie może pozwolić grzebać w garnkach, a żony zabierać do nocnych klubów. Jeśli zachowamy zdrowy rozsądek i proporcje, a panie mimo wszystko zaprzyjaźnią się, nareszcie zaczniemy żyć jak przystało *mężczyźnie*. To znaczy bez stresów i domowych obowiązków. Doskonała harmonia i koordynacja spowoduje, że będziemy mieli dość znaczne nadwyżki czasowe. (Jak długo można popijając piwko, oglądać telewizor z gazetą w ręku). Nadwyżki te będziemy mogli wykorzystać na coraz dłuższe wypady w miasto. W końcu sama natura ciągnie nas ku zdecydowanie doskonalszej figurze seksometrycznej, jaką jest **czworokąt**.

*

Sekspert — Geometria wyższa

Gdybyż geometria kończyła się na czworokącie! Świat chuci i rui bywa po tysiakkroć bardziej skomplikowany. Możemy wszak być trzecim mężem swojej czwartej żony, która zdążyła już być żoną naszego starszego brata. A ponieważ jego córka przez jakiś czas była obiektem naszych żądz, uwieńczonych zresztą rozkosznym berbeciem, możemy być dla niego nie tylko ojcem, ale dziadkiem, stryjem... A gdyby dokładnie przeanalizować zapętlone drzewko genealogiczne, to pewno i teściową. I jest to tylko geometria półlegalna. A w nielegalnej? Uwodząc żonę szefa — godzimy w autorytet władzy, podwładnego — ciemiężymy lud pracujący. A jeśli zdarzy się cud i żona szefa wyjdzie za naszego podwładnego, to co się wtedy stanie? Będziemy szwagrem samego siebie?

A własna żona, której wierność przywykliśmy uznawać za constans, czy przypadkiem nie jest przez nas zbyt niedoceniana? Co kryje się za adnotacjami czerwonym długopisem w jej kalendarzyku: fryzjer, krawcowa, sauna?

Również, kto ma stałą kochankę, nierzadko nie docenia tego luksusu i bezkarnie szuka dodatkowych uciech. A to zorganizuje popołudnie dobroci dla sekretarki, a to odwiedzi koleżankę z lat studenckich w ramach akcji „szanujmy zabytki”... Czy to nie przesadna pewność siebie? Kochanka, zwłaszcza świeża i wonna jak maślana bułeczka nie żyje przecież w próżni. Jakoś musi zaliczać seminaria u swojego profesora erotomana. Twierdzi, że stary cap zadawała się tylko szczypaniem jej pupki — Wierzę, bo muszę, chociaż kto ma siłę, żeby szczypać, ten potrafi również... A koledzy z roku? Smutni zakochani onaniści? A playboye uliczni, którzy krążą swoimi kabrioletami po mieście jak sępy...

Oczywiście istnieje wiele doskonałych sposobów sprawdzenia, czy partnerka naszego życia pozamałżeńskiego dochowuje nam wierności. Bez uprzedzenia dokonać nalotu na garsonierę — ale to może tylko zniszczyć wzajemne zaufanie. Lepiej więc stosować metody znane z pracy wywiadu. Niteczka, która zostanie zerwana, gdy ktoś nałoży nasz szlafrok. Dokładne mierzenie poziomu brandy w barku (sama przecież pić nie będzie). Kalka pod prześcieradłem. Aparat fotograficzny, który włącza się, gdy do wanny wejdzie więcej niż jedna osoba. Można również wynająć detektywa, lub samemu śledzić partnerkę z doklejoną brodą.

Niestety, wszystkie te zabiegi mogą potwierdzić ewentualną **winę** niewiernej (i wtedy jest głupio), lecz niestety nie mogą zagwarantować wierności. Lepiej więc posłużyć się analizą psychologiczną. Jeśli panienska zaczyna mieć dla nas coraz mniej czasu, ciągle boli ją głowa, bardziej niż naszymi anegdotkami interesuje się telewizją — słowem zdradza te same odruchy, które byłyby normalne u żony — wiemy już, że nie jesteśmy jedynym mężczyzną, jej życia. I co wtedy? Wyrzucić, powtarzając jak Arab sakramentalne: wypędzam cię, wypędzam cię, wypędzam...? Ale jeśli nie mamy zmienniczki? Trzeba pogodzić się, że jakiś młodszy i niewątpliwie biedniejszy mężczyzna na równi z Urzędem Skarbowym uczestniczy w pozbawianiu nas ciężko zdobytej wartości dodatkowej!? Zresztą świat jest mały. I w momencie, gdy nasze życie zbyt geometrycznie się rozbucha, może się zdarzyć, że pomiędzy naszą żoną a sekretarką pojawi się łącznik w postaci masażysty. Między sekretarką a koleżanką ze studiów, wiecznie przysypiający (za dnia) goniec. A między koleżanką a utrzymanką jakiś cyniczny posiadacz kabrioletu... Co może wynikać ze takiego wspólnego mianownika? I wszystko, i nic. Układ gotów wyrzucić nas poza nawias, albo przeciwnie, będzie funkcjonował dalej miło i przyjemnie, pod hasłem „wszyscy ludzie są szwagrami, z wyjątkiem szwagierek.” Pewien mój znajomy od dłuższego czasu żywił podejrzenia wobec listonosza, który wpadał do niego do domu zdecydowanie za często, zazwyczaj, gdy znajomy akurat wychodził. Któregoś więc dnia zaczął się na klatce swojego bloku. Gdy zobaczył listonosza, wszedł za nim po schodach i odczekał chwilę. Potem wtargnął do mieszkania i widząc doręczyciela w trakcie czynności, której sens zrozumiałaby nawet Ania z Zielonego Wzgórza, walnął go śmiertelnie ciupagą. Dopiero po chwili zorientował się, że w amoku wpadł do mieszkania piętro niżej. Zazdrośnik może by i został uniewinniony, wszak działał w afekcie, ale niestety, jak się okazało sędzina była kochanką brata listonosza i nie okazała miłosierdzia.

Rozwiązanie parlamentu — wybaczenie, że odejdę na moment od zoologicznego słownictwa, przerwało korzystną passę Lecha Wałęsy trwającą nieprzerwanie, mimo stanu wojennego, od sierpnia roku 1980. Opuściło go szczęście, intuicja, a jeszcze wcześniej, większość przyjaciół, potraktowanych jako zderzaki. Mógł uratować chwiejny kompromis, na jakim opierał się słaby i powolny mu rząd Suchockiej — nie uczynił tego. Co gorsza podpisał nową, proporcjonalną ordynację wyborczą. Teoretycznie korzystną dla porządkowania sceny, bo wyrzucającą z burty cały skłócony plankton polityczny, jednak w sytuacji rosnącej konsolidacji lewicy bardziej niż niebezpieczną. Co więcej Lech doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Przewidywał sukces lewicy. Rzucił nawet pomysł własnego antidotum: BBWR — Bezpartyjny Blok Wspierania Reform — wsparty na czterech nogach, związkowej, biznesowej, chłopskiej ... (po latach zrealizowany pomysł nazwano AWS-em). Wałęsa liczył zapewne, że w BBWR-ze znajdą się ważniejsze siły polityczne wiedzione instynktem samozachowawczym. Przeliczył się. Nadto znów postąpił wedle swojej zasady „Rzucam pomysł, wy go łapcie”. Nie zaangażował się w tworzenie bloku osobiście, nie oddelegował do tego dzieła swoich najlepszych ludzi. Może takich już nie miał. Uczestniczyłem w początkach tego przedsięwzięcia i płakać się chciało widząc kto miał to tworzyć — żadnych autorytetów, lub choćby znanych polityków — jedynie związkowcy i kilka osób zwabionych na spotkanie organizacyjne. Zresztą większość szybko uciekła. Ponieważ nie zwykłem rejterować, toteż zostałem, narażając się na uszczypliwości „Gazety Wyborczej”, a rzecznik Unii, Andrzej Potocki rzekł mi nawet „Skoro Wolski został politykiem, może powinienem zostać dziennikarzem”. Wprawdzie nie przystąpiłem do tworzonej organizacji, ale pomagałem w układaniu programu. Redagował go Andrzej Olechowski (W ZOO — Kangur), błyskotliwy i sprawny w działaniu. Jednak już na początku zaznaczył, że jest tylko wynajętym ekspertem i nie wystąpił roli wyborczej lokomotywy. Inne partie, ma się rozumieć też liczyły na sukces. I tak zaczęły się:

Wakacje z wesołą kampanią

(muz. Wł.Korcz)

(...) Wakacje z wesołą kampanią!

Na stos już rzucony nasz los.

Gdy inni wkrąg klamią tumania,

my prawdzie musimy dać głos.

Niektórzy chcą iść z wujkiem Wanią,

dla drugich jest bliższy Wuj Sam.

Wakacje z wesołą kampanią,

Oj dadzą we znaki się nam.

Słowa dziś mają moc pocisków,

więc je miotają mocni w pysku.

Bo jeśli bawić się, to modnie —

w podchody, w wojnę lub w dwa ognie (...)

Wakacje z wesołą kampania.

„Bij, zabij! Motłochu na front!”

„Oj znowu się wszyscy poplamia.”

„I tak nie podamy wam rąk.” (...)

A może pojawi się anioł,

do zgody, współpracy da wzór.

„Ja pytam, czy z taką kampania,

ktoś jeszcze z was pójdzie do urn?”

Przedwakacyjny odcinek kończył się wezwaniem Żubra — Macieja Jankowskiego

— *Wiwat bój! Niechaj każdy drugiemu dokopie!*

KROGULEC

— *I niech naród to widzi.*

Tu pojawiała się ręka wywieszająca kartkę: *„Naród na urlopie”*

Sekspert — Wstydlivy temat

Nie, nie będziemy mówić o chorobach przenoszonych drogą... no tą, o której wy wiecie, a ja słyszałem! Nie będę nawet wymieniać nazw, żeby nie wywołać wilka z lasu. Nawiasem mówiąc, jedna baba tak długo leczyła „wilka” aż złapała „adidas”. Choroby, jak wiadomo są karą boską i mówić o nich, to tak jakby samemu napraszać się o karę. A zresztą co tu mówić. Jak powiadał pewien praktyk z branży męsko — damskiej „Dżentelmen syfa się nie boi, dżentelmen go ma”. O czym zatem będziemy rozmawiać? Na normalnych zajęciach ze świntuszologii ten temat zostawiam na koniec. Zawsze istnieje szansa, że nie zdążę go poruszyć przed końcem semestru. Czasem jednak nie ma wyjścia. I wtedy, z wypiekami na twarzy i ściągniętymi pośladkami muszę wyklądać o **pozycjach**.

Do niedawna tradycja europejska zalecała w małżeństwie właściwie tylko jedną pozycję: **dominującą** (zwaną popularnie „na szefa”). To znaczy, że żona miała wykonywać bez szemrania wszystkie polecenia męża. Nowsze czasy, począwszy od Wielkiej Francuskiej Rewolucji Seksualnej wprowadziły formy bardziej równopartnerskie. Pojawiła się pozycja **towarzyska**, w której panienka z zawiązanymi oczami musi zgadnąć, jaki towarzysz ją aktualnie... I postawa **obywatelska**, którą w czasach wojen i klęsk żywiołowych rozmaite „Baryłeczki” przyjmowały bezpłatnie...

A dziś? Krótki przewodnik rozpoczynamy od pozycji **wyjściowej** — tą pozycją bywa zazwyczaj nasza propozycja wobec dam. Możliwie zawoalowana, ale zarazem dość konkretna, aby nie dochodziło później do nieporozumień i babskiego marudzenia w rodzaju:” Czego ty chcesz ode mnie? Umówiliśmy się **tylko** na film, **tylko** na kolację, **tylko** na urlop na Seszelach, więc ręce przy sobie!”

Powyższy przykład spotkania się **propozycji z opozycją** dowodzi, że albo adresatka była nieodpowiednia, albo oferta źle sprecyzowana. Na szczęście dużo częściej natrafiamy na postawę **niezdecydowaną** („I chciałabym, i boję się”).

Kiedy już osiągniemy wyższe stadium porozumienia, wówczas dochodzi do kompozycji... na przykład „na tapczan, poduszki i dwoje bratnich dusz”.

Istnieją, rzecz jasna naturalne bariery, bo choć z tego co słyszałem możliwości jest co najmniej 69, średnio wygimnastykowany katolik większości z nich nie może sobie wyobrazić, a przynajmniej sześćdziesięcioma siedmioma się brzydzi. W wyjątkowych sytuacjach mogą rekomendować cztery z nich, zakładając, że kursant i tak się w najbliższy piątek wypowiada.

Pozycja społeczna — to taka, w której pod żadnym pozorem nie płacimy za nic.

Uprzywilejowana (dla leniuchów) — posiada tę zaletę, że zachowując bierność możemy

udawać, że nic nie robimy, czytać gazetę, oglądać telewizję, załatwiać co pilniejsze telefony, a nawet rzucać strzałkami do tarczy, wszelako ostrożnie, aby nie uszkodzić partnerki, która przecież cały wysiłek, ryzyko i grzech bierze na siebie. Wielu z nas bywa skazanych na pozycję **wysuniętą**, zwaną niekiedy **dyplomatyczną**. Nie mamy innej możliwości w sytuacji, gdy rozmiary brzucha wymuszają ograniczenie kontaktu z partnerką do kontaktu wzrokowego, bo bywa, że nawet ręce okazują się za krótkie.

Na koniec, dla młodych żołnierzy, członków organizacji paramilitarnych i młodzieżowych dopuszcza się pozycję **zasadniczą**. Na określone hasło partnerzy zbliżają się do siebie na dystans niezbędny, następnie prezentują broń, po czym zaczynają reagować na komendy: baczność, spocznij, baczność, spocznij, baczność, spocznij... aż do końcowego „na ramię broń”! (Ewentualnie: „do nogi broń”!) Ta pozycja ma tę dodatkową zaletę, że można ją stosować w jednostkach koedukacyjnych, jak i monoseksualnych. W szyku zwartym oraz ty-ra-lie-rraaa!!!

*

Sekspert — Dobry uczynek

W każdym z nas grzeszników drzemie ogromna potrzeba zrobienia czegoś dobrego. A przecież nie zawsze się to udaje. Bywa że staruszki, które chcesz przeprowadzić przez jezdnię zapierają się nogami. Żona, kiedy zafundujesz jej popołudnie dobroci, wpada w najgorsze podejrzenia, żebrak z którym chcesz się podzielić koszulą, zabiera ci także zegarek, portfel i buty. Trudno być dobrym. A nasze błędy? Jakże często marzymy, aby ktoś wyciągnął z nich odpowiednie nauki. Nam to się już pewnie nie uda. Ale nie martwmy się. Wiedza może zostać spożytkowana. Oto mamy, na przykład, dorastającego syna, często niemotę, maminsynka, który uczy się pilnie przez całe ranki, nie pije, nie pali, nie rozpoczął współżycia z żadną z koleżanek z Xc, ani nawet z panią od angielskiego, (której jego tatuś chętnie zrobił mały prezent perfect). No i serce ojcowskie płacze... Ale czy można tak po prostu wziąć chłopaka stronę i powiedzieć: „Idź, używaj póki czas, a nie będziesz musiał jak tatuś odbijać sobie po pięćdziesiątce i wydawać na baby pieniądze, które można w spadku zostawić potomkom!”

Istnieje duża obawa, że syn nas nie zrozumie lub, co gorsza, powie matce. Trzeba działać bardziej finezyjnie. Można więc opowiadać mu o swoich dokonaniach, jak o wyczynach kolegów. A jeśli przedwcześnie syn zgłupieje, zakocha się, przyprowadzi do domu jakąś obcą osobę mówiąc o niej „Żona” i wygoni tatusia na poddasze?

Aby uniknąć takich zdarzeń należy dyskretnie pomóc dziecku w jego pierwszych krokach. Dobrze jest użyć do tego celu jeszcze młodej, ale już w znacznym stopniu zużytej kochanki. Za odpowiednie wynagrodzenie większość pańienek zgodzi się zostać preceptorką syna. Niektóre zrobią to bezinteresownie. Oczywiście, należy sytuację zaaranżować, aby wyglądała na przypadkową. Panienska może wpaść do na niby na sprzątanie, syn trafić do jej mieszkania jako

harcerz, szukający surowców wtórnych...

Takie posunięcie ma same plusy. Pierworodny zostaje uświadomiony przez osobę z ojcowskim atestem. Metodą pośrednią zapozna się z umiejętnościami, jakie tata gromadził przez życie. Cały proces inicjacji przebiegnie pod dyskretną kontrolą, a ojciec zyska rezerwowy argument na rzecz pozbycia się kochanki: — „Zdeprawowałaś mi dziecko!” Istnieje też szansa, że jeśli syn zasmakuje w tych sprawach i zacznie mieć wiele atrakcyjnych partnerek, to z czasem zrewanżuje się ojcu, podrzucając niezdolnemu już do samodzielnych łowów emerytowi, jakąś lekko wyeksploatowaną rówieśniczkę.

A co z grzechem? Moim zdaniem, podobnie jak w Izbie Skarbowej, odpisujemy sobie od dochodu wydatki na cele inwestycyjne, tak i ten postępek możemy ująć sobie przy rachunku sumienia jako koszt edukacji potomka. A na czym miał się uczyć jak nie na błędach? Grzechy ojca i tak automatycznie spadłyby na syna, więc co szkodzi przy okazji trochę przyjemności?

*

Nie brałem udziału we „wczasach z kampanią”. Tradycyjnie wybrałem się na wakacje z rodziną. Zdawałem sobie sprawę, że być może jest to ostatnia włóczęga w pełnym składzie. Mateusz stał się dorosłym mężczyzną (z prawem wyborczym!) i obawiałem się, że za rok nie zechce tłuc się z wapniakami. Pomyliłem się. Do dziś wspólnie zwiedzamy najpiękniejsze zakątki świata. Ale rzeczywiście były to nasze ostatnie wakacje „samochodowe”. Wprawdzie w 2001 wyruszyliśmy w czwórkę kemperem do Grecji, ale to już było zupełnie co innego. Tamtego lata wybrałem Włochy, próbując zaszczepić w dzieciach zainteresowanie Antykiem, miłość do Renesansu, była więc na trasie Wenecja, Florencja, Rzym i katakumby, i Castel Gandolfo (niestety, znów nie udało się zobaczyć Papieża), i Pompeje, i Sorrento. Przez biuro „Interhome” wynajęliśmy dom w Praiano na Costa d’Amalfiana. Przeżyliśmy tam urocze wczasy, kąpiąc się, nurkując i zwiedzając. Spotkaliśmy nawet ducha, ale to temat na osobną książkę...

Wprawdzie ZOO zawiesiło na okres letni swoją działalność, ZSYP cały czas szedł, z tekstów nagranych na zapas. Wymagało to pewnej zdolności przewidywania. Zacytuję jeden z nagranych wtedy wierszy.

Wizja

(lipiec 93)

Rzuciłem wyobraźnię na szerokie wody,

*Ujrzałem jak się kończą i żarty, i schody.
Gdy lewica już stanie w rozkroku za sterem
Cimoszko — prezydentem,
Kwaśniewski premierem.
Janajew na Rozdroże w siedmiu czajkach zmierza,
Straż celna nie dopuszcza do kraju Papieża.
Prywaciarzy pogonił NIK, IRCH-a i ZOMO,
W Domu Partii znów Plenum owacją skończono.
Jadą chłopcy ze śpiewam, jadą do Warszawy
I obowiązkowe wiozą nam dostawy.
Jest porządek. Benzynę na kartki dostanę
Kominy wszystkie dymią — strajki zakazane.
W telewizji „Kołobrzeg” i ludowe tany.
Rakowski macha palcem, a Urban uszami.
Wódka za pół dolara,— a rozrywka darmo,
W podziemiu zjednoczona walczy „Solidarność”
A cenzor tego wiersza znów puścić nie raczył... —
Głosuje na lewicę!
Chciałbym to zobaczyć!*

Nie będę komentować. Westchnę tylko, jak zawodna bywa wyobraźnia poety, a niekiedy jak przewidująca.

Każdego roku poważnym problemem w radio były urlopowe rozjazdy aktorów. Uniemożliwiało to nagrywanie słuchowisk, z takich cykli jak „Klan Szwendaków”, komentujących wydarzenia bieżące i w związku z tym, nie nadających się do powtórzenia. Przyciśnięty koniecznością wymyśliłem więc nowy serial historyczny, w którym politycy parodiowani przez moich aktorów, odgrywali sceny z zamierzchłej przeszłości. Cykl nazwałem **MIELENIUM**. Po jakimś czasie jako **POCZET**

KRÓLÓW WOLSKICH przeszedł on również do ZOO, przydając się w czasie, gdy dalekie, długie wyjazdy do USA i Australii, uniemożliwiały tworzenie na bieżąco.

Szanowni państwo zespół twórczy „Praszczur” przedstawia trzeci odcinek bezpartyjnego serialu „MIELENIUM” zatytułowany:

GŁOS 1

— Otton.

GŁOS 2

— Któren?

GŁOS 1

— Jak odcinek. Trzeci!

(fanfary)

Był rok 1000. Na zaproszenie Księcia Polańskiego Bolesława Chrobrego przybył do Gniezna z krótką, roboczą, przyjacielską wizytą Cesarz Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego

Otton (głosem Aleksandra Halla)

— Otton III. Wywołało to zrozumiałe zainteresowanie kronikarzy i dziejopisów.

Rocznikarz (głosem J. K. Bieleckiego)

— Jak myślicie czcigodni koledzy po cóż cesarz fatygował się na takie zadupie?

Kronikarz — (głosem Skubiszewskiego)

Wiadomo, pokłonić się relikwiom świętego ADALBERTA i jak się da, uskubać kusoczek dla siebie, albowiem z badań wynika że nic tak dobrze nie robi na hemoroidy jak wysuszony Św Adalbertus.

Narrator

— To wiemy, ale jaki był istotny powód, żeby wlec się na koniec świata?

Kronikarz

— Moim zdaniem powodem może być właśnie koniec świata, który zapowiadają na tę okrągłą

rocznicę.

Rocznikarz

— A ja uważam że Ottonowi śni się stworzenie Zjednoczonej Europy i chciał na to namówić naszego Bolka.

Bolesław Chrobry (głosem Wałęsy)

— Tylko nie Bolka! (Fanfary)

Bolesław

— Czy wszystko jest gotowe, Mietko?

Komes Mietko (głosem Wachowskiego)

— Melduję posłusznie wasza książęca Mość, że tak. Droga z Poznania do Gniezna wyłożona czerwonym Kobercem...

Księżna Emnilda (głosem Wałęsowej)

— Dlaboga, a skąd żeście w tym biednym kraju wzięli tyle kobierca, gdy w pałacu nie ma nawet materiału na ciepłe gacie dla straży?

Mietko

— Moi woje machnęli całą trawę na gościńcu czerwoną farbą, najjaśniejsza pani.

Bolesław

— A młode dziewice dla cesarza i drużyny?

Mietko

— Zabezpieczone.

Mieszko (głosem dziecka, które ku zgryzocie rodziców ciągle nie przeszło mutacji)

— Z tego co się doczytałem w kronice (towarzyskiej) wynika, że dostojny gość reprezentuje swoistą preferencję seksualną.

Emnilda

— Co to znaczy, syneczku?

Mieszko

— Znaczy, kocha inaczej

Bolesław

— W zasadzie każdy człowiek kocha inaczej, kiedy byłem na dworze w Akwizgranie, to nie było dworki, która byłaby w tym rzemiośle taka sama, choć Miemce zwykli mawiać: w nocy wszystkie dworki są czarne...

Emnilda

— Mężu, nie przy dziecku!

Mietko

— I ten problem jest załatwiony. Z co drugiej dziewicy, we właściwym czasie wylezie krzepki pacholik, po przeszkoleniu w krajach seksualnie rozwiniętych.

Bolesław

— Dobrze. Kolejny problem to złote garnki potrzebne na upominki.

Emnilda

— Chciałam pożyczyć od księcia kijowskiego Jarosława. Ale Jarosław za Mądry był, żeby nam pożyczyć. Mieszko — A po co te złote naczynia, tatku?

Bolesław

— Umyśliłem iżby olśnić gości przepychem, a następnie obdarować ich tem z czego jedli, bo się tym sposobem oszczędzę na zmywaniu.

Mietko

— Sprawa prosta. Na ostatnim popasie przed granicą wynajęci przez nas bandyci napadną na nadjeżdżający orszak Ottona. Zabiorą ich własna zastawę, a my potem dostarczymy ją im w podarunku.

Bolesław

— Świetnie!

Emnilda

— A jak poznają?

Mietko

— Nie poznają, sprowadziłem z samego Nowogrodu mincerza, którego na pucharach, paterach i tacka przebiję numery... chciałem rzec herby, z cesarskich na nasze.

Mieszko

— A jaki my właściwie mamy herb tatusiu?

Bolesław

— No tego hm.. Mietko, jaki my mamy herb?

Mietko

— Melduje wodzu, że to jeszcze nie ustalone, ale wpłynęły ciekawe propozycje.

Pomorzanin (głosem Tuska)

— My przedstawiciele Pomorza jesteśmy za rybą. Ryba przeważnie milczy, zawiera tran, a jak trzeba to i fosfor. Jedyny problem że często psuje się od głowy

Bolesław

— To obciąć jej głowę.

Wiślanin (głosem Jana Marii Rokity)

— My emisariusze z kraju Wiślan i grodu Kraka, najuprzejmiej sugerujemy smoka ogromnego, smoka z ostrymi pazurami...

Bolesław

— Smok dobry...

Mieszko

— Tylko czy wiesz tatuśku, że w grodzie Kraka załatwiono go za pomocą jednego barana.

Bolesław

— Zawsze znajdzie się jakiś baran. A czy jest propozycja z Mazowsza?

Mazowszanin (Głosem Pawlaka)

— My Mazowszany dużo gadać nie będziemy i twardo głosujemy za mrówkojadem.

Emnilda

— Co takiego?

Mazowszanin

— Mrówkojad posiada język giętki, który wyliże wszystko co pomyśli głową.

Mieszko

— Ale czy mrówkojad nie jest zbyt kosmopolityczny?

Bolesław

— Fakt, bo przecież Polanie nie mrówkojady i swój język mają. Emmilda świadkiem...

Mietko

— Jest jeszcze propozycja z naszej ziemi Polańskiej. Przywiozła ją wasza dostojna kuzynka Suchorzepa

Bolesław

— No!

Suchorzepa (głosem Suchockiej)

— W imieniu starszyny szczepowej zgłaszam propozycje białego anioła z wielkimi skrzydłami.

Bolesław

— Anioł?

Mieszko

— Czy to nie będzie wyglądało zbyt pacyfistyczne w czasach gdy tatuś zamierza uderzyć równocześnie na Budziszyn, Kijów, i Ołomuniec.

Mietko

— Wodzu, a gdyby to tak razem zebrać do kupy — Pazury smoka, skrzydła anioła, ogon ryby, ale takiej, rozjechanej przez beczkę i jęzor mrówkojada...

Bolesław

— I co to miałyby być?

Mietko

— Kur wasza miłość.

Bolesław

— Kur to mi się podoba. Zatwierdzam. Wykonać. A teraz ostatni punkt dotyczący napojów.

Mietko

— Zamówiłem ze sto wozów piwa i skrzynkę wina. Bolesław — A nie ma coś mocniejszego? Nie wynajdom gdzieś siwuchy?

Mieszko

— Ależ wynajdom tatusiu, ale dopiero za jakieś 500 lat. Bolesław — Wielka szkoda...

Mietko

— Nie wielka, nasz wywiad gospodarczy doniósł że Otton Trzeci ma słaby łeb i już po piątym kuflu nie wie, jak się nazywa...

Bolesław

— Świetnie. Pamiętacie, tak ostatnio spoliśmy tu Borysa władcę Rusi, że zgodził się puścić nas w objęcia cywilizacji łacińskiej? (fanfary, potem odgłosy uczty)

Bolesław

— No to zdrowie gości pięknych pań i mojej żony

Otton

— Zdrowie. Zaraz a jak się u was mówi: No to świst w ten głupi pysk?

Emnilda

— Mniej więcej.

Bolesław

— Nalej Mietko jeszcze, po szkopku.

Mietko

— Się robi!

Otton

— A gdybyśmy tak wypili, wypili tego, no... znowu zapomniałem.

Mieszko

— Co wujek zapomniał?

Otton

— Jak jest po niemiecku Bruderszaft. No, ale nieważne, wypijemy...

Bolesław (trącając się)

— Boluś!

Otton

— Zaraz, a jak ja się nazywam? Nie Karolek, nie Wiluś... Otek... (całuski)

Mietko

— Cysarz to ma klawe życie!

Bolesław

— Jest w naszej krainie Otek, jeszcze jeden obyczaj, że po rozegranym meczu albo uczcie zawodnicy zamieniają się koszulkami.

Mietko

— Jest taki zwyczaj.

Otton

— Dobra, oto moja... ale twoją wybaczyć przyodzieję dopiero po praniu, bom w Bizancjum był chowan i bieliznę każe prać co najmniej raz na miesiąc.

Bolesław

— Żeby okazać swą przychylność wymieńmy się również z gośćmi żonami.

Emnilda

— Ależ mężu...

Otton

— Żonami? Swoją chętnie ci oddam, ale czy zamiast tej Ee... mnildy nie możnaby wypożyczyć

syneczka.

Mieszko

— Ręce przy sobie.

Bolesław

— Mieszko będzie dopiero Drugi, jeden obyczaj.

Mieszko

— Tak, wymiana nakryć głowy. Gdyby wujek Cesarz dał swój diademik cesarski, to tata da mu swój prasłowiański berecik.

Otton

— Nie powiem nie, uwiera mnie ta korona jak cierniówka. Proszę.

Mietko

— Szybko. Dawać kronikarzy! (gwar)

Kronikarz

— Mój Boże, Bolek ukoronowany. Uznany za suwerennego! A na razie jest jeszcze

Rocznikarz

— Żeby jeszcze uznano granice na Odrze i Nysie.

Kronikarz

— Ale ten Otton jest uwalony.

Rocznikarz

— Co z tego, wynik idzie w świat.

Otton

— Pozwólcie, donerwetter, że podsumuję „Gott mit uns!”

Mieszko

— Przepraszam, ale który Got? Ostrogot czy Wizygot?

Komes

— O czym oni mówią, księżna pani?

Emmilda

— Chyba gość domaga się filetów z ostrogota. Podać ryby! (fanfary)

Otton

— Jakie piękne naczynia. I jakie herby na nich. Bolesław — Widać że moje. Zara! Ale co to jest! To ma być kur. Mietko, gdzie twój mincerz?!

Mietko

— Melduje posłusznie, że w wieży. Kazałem mu robić według rysunku koguta, a jemu furt wychodził orzeł. Dobrze, że mu w porę przetrąciłem łapy, bo już wychodził mu dwugłowy.

Bolesław

— Niech żyje i umacnia się przyjaźń między narodami...

Głosy

— Niech żyje.

Otton

— A czy przewidziano jakieś rozrywki?

Komes

— Oczywiście światło i jęk.

Otton

— To znaczy?

Mietko

— Zaprezentujemy tak popularne ostatnio u was pogromy mniejszości narodowych.

Bolesław

— Na mój osobisty rozkaz, z Mławy dowieźli trzy tuziny Cyganów, bo jako młode państwo, Żydów żeśmy się jeszcze nie dorobili. (Fanfary)

Warto przypomnieć kto dostarczył głosów do słuchowiska — Wałęsą i Hallem był Zaorski (w innych audycjach doskonale robił jeszcze Olszewskiego, Geremka, Moczulskiego i wszystkich cudzoziemców — Kohla, Clintona, Jelcyna), Skubiszewskiego, Wachowskiego i Rokitę parodiował Kryszak, nadto bezkonkurencyjny bywał jako Mazowiecki, jak również Lepper i Oleksy. Dzieckiem była Ewa Złotowska. Suchocką i Danutą Wałęsową — Jola Zykun. A w roli Pawlaka i Tuska występował Piotr Pręgowski.

*

Sekspert — Kiedy przychodzi kryzys

Stosunki międzyludzkie, te małżeńskie oraz te poza... podlegają podobnym cyklom, jak gospodarka rynkowa — ożywienie, rozkwit, nadprodukcja, krach, stagnacja... Kropla draży kamień, niedostrzegalne konflikty erodują stan szczęśliwości, to co jeszcze wczoraj było drobiażdżkiem, śmiesznością dziś staje się kamieniem obrazy lub kością niezgody.

Romantyczna nimfetka, którą zapoznałeś na schodach do piwnicy, gdy udawała się po węgiel dla chorej babci, przeniesiona w rajski klimat garsoniery przemienia się zachłanną krowę morską. Młoda góralka spod Dukli, wobec której usiłowałeś odegrać rolę Pigmaliона (vel profesora Higginsa) nie okazuje się twoją Galateą i gdy zorientuje się, że nie jest już kamienną bryłą, tylko żywą istotą, oddala się od ciebie szybciej niż światło. Ale to nasza wina, nie trzeba było mylić rodzimej supremy z carraryjskim marmurem. Z dojrzałej intelektualistki, świetnej gdy chodzi o miłość francuską (za sztalugami w pracowni pełnej zwiedzających), wyłazi w czasie normalnego pożycia paskudne drobnomieszczanstwo. W zasadzie zaprzęta ją tylko jedna jedyna myśl: „Niech się wreszcie ze mną ożeni”. Nawet baśniowa dziewczyna z okładki już po tygodniowych wczasach okazuje się pustą w środku wydmuszką, której nie dałoby się napełnić niczym pożytecznym nawet przez dwa miliony lat intensywnego współżycia. A ta przeciętna, swarliwa, na którą zlakomiłeś się przed laty, myśląc przekornie, że może przy bliższym poznaniu wyjdą z niej ukryte zalety? Niestety ten kłopotliwy eksperyment zwany małżeństwem potwierdza, że niewiasta jest dokładnie taka, jak się wydawała przed ślubem, plus jeszcze parę wad, o jakich nie mieliśmy zielonego pojęcia.

Czyżby przemawiała przeze mnie gorycz ciężko doświadczonego naukowca? Ależ skąd! Na etapie doświadczalnym były wszak wzloty i zachwyty: z nimfetką i wiadrzem w ręku przeżyłem naprawdę cudowne chwile; dzięki plastycze mam w domu kilka wartościowych obrazów; góralka zwróciła mi większość kosztownych prezentów; a Miss Jury Krakowsko-Częstochowskiej w ciągu pierwszego tygodnia wakacji wydawała mi się nagrodą stulecia. Należy tylko odpowiednio wcześniej zauważyć stygmaty kryzysu i zrywać samemu, zanim zrobią to z nami. Zachowujemy dzięki temu honor, trochę pieniędzy, i jeszcze więcej szacunku dla

samego siebie.

*

Sekspert — Samotność krótkodystansowca

Stosunkowo najczęstszą przyczyną kryzysu jest konflikt temperamentów. Najchętniej określam to zjawisko terminem „**samotność krótkodystansowca**”. Natura bowiem tak skonstruowała nas facetów, że z małymi wyjątkami mamy zawsze ochotę, byle szybko. Niewiasty wręcz przeciwnie, wolą rzadko, ale długo. Od tej zasady, bywają naturalnie wyjątki. Znałem kiedyś młodą rezolutną goścównę, która roznosząc pocztę od gabinetu prezesa do dyżurki straży przemysłowej, potrafiła uprzyjemnić otwieranie korespondencji kilkunastu mężczyznom i jeszcze zrobić **obchód** w przepisowy terminie, jednej godziny. Nie dziwota, że przez długie lata nikt jej nie określał inaczej, jak „Depesza”.

Oczywiście samo życie jest przeciw długodystansowości. Kalendarz codziennych zajęć jest napęczniały jak kaczan kukurydzy. Nie każdy ma tyle swobody i pomysłowości co znajomy ordynator, który potrafi wykorzystać zarówno stół operacyjny, jak i sekcyjny, i to nie przerywając badania pacjentki. Nasz przeciętny czas dla kochanki (chwalić Pana, jeśli mamy tylko jedną), to — rano piętnaście minut między zawiezieniem dzieci do szkoły, a odtransportowaniem żony do pracy. Potem jeszcze półgodzinne okienko podczas przerwy obiadowej (jeśli kochanka jest tolerancyjna, to kanapki przygotowane przez żonę zdążymy zjeść w trakcie) i wreszcie dwadzieścia minut wieczorem w czasie spaceru z psem. Dyskrecji pieszka możemy być pewni, ale jakże się trudno skoncentrować, kiedy cały czas coś szarpie za smycz. Ale czy można prowadzić grę erotyczną na raty? Ocieplić dziewczynę rano, rozpałać po obiedzie i rozżarzać emocjonalnie wieczorem do białości? Specjaliści od wielkich pieców twierdzą, że nie, ponieważ w trakcie przerw nawet najbardziej napalona osiemnastoletnia surówka musi wystygnać.

A miłość w warunkach pośpiechu i byle jakości? Jest możliwa! Ale nie z każdą partnerką. Skarżył mi się pewien znajomy inżynier, z temperamentu sangwinik, że raz zdarzyła mu się sytuacja optymalna — Żona wyjechała za granicę, dzieci wyprawił na wycieczkę, teściowa akurat wylądowała w szpitalu, a telewizor się zepsuł. Okoliczność szczególnie sprzyjająca — przy czynnym odbiorniku gry erotyczne da się praktycznie uprawiać wyłącznie w czasie reklamowym). Cóż z tego? On był gorący, jak Etna tuż przed erupcją, a zaproszona białogłowa, łądolód! Zjadła słone paluszki, wina nie tknęła... „Jak sprawić, żeby ze zderzenia ognia z łądolodem powstała para nasycona? — dopytywał się inżynier”.

Sprzedalem mu mój **antypatent**, będący dokładną odwrotnością **patentu na zdrowe pożycie małżeńskie**. Dawno zauważono, że nic tak nie powiększa entuzjazmu nawet do własnej, urzędowo zakontraktowanej żony, jak wyobrażenie sobie, przy mocnym zaciśnięciu powiek i

zębów, że oto mamy do czynienia z nie byle kim, ale z Kim Basinger, Michele Pfeiffer czy Cindy Crawford. Oczywiście jedni wyobrażają sobie dwunastoletnie dziewczynki, inni zakonnice na leśnej polanie, a pewien mój znajomy prezes — Mae West, Mary Pickford i Bustera Keatona — czyli erotyczne idole swojej młodości. Kiedy więc chcesz wzbudzić w sobie oziębłość, „przetrzymać” panienką w niepewności, musisz wmówić sobie, że to chłodne stworzonko obok nas to — twoja teściowa, szefowa działu kadr, surowa nauczycielka syna, czy pani z Izby Skarbowej (niepotrzebne skreślić).

Uwaga! Ponieważ zbyt szanujemy świętą instytucję małżeństwa, nie idziemy na łatwiznę, wyobrażając sobie w takiej sytuacji własnej żony! Jeden mój znajomy będąc z damą w garsonierze wyobraził sobie to tak intensywnie, że żona zmaterializowała się w szafie, z dubeltówką!

Gdyby wyobrażenia ludzkie nie wystarczyły, należy przywołać skojarzenia zwierzęce — ropuchy, pająki, karakany... Przeważnie, zaskoczona naszą rezerwą lądolodowa panienka taje, kruszy się i rozpuszcza. Od zdziwienia, zaciekawienia, podenerwowania przechodzi do pełnego przejęcia przez nią inicjatywy. — Atak, krótka walka, po której rzecz jasna kapitulujemy.

Zabieg taki można powtarzać po wielokroć. Z jednym zastrzeżeniem! Nie wyobrażajmy sobie dwa razy tej samej **anty-osoby**. Grozi uzależnienie imaginacyjne. Niczym u Psa Pawłowa. Po pewnym czasie może się zdarzyć, że zaczniemy się ślinić na widok własnej teściowej.

*

Gwoli urozmaicenia seksperckiej monotonii, przytoczę jeden wiersz z tamtych czasów, który od dziesięciu lat mówię na estradzie, obserwując jak, niestety, z roku na rok staje się aktualniejszy:

Ulice i ludzie

Nie tak dawno gdy system zdrowo sobie poczynął,

nawet kościół stać musiał przy Alei Lenina.

Lecz powielacz aż furczał, tłukąc co zabronione

na zapleczu podwórka, co przy Armii Czerwonej.

Spiskowali duchowni i lewica laicka,

tam gdzie z Jankiem Krasickim się krzyżuje Sawicka.

A gdy zeszły się tłumy, ZOMO gnało każdego

prosto z Placu Komuny aż na Plac Dzierżyńskiego.

A dziś — czytasz gazety i się do nich uśmiechasz:

„Pojedynek gangsterski na świętego Józefa”!

Pięć garaży ma proboszcz, niczym w jakimś Paryżu

na ulicy imienia „Biedaczyna z Asyżu.

Skwerek Solidarności — więc przeciwko „różowym”

W likwidacji Zakłady „Porozumień Sierpniowych”

Były esbek z cenzorem mają moc interesów

— na ulicy Giełdowej róg Wielkiego Biznesu.

Nad uliczka wytworną Wincentego Kadłubka,

trzy peep-showy, sklep porno i „wesola chałupka”.

A gdzie plac Popieluszki stoi tłumek od rana

nie po chleb, nie po gruszki, lecz po organ Urbana...

Nad przesłaniem wierszyka nie potrzeba się trudzić

— łatwiej zmienić ulice, niż ludzi.

*

Sekspert — Konfliktów ciąg dalszy

Elementem kryzysogennym pożycia pozamałżeńskiego bywa również **konflikt skłonności**. Oczywiście, kiedy żona woli dziewczynki, a mąż chłopczyków, nie ma konfliktu. Jest jedynie nieporozumienie. Podobnie w przypadku, gdy zderzy się z sobą dwoje sadystów lub masochistów... Wówczas wiadomo, z tego związku stać nie będzie. Są jednak sytuacje zdecydowanie mniej jasne.

Kursantka podpisująca się „Zakłopotana” zamieszkała we wsi Mokra, gmina Sucha, przedstawiła następujący dylemat: „Od pewnego czasu mój kochanek zaczął wykazywać dziwaczne skłonności, żąda, abym przed spotkaniem nie myła się, zakładała majtki z papieru ściernego, pod poduszkę wkłada zgniłe jabłka. Ponadto lubi igraszki na sedesie (i to pełnym), na suficie przybił lustro, a w uciechach towarzyszy mu zdeprawowana do cna świnka morska. Co dziwniejsze, wiem doskonale (jego żona jest moją najlepszą przyjaciółką), że w domu zachowuje się całkiem normalnie. Czy to nie dziwne?”

Nie proszę pani. Pani partner ma marzycielsko — awanturniczy charakter, który każe mu poza domem szukać niezwykłych przygód i dodatkowych wrażeń. Jest to oczywiście zdecydowanie naganne, albowiem **seks perwersyjny** ma na liście występków zdecydowanie więcej punktów karnych niż uprawiany tradycyjnie. Ale może należy poszukać w tym jakiegoś elementu pozytywnego. Zawsze można coś znaleźć? Morderca, w którym kołaczą się resztki sumienia, zabije wprawdzie swoją ofiarę, ale już dodatkowo nie opluje. Pirat drogowy rozjeżdżający nagminnie staruszki na pasach, wybierze nie te idące do kościoła, ale te wracające, będące w stanie łaski. Zaś deprawator nieletnich (z zasadami) zwabiając małolaty do mieszkania, będzie je przy okazji uczył matematyki. Zatem i w pani przypadku zaleciłbym drogę mniejszego zła. Wspomniała pani o przyjaźni z żoną partnera. Gdyby udało się ją namówić do realizacji choćby części erotycznych fantasmagorii jej męża — proszę pożyczyć jej te majtki, nakupić jabłek... Istnieje duże prawdopodobieństwo, że pani kochanek będzie w domu zaspokajał swoje zwyrodniałe zachcianki, a poza domem zacznie poszukiwać spokojnego, umiarkowanego seksu, który pani mu z radością zapewni.

PS. Czy mogłaby pani wypożyczyć na weekend wspomnianą morską świnkę?...

Do przyczyn konfliktów dwojga skonkubinowanych dusz i ciał należą również przyczyny obiektywne. Niektóre, jak brak lokalu, kłopoty z potencją, zazdrosny mąż lub szef ukochanej, dają się wyeliminować pomysłem lub farmakologią.

Ale są sytuacje bez wyjścia. Na przykład przychodzą święta. W ciągu roku obrotny grzesznik potrafi jakoś manewrować między chałupą a domem letniskowym. Podczas Świąt staje wobec dramatycznego wyboru — albo tu, albo tam. Albo śledź z żoną, albo makowiec z kochanką. Tylko wyjątkowi zuchwalcy potrafią bawić się na dwóch Sylwestrach, albo z dwoma kobietami na jednym. Zaświadczenie z Izby Wytrzeźwień, że spędziliście tam czas od Wielkiego Piątku do Lanego Poniedziałku jest patentem tylko na jeden sezon. A nie każdy posiada zawód uprzywilejowany zawód policjanta, strażaka, czy pracownika służby zdrowia i może wykreślić się ostrym dyżurem. Sytuacja powtarza się rokrocznie, kryzys narasta. I wreszcie albo żona pakuje manatki i wraca do swojej matki, albo kochanka, nieutulona w bólu spożywa samotne białe jajko (bez pisanki), ewentualnie głuszy się makiem z makowca.

Są jednak lepsze wyjścia. Można na przykład namówić panienkę, aby doprowadziwszy się do stanu żebraczego zaczęła koczować na naszej klatce schodowej (w zależności od wieku, lub wyglądu można ucharakteryzować ją na bezrobotną narkomankę, bezdomną Rumunkę, lub Dziewczynkę z zapalkami). W odpowiednim momencie wieczery, korzystając z wolnego

miejsca przy stole, możemy zaproponować żonie czynne potwierdzenie naszego dobrego katolicyzmu i zaprosić nieboraczkę ze schodów. Gorzej, jeśli żona wpadnie na pomysł, żeby zrobić z żebraczki kuchnię, na stałe (a nasza panienka, na codzień menadżer w wielkim konsorcjum, się obrazi), albo jeśli kochanka zachwycona mieszkaniem i żoną zostanie na noc. Cóż, w najgorszym przypadku można zerwać. Z panią. Z żoną...? Najlepiej z podwójnym życiem.

*

Sekspert — Rozstanie

Czasem jest to jedyne wyjście. Na przykład wtedy, kiedy już zostaliśmy rzućni. Albo gdy jesteśmy zdradzani. Albo kiedy konstatujemy, że niemożliwym jest, aby nimfетка już szósty rok miała szesnaście lat. I wówczas każdy dobry katolik powinien zerwać z dotychczasowym podwójnym życiem, albo przynajmniej starać się to uczynić.

I tu nie ma żadnej trzeciej drogi. Jak z każdym nałogiem trzeba zrywać od razu. Metoda zrywania po kawałku (zrywamy w dni parzyste, godzimy się w nieparzyste) do niczego nie prowadzi. Sposób należy wybrać zgodnie z własnym charakterem. Jeśli jesteśmy podatni na sugestię, możemy powtarzać sobie przed zaśnięciem (a po zaśnięciu kochanki) „Będę kochał moją żonę, będę kochał moją żonę”.

Można też wybrać **metodę redukcyjną**. Z kobiet przerzucić się na alkohol, z alkoholu na papierosy, z papierosów na narkotyki, a z narkotyków na politykę. Ale jest to droga bardzo kosztowna i przykład wielu polityków pokazuje, jak z niegroźnego grzesznika robi się wrak człowieka.

Można także za każdy dobrze przeżyty dzień robić sobie kreskę na ścianie, jak więzień. Najlepiej jednak wstąpić do Towarzystwa Anonimowych — Grzeszników. Sam tworzę takie bractwo przy mojej pracowni — spotkania w środy i piątki. Wpadnijcie, a spotkacie ludzi z podobnymi problemami, choć na różnych etapach uzależnienia.. W miarę rozmów początkowe lęki i uprzedzenia będą ustępować życzliwemu zainteresowaniu. Spotkania zabiorą wam masę czasu, dotąd marnowanego w garsonierze, a opowieści kolegów o przeżyciach, z czasem będą bardziej atrakcyjne niż same przygody. Wy nie będziecie gorsi, opowiecie własne doświadczenia, troszeczkę je ubarwiając. Wnet dojdzie do tego, że z wypiekami na twarzy będziecie spieszyć na kolejną sesyjke gawędziarstwa męskim gronie, a opuszczona kochanka i garsoniera obrosnie pajęczyną i mchem.

Nie zawsze się tak udaje. Bywa, że kochanica, wykazująca już znaczny stopień zużycia, nie chce się z nami rozstać. Przeciwnie, molestuje nas, przychodzi do pracy, telefonuje po nocach do domu. Znam wypadki pikiet na schodach eks amanta. Jedna porzucona kochanka rozbiła namiot

na moim podwórku, inna przez tydzień co noc zaczajała się z siekierą i nie puszczała trzonka, aż do pełnego wypełnienia obowiązków konkubenckich.

W najgorszej sytuacji są kawalerowie. Żonatego przed napastliwą nimfomanką obroni małżonka! Ale gdy jesteśmy do wzięcia? Nawet mamusia w wielu momentach jest bezradna. A nie każdy potrafi uciec do wojska lub klasztoru. Jest tylko jeden skuteczny sposób, aby zakończyć tę idiotyczną sytuację. Należy się z natrętką ożenić. Albowiem nic tak skutecznie nie gasi pożaru zmysłów, jak ostemplowany papier. Później można popaść w małżeńską oziębłość (już wolno!), partnerce kupić jakieś zwierzątko, na którym wyładuje całą czułość, albo sprawić dziecko. Koszty są spore, ale załatwiwszy to wszystko nareszcie poczujemy się emocjonalnie wolni.

Wróćmy jednak do normalnego zerwania, za obopólną, acz nie wyrażoną zgodą. Zmieniamy zamki w garsonierze, kupujemy żonie kosz kwiatów, a dla siebie znajdujemy nowe zajęcie — bieganie na świeżym powietrzu, dbanie o dietę, praca. A czas koi rany. Niekiedy tylko, jak cierń powraca, problem wynajętego pokoju i sprzętów, które wypełniły go w ciągu lat. Co zrobić z ruchomościami? Oddać byłej kochance? To mogłoby ją poniżyć. Rozdać biednym? Marnotrawstwo. Chwilowo więc zostawmy wszystko, tak jak było. Czasami wpadniemy przetrzeć kurze, albo podlać kwiaty... Powspominamy... Oczywiście, po jakimś czasie możemy zauważyć, że córka sąsiadów niepokojąco dorasta, a jej rodziców nie stać na drogie ciuchy, buciki, nie mówiąc o kompakt dyskach. Proponujemy więc, aby czasami wpadała do nas i wytarła wspomnień kurze, a kiedy już będzie, podzieliła się swoimi młodzieńczymi problemami, na które my z bogatym doświadczeniem życiowym, na pewno potrafimy znaleźć odpowiedź. Stop! Stop! Przecież to jest dokładnie to, z czym skończyliśmy. Recydywa! Ale przecież żadna sytuacja się nie powtarza. Kiedy chodziliśmy na spacerki z poprzednią partnerką mówiono nam „Jak śliczna córeczka” a teraz: „Ale wnuczka podobna do dziadziusia...”

Skoro jednak decydujemy się na rozstanie, to czy dobry chrześcijanin, powiem dosadniej — katolik — dżentelmen, nie powinien zadbać o prezent pożegnalny?

Wiadomo, że kwiaty nie zaszkodzą w żadnej sytuacji. Ale może to być za mało. Rozrzutnicy dają na odchodnym mieszkanie i samochód. Banalne! My chcemy, aby zapamiętała nasze uczucie całe życie. Żeby zostało coś jej po nas, oprócz wspomnień, wspólnie przeczytanych wierszy i obejrzanych talk-showów. Taki prezent powinien być trwały, oryginalny, cenny.

Moim zdaniem wystarczy odrobina wiedzy medycznej, odpowiednie przygotowanie psychiczne i w momencie, gdy czujemy, że to naprawdę koniec, organizujemy pożegnalne przyjęcie. Tą ostatnią niedzielę... No, może być też noc z wtorku na środę. Jeśli dobrze pójdzie prezent objawi się już po dziewięciu miesiącach. Ku zadowoleniu eks-kochanki i jej męża. Czy jednak nasza ofiarność pozostanie anonimowa? Szkoła polska i włoska proponuje mistrzowskie wykończenie akcji — ochotnicze zgłoszenie się na Ojca Chrzestnego, i ciao bambino!

Dobrze, dobrze. A jeśli byłej kochanki nie uda się wydać za mąż, albo narzeczoną (choć kompletne zero) zacznie rachować: „Poród po pięciu miesiącach?” Po czym odejdzie i pozostawi pannę z dzieckiem napoczętym? I mamy problem. Małżeństwo, jesteśmy żonaci, nie wchodzi w grę! Dwa domy? Nie utrzymamy!

Zakładając dobrą wolę byłej konkubiny stosujemy modyfikację patentu świątecznego z poprzedniego wykładu. Konspiracyjnie dochowujemy dziecko mniej więcej do roku, uczymy paru słów (w zależności od karnacji) po rumuńsku lub białorusku i pewnego dnia wkraczamy do domu z dzieciną w objęciach:

— Patrz żono, co przybłąkało się do mnie na klatce schodowej! Przecież, nie wyrzucimy szczeniaka na mróz, tylko z powodu braku metryki i rodowodu!

Tym sposobem uszczęśliwiamy co najmniej cztery osoby: siebie, dziecko, żonę i byłą miłość, a także wszystkich aniołków, gdyż nasz czyn świadczy o wielkim sercu i równie wielkiej pomysłowości.

*

Sekspert — Szanujmy wspomnienia, a może wspomnienia uszanują nas

Rozstanie nie jest ostatnią fazą w cyklu przygód grzesznika. Po nim, zwłaszcza tym ostatnim, a każde kiedyś jest ostatnie, następuje **bezrybie**. Skończyło się. Panienska odeszła, wyjechała, wyszła za mąż, my wróciliśmy do domu. I na początku jest dobrze. Ale dni płyną i czegoś nam brakuje. Nerwowo przetrząsamy kalendarzyk — bryndza! Dawne sympatie wyjechały, inne zbrzydły. A i my (o czym złośliwie nie omieszkalo poinformować nas lustro) już nie taki zawodnik jak przed laty. Jeszcze podrywamy się do lotu, ale choć startujemy jak sokół, już po przeleceniu metra lądujemy ciężko, niczym kura — emerytka. Wkrada się niepokój, potem niedowierzanie, wreszcie zwątpienie. Dni mijają bogobojnie. I nic. Niedawne sukcesy ustawiły naszą poprzeczkę cholernie wysoko, w kategorii urody — gdzieś na poziomie finalistek Miss Polonia, a inteligencji — maturzystki z czerwonym paskiem. Mamy zniżyć się do statusu szarego podrywacza i startować do kelnerek, pedikiurzystek, czy też zalecać się do własnej żony? Żeby się jej w głowie przewróciło?

Co zatem pozostaje? **Filozofia**.

Możemy wybrać nurt **stoicki**. To znaczy stać i czekać spokojnie z nadzieją, że prędzej czy później coś nam wpadnie. A jak wpadnie, to już nie wybrzydząć.

Postawa **hedonistyczna**. Opiera się na autosugestii. — Mamy się cieszyć, bo jak nie ma bab, to nie ma kłopotów i kosztów.

Metoda **cyniczna** — należy spisać wszystko, co się rusza w zasięgu naszej ręki, od personelu pomocniczego do żon kolegów. Następnie pochłaniać metodycznie, na zasadzie automatycznego odkurzacza. Przyjemności niewiele, ale znowu wracamy do formy, hormony zaczynają właściwie pracować, a wśród uczuciowego popiołu może z czasem rozbłysnąć diament.

Osobiście doradzałbym postawę **idealistyczną**. Polega ona na tym, że radujemy się zejściem ze ścieżki grzechu, obnosimy się z naszą cnotą, mówimy swoich zasadach, a na wszelkie spotkania towarzyskie prowadzimy żonę z dziećmi. Rychło taka postawa zaczyna intrygować, stajemy się przedmiotem podziwu kobiet i zazdrości mężczyzn. Niejedna hoża **tajnoigrzesznica** zadaje sobie pytanie — „Czy on tak naprawdę, czy tylko udaje? Przecież dotąd był prawdziwym psem na kobiety. Ziuta wiesz coś o tym? Może chory? A gdyby tak sprawdzić?...”

W przypadku niepowodzenia nawet tego sposobu przepraszamy się z **materializmem**. — „Filozofowie pragnęli zrozumieć świat, nam chodzi o to, żeby go przelecieć.” Czyj to cytat, koteczku? Mój! A zatem zamiast popadać w apatię, telefonujemy do pierwszej lepszej agencji towarzyskiej. W rozwijającym się kapitalizmie seks jest jak wiadomo towarem. A miłość? Cóż, miłość jest to wartość dodatkowa. Niestety sukces przy zastosowaniu którejkolwiek z metod nie gwarantuje szczęścia. W nasyceniu zauważymy absmak goryczki. Wówczas jak podstarzały Casanovą, który po zaliczeniu całej Europy Zachodniej na starość wylądował w Czechosłowacji, możemy przerzucić się na wspomnienia.

Zdarza się oto, że zderzysz się, gdzieś między Żółtą Rzeką a Zieloną Górą, ze starym kolegą. Wystarczy odrobinę drinka i ożywają wspomnienia. Znów jesteśmy piękni i młodzi — My z VIII c, My z lektoratu angielskiego, My z ćwiczeń wojskowych w Trzebiatowie, My z wycieczki autokarowej do Bułgarii... Komentujemy losy wspólnych znajomych, śmiejemy się wspominając nocleg w czwórce w jednym śpiworze... I w tym momencie powinniśmy się pożegnać, bo zaraz potem pada propozycja towarzyskiego zjazdu, na którą, nie wiedzieć dlaczego przystajemy skwapliwie. Może myślimy, że nic z tego nie wyjdzie? Wyjdzie! Kolega już w wieku osiemnastu lat był upierdliwym ZMS-owcem i to ma do dzisiaj. Zostaje wyznaczony termin i chata. Tymczasem wspomnienia nasilają się. Serce bije na myśl, że znów spotkamy Agnieszkę, którą jeden jedyny raz pocałowaliśmy podczas wspólnej nauki do egzaminu z socjologii. I już, już niebo było tak blisko, ale portierka była mniej tolerancyjna niż święty Piotr i wydalila cię o 22.00 z żeńskiego akademika. Wyobrażamy więc sobie przyszłe spotkanie, kiedy ocean czasu, który nas wszystkich porozdzielał skurczy się do rozmiarów kałuży. A my skoczmy w nią z Agnieszką. Bo i ją te dwadzieścia pięć lat czegoś nauczyło. A następnego dnia obudzimy się, jak po upojonej podróży salonką, w cudzym życiorysie, w nieznanym mieszkaniu, z pozostawioną przez Agnieszkę kartką „Mleko w lodówce, dolny garnek, drzwi zatrzasują się same, a Joasię trzeba wyprawić na drugą lekcję.”

Wkrótce obudzi się Joasia, będzie dokładnie taka sama, jak jej matka, tyle że beczelnie dumna z tych swoich szesnastu lat, rozebrana, gorąca i bezproblemowa. I staniemy przed dylematem. Szaleństwo lub ucieczka? Który rozwiążemy — najpierw szaleństwo, potem ucieczka...

Niestety życie przygotowuje dla nas inny scenariusz. Na dacyz kolegi zgromadzi się prawdziwy **Park Jurajski**: Agnieszka, koścista jak suszona flądra, przyprowdzi z sobą męża, do nas w ostatniej chwili dołączy żona... W końcu byliśmy w jednej klasie. Koło północy okaże się, że Rudy Leoś, który zawsze zjadał ci drugie śniadanie i lał workiem, zamknie się w toalecie z naszą małżonką, a młodsze pokolenie, po którym tyle sobie obiecywaliśmy, odseparuje się od wapniaków w piwnicy. My zaś zostaniemy skazani na towarzystwo żony Leosia, babusa, przy

którym kolubryna wydaje się wątlą kariatydą. Będziemy słuchać, udając zainteresowanie, opowieści na temat hodowli kanarków, czy problemów służby zdrowia w Zimbabwie. A wracając w stanie lekkiego upojenia znów zatopimy się we wspomnieniach, przypomni się domek nad Wigrami, ja i Janeczka (teraz haftująca w bramie), upojenie, rozkosz, jakaś omdlewająca słabość i chęć, aby krzyżeć wszystkimi komórkami ciała „Trwaj chwilo, jesteś.....Pamiętamy jak Janeczka powiedziała wtedy:

— Wiesz, powinniśmy teraz umrzeć.

— Zwariowałeś, dlaczego?

— Ponieważ już nigdy nie będzie tak jak teraz.

Co prawda, to prawda. Dwadzieścia lat małżeństwa to nie błahy materiał dowodowy. Oczywiście nie można żyć samymi wspomnieniami. Ale można żyć ze wspomnień, publikując pamiętniki lub wykorzystując swoje doświadczenia, do udzielania porad innym — cnotliwym, nieśmiałym lub leniwym. Więc robimy to. Na przystanku DZIŚ w oczekiwaniu na JUTRO. Jutro, w którym w naszych drzwiach stanie znów to nieznane, to piękne, to prawdziwe, to niewiarygodne, to dobre. Nie oszukujmy się — najbardziej żal tych grzechów, których się nie popełniło. Więc drogi czytelniku, bądź optymistą! Jutra co jakiś czas przychodzą. A gdy już przyjdą, nie należy martwić się na zapas pojutrzem, kiedy znów będzie trzeba postawić następną ptaszek w pamiętniku, wyskoczyć przez okno, lub napisać wiersz.

Ostatnia noc

Jeszcze poduszki pachną panią,

dymi ostatni niedopalek,

jest bardzo, bardzo wcześnie rano.

Pani odeszła. Ja zostałem.

Już odjechało radio taxi,

rozlane „egri” wsiąka w koc,

zamiast uśmiechu, pół kanapki...

Skończona ta ostatnia noc.

Ostatnia noc, choć w smaku ciągle pierwsza,

*ostatnia noc, jak płyta popękana,
jak nie skończona strofa wiersza...
Ja sam, jak kielich bez szampana.
Sam, na wysepce garsoniery,
sam, jak u kresu drogi słup,
sam, w przekonaniach swych nieszczerzy.
„Cieszę się miła, dziś twój ślub!”
A w kątach jeszcze echo szeptów,
choć ciemna, pusta toń zwierciadła
i odcisk ciał w objęciach pieszczot
na prostokącie prześcieradła.
Bezpańsko wyje czajnik z gwizdkiem
opada pulsowanie krwi,
pora opuścić swoją wyspę
i ruszać w szary kierat dni.
Ostatnia noc, już nigdy nie powróci,
ostatnie noc, jak echo, co przemija,
jak nieudany finał sztuki
i jak rozsądek, co zabija.
Sam, odo kwadransa całkiem zimny,
sam, oczy suche, w piersi lód,
sam, zatrzasnąłem drzwi od windy.
„Cieszę się miła, dziś twój ślub!”*

Przystępując do pisania „Kabaretu Nadredaktora” miałem zamiar, zmieścić całość mojej niepoważnej twórczości w jednym tomie. Może bym i zmieścił, ale byłoby tomiszcze rozmiarów encyklopedii. Przyjmując za naturalną cezurę I części koniec PRL-u postanowiłem zawrzeć całą resztę w drugim tomie. Przepraszam, znowu się nie udało. Tom trzeci jest nieunikniony. Naturalnie mogłem ograniczyć się w niniejszym wyborze do kilku scenek z ZOO, paru piosenek z Szopek, trzech wykładów Seksperta. Górę wziął jednak historyk. Zacząłem patrzeć na moją twórczość jak na swoiste źródło historyczne, dla czasów bezprecedensowych i nieprzewidywalnych. „Ludowa” rządziła się jakimiś zasadami, chorymi, ale jednak przewidywalnymi. W Trzeciej Najśmieszniejszej każdy rok niósł nieprawdopodobny ładunek zaskoczeń. Komuna objawiła się jako Wańka–Wstańka. Bohaterowie podziemia w warunkach demokracji okazali się w przeważającej liczbie przypadków, ludźmi nieprzygotowanymi do sprawowania władzy. Wspaniali, odważni kontestatorzy byli zazwyczaj pozbawieni zdolności współdziałania, a do codziennej biurokratycznej rutyny nie przywykli nawet po dekadzie. Ufni do granic głupoty wobec jednych, innym okazywali nieufność, w stopniu uniemożliwiającym funkcjonowanie w zróżnicowanym świecie. Wielu nie wytrzymało presji władzy, pieniędzy. Łatwo dostać zawrotu głowy przesiadając się z roweru do lancii.

Ileż popełniono błędów, ileż grzechów wywołanych, mową, uczynkiem a najczęściej zaniedbaniem. Jakaż piramidalnie bezmyślna poczciwość kazała wierzyć, że sakrament „okrągłego stołu” zamieni wilki w baranki? Że wybaczenie Michnika zjadaczy chleba (bo legitymacji szelmy nie zjedli) w aniołów przerobi.

Być może domorośli politycy mogli tego nie przewidzieć, ale historycy, nawet tacy jak ja, w stanie spoczynku, powinni. Każda rewolucja ma swoje fazy. Osiąga apogeum zwykle na swym początku, potem się cofa. Przychodzi kontrrewolucja, wreszcie restauracja. Powstaje jakiś modus vivendi między prominentami anden regime’u i tymi bardziej obrotnymi spośród sankuilotów, którzy zorientowali się gdzie stoją konfitury.

Nasza rewolucja nie miała swego zdobycia Bastylia, chyba że uznamy za ten szturm — Sierpień 1980 .Nie wydała też, na szczęście, swych Robespierrow. Płynnie przeszliśmy przez parę faz Dyktoriau, kandydat na Napoleona miał już wkrótce wyeliminować się sam, podając nogę swemu następcy.

Wrzesień 1993 też zafundowaliśmy sobie na własne życzenie.

Piosenka końcowa pierwszego odcinka ZOO po wakacjach, nadanego już po wyborach brzmiała:

W menażerii po wyborach,

Ciągle trwa ogólny kac.

Gdyś u steru siedział wczoraj

Trudno iść do zwykłych prac.

Mało kto pokutę czyni,

Lecz rozbrzmiewa wkrąg oracja

„Nikt u przecież nie zawinił

tylko głupia ordynacja!”

Kiedy oszołomieni prawicowcy, staczali się w polityczny niebyt, trudno bowiem maleńki BBWR i niewiele większy KPN uznać za reprezentacje blisko połowy wyborców, lewokopytni triumfowali wspinając się po schodkach wiersza pisanego manierą Majakowskiego:

Jesteśmy

znów

towarzysze

Wyszliśmy

tylko

na chwilę

dość oszołomów!

Dzisiaj

ma głos

towarzysz

Miller

„Czerwony sztandar”

czas

śpiewać

Witamy

w Polsce

Ludowej

Lewa!

Lewa!

Lewa!

Wybrała

nas

demokracja,

Czerwień

wyłazi

spod bieli

po co nam

prywatyzacja?

Co swoje,

myśmy

już wzięli

Odwet,

to pyszna

zabawa

Solidaruchy

— na drzewo!

Załatwimy

wam

Państwo

Prawa!

Jak dawniej

Na lewo.

Na lewo!

A przecież jeszcze nie było tak źle. Sukces „towarzyszy” mógł okazać się epizodem. Bolesną lekcją skłaniająca do refleksji i solidarności. Mieliśmy nadal swojego Prezydenta, swoją Krajową Radę Radia i Telewizji, największe gazety, najwybitniejszych twórców. Lewica, jakby spłoszona własnym tryumfem zgodziła się na premiera ze słabszego PSL-u — Pawlaka. Wałęsa obsadził resorty prezydenckie swoimi ludźmi... Jeszcze mnóstwo było do zmarnowania, do stracenia. Choć wtedy wydawało się, że gorzej być nie może.

Złudzeń nie miał natomiast kolega Sekspert. Ani wybory, ani wydanie „Książeczki bez nabożeństwa” nie zakończyły jego działalności. Zrośnięty z postacią Mariana Opanii miał swoje wielkie dni, prowadząc przez prawie rok „Poradnie pozamałżeńską” w telewizyjnej Dwójce. W ZSYP-ie pojawia się, wprawdzie dość sporadycznie, do dziś. Ciągłe udziela porad z estrady lub wynurza się w jakiejś komercyjnej stacji. Po wyborach wrześniowych porzucił chrześcijańską frazeologię i z ufnością patrzy w przyszłość, nie obawiając się, że jakaś uliczna sonda żołądka wykaże u niego niestrawione resztki legitymacji ZChN-u.

W nowym cyklu **VADEMECUM Z OKAZJI CAME BACKU**. Witał się z kursantami *W imię Marksa, Engelsa i Włodzimierza... Cimoszewicza, Amen*. I nawijał:

Mamy problem — jak powinien zachować się obywatel w nowej sytuacji w naszym kraju? Na początek przytoczę parę przykładów **postaw nieracjonalnych**:

Apatia, picie alkoholu na smutno, wyrzucanie telewizora ze względów estetycznych, nabywanie ciepłej bielizny, cukru, wyciąganie starych kartek na benzynę, pisanie protestów do Państwowej Komisji Wyborczej, załatwianie urlopu na cztery lata (trudno o większą naiwność, żeby sądzić, że odejdziemy po czterech latach), czy wreszcie bicie teściowej za to, że głosowała za głosem serca, które miała po właściwej stronie.

Teraz na odmianę **postawy racjonalne**:

Przyływ energii, umiarkowane picie alkoholu na wesoło, zapewnienie dwóch świadków, że aktu stawiania laickiego krzyżyka dokonaliśmy na właściwej liście czerwonym długopisem. Bezzwłoczne zaprenumerowanie „Trybuny” i „Nie”. Telefon do najbliższego komitetu SdRP z zapytaniem, ile wynoszą zaległe składki za trzy i pół roku? Dodatkowo żona powinna nabyć

działkę, aby jako rolnik móc ubiegać się o wstąpienie do PSL-u, co zapewni waszym dzieciom słusne pochodzenie. I tylko bez triumfalizmu towarzysze! Żadnych czerwonych krawatów, różowe, różowe! Wiadomo, że wprawdzie mamy wszyscy równe żołądki, ale jednak Kapitalizm, to Lepsze Dziś Ludzkości. Zwłaszcza, gdy się ma Kapitał. I tylko idiota albo przestępca zaprzeczy faktowi, że Manifest PKWN opierał się na nauce społecznej Kościoła.

Do mojej placówki coraz częściej napływają listy, z których przebrzmiewa jedno pytanie „Co z, nami zrobicie?”

„Czy można zgłosić się na ochotnika do jakiejś komisji weryfikacyjnej?” — pisze „Przerażony z Mokotowa” — „Do „Solidarności” zapisałem się przez przypadek, stanowisko wiceministra objąłem, bo akurat nie było chętnych, natomiast ksiądz proboszcz, jeśli Rzecznik Praw Obywatelskich zwolni go z tajemnicy spowiedzi na pewno zaświadczy, że zawsze byłem ateistą. W konfesjonale klękałem wyłącznie z powodów towarzyskich. A już na pewno nie mówiłem fałszywego świadectwa przeciwko bliźnim z Sojuszu Lewicy jak najbardziej Demokratycznej.

Odpowiadam: Drogi „Przerażony”! Z twojego listu wynika gruntowne niezrozumienie sytuacji. Choć zwyciężyliśmy, możemy pokornie powtórzyć za Listem Fryderyka Engelsa do Koryntian: *Nie lekajcie się!* Nowoczesnej postępowej formacji kapitalistycznej lewicy obce są uczucia odwetu. Niezbędne czystki i lokauty ograniczymy do sytuacji naprawdę koniecznych. Parafrazując słowa Świętego Wojciecha (Generała) w Kazaniu na Biurze możemy stwierdzić *Nie ma powrotu do stanu sprzed czwartego czerwca. Ale również sprzed dziewiętnastego września.*

Jak to przełożyć na język konkretów? Na przykład nie przewidujemy masowych internowań. A nawet przeciwnie, liderom opozycji poza i wewnątrz parlamentarnej stworzymy komfortowe warunki do kontynuowania działalności politycznej. Już wkrótce wyremontowane ośrodki w Arłamowie, Darłówku i Łupkowie przyjmą pierwszych wczasowiczów. Oczywiście nie ma mowy o drutach kolczastych, karabinach maszynowych, psach czy strażnikach. Ośrodki te oprzemy na samorządzie i samostanowieniu. I tak celi braci Kaczyńskich pilnować będzie Mieczysław Wachowski, którego z kolei nadzorować będzie Jan Parys, podlegający byłemu ministrowi Lewandowskiemu, nad którego pełnią praw obywatelskich czuwać będzie Leszek Moczulski. Spotykam się niekiedy z ordynarnymi pomówieniami, że my, zwycięzcy nie jesteśmy zwolennikami wolnego rynku. Cóż za szkodnictwo myślowe! My wolny rynek kochamy wręcz bez opamiętania. Nawiasem mówiąc, z wzajemnością, czego najlepszym dowodem jest liczba biznesmenów i prywatnych przedsiębiorców, która zgodnie przegłosowała, że portfel ma po lewej stronie.

Zresztą, czyż samo słowo rynek nie budzi w nas, towarzysze, właściwych skojarzeń? Toż na rynku już od średniowiecza odbywały się obrzędy i festyny ludowe, że wymienię — egzekucje, słusne protesty społeczne, czy manifestacje poparcia. To na rynku odczytywano uniwersały i palono przeciwników postępu, w osobach tak zwanych czarownic, nie mówiąc już, że nie gdzie indziej, a właśnie na rynek władza zwykła rzucać przedmioty mrocznego pożądania ludu, jak papier toaletowy, owoc cytryna, czy w trudniejszych czasach — ocet. Oczywiście, nie zmienia to w niczym bezspornego faktu, że wyższą formą rynku jest rynkowa gospodarka planowa. Człowiek tym się różni od zwierzęcia, że sobie planuje. Lew albo inny pawian, jak widzi coś do

żarcia, to zre, zre bez opamiętania, aż go brzuch rozboli, a człowiek, zwłaszcza świadomy obywatel — nie! On sobie planuje: śniadanie, drugie śniadanie, obiad, podwieczorek, kolacja, a w rozwiniętej gospodarce rynkowej, jeszcze lunch, dinner i supper. Z dzieciństwa pamiętamy jak doskonale było zaplanowane menu naszej szkolnej stołówki — poniedziałek: pierogi bezmięsne; wtorek: placki kartoflane; środa: naleśniki bez sera; czwartek: kluski ruskie (przy okazji leniwe); w piątek (na złość Kościołowi): płucka i cynaderki, a w sobotę: ziemniaki z ceresem... To były czasy! — Człowiek wiedział, czego się trzymać. Wiedział też, że na tzw. Boże Narodzenie każde dziecko otrzyma pomarańczę, chyba że burzuje zatrzymają w kanale La Manche statek „Pawka Korczagin” płynący do nas z darami towarzyszy kubańskich, nawiasem mówiąc zakupionymi w Izraelu. I jaka była radość! Nie to co dziś, pójść o każdej porze dnia lub roku do odrażającego, prywatnego sklepiku i nabyć egzotyczny owoc niczym kartofle, tyle że taniej.

Planowa gospodarka rynkowa to przede wszystkim zaprowadzenie porządku, a jednocześnie optymizmu. Cóż może lepiej działać na obywatela niż komunikat, że areszt śledczy lub zakład pogrzebowy wykonał plan roczny na miesiąc przed terminem? W gospodarce obecnej, żeby dowiedzieć się, ile jakiego towaru kupiło społeczeństwo trzeba go banderolować, a kiedyś wiedzieliśmy na pięć lat naprzód, ile kilo śledzia przypada na główkę niemowlęcia w porównaniu z analogicznym okresem roku ubiegłego. I dlatego będziemy nad tym pracowali towarzysze. Tylko trochę cierpliwości. Sygnałem zmiany będzie komunikat w głównym wydaniu Wieczoru z Dziennikiem: „Załoga Mennicy Państwowej melduje o zaciągnięciu całodobowych wart produkcyjnych”

I na tym chwilowo kończę. W imię Ojca i Matki, i Świętego Józefa...

A zresztą bez wzywania imienia Oleksego swego nadaremno.

*

Moja gorycz nie wynikała jedynie z zaskoczeń politycznych tamtego okresu. W ciągu tych pierwszych lat Najśmieszniejszej na nowo poznaliśmy siebie i ludzi, przetestowaliśmy zasadę, że sztuka gorsza wypiera lepszą. Zauważyliśmy boleśnie, że brak narzucanej oficjalnej polityki kulturalnej nie uczyni społeczeństwa kulturalniejszym. I ani się człowiek spostrzegł, jak w media wżarł się głęboko złośliwy rak reklamy, podporządkowując je dyktatowi oglądalności i gustom reklamodawców. Zdechł kabaret. Tzw. frekwencja od ironicznich piosenek Młynarskiego wołała wygłupy Dańca. Praca przestała chodzić za człowiekiem, nawet za artystą. Dorobiliśmy się nie tylko giełdy ale również mafii.

Znormalnienie swojskiego domu wariatów oznaczało zmianę diagnoz, i niektórych leków, ale podział na pacjentów i personel z grubsza pozostał ten sam. Owszem rosły „szklane domy” banków i towarzystw asekuracyjnych, ale ciągle nie był to kraj „przemienionych kołodziejów” raczej ogłupiałych rabów, dożywotniaków „ułaskawionych po 45 latach mamra”, wypuszczonych na

wolnorynkowe słoneczko i zostawionych tam samym sobie.

A ile jeszcze było przed nami?

Pierwsza faza Trzeciej Najśmieszniejszej dobiegła końca, podobnie jak niniejsze tomiszczce. Skończyło się smutno. Lapidarnie rzecz ujmując — ponieważ 17 września — przyznajmy — dzięki Wałęsie, wyszły od nas wojska rosyjskie, a 19 wróciła do władzy — z woli wyborców — post — komuna, mieliśmy w drugiej połowie XX wieku tylko jeden dzień wolności. 18 września 1993.

I cośmy z tą naszą wolnością zrobili?